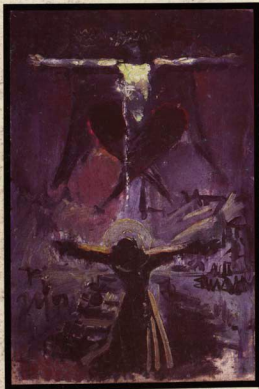


Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 3 zł 50 gr. — (35 000 zł)

a

2

2(64) 1996

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



AKCENT nr 2 (64) 1996

Jubileusz Tadeusza Konwickiego (A. Michnik, A. Nasalska) • CYBERPUNK — „Przyszłość już nadeszła” (B. Sterling, W. Gibson, N. Stephenson, R. Rucker, R. Hardin) • Pisarze z Lublina (III): M. Józefacka, I. Sławińska, E. Mazur, M. Jankowska, Z. Mikulski • Ryszard Matuszewski: Nad Swięcią i Niemnem • L. Lameński o A. Michalaku

akcent

Redaguje kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
LECHOSŁAW LAMĘŃSKI
WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)
DOMINIK OPOLSKI
KRZYSZTOF PACZUSKI
TADBUŚ SZKOLUT
BOGUSŁAW WROBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Redaktor techniczny
Janusz Sobolewski

Korekta
Janina Hrusak

Sekretariat
Zuzanna Kaczmarek

Czasopismo wydawane przy wsparciu ekonomicznym
Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie
i Ministerstwa Kultury i Sztuki

Numer 2/1996 zrealizowano przy pomocy finansowej
Urzędu Miejskiego w Lublinie

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

Copyright 1996 by „Akcent”

a

rok XVII
nr 2 (64) 1996

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki:
Antoni Michalak: *Widok z pracowni w Kaciszewie*,
po 1930, olej, płótno, własność rodziny.

Na czwartej stronie okładki:
Antoni Michalak: *Strzygmatycza św. Franciszka*,
ok. 1930, olej, płótno, własność rodziny

Fotografie barwne:
Artur Rogalski

Adres redakcji
20-622 Lublin
ul. Okopowa 7
tel. 27-469

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prężnieniu na kraj i zagranicę udziela
urzędy pocztowe i „Ruch” S.A.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” — Polish American Daily News,
21 West 38th Street, New York, NY 10018.

Pauline Father; National Shrine of Our Lady of Częstochowa; Bookstore;
P.P. Box 2049, Doleystown, RA 18901.

Sweede Slavic Books; 2233 El Camino Way; Palo Alto, CA 94306.

Mira Pusc; „Polonia” Bookstore; 2836 Milwaukee Ave; Chicago, IL 60618.

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd.
20-601 Lublin, ul. T. Żana 38 c

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne, Lublin, ul. Unicka 4
Zam. 112/96. Przekazano do druku 31 I 1996 r.
Druk ukończono w maju 1996 r.
Cena zł 3 zł 50 gr (35 000 st)

SPIS TREŚCI

- Anna Nasalska: *Twarz obcego. O twórczości Tadeusza Konwi-
ckiego* / 7
Adam Michnik: *Kompleks Konwickiego* / 22
Janusz Wróblewski: *wiersze* / 30
Tadeusz Zubiński: *Martwe ogrody* / 34
Marek Chorabił: *wiersze* / 49
Jerzy Święch: *Polszczyzna jaką mówimy. Zapiski na marginesach
tomu „Współczesny język polski”* / 52
Genowefa Jakubowska-Fijałkowska: *wiersze* / 64
Szczeban Woronowicz: *Masy* / 67
Jarosław Adam Sawicki: *wiersze* / 70
Maria Józefacka: *Elegja dla Sarajewa* / 74
Irena Sławińska: *Opowieści o utraconym domu. Uwagi o książkach dla
młodzieży Marii Józefackiej* / 88
Ewa Mazar: *Znowu książeczki* / 91
Bartłomiej Błaszczewicz: *Choroba Tamerlana* / 94
Stanisław Dłuski: *wiersze* / 100

Cyberpunk

- Paweł Frelik: *wstęp* / 103
Bruce Sterling: *Przedmowa do „Lustrzanek”* / 106
William Gibson: *Johnny Mnemonic* / 110
Neal Stephenson: *Snow Crash* / 122
Rudy Rucker: *Software* / 131
Rob Hardin: *wiersze* / 136

PRZEKROJE

- Janusz Termer: *Paradoksy i pytania prozy Tadeusza Siefjaka*; T. Szkolut, M. Danielkiewicz: *„Zbiór oiwarty” Magdaleny Jankowskiej*; Józef Fert: *Prawda-li to czy sen (nad wierzeniami s. Noeli)*; Tadeusz Szkolut: *Nowoczesność i ambivalencja*; Halina Rarot: *Lubelska formuła sporu o prawdę* / 139

PLASTYKA

- Lechosław Lameński: *Antoni Michalak jako pejzazysta* / 153

TEATR

- Marian Rawiński: *Mitoburcza komediogroteska w teatrze Marii
Pawlikowskiej-Jainorowskiej* / 162

MUZYKA

Krzysztof Karpiński: *Jazz w Warszawie* / 171

ARCHIWUM

Andrzej Niewiadomski: *Zapomniane wiersze Jerzego Zagórskiego* / 174

Jerzy Zagórski: *wiersze* / 180

PODRÓŻE

Ryszard Matuszewski: *Nad Świtezlą i Niemnem* / 188

NOTY

Izabela Dominko-Augustowska: *Jeden współczesny romantyzm* / 205
Zygmunt Mikulski: *Równość i asymptota* / 208

22 czerwca 1996 roku Tadeusz Konwicki obchodzi siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Redakcja „Akcentu” i Zarząd Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent” (w której Radzie Programowej Tadeusz Konwicki zasiada) pragną złożyć Jubilatowi najserdeczniejsze życzenia — zdrowia, pogody ducha i następnych wspaniałych dzieł!

AKCENT

ANNA NASALSKA

TWARZ OBCEGO O twórczości Tadeusza Konwickiego

Wie pan, nie zapamiętałem wieczoru wigilijnego z dzieciństwa, z partyzancki albo tego powojennego, w pustym pokoju, w pustej burzie akademickiej, ale zapamiętałem na całe życie taką jedną króciutką chwilę, kiedy zapaliła się pierwsza gwiazda, a ja stałem w oknie, patrząc na drogę jak kanton iniegowy, na ogromne zbocza rozległych wzgórz odkryte grubą panową, na białą ścianę lasu u szczytu tych wzgórz, na granatowięjącą niebieskość nieba, na całą tę wigilijną wigilijność, w której zamiera wszystkie użyteczne życie, w której odbywa się delikatne życie intymności ludzkiej, więc patrząc na tę łagodną bajkę wymyśloną przez Boga i ludzi, spostrzegłem nagle samotnego człowieka, co szedł zgarbiony inną drogą w tej osobliwej chwili, szedł sam jeden na świecie przez opustoszały świat wigilijny i w tym jego osamotnionym ruchu tyle było wieloznacznej grozy, tyle tajemniczego niestępcenia, tyle zachwalego wyzwania wobec odwiecznej tradycji, że ten wiałak brnącący przez kopytka inieg człowieka w godzinę wigilijnego zmierzchu zostawił mi na zawsze w pamięci, choć tymczasem rozbito atom, zwrodotniono geny i wyładowano na Księżycu.¹

Tę scenę zapamiętaną z Kolonii Wileńskiej i opowiedzianą sąsiadowi w kolejce przez narratora *Kompleksu polskiego* można uznać za emblematiczną dla wyobraźni Konwickiego. Doświadczenie obcości stanowi wyróżnik autorskiej tożsamości na równi z jego prywatną ojczyzną. Pomijając okres socrealistycznego uniesienia, z jego oddórnie ustalonym podziałem na swoich i obcych, motyw ten konstyuuje płaszczyznę ideową, emocjonalną i estetyczną wszystkich utworów pisarza i reżysera, od filmu *Ostatni dzień lata* począwszy, a na *Czytadle* kończąc.

Isotne znaczenie mają uwarunkowania biograficzne. Z życiowej sytuacji przybysza wynika poczucie dystansu, niemożności bezrefleksyjnego zanurzenia się w nurt życia, uznania powszechnych motywa-

¹ T. Konwicki: *Kompleks polski*. Warszawa 1989, s. 14-15.

cji. Z drugiej strony — przynależność do kultury kresowej tłumaczy większą wrażliwość na obcopełnienców, którzy byli stałym i naturalnym elementem tamtego porządku. Stają się oni bardziej widoczni, obciążeni znaczeniem, w miarę wspierania konturów Wileńszczyzny przez warszawską scenę i Pałacem Kultury w tle występują w ścisłym związku z wnikliwie drażnionym od lat 70. kompleksem polskim.

Pojawiają się nacje dla zbiorowej psychiki najważniejsze — Żydzi i Rosjanie, a coraz częściej do rządu wprowadzają cudziemuco spoza najbliższego sąsiedztwa. Wizerunek „obcego” pozwala ostrzej widzieć rysy własne, a ciężar historii i uwarunkowania polityczne współczesności stanowią dla refleksji pisarskiej stół układ odniesienia. Opozycje „swoi-obcy” wyznacza granica dziełach narody zniewolone od wolnego świata.

Pierwszy znaczący obraz obcego uwikłany jest w obrachunkową tematykę popadzierniowej *Dziury* w niebie. Nieznanymi ludzkie pojawiającej się w okolicy są dla dziesięciolecia bohatera powieści ucieleśnieniem jego pragnień zmiany losu. Wierzy w możliwość naprawy niedoskonałego świata, a obcych traktuje jako znak spełniającego się sensu świata. Magia obcości zagłusza argumenty rozsądku i wymowę faktów — działania przybyszów w najmniejszym stopniu nie uzasadniają przypisywanych im sensów. Ceną, jaką płaci się za uleganie bliźniemu schematom jest katastrofa, dotkliwie przebudzenie pod dziurawym niebem fałszywej ideologii.

Tem stan duchowy przegranego idealisty ukazuje *Sennik współczesny*. W psychologicznym porządku całokształtu dzieła Konwického jest to bohater *Dziury* w niebie w wieku dojrzałym, obolali i bądujący się do życia w obcej rzeczywistości. Nie ma kresowej doli, zastępuje ją pejazd podobny; trwanie w nim jest także nieporadną imitacją mającego w pamięci wzorca zachowań, rozmów, motywacji, uczuć. Pojawia się bohater stale oddalony wyróżniający twórczość Konwického — outsider, na marginesie życia demonstrujący miłą czając obosobność.

W *Senniku współczesnym* obosobność spowodowana jest balastem pamięci, która izoluje od teraźniejszości narzucając własną przeszłość, czas i hierarchie. Odbywa się to jednak w oczywistym związku ze współczesnym stanem wewnętrznym bohatera. Wszystkie wspomnienia wydatniają momenty odchodzenia od swoich, zachowań na własny rachunek, zapożyczających własne aspiracje. Z perspektywy lat i wiron historii uwidcznia się cieni zdrady, udwunaczającej intencje jakby od początku zapowiadającej klęskę bohatera. Pamięć podsuwa obrazy samego przeciwko wszystkim w drodze do gimnazjum, odprowadzanie wykazkami zawiędzonego przyjaciela, wyrzuczonego z partyzantki za brawurę i niesubordynację; ukrywającego się i potępionego przed wieś za ściągnięcie aresztowanego na maikę.

Ale zatrzymanym czas przesyła odwołania oblicze zdrady niedostępne dla bezrefleksyjnej młodości: po latach osacza bohatera moralny wymiar partyzantki, z jej ławicą zabijania, prostacką pogardą dla życia, samowoli, sankcjonowaniem gwałtu. Ślachetność zamiarów nie zrównoważy sprzeniewierzenia się podstawowym zasadom człowieczeństwa; pianie koguta o święcie nieuchronnie kojarzyć się będzie ze zdradą Piotrowa.

Świadomość winy stawiającej pozą ludzką wspólnotą wyobcowuje, ale także budzi strach przed losem zapakowanym z przeszłości. W pamięci zachował się obraz „domu wylękanego i nie lubianego, w którym mieszkał obcy przybłąda, tulał bez wiary i obywatelstwa”². Jego twarz staje się personifikacją sumienia, symbolem

tragicznych dylematów i nigdy nie rozstrzygniętych kwestii winy, sprawiedliwości, prawa do życia, uwzględnionych racji jednostki. Oskarżony o zdradę nauczyciel, którego należało zabić z wyroku podziemnej organizacji, był tym samym wybacząc sprzed lat, oceniając w sytuacji opuszczenia i moralnej katastrofy. Usłyszone wówczas zdanie: „Niekoniecznie być cudzym wśród swoich” ujawnia istotę wspólnego doświadczenia, uznając niejako oczywistość najgorstego wariantu losu.

W takim odwołaniu winy trwa moralna ostrość. W odczuciu bohatera *Sennika* rozstrzyga o niej sama obosobność człowieka: w uproszczeniu przez swoje obrazy świata wartości nie nasze muszą znaczyć „wrogię”. Pytanie, czym jest zdrada, stanie się oddal postawowym dylematem uwikłanych w historię postaci Konwického. Na potwierdzenie w filmie *Jak daleko stąd, jak blisko* (1972) pada odpowiedź potwierdzająca: „Istotą dotkliwosci problemu... *Kogo zdradzaliśmy* [...] — Nas. Nasze myśli, nasze obyczaje, nasze przyzwyczajenia”.

Decyzja bohatera *Sennika* o wstąpieniu do partii, także przecież zapadająca w aurze zdrady, oddalania swoje głębsze przyczyny. Kształtuje ją poczucie winy, wola zadośćuczynienia, a także solidarność, jaką w wiernym czytelniku Zerkomskiego budzi ów samotny trzeciutki rozumu i sprawiedliwości. Ale Konwicki uwidcznia w niej również czynnik psychologiczny, wewnętrzna potrzebę kompensaty obcości i wydzielenia. Rozpoznanie uwarunkowań premiami obcego w apostoła nowej wiary odnosi się przecież nie tylko do powieściowego baptysty przewodzącego rozmodnionej ludności nad Solą: *Wiem, dlaczego to wybrałem* [...] *Byłem zawsze obcy, zaręczony, samotny, gomyony — zjawiałem przez flam, przez okrutną dzieć. A teraz stanęło przed mną, iż: przez przewództwo, ona do ciebie należy i za nie tego pierwszeństwa nie oddasz*.³

Sennik współczesny zapowiada możliwość przezwyciężenia obcości i takie zadanie stawia przed wyobcowanym człowiekiem. Ostatecznie podróż w głąb własnego czasu okazuje się terapią skuteczną; budowana boszczą kolegiowa pozwoli uciec z senniej rzeczywistości „skrawaniem pamięcią” do istniejącego gdzieś świata.

Trudno w tym pragnieniu zamknięcia przeszłości nie dostrzec popadziernikowej dobrej wiary w możliwość poprawienia systemu, jednak dalsze twórczość pisarza świadczy o krótkotrwałości złudzenia. Następne powieści pokazują w zasadzie tego samego bohatera, niezmiennie obcego wobec świata oficjalnych wartości. Jednak już nie przeszłość odpowiada za stan współczesnego ducha, wprost przeciwnie — pamięć wobec wprawy ostentacyjnego umiędziania. Bohater *Wniebowstąpienia* cierpi na amnezję, istnieje — jeśli można tak określić status upiory — w ograniczonym do jednej noy czasie teraźniejszym, wykraczając poza jego ramy jedynie w domniemych wariantach własnej nieznannej biografii.

W *Nie albo nie* brutalny rozdział partyzantki stanowi wyodrębnienie i zamknięcia całość, tłumaczącą się racją w automatycznym planie powieści, nie jako uzasadnienie gorączkowej szramotany bohatera udręconego problemem własnej tożsamości. *Ja jestem tu obcy* — powiada szepem Darek. — *Wszystko mnie dziwi i nie nie mogę wierzyć. Jakbym pierwszy raz zobaczył*.⁴

Wyobcowując poczucie absurdalności znośi bohaterów obydwu powieści na marginesie życia, w rejonu doświadczonego i przestępczego podziemia. Krają w labiryntach ulic, nocnych knajp i mełin, powodowani jaką chorobliwą aktywnością — uciekają z tymi potrzebą

² T. Konwicki: *Jak daleko stąd, jak blisko* [w:] *Ostatni dzień lasu, Sennik współczesny*, Warszawa 1993, s. 273.

³ T. Konwicki: *Sennik współczesny*, Warszawa 1970, s. 370.

⁴ T. Konwicki: *Nie albo nie*, Warszawa 1994, s. 141.

² T. Konwicki: *Sennik współczesny*, Warszawa 1970, s. 103.

gubienia czasu. Spotykają sobie podobnych, rozumieją się, tworzą wspólnotę „nocnych” ludzi, czy już upiorów, zwaszonych między tą i tamtą stroną. Narrator *Wniebowstąpienia* przyjmuje imię Charona, a jego wędrowka z przegdanymi znajomymi po Warszawie odbywa się najwyraźniej w ramach rutynowej przeprawy na drugi brzeg. Towarzystwo w tej lodzi charonowej tworzy swego rodzaju międzynarodową ekipę upiorów, chociaż ich nazwiska zdradzają przynależność do tej samej strefy wpływów: ciocia Pola, panowie — Niemiec, Rusek, Czech, Słowakowiec, Lotysz, Litwiniec, Madziar, Turzek. Kresląc bowiem duchowy wizerunek zresztowicieli lat 60. — obcej, nieautentycznej, groźnej, jakiego groteskowej fałzy życia na niby, z przebiegamiimi zastępującymi żywych ludzi i niestanną kruchością martwej ideologii — nie trac Konwicki z oczu i tego aspektu: umarłych narodów, zastępujących jak motyle, za szyby powiewającej komórkii „o milimetr od wolności”.

Słowo „komunizm” nie pada ani razu, ale ówczesne ataki na powieść świadczą, że fineryjnie budowana atmosfera przemawiała czytelnemu. Wobec wspólnoty losu odrębności narodowe nie grają roli, nie znaczą więcej niż przypadkowe nazwiska; „obcy” okazują się „nasi” w obrębie standardyzującego działania systemu.

Wytwarza on zresztą własny typ antropologiczny. W *Kalendarzu i klepsydze*, metodycznie rejestrującym znaki czasu, pojawia się modelowy wizerunek „wzorowego aktywisty”, człowieka szczęśliwego, akceptującego, wyderbnionego na podstawie wyraźnych cech gatunkowych: *wiek średni, głowa duża, okrągła, ze spora grzywą mocne kędzierzawych i mocno rządzących włosów, twarz owalna, skłonna do zacczerwienia i jakby lekko poduchowata, tyłko krępa, mocna w sobie, ręce krótkie niż normalnie i jakby nie przylegające do talca, futrzana czapka, płaszcz podity miśkiem, wypchana tecka*⁶.

Ten typ ucieleśniania rasową swoistość także w zakresie myśli, upodobań i miar estetycznych występuje na całym obszarze objętych społecznym eksperymentem, tworzy syndrom systemu, który Konwicki w *Kalendarzu* usiłuje opisać. Doświadczanie obcości świata z dotychczasowych powieści zostaje zastąpione rólno wyrafowaną charakterystyką jego realiów. Obecna jest wprawdzie pierrelowska codzienność i jej psychologiczny wymiar odcinający w postawach i aspiracjach, ale płaszczyzna w wspomnieniowo-refleksyjna zdecydowanie przesuną punkt ciężkości tego diariusza w stronę dziennika duchowego. Problemowe porządkowanie zresztowicieli odbywa się w ścisłym związku z deklarowanym na wstępie zamiarem „korespondowania z rólnośniami”. Pojawia się, jakby z ducha Zerzosińskiego, ton obrachunku z rodakami; rozważała nad narodowym charakterem, warunkami, które go ukształtowały, przenikająca analiza „polskości”.

Obserwowanie gry prowadzonej z cenzorem jeszcze dzisiaj daje sporo satysfakcji. Mimochoodem wtrącając zdanie, zresztę zestawienie tematów, pointa opowiadaniań anegdoty, analogia historyczna, niedomówienie — tworzą warstwą sensu odczytywanych ponad dosłowność tekstu. Nie można przy tym pomnieć wspomagającej interpretacji czytelnika. Autorska wiara w „siln instynktu prawdy” i odwołanie własnej strategii (*Pilniej kładęgo słowa, żeby, brón Boże, nie poszło własną drogą. Formuluję każdą myśl, żeby była tak ogólna, że umiło w niej dotkliwiość namacalnej, zwykłej, krótkiej prawdy. Siaruję każdym tematem, żeby wygasł i szczał w zawieszenu nagłej czołby*)⁷ — narzucają lekturę czujną, nastawioną na przechwytywanie najbliższych sygnałów, pieczołowicie rekonstruującą intencję, myśl urwaną czy skróconą.

Dla uwadnienia własnej odrębności zestawienie z innymi narodami w wydawnictwo się całkiem naturalne. Konwicki podejmuje ten wątek zdawkowo (*Włach waruje w strocyce, Francuz zjadł w kulnoriach, Niemiec w barwarskim piwie i pospójnej precyzi. A my biesimy się w polskości*), względny dydaktyczny bowiem ustępują politycznej doradźności. Z takiej perspektywy świat dzieli się na narody bratnie w cierpieniu, *uwięzione w staroziemskim więzieniu i nowoczesnych rezerwaciach, okładane kijami i oblikiwane codziennie obcą, elektrotroniczną propagandą* oraz jednolitą bryłę objętości i egoizmu zachodnich liberalów.

Styltyka uanonizna nie tylko drastycznie postęgażuje, ale i „ogólną świadomości” Konwickiego narzucającą wystrzeżenie naródów analogicznie do poszczególńyich jednostek. Rozważanie z ludzkiej skali zjawisko współczesnej niewoli neokolonialnej sprawa wracanie jakiejś przetrwałej pokuty za grzech tolerancji, wioolności, pacyzmu. Ogólna refleksja otrzymuje szczegółową wykładnię. Pamięć wiołując idealną ojęzyczną tolerancji i przyrodzonę dobroci — Dobrą Ziemię Dobrych Ludzi — jak mówi Konwicki w jednym z najpiękniejszych fragmentów książyki, w apostoście do Białorusi. On sam nigdy jej naprawdę nie opuścił, ukształtowany przez jej etos, z jej krajobrazem w oczach, ze wspomnieniem długu za uratowane życie. Tragizm tego losu ilustruje generalną zasadę, że prawa narodu do istnienia nie mierzy się zasługami ani racjami moralnymi:

*Nie wryłasi się w ludzką pamięć, Białorusi. Nie odbieraliś inym wolności, nie rabowaliś cudzej ziemi, nie mordowaliś ludzi za sąpiedniej między. Miałasi dla obcych sztacunek i gościnny kołacz, miałasi dla rabusiów ostniarę krowy i ostniarę krowięk zrymne chleba ze znakiem krzyża, miałasi dla nieszczęśliwych krowiawie serce i biedne, nie pieszczonoście życie do oddania. Dlatego malo kto ciebie pamięta.*⁸

Wpewności nie poruszy Białorusi sumieim znużonego dobrobytem świata. Na te aktualnych problemów Zachodu sytuacja naródów obywatelniozwolnionych w sychku XX wieku wydaje się analogicznio lub wręcz nierealna. Uwzględniając ten punkt widzenia i demaskując tematy zastępcze, odwracające uwagę od kwestii niewygodnych, mentor pryncypalnie upomina się o uwiecznianie porady: *A z siedmioma górami, za siedmioma rzekami torturowano cale narody, mordowano cale społeczeńsio duchowo i fizycznie, a obok deptano godność ludzką, a obok obracano człowieka w zwierzę*⁹.

Poroznie bez związku z wywołanym problemem, mimochoodem, w innym miejscu dziennika pojawia się Ukraina. W powomnieniu z obrazem anieliki Białorusi krowy wzorcz sąsiedztwa, przechowywany w zbiorowej pamięci, wymagał łagodzonego retuszu. Konwicki, konsekwentnie szukający podobieństw, a nie wrogoci, odwołuje się do romantycznego mitu Ukrainy, której duchowość przez wieki formowała polski charakter.

*Dali nam błęti do Asji. Ale myślić, że obdarzylś nas równieim wycieczniem poczci, dojmującą, dziko nastojącą i tą stopową metafizyką, co uskrzydlała zawsze nasz zły los.*¹⁰ Nie pamięć o wzajemnych winach, lecz o nie istniejącym, zamkniętym w czasie przyszym sąsiedztwie narzuca czytelnikowi nostalgiczna refleksja pisarza.

Wśród narodowości znaczących w emocjonalnej geografii Konwickiego obecność bliskiego Wschodu wynika z miejsca urodzenia, ale przynależność pokoleniowo uwadniają rólno Niemców. Występują w wojennej przeszłości i — znacznie mniej wyraziście — jako przedstawiciele wolnej i zamożnej Europy współczesnej. Jednak ich

⁶ T. Konwicki: *Kalendarz i klepsydza*, Warszawa 1976, s. 16.

⁷ Tamże, s. 144.

⁸ Tamże, s. 126.

⁹ Tamże, s. 31-32.

¹⁰ Tamże, s. 35-34.

¹¹ Tamże, s. 143.

okupacyjny wizerunek ulega widocznej zmianie w latach 70. Jeszcze w *Sonniku* stanowią niezindywidualizowaną, wroga masę objętą partyzanckimi restrykcjami w ramach zbiorowej odpowiedzialności. W zapamiętanych scenach rozstrzelania esemansów z zaatakowanego pociągu czy wysadzenia żołnierskiej łaźni w desperackim odwecie za postrozelonego przez siebie kolegę — Niemcy pozostają bezosobowym tiem indywidualnego dramatu narratora. Postrozegani jako naród podlegający kwalifikacjom logiki i wojennej, ale izolowani ze swojej grupy, w zbliżeniu, w bezpośrednim kontakcie iwarzą w twarz wywołują zamęt poprzez nieoczekiwane odwołanie człowieczeństwa. Reguły gry wojennej tracą jednoznaczność; sprawiedliwe w intencji spoliczkowanie przypadkowego oficera pozostawia narratorowi poczucie kabotyństwa i zuchwałości bezużytecznej.

W *Nie albo nie* Niemcy z partyzanckiej retrospekcji jeszcze bardziej wyłamują się z oficjalnych kwalifikacji. W oddziały znajduje się niemiecki dezertjer, gorliwie walczący ze swoimi, oraz jeniec, nie budzący nienawiści, raczej kłopotliwy ze względu na konieczność rozstrzygnięcia o jego losie. Dla narratora, wyznaczonego do wykonania wyroku, Niemiec staje się całkiem nowym, na zawsze wrosniętym w jego biografie, objęciem wspólnotą tego samego w zasadzie doświadczenia zabitej młodości.

Pacyfizm tej sceny swowie rezonuje na płaszczyźnie współczesnej powieści — znakiem czasu jest nadopisanie na Księżycu. Pojawia się po raz pierwszy, tak często w następujących utworach Konwickiego, tu — realistycznie uzasadniona, perspektywa kosmiczna; unieważnia ona antymisję i granice starego świata, uaoonacza uniwersalną miarę ludzkiego upadku i wielkości.

Zasada dostrzegania człowieka pod maską narzucają przez kulturę i historię w zastosowaniu do Niemców ma szczególny ciężar. Wywniesiona z wielowątkowej Wleńszczyzny ulega przecież istotnej weryfikacji. Symbolicznie zaznacza to scena wyjazdu Niemców z „małej ojczyzny” do „wielkiej”, zamykającą przedwojenną epokę *Konwici wypadku* i wielkości.

Wspomnienie wojenne z *Kalendarza i kłopoty* przehowuje próbę swoistej redukcji Niemca podjętej w ducha grombrowiczowskiego zlekceważenia określającej go formy „Zmumulanionny, azjatycko-anonimowy człowieczek” na dworcu wileńskim, zatrudniony w charakterze tragarza przez ibermską, nie przyjmuje do wiadomości okolicznościowych ról, widzi przed sobą przede wszystkim siwsieliska, uformowanego przez te same lekture, sporty, pausę. Harda postawa niewolnika, rozsądząca narzucony układ, odwołuje się manifestacyjnie do jakiegoś uniwersalnego człowieczeństwa ukrytego pod kulturową maską, a historyczna wieciekłość, jaka wywołuje, świadczy o dotkliwości ciosu. Ale „Niemcy zawsze byli trochę beznymi” — stwierdza Konwicz w innym miejscu.

W *Kalendarzu kłopoty* motywy niemieckie przejawia się z wyraźną konsekwencją. Pretekstem staje się perspektywa wyjazdu na stypendium do Berlina Zachodniego, uwieńczona ostatecznie pobylem w NRD o okazji Dni Kultury Polskiej, lecz refleksje sięgają głębiej niż powierzchnia aktualnych obserwacji.

Jak zawsze chronicznie wyzuczony na uproszczenia myślowe i stereotypy, próbuje piarż w jednolitym wizerunku Niemca „zasyntezować” dokonac obiektywistycznej korekty. Do obowiązującej wzorca wojenno-okupacyjnych kontaktów dorzucca mimochodem wspomnienie z powojennych Gliwic i akcji wysiedlania Niemców, z którą wiązało się jego ówczesne zatrudnienie w urzędzie inwentaryzacji pozostawionego mienia. Rozwinięcie tego epizodu znajduje się — w innym czasie i w innym obiegu wydawniczym — w powieści włączoną do *Wschodnie i zachodnie księżyce*; na początku lat 70. jest tematem nader rzadkim.

Podróż niemiecka kierując myśl na fenomen narodu, jego duchowość, ostrość granic etnicznych. Ślady słowiańszczyzny w nazwach mijanych miejscowości, słowiańska genealogia Prus — wywołują nieodparcie trafną ocenę kierunków dyfuzji kulturowej w ciągu wieków sąsiadstwa: *Zniemczeni Polacy to samo dno. Militaryści, agresory, mordocy. Spoliczczeni Niemcy to sama złość. Czcigodni uczeni, nieskazaleni patrioci, męczennicy postępu* 13.

Jednocześnie ta płynność granic wyznaczonej symbolicznie obszar oddziaływania „ducha Walhalli” swowieście ilustruje kompleks niepewnej tożsamości, uchwycony przez Tomasa Manna trwały rys niemieckiej duszy. Pytanie, dlaczego wybuchło to tak gwałtownie i wyzwoili tak zbrodniczą energię, sytuacji się bezradnie poma strefa ludzkiego rozumienia. *Moje to refleksja pamięci pomyślnych dni nieokreślonej epoki lodowcowej? Może to ostatek piekła na ziemi, piekła, które musiałoby być wykute z lodu* 13.

Współczesnie spotykani Niemcy nie przypominają dziadków „mrocznej krainy obłędów germańskich”, a lodowe piekło północy także znajduje się gdzieś indziej. Jednak doświadczenie niemieckie zadomowilo się w Europie i trudno nie zauważyć, że to świadomość środkowowschodniego Europejszka decyduje w *Kalendarzu* o aktualizowaniu wspomnień z odbytych podróży. Unaoonając one współczesny podział świata i charakteryzując całkowicie nieprzystawalne do siebie obszary kulturowe.

Konwicz wyróżnia dwa kraje, które zrobiły na nim największe wrażenie — Danię i Chiny. Notatka z Danii jest krótką, relacjonuje odkrycie autentycznego socjalizmu, odbijającego się w jakości życia, nieoiaęgalnej i nieznannej w części świata ostantycznie identyfikującej się z jego zasadami: baśniowa nierealność kolorowych domków, emanujących spokojem i dobrobytem, składa się na oszałamiające wspomnienie duńskiego kolchozu.

W relacji z Chin dominuje poczucie beznadotności wobec hermetyzmu tej kultury, całkowicie nieprzenikalnej dla wyobrażeń i pojęć spoza Wielkiego Muru. Nieomóżność jej ogranicza zmusza do poprzestania na migawkowych opisach zjawisk, których dziwność wywołuje w przybyszcu z zewnątrz wręcz metafizyczny niepokój. Oszaęniacja Chinczyków poddają w wątpliwość przekonanie o granicach ludzkich możliwości, świadczą o absolutnym triumfie woli, wcielają ją w życie najbardziej abstrakcyjnie uśmiechnięty, „Chiny to jeden ogromny wariacki formalizm” — mówi Konwicz z zamiarowanym podziwem.

Jego rezerwa wobec obserwowanego wórk perfekcjonizmu wynika z dostrzeżenia innego aspektu zjawiska i turystyczny banal o „wielkim kraju małych ludzi” nabrzmiewa niezamierzonym sensem.

W bezrędnym dążeniu do doskonałości państwa jednostkowy los człowieka nie ma żadnego znaczenia, wchłonięty przez ideę zrodzoną z jakichś nadludzkich motywacji. Chinczycy postrozegani jako biedni, pracownicy ludzkie budzą wzruszenie i życzliwość, jako ogromny, zdyscyplinowany kolektyw wywołują niepokój i poczucie całkowitej obcoci. Niepójeta jest ich wyrafinowana kultura, a także psychika uformowana w wyniku programowej trezury; system narzuca zasady mimkry w życiu społecznym i czyni donos cnotą obywatelską. Drażniąca tajemniczość Chinczyków wywołuje wrażenie ich wyższej świadomości, osiągnięcie takiego stopnia duchowego rozwoju, z którego ogarna się skondensowana całość ludzkiego doświadczenia i prawdę niedostępną dla innych. Ta skala siła rzeczy unieważnia istnienia poszczególne.

¹³ Tamże, s. 325.

¹⁴ Tamże, s. 325.

Wspomnienie chińskiej ma wagę symbolu. W przejrzystym zestawieniu z Zachodem uosabiająca się dwa bieguny kształtująca duchową przestrzeń świata. Z jednej strony – humanistyczna tradycja europejska i jej szerokie implikacje: demokracja, otwartość, indywidualizm, wysoki standard życia; z drugiej – ideologiczny totalizm, izolacja, anomizm, wielokierunkowy i wielokulturowy zredukowana do ascetycznego życia ludzkiej masy, egzystencja wzdłuż nastawiony na optymalne zaspokajanie ludzkich potrzeb i kwintesjencja ludzkiej zależności od systemu.

Unikając polityki i nie tracąc jej z oczu, Konwiczki z perspektywą podróży umysłowa przepaść dzieląca współczesny Wschód od Zachodu; a cytując nie przesłania aktualizowanych sensów. Zwłaszcza że charakterystykę systemu wspomaga inne hasło o kręgu genetycznych tradycji, rzucone przy okazji lekturowych upodobań – Bizanquam.

Pisarz nie formułuje pytania o przyszłość świata, ale między wierszami rysuje się diagnoza jednoznaczna i ponura. Wobec oczywistej lekcji płynącej z historii, że o realnej siłę państw stanowi nie szczęście, lecz posłużenieżem obywateli, sprawa wydaje się przestarza.

Tymczasem nieprzekładalna odrębność wschodniego porządku należy do doświadczeń osobistych, ujawniających się przy każdorazowym kontakcie z Zachodem. Swoista ilustracja zjawiska jest zarówno niemiecki tytuł powieści *Nie albo nie*, tłumaczonego jako *Strach ma wielkie oczy*, jak i poczucie zagubienia i obcości towarzyszące podróży. Konwiczki wprawdzie robi wszystko, by rozbić czynniki perturbacji, „prowincjonalne duszy uformowane pod Osmianą” w zderzeniu z cywilizacją wysoko rozwiniętą, lecz nie wystara to dramatycznego sensu narzucającej się odpowiedzi na postawione pytanie:

Dlaczego ten *Wspaniały Zachód* budzi we mnie zabobony lęk i strach, jakie nieci w dziełach i twórczości intelektualistów rosyjskich [...] ? Dlaczego muszę powtarzać ich wszystkie neurozy, a nie moje kompleksy? Dlaczego to powiedzenie „zginął zachód”, wymyślone za czasów nikolajowskich, tłucho mi się po głowie przez cały ciąg tej nerwowej podróży. Co mnie upodabniało do tych sióstr i braci nieszczęśliwego Fiodora Dostojewskiego, którzy z rozpaczą popadli w nienawid do Zachodu?¹⁴

Problem Rosji, nieustawny składnik polskiego kompleksu, zostanie rozwinięty w najbliższych utworach wydaných w drugim obiegu, ale już tutaj uchwycony syndrom rosyjski odsłania cechy postawy Konwiczkiego – obawę przed nieuchronnością duchowej rusyfikacji i przezwładzenie o ponadczasowej tożsamości imperium. „Od czasów Iwana Kalitaj jest to wciąż ta sama Rosja!” – powtórzy w innym miejscu¹⁵, odczytując w nowoczesnej warstwie systemu bizantyjsko-prawosławne korzenie¹⁶. Dostrzega je we „wszechwładzy i tyranii słowa”, w „partyjno-rządowej liturgii”, w ukształtowanych przez wieki samoderżawiających postawach obywateli – bierności, ksenofobii, w stałej obecności strachu.

Rosjanin w świecie migawkowo sportretowany przez okazyjnego chińskiego podróży w *Kalendarzu* – jest li tylko delegatem swojego państwa i ta identyfikacja pozabawia go wszelkich cech „indywidualnej tożsamości, narzuca gorset zachowań, sprawnie, że czynny wobec obcych i stale kontrolowany przez swoich, uznaje jedynie pogodę za bezpieczny temat codziennej konwersacji. W obrazku odsłania się

¹⁴ Tamże, s. 169.

¹⁵ S. Nowicki: *Pół wieka życia. Rozmowy z Tadeuszem Konwiczem*, Londyn 1986, s. 211.

¹⁶ Por. *Pół wieku życia*, ss. 177-179; Na święta jestem przestępcem. Wywiad Adama Miłobzka z Tadeuszem Konwiczem, „Gazeta Wyborcza” 7 XII 1991 r.

istotna cecha społeczeństwa, rozpoznana już przez markiza de Custine’a, w wnioskującego ze sztywności ludzkich ruchów, że „każdy gest wyraża w sobie nie należącą do osobnika, który go czyni”¹⁷.

Konwiczki odwołując się do łanach Kolonje Wileńskiej i rejestrując materialnie znamiona nowego lądu w przestrzeni własnego świata, jednoznacznie i przejmująco scharakteryzując go stan dachowego skoszarowania:

A ja w kompletnym rozstrojeniu widzę, że na miejscu tego stawał wznosił się wielki ceglany budynek chyba nowej szkoły, a ja zamroczony obchodem pamięci konstatauję: „Je tu jakiejś trójnójby krzącają po Górnej Kolonji, a ja lecho żywo widzę, że nie widzę nigdzie choćby kawałka plotu, plotu, który byłby zawsze symbolem jakiejś osobności, jakichsi starych praw, jakiegosi odwiecznego porządku.”¹⁸

Temat rosyjski z oczywistych względów wysunie się na plan pierwszy w utworach bezdebiutowych. W czystym brzmieniu, bez niedomówień i słazj wybuchu już w *Historie polskich*; trwale zrosznięty z polską współczesnością i historią odzwierciedlana w *Miej Apokalipsie*, *Wschodach i zachodach księżycu*, *Rzecz podziemnej i Bohini* – wycisza się szczytliwie wraz z odrzykaniem niepodległości.

Rosyjskość – obok polskości i judaizmu – należy u Konwiczkiego do trzech „żywioli łagodnego piekła”, w którym hartowano jego udułpienia z różnych glin dusz. Jak na żywioli przyszło, fenomen Rosji pozostaje poza ludzkimi możliwościami rozumienia; groźny, niszczący, nieobliczalny, dotkliwie doświadczać, nie poddający się logice i akologii. Narzuca parametry spełniającego się w jego zasięgu losu jednostki – despotyzm, niewola, zdżeczenie, nędzę, ludobójstwo – oraz buduje trwałą potęgę państwa. Imperium zła, które fatalizm dziejów ustuwowało w zbył bliskim sągwidzie żywioli polskości. Za pożądaną linią demarkacyjną znajduje się idealizacja bez umiaru w tęsknotach pokoleń – „ożyźnia wolności”, „matecznik tolerancji”, „ogród bąnego indywidualizmu, do prostu – „wielki anioł postrodku Europy”.

Spojrzenie Konwiczkiego na Rosję jest nieuchronnie odśrodkowe. Spóród polskich kompleksów – kompleks Rosji ma charakter nadrzędny i decyduje o wszystkich innych. Uosabiająca to myśl i obrazy wyplajające świadomość narratora stojącego w dzień wigilijny w koleje po radzieckie złoto, a także wszystkie następnych, aż do Bohini, „Wieków przedził” nie ma większego znaczenia – przeszedł i teraźniejszość należą do tej samej rzeczywistości. Mylą się powstania i miesiące polskiego kalendarza; isprawnik policy w służbie Murawjowa Wiesztalski nazywa się Dżagarszch, a oprzychny Maltaj Skurazowa wspomajają stan, wojenny generała Garuzelskiego. Świątka na Pałacu Kultury niby oko opatrności gwarantuje porządek w Warszawie.

To święte powołanie zręczenia Polskię przekazane od Iwana Kalitaj prowadzi w przeszłość jak gwiazda zarzeka – mówi bohater *Miej Apokalipsy* do jednego z radzieckich rezydentów w momencie powieszczonego uwieszczenia tego procesu i przystąpienia Polki do ZSR¹⁹.

Jednak już *Wschody i zachody księżycu*, rejestrujące sprawy i nastroje belle epoque 1981, wyciszają głoszące groźnego prorocstwa Konwiczkiego. Uwagę pisarza w dalszym ciągu zajmuje „wieczna Rus ukryta za burtwiącego parawanem Związku Radzieckiego”, ale nowożytny kontakt wydzierżnił zmienna dotychczasowa relacje, wyznaczona kontakt niewiarogodna rolę grabarza systemu. Z tej perspektywy rozlicza się „braci Rosjan”, wywijając do „europejskiej”, „uczłowie-

¹⁷ A. Markiz de Custine: *Liry i Rosji*, Kraków 1989, s. 48.

¹⁸ *Kalendarz i Mjedydy*, s. 382.

¹⁹ *Mala Apokalipsy*, s. 138.

czenia", „odrzućcia animalności", „respektowania praw boskich". W siedemdziesiątym roku *Gruzini, Lotysze, Żydzi, Polacy, wszyscy wasi niewolnicy, zrobili wam rewolucję, uwolbili od tyranii cara. Następną rewolucję musicie zrobić sami i jednym skokiem dogonić cywilizowaną ludzkość*.²⁰

Wzręknęli Rosjan w twórczości Konwickiego generalnie uzasadniają sens apstrofy. Zarówno w ujęciach zbiorowych, jak i pojedynczych, uderza obraz człowieczeństwa swoicie zredukowanego. Jest to niesamowity element monstrualnego organizmu, jak w zapamiętanej scenie wkleśnienia Armii Czerwonej do Wilna.

[...] tu znosa albo tralimie, tu nateż spojlonie wywał się w apomiedzy strazim wzgór ciennocziłony wąż wokoło pączonicy czerwonyi od słonca twarzami. Zwał się on wno i rozkręcał, ten wąż, w jakichś magicznych, somnambulicznych poruszeniach, coś mi przypominał, jakby z innego mego żywota, jakby z poprzedniego wcielenia i coś w tym widoku było mająstęjonego, a nawet trochę rytualnego, coś ze snu i z proceji wywołany, coś z zawiśnięcia i z dolny Jofasfaj... [35]

Symboliczną więź motywującą okoliczność 17 września 1939 roku oraz opcja świadka rozpoczynającego spełnienie Apokalipsy. W innych opisach obywateli radzieckich pierwiastek poetycki ulega naturalnemu ograniczeniu. Konwicki stykający się z Rosjanami od dziecka, powołujący się na swa kresowa hybrydyzność oraz zafascynowany psychiką i literaturą rosyjską, nie ukrywa jednocześnie przekonania, że proces degeneracji tego społeczeństwa osiągnął stadium, z którego wydygningnie się jest w zasadzie niemożliwe.

Traktuje to ze zrozumiałą ambiwalencją. Litość i ludzką solidarność budzi dostrzegany pod ideologicznym werniksem człowiek biedny, uprzedmiotowiony, o metodycznie zabijanej duszy; jak emblemat ogólnego losu tkwi w pamięci obraz *dezertera* z radzieckiej armii, ściganego w podwarszawskich lasach.

Jednocześnie nienawidzi wobec systemu reżonuje niechęcią i złością do objętych nim ludzi — za ich przyswajalącość ideologii, barbarzyństwo, prostoduszność wiary w państwowe dogmaty, odwieczny kult wielkorosyjskiej potęg.

Także możliwość polsko-rosyjskiego braterstwa ocenia Konwicki sceptycznie; nie wykraczają one poza reguły oficjalne. *Rosjanie do dziś jedzą zgnie kartofle, żeby wam było dobrze* — mówi Kolka Nachalov, syn generała KGB osady w Polsce, a wtrętuje mu zabuntowana przez reżymowy dysydencką radziecką: *Przećnieć mi wszyscy Słowianie. Czy nie lepiej by było, zdybyćcie się do nas przycałyczyli z dobrej woli*.

Mit przajścieli Moskali ulega rozspycie, jak wszystko w *Małej Apokalipsie*. Niezależnie jednak od aury powieści, społeczeństwo rosyjskie w zestawieniu z powszechnie uznanymi standardami przedstawiła stan swojego „rozkalibrowania” — jak to określił pisarz, charakteryzując własnego kolegę z dziecinstwa Łosk P. Fenomenalna literatura rosyjska daje temu wymowne świadectwo. Jednak wybierając przewodników duchowych w zmiądnym procesie przetyczniania cywilizacyjnego skansnu, Konwicki wskazuje stronę Czadajewa, Amalryka i Mandelstamów, a nie Dostojewskiego i Solżenicyna.

Moralny tytuł do rozprawy z Rosją daje pozycja ofiary, „doświadczzonego niewolnika”, wywyższając z przysmowego związku jedyny kapital — „doskonałą znajomość despoty.

Temat wyprzedzając się w czasie ze zmianą warunków politycznych. Trudna do przewidzenia przyszłość Rosji pozostaje w sferze do-

mniemań i prognoz, wyrażanych poza literaturą.²¹ W świecie przedstawianym utworów napisanych po 1989 roku pojawiają się wprawdzie Rosjanie, ale porzuciwszy wraz z upadkiem imperium dotychczasowy znaczeń i konotacji, stanowią element współczesnego folkloru.

Większą trwałość wykazuje wątek żydowski. Obecny w całej pocerolowskiej twórczości Konwickiego przekracza cezurę upadku ustroju, by w *Zorzech polarnych* — pierwszą książkę nowej ery — wyplątać jako motyw przewodni. Jest to problem traktowany przez pisarza bardzo osobniczo, jego własne oplakiwanie holocaustu, niewolne od poczucia winy²⁴.

Żydzi byli naturalnym elementem kresowego dziedzinstwa pisarza, co dokumentuje odtrawiający klimat tego świata *Disura w niebie*. Jednak istotnie rozwinęła temat, jego wymowne wyartykułowanie następuje w twórczości pomarcowej. „Pamiętam polskich Żydów” — rozpoczyna narrator *Nie albo nie*, a solenność tej deklaracji pozostaje w czytelnym związku z doświadczeniami lat ostatnich, wzbierającą z atmosferą wyjazdów w powieści *Zwierzozczekolowcy* czy sceną pożegnania na Dworcu Gdańskim w filmie *Jak daleko świąd, jak blisko*. Odnosi się wrażenie, że antysyentyzm '68 roku spotgował dotkliwoci holocaustu, uczynił go namacalnie realnym. Nie mogąc wprost osądzić współczesności, Konwicki wraca do czasu przeszłego, zamkniętego katastrofą. Od tego momentu we wszystkich utworach odzywa się ów ton clegi u umarłym narodzie, napiętnowanym losem marnym i łopkarzającym. Niekiedy przyjmuje to rozmiary obsesyjne — przy nawrotach obrazów czy swojej monopolizacji cierpienia; świadczą o tym choćby nazwiska bliźni i ograbianych przez partyzantów chłopów, którzy nazywają się odpowiednio: Salomonowicz, Abramowicz, Dawidowicz.

Atmosfera marca przekała warstwę refleksyjną *Kalendarza i klepzydy*. Jako swoiste wyzwanie można traktować tu ujawniony pomysł romanu własnej babki ze starożakonnym, zrealizowanym w wiele lat później w *Bohini*. Także realnie przesyła wstyd dyktuje słynną i wielokrotnie przytaczaną przyszłą scenę, że nigdy nie skieruje pióra przeciwko obcemu Niemcom. Kwestia w tego przypadku nie wtapliwa i nie wymagająca deklaracji, chyba że chodziło właśnie o przypomnienie moralnych powinności literatury.

Przywoływane wspomnienia nie idealizują Żydów. Ich wyspizycie z Polakami cechowała generalnie obojęt i wzajemna niechęć. Na wspólny przestępstw istniały dwa odrębne światy, zamknięte dla siebie i gorliwie strzegące własnej odrębności. Ale ten delikatna materia ludzkiego ducha rzadko poddaje się jednoznaczności osądu. Konwicki z tych zwikających polko-żydowskich stosunków wywnuśwa jeden, niedoceniony wątek:

A jednak ci cęto i ci Żydzi nie mogli obejść się bez siebie. W tej niechęci, a często nienawisni, która ich lęcała, było wiele bezsensownego i przetrwałego, było przetrwałe jakiejś irracjonalnej wspólnoty, rodzą nierównowagę wzajemnej ciekawości, jakiej instynktowny pociąg objawiający się w skandalicznych metalacjach, w historycznych przajżnaniach, w zbienych tragicznych losach.²⁵

Najpełniejsza, romantyczna ilustracja tego zjawiska daje *Bohini*, ale galeria postaci uwiecznionych przez polskó otwiera już żydowski chłopiec z fajerki, Ferdzia, w *Deszwrze w niebie*, który „chce być Polakiem jak wszyscy”.

Kompleks polski wprowadza Karnowickiego, powstająca styczniowego z oddziału pułkownika Mineyki, wcześniejsze wcielenie

²⁰ T. Konwicki: *Wichydy i zachody księżycy*. Warszawa 1990, s. 106.

²¹ Tamże, s. 238-239.

²² *Mała Apokalipsa*, s. 50.

²³ Pot. *Na świecie jestem przetrwałym*, op. cit.

²⁴ Pot. *Rozwinęła kwestię w Pół wieku życia i w wywiadzie z Michnikiem*.

²⁵ *Nie albo nie*, s. 15.

Eliasa Szryra, który po śmierci w Bohinie odradzi się w czasie II wojny na kartach *Zór wieczornych*. Konwiski utrwała narwisko jako gimnazjum w symbolicznym wzierunku „Polaka wyznania moźeszowego”, porzucającego swój żydowski świat z poczucia obowiązku wobec przybranej ojczyzny. Jest w tej decyzji wolna zerwania z fatalizmem własnego losu, ale też porażająca siła ucieczki, co uobecnia *Bohin*.

Eliasz Szryra po klęsce powstania przemierza pół świata i doświadcza najcięższych przygód; przechowując w pamięci obraz dzwierszyny widzianej przed laty przed bujwidzkim kościołem. Ucieka z Syberii, urywa się ze sznura wieszany jako komendant we Francji, szuka złota w Australii, ale za śmiały efekt do szlachciana nie uniknie kary. Zasługi patriotyczne nie zrównoważą mierzi statusu Żydką z Bujwidzie i zgodnie dzwierszyny zastrzeli urodziła, kierując się honorowym kodeksem.

W ten sposób, zgodnie z zapowiedzią, Konwiski rozjaśnia ciemne miejsca własnej genealogii. Jednak ostatnia pceerolowska powieść pisarza penetruje przeszłość, by — jak zwykle — nakreślić duchowy wzieranek współczesności. I ta sytuacja społeczeństwa po wielkim szoku, pograżonego w apatii i oczekiwaniu, wpływa na inny rozkład powieściowych akcentów. Tajemniczy emisariusz pułkownika Mineyki, wiersy sprawie uznanej za przegraną, budzi przecieł uśpioną nadzieję, przeciwstawiając powszechnemu marzomowi i zniechęceniu swoją niespożytą energię. Zamiana Karnowskiego na Eliasa Szryra odsłania istotne sensy. Jezeli „szryra” po hebrajsku znaczy „piesni”, to rula bohatera *Bohin* dookreśla romantyczna wykładnia jego narwiska. Nie zgine całkiem ten niespokojny Żyd o imieniu proroka, który z miłości wybrał polski los, z jego wszystkimi konsekwencjami.

Jeszcze wyraźniej żydowski „romans z ojczyzną” wybija się w *Zorach wieczornych*. Sylwiczna konstrukcja książki, sytuująca ją w darystycznym ciągu zapoczątkowanym przez *Kalendarz klepsydry*, składa się, jak zwykle, z anegdot, obrazków, refleksji podsuwanych przez dynamiczną rzeczywistość czasu transformacji. Dotychczasowa potrzebe oceniania życia wzmocnia historyczny moment końca epoki i z tej perspektywy Konwiski jeszcze raz ogarnia jej mechanizmy.

Z klimatu utworu trudno byłoby wnioskować o szerszym upadku reżimu; żadnej euforii — raczej zniechęcenie, sarkazm i tradycyjne już zeganie się ze światem. Wyjatek stanowią relacje z podróży.

Po raz pierwszy kontakt ze światem nie wywołuje skojarzeń politycznych. We wrażeńach z zwiedzanej przed laty Australii i filmowej podróży do Japonii uderza nastroj turystycznej bez troski, jednoznaczności, naturalnego podziwu dla miejsc i ludzi, bez obowiązku odnośnienia ich do sprawy polskiej. Trudno oprzeć się odczuciu, że współczesna sytuacja podmiotu formuje kształt przywoływanych wspomnień. Świat jest dostępny, piękny i miły, ludzie szlachetni i miłi — pod warunkiem, że zdarzy się cud i znajdziemy się wreszcie w tej lepszej, wolnej części. Konstatacja wiewiecząca tę drogę odwołuje cale dotychczasowe doświadczenie obojczy: (...) nie ma już egzotyki, nie ma zaskakującej inności, nie ma śpiwających żyd i wiekłodów, nie ma centawiorów i amazoek. Jest jeden wiekzi kontynent, rozczarowy nie wiadomo przez kogo na drobne strzanki, i my po tych latach zieleni albo lachach piasku przeskakujemy jak po kamieniach w płytkiej rzeczce, idąc wciąż przed siebie po kole globu. I wszędzie znajdujemy tylko samych siebie¹⁴.

Odkrycie tej prawdy może być przydatne także w odniesieniu do problemu krajowego. Konwiski jeszcze raz wraca do tematyki

żydowskiej. Obszerna nowela, włączona w strukturę tekstu, przywołuje wielką dolinę metaforyczną jak zwykle i konkretnie poprzez okupacyjne realia. Holocaust pozostaje jednak tłem dla istotnego dramatu Karnowskiego, który po ucieczce z getta ukrywa się w tym pustym i obojetnym świecie czając się zagłady. Stawka jest nie tyle samo przeżycie, co tożsamość człowieka. Karnowskiego dopada odrzucony żydowski los, ale jego aktualne wyróżniki — osaczenie, strach, bezdomność — nakładają się na wcześniejszą sytuację i utrwalone przez nią poczucie wykluczenia, egzystowania w przestrzeni niczyjej. Sam na sam ze swoją świadomością, balansując między rozpaczą a nadzieją, drąży kwestię w tym szczególnym momencie podstawową: *ja tu nie jestem tym, kim byłem [...]. Ale też nie jestem jednym z nich. Kiedy to się stało. Kiedy wyrwałem się stamtąd, a może zostałem wypchnięty, i kiedy znalazłem się w tym nowym, obcym i wrogim nam świecie?*

W tych wrażeńach polskość objawia się jak przeznaczenie. Bohatera poraża miłość, której sila unieważnia śmierć i powoduje jego duchowe zmartwychwstanie. Przyjmuje ją jak ocalenie, znak sensu, gwiazdę przewodnią; nad ukochanej, na który patrzy w dzień i w nocy ze swojej kryjówki, niczym axis mundi wyznacza drożę własnego wreszcie świata. Aresztowanie dzwierszyny przez gestapo wyzwała w nim determinację i nieobliczalną energię, a cudem uchodząc z życiem, zyskuje pewność, że nie może umrzeć, dopóki ona nie będzie wolna. Tym samym problem tożsamości znajduje rozstrzygnięcie definitywne i niezależnie od racjonalnej refleksji: *Nigdy stąd nie odejść. Już teraz nie jest ganc equal*¹⁵.

Wymowa alegorycznej przypowieści o żydowskim losie narzuca nieodparte skojarzenia z czasem, w którym powstawały *Zory wieczorne*. Wydaje się zdecydowaną odpowiedzią na antysemityczną kampanię przyrodniczej 1990 r., „już nie narzucono, jak w marcu, lecz oddolny i spontaniczny, atakujący niewyżukaną retoryką sprayowych hasel. Konwiski nie odnosi się bezpardonowo do jawiska, że wstyd lub może z obawy przed jego wyeksponowaniem, niemniej jednak przypadkowa żebność wyklucza zarówno tak zawsze niezawodną czułość moralisty wobec społecznych zagrożeń, jak i osobisty stosunek do „przybranych braci wspólnego pcehowego losu”. Z metaforycznym wzierunkiem uwiedzionego przez polskość Karnowskiego korespondują trzy portrety rzeczywistych przyjaciół — „koleżyny w kolorowych skarpetkach”, „jakającego się obca” i „koleżyna w cieniu”. Perspektywa ulega odwróceniu. Literacki wzierunki Leopolda Tyrmanda, Adama Michnika i pani Zofii Łucek uwadniają tym razem kwestię, czym byłaby polskość bez tej obecności.

Amok antysemityzmu w pierwszych godzinach niepodległego państwa można traktować jako przejaw ogólnego jawiska związku i odrzucaniem swiercenieli *Zostało*, następną powieścią odcwierdzającą kondycje społeczeństwa po upadku komunizmu, narrator z rezygnacją stwierdza nieuchronność tej fazy: *Jest pewien fenomen w naszej edukacji europejskiej. Społeczności zniewolone kochają się i szanują wzajemnie, a kiedy odzyskują wolność, wszyscy wszystkich nienawidzą i chcą powstrzymać do wiezion albo obowoz*¹⁶. W powieści problem stosunku do innych narodowości nie ma większego znaczenia, oczywiście, jeśli nie włączyć się w programy istniejących partii politycznych. Cudzoziemcy na tym największym targowisku Azji i Europy Wschodniej, jakim stała się Warszawa, czują się jak u siebie w domu, czego nie sposób powiedzieć o narratorze.

¹⁴ Tamże, s. 158.

¹⁵ Tamże, s. 179.

¹⁶ T. Konwiski: *Czystość*, Warszawa 1992, s. 23.

Jest to niezmienne ta sama konstrukcja psychiczna, co we wszystkich powieściach Konwickiego napisanych w minionym okresie. Nawet ten sam rytuał budzenia się z ciężkiego snu w świecie obcym i niepojętym, który w dodatku osacza oskarżeniem o popelnioną zbrodnię, rozpoczyna bezładną aktywność bohatera. Są jednak różnice. Poczucie obcości, które dawniej było doświadczeniem powoznym, dotyczyło wszystkich postaci, tak głównych jak pobocznych — *Semika*, *Wniebowstąpienia* czy *Nie albo nie*, w *Czytało* wydaje się przypadłością jednostki. Osoby, z którymi styka się bohater, najwidoczniej — zgodnie z aktualnym hasłem — odnalazły się we własnym domu. Nikt, poza nim, nie cierpi na brak motywacji do życia, wprost przeciwnie — wszyscy sprawiają wrażenie dośkierpanych wirusem wzmagającym energię. Jedni — ubolewając, że „cała robota diabłu wzięli” konsumują swoje kawalki tortu pozostającego po sojalizmie, inni — upiśnięci wolnością, realizują się w misjach zbawiania ojczyzny. Partie, programy, hasła, demagogia; atmosfera karnawału i generalnego remontu.

Na zewnątrz tego świata pozostaje narrator z własnym duchowym zamętami. Jak zwykle „balansuje na granicy snu i jawy” w poczuciu osamotnienia i nieprzystawności.

Przeziennym ekwiwalentem tego stanu ducha nie jest jednak labirynt z poprzednich wieleś, lecz doświadczenie nieustannego otwierania się i dostępności świata, włączając w to miejsca dość szczególne, jak areszt, do którego wchodzi się i wychodzi bez przeszkód, a nawet Workuta, w planach brana pod uwagę jako lokalizacja hodowli tulipanów.

Ala to właśnie jest źródłem niepokojów narratora. Outsider, nie objęty porowolucyjną euforią, widzi świat, który wskutek wybuchu wolności wypadł z zawisów. Pozbawiony dotychczasowej dyscypliny stracił równowagę, brak mu ciężaru, formy, hierarchii. Narrator przeladuje to samo poczucie absurdu co w epoce zniewolenia, chociaż ów duch wywołanej inicjatywą stwarza iluzję życia pełnego i samorealizacji. W „wielkim sezonie nowości” dominują jednak przebranie, a zawieszony przez demokratyczną większość świat wartości i symboli staje się tandetną rekwietyrnią, z której każdy przykroi coś dla własnej ideologii.

Wyobcowanie narratora osiąga stan krytyczny. Spełniony sen o wolności w niczym nie przypomina klarownych wizji kreowanych przez nostalgicę. Nieruchomy i stabilny świat marzenia, urzeczywistniając się, pękł, rozbił na poszczególne elementy, pozbawiony skalającej siły tęsknoty. Tak w każdym razie rejestrowany jest przez uszkodzony aparat poznawczy: *Jestem wewnątrz rozbitły. A właściwie lustro mojej świadomości strzaszało się na drobne kawalki. Odbija niby wszystko, ale w atomach. To nie drzewce mną wstrząsają, lecz ta jakaś zrypkol pod muszkiem, pod rozbitym czołem, sproszkowane myśli, sproszkowane przecieczka, sproszkowany instynkt życia.²⁰*

Z tej perspektywy obcość obejmuje także siebie samego. Raptiem własna przeszłość, zakarbowana w pamięci innych, odsłania się jako niejednoznaczna, moralnie niepewna. W jakimś organicznym poczuciu winy narrator przyjmuje i tę wersję własnej biografii, ale traci ostatni punkt oparcia — tożsamość. Odąd już stałe a głębi mieszkania tkwić będzie jego byle-ja, zniechęcające nad biurkiem po tamtej stronie czasu.

Czytało przypomina konstrukcję myślową *Semika współczesnego* i *Wniebowstąpienia*, powieści, w których stwierdzenie absurdu świata i naturalnej obcości zawieszono w nim człowieka wydatniało wagę nie formułowanego wprost pytania: co robić? Konwicki

traktował rzecz w kategoriach imperatywu moralnego, nakazującego przebudzenie, powrót, gorzką akceptację istnienia, z zachowaniem suwerenności duchowej i ciągłości pamięci. Atutem świata, lagodnym jego dotkliwość, była miłość, a raczej jej iluzja, ponieważ każde doświadczenie miłosne pozostawiało to samo uczucie rozczarowania i niedosytu. Ułomna miłość stanowiła miarę zdegradowanej rzeczywistości.

Pod tym względem *Czytało* świadczy o istotnych zmianach. W duchowym zamęcie, gdy zabito wiarę, a zwłode kształy nadziei wabią jeszcze tylko radzieckich generalów, ożywionym ideą Soboru Słowiańskiego, miłość stanowi jedyną siłę zdolną przezwyciężyć chaos i przywrócić wólk życia. Pojawia się nieczym spełniony ideał, istniejący na ogół w wyobrażeniach i niekiedy tylko dostępny w sakralnym czasie młodości. Sprzęgnięcie ze śmiercią — AIDS stanowi tu współczesny symbol związku Erosa i Tanatosa — uwydatnia jej metafizyczną potęgę. „Trzeba się cieszyć każdym dniem. Nie wiemy, ile ich nam zostało” — poucza narrator, a „prekleta świadomości” najwyraźniej nie znajduje kontrargumentów. Na niebie zapala się zielona gwiazda i wygląda na to, że wszyscy dobrze się skończy. Jak to w czytadle.

Anna Nasalska

²⁰ Tekst wygłoszony na konferencji historyczno-literackiej nt. *Swoi obcy w kulturze pogranicza*, Koźmi 1994.



Tabeusz Konwicki na spotkaniu w UMCK, 20 kwietnia 1989 r.
Fot. Wiesław Świątek

²⁰ Tamże, s. 92.

Kompleks Konwickiego

Tak, to prawda. Mam kompleks Tadeusza Konwickiego. Pisarza i człowieka. Być może z tego właśnie powodu nie jest on dla mnie ani pisarzem, ani człowiekiem. Jest zwierzęciem-koupiorem; jest moją dziurą w niebie; moją małą apokalipsą; moim wniebowstąpieniem. Tak, ja wiem — to mój grzech. Mówię bardziej po konwicku niż po polsku. Marzenia mam konwickie, a nie polskie. Placę po konwicku i po konwicku zalecam się do panienek. Dlatego nie powinienem pisać tego apologetycznego czytadła. Ale dlatego też nie mogę go nie napisać.

I

Tadeusz Konwicki jest wielkim pisarzem małego narodu. Jest wielkim świadkiem jego zmagania z własną małością. Pisał w *Kalendarzu i klepsydrze*: *Ciężko, z tragicznym móżdżem ginie naród, jak umierający słoni. Nie, naród ginie jak tysiąc umierających słoni. Człowiek pojedynczy umiera pięknie, naród zawsze w sposób odrażający.*

Wśród wielu obławów pojawiają się także cuchnące wrzody faszyzmu. Naród nigdy nie wie, że zbliża się jego krew, więc myśli, że to wrzody to drobna niedomoga, która rychło minie. I rzeczywiście minę, bo jest tylko zwiastunem ostatecznej zagłady.

Na ciele przyduszonego do ściany narodu wyruszają się ohydne karbunkuly otzalonego, zdzieczonego nacjonalizmu. Chory orgonizm, organizm skazany na umieszczenie szkuła w ten sposób ratunku, pragnie z siebie wypuścić żł krew, chce w zwrótnej gorączce faszyzmu, chce w byledej mialgnie nacjonalizmu przetrwać śmiertelny kryzys, którego jednak już nie zdola przetrwać.

Taki faszyzm budzi odragę, ale może też budzić współczucie. Taki faszyzm przypomina truciznę, która truje samą siebie, taki faszyzm przypomina ogień, który pożera sam siebie. Taki faszyzm sprawia, że inne narody przyjmują z ulgą wstrętną śmiertelność denata.

W wielkich narodach, które nie giną, gdyż żywią się padliną małych narodów, webrany faszyzm przerywa wielkie tany i wywleka się na cały świat. U małych narodów gnijna ciecz ickieja w głąb organizmu przypyspiatając śmierć. Dla faszyzmu dużych narodów ludzie znajdujący często wiele pięknych słów, dla faszyzmu niewielkiego narodu mają tylko słowa pogardy. To straszne widzieć naród umierający w konwulsjach faszyzmu.

Zastanawiał się: *We wszystkich dyskusjach politycznych, a może tylko prestiżowych, które wiódą ze sobą narody europejskie, w użyciu są najczęściej błotki, rzadko kiedy drobniejsze figury. My walmy od razu na stół tazy i atuty. My już nie mamy innych kart w ręku. Włce nasze asy i kozry zaczęły się dewalwować, coraz szybciej tracić wolność. Doszło do tego, że ten czy ów partner podgłina naszą kartę i sprawdza, czy nie fałszowana.*

Alc inaczej być nie mogło. Ubodzy leżący pod kościołem świętości ludzkich powinni głośno krzyżeć, żeby zwrócić na siebie uwagę możnych. Nasza enfaza, którą zrazu potrzebowałyśmy w chwilach krytycznych, powoli weszła w codzienne przywyżczenie. Na co dzień staliśmy się odświętni. Na co dzień ogarnęła nas gorączka. Na co dzień emamyjemy polską polskością.

Włoch wariuje w erotyce, Francuz staleje w kulinariach, Niemiec w bawarskim piwie i posępnej przycyżi. A my biesimy się w polskości. W słodkiej podniebnej polskości, która jest szatą królewską i torbą zebrać. Olejem świętym i stygmatem przekleństwa.

II

O Konwickim pisać trudno, właściwie nie sposób. Konwicki jest cząstką polskośći tak trwałą i nieusuwalną, jak serce jest fragmentem ludzkiego ciała. Konwicki jest przekleństwem Polaków i ich błogosławieństwem, jest prorokiem polskich przeznaczeń. Pisał w 1981 roku: *Koreci, koreci minę i mimo strachu zapłazę jednak te bładnierce mająci zgniełone inteligencja znad Włacy. Osió Polaka nigdy nie wydosłanie się z tej rozsyjkiej klaki w pojedynczym epizodzie, wyizolowanym incydencie historycznym, w autonomicznym przypadku czy wypadku. Nie wypielnie spod tej mongolsko-słowińskięj kłody, tak jak to sobie wyobrażają nalwici kawiarniani politycy. Ze tu, raptem ciach i, dobrodziejcu, już jesteśmy wolni.*

Polaka odyśka swobodę tylko wtedy, kiedy rozpadnie się Imperium Radzieckie. Niądóć, Polka, między innymi, przycyżni się do śmiertel tego potwora.

Już się zaczęło. Spowodowałyśmy śmiertelną obstrukcję we wnętrzu tego gigantycznego nosarozdca. Jeszcze rzyce, Jeszcze kopie ziemię pod sobą, Jeszcze sroży się zapędzając małych i słabych w myśie nory. Ale już ma czterdzieści stopni gorączki, już krew krąży byle jak zelaną skórą, już kał kamieniem w grubym jelicie. Jeszcze trochę i potwór obali się na ziemię. Będzie wierzgał nogami pięć, sześć lat, będzie bił głową o skały i kamienie, będzie pluł ogniem i siarką, lecz my, te drobniostroje, co sprawiły śmiertelną zakatnienie dnoszarowemu organizmu, my już będziemy widzieli, co to znaczy. I znacznie się rozpadać ten piekielny, zionący śmiercią gigantyczny monolit na drobne, zdrowe, pełne życia substancje wolnych społeczeństw, swobodnych narodów, niezależnych grup etnicznych.

Mającie cierpliwość. Poczekajcie pięć, dziesięć lat. Kolos rozpaczył agonie. Agonia kolosa musi być kolosalna. Rozpadną się miasta i zatona w oceanach wyspy. Ale my przetrwamy w bąbłu powietrza między posładkami potwora. Poczekajmy, pięć, dziesięć, najwyżej sto lat.

III

Poczekaliśmy. Doczekaliśmy się. Razem z Konwickim: Jaki on teraz jest?

„Nie zachwyca to wcielenie, nie w smak mu te historyczne zaszczyty i dwuznaczne holdy z zamaskowaną w środku pogórką. Wściekły, groźny Żmudzin toczy nieprzychylnym okiem po nalach, prawdziwy diabeł znał Niewiaży.”

Nie, to nie ja napisałem o Konwickim. To Konwicki napisał o Miłoszu. Przepraszam za plagiat.

IV

Każdy z nas ma swoją wizję tego Konwickiego pisarstwa. Napisa-no już o nim książki i dysertacje. Napisa-no już wszystko, co madre. I nie już nie sposób dotrzeć. Piszę przeto na marginesie tego, co zostało napisane. Bo cóż mogę napisać mądrego o pisarzu, który napisał o sobie w 1980 t.: *Byłem lotrem, ale chyba nie na tyle okazałym, żeby teraz pchał się do pierwszych szeregów. Pamiętajcie, moi drodzy demaskatory, że o tym dumnym miłanie stalinisty, którym współcześnie pomiatacie, mogłem kiedyś jedynie marzyć w bezsenne noce. Jako akowcowi zabronione mi było uczestnictwo w tajnych konwentkach, jako stręfionemu niemożliwe było dla mnie przystąpienie do partyjnych ołtarzy, jako grzesznikowi na zawsze odjęta była mi rozkosz nazywania się imieniem wodza.*

V

Tadziu przechwała się. Nie był żadnym lotrem. Był zawsze tym samym honorowym, upartym, choć trochę nieporadnym uczestnikiem konspiracyjnych kompletów i partyzanckiego oddziału, gdzie mył o honorze wyprzedzając myśl o sensie. Był z pokolenia kłeski, z generacji przegranych.

Opisał to w powieści *Rajsty*, najuczciwszej relacji z dziejów absurdu polskiego honoru, z dziejów honoru polskiego absurdu. Ta powieść była najpierw skonfiskowana, potem beatyfikowana, wreszcie zbzebrzeszczona. Przez kolegę z partyzanckiego oddziału.

Ów kolega, to jest historyk z cenzursem, autor prac tak ostentacyjnie antykomunistycznych, że tytuły mówią same za siebie *Pieniądz kruczozy w Polsce wczesnośredniowiecznej*, 1960, *Pradzieje grozta*, 1975, *Moneta w kulturze wieków średnich*, 1988; otóż ten właśnie hero i nestor polskiego antykomunizmu postanowił, po upływie 50 lat spódznych w głębokiej konspiracji IH PAN zdemaskować T. Konwickiego. Napisał o nim, że „nie wyróżniał się bojowością — chociaż w sytuacjach krytycznych nie nawalał — ani też nie przewijał szczególnych skłonności do podbojów miłosnych, o których potem tyle pisał. Miał zresztą wteży osiemnaście lat, więc może jeszcze nie interesował się tym tak bardzo”. I tak dalej — same świadstwa o Konwickim. Głupia sprawa! Jako profesjonalny antykomunista, choć skąziony niewiętpilnie skleroza, nie umiem przypomnieć sobie prof. K. wśród naszych kolegów i obrońców, na zebraniach Towarzystwa Kursów Naukowych, na korzystkach sądowych, wśród sygnatariuszy listów w obronie praw człowieka i ludzi

uciemnionych. Za to Konwickiego zapamiętałem. Jego książki i jego gesty: jego odwagę i poświęcenie. Ale także jego zmysł mądrego autoironii, który nakazywał zawsze odróżniać patriotę od zakompleksionego zwalistnika, który własny strach racjonalizuje poprzez deprecjonowanie cudzej odwagi.

VI

Konwicki to mój guru. Kolomb, wygananiec z Wileńszczyzny, miłujący pokój rewizyjant z AK, który wpedzał nas w kompleksy, „pryszczaty” rewizjonista, dysydent. Człowiek o tak potrzaskanej biografii, jak potrzaskaną są polskie życiorysy. Człowiek o brutalnej samoświadomości, który napisał: *Na rozum mocną nogą byłem już tam, ale tym, co się czasem nazywa duszą, skradalem się ciągle z powrotem. Rozum w miłosnym uścisku z logiką porpedzały brutalnie przed siebie; nocą śród koszmarnych wyrzutów sumienia pulezłem z powrotem. Oprócz wielu tynych dokuczliwych kolców był ten najboleśniejszy: lojalność. Lojalność była pierwszym bogiem mego pokolenia. Uczyniliśmy się jej z pierwszymi słówkami łacińskimi, z pierwszą emocią polowania na grubego zwierza, z pierwszym warem nieznanego doświadczenia. Najtrudniej było złamać tę lojalność.*

Więc samobójczy wyrachowanie rozkażalo jednego dnia palić za sobą mosty, żeby nie było powrotu. No i zacząłem palić.

VII

Palil, palil, aż spalił. Wszystkie kłamstwa splonęły. Zanotował: *Ja do tej partii należałem prawie piętnaście lat. Wciągnęli mnie do niej koledy jak do karczymi albo do zamtuza. Wpadłem w zle towarzystwo, żli koledy mnie, porządne chłopaka spad Włda, namówili do partii jak do fatalnego nalogu. Popadłem w zle towarzystwo, towarzystwo podstawowej organizacji, i moja rodzina, moi krewni i moja matka, wszyscy bardzo się martwili, że Tadziu zeznał na py.*

Ja tej partii siedziałem w krani niczym kasztan nie odarty z zielonej kółkzastej powłoki. Tkwiłem kółkzasty, zadziorny, jadzący zrewentznoźnicą, nie do przelknięcia. Ale wntwrz swoim, tym co w środku nie obdopione, byłem zapergorliwy i nadażgatożany. W środku wazeli-na, na zewnątrz gładziapier. Zupelnie na odwrot niż powinno być według receptury technologicznej proca deprawacji moralnej i światopoglądowej.

Sztydzą że mnie młodzi poeci i niestary prozacy. Wytukają palcami, pękają się w czelo, ten i ten splanie soczyście. Młodzi poeci, młodzi epicy i młodzi żoile. Przed wami jeszcze całe życie. Przed wami jeszcze losy i życiorysy Kościuszków, Łukasieńskich, Grotów-Roweckich. Przed wami jeszcze przeznaczenia i żywoty Kiswyrów Braniczych, Azeów i Kalksteinów.

VIII

Przed wami jeszcze losy i życiorysy Kościuszków, Łukasieńskich, Grotów-Roweckich.

Bahaterem jego różnych powieści był wciąż ten sam człowiek, który po strasznym ciosie utulił pamięć. Jak cała generacja AK-ow-

ska. Dlatego to zawsze stał się cudzoziemcem wśród swoich. To dawało mu widzenie ostre i przenikliwe. Patrzył na swój naród z miłością zacietrzewioną i lodowatym chłodem. Znal prawdę o Polacie i Polakach. Widział, że jest dziecinem Wielkiego Księstwa Litewskiego w grzebieniu PRL-u, wiedział, że jego miąty jest odzyskiwanie i scalanie pamięci o świecie minionym, który był absurdalnym anachronizmem, ale znał najbardziej współczesne z polaków pojęcie — pojęcie honoru.

IX

Zawsze miał poczucie winy, które jest kluczem do pojęcia ludzkiej przyzwrotności. Przecież łobuz nie zna poczucia winy. A ten cholerny Konwicky czuł się winny za wszystko, za rozbory i zdrady, za przeszłość i teraźniejszość, także za cudzą, moją, twoją nędzę duchową. Jego pisarstwo było tego wszystkiego odkupieniem.

Kochał zawsze Polskę miłością śmiertelną i grzeszną. Była to miłość prawdziwa — czyli bez złudzeń. Pisał: *Zaczadziłszy się straszliwym, komunistycznym mesjanizmem, który mógł powstać jak wpiór z ruin zawałonych miast, z wielkich pobojowisk, na których gniły miliony dwunastych kręgowców, z cuchnących cmentarzyśk umarłych idei, wartości moralnych i odwiecznych przyzwyczajai.*

Tak pisał on, racjonalista, zakochany w zdrowym rozsądku:

Uwielbiam kiedyś racjonalizm i kochałem zdrowy rozsądek. Ale teraz uwielbiam i kocham trochę mniej. Zdrowy rozsądek to współczesna głupota.

Wszyscy reakcjoniści, tępaczy, konformiści, zdradcy rozwinęli nad sobą spłowiwały sztandar zdrowego rozsądku. Zdrowy rozsądek na starość służy obywatelnym intencjom i niewyrażalnym celom. Zdrowy rozsądek to bielmo na oczach. Zdrowy rozsądek to ołowiana kula u nogi. Zdrowy rozsądek to niemoc wyobraźni.

Chory świat zerwał pęta zdrowego rozsądku.

X

Co to znaczy — chory świat?

Ręjsty, Kompleks polski, Bohini — to wszystko jest chorym światem. Świat — tak naprawdę — nigdy nie był zdrowy. W tym świecie zawsze tchórzostwo wypierało odwagę, apostazja — wierność, fałsz — prawdę. Dlatego nie znosił pseudoprawdy przy pseudo-rozrachunkach.

A nasz pieszczoek — pisał — snuje myśli głębsze i płytsze o tym, jak pracował i jak musiał pracować w minionym okresie. Mówił półprawdy, bo prawdy nie dal powiedzieć reżym. Miał do wyboru przemilczeć całe obszary prawdy albo milczeć w ogóle. Biorąc pod uwagę swój talent i znaczenie tego talentu dla społeczeństwa polskiego, zdecydował się na obecność w ubogiej sztuce polskiej za cenę mówienia półprawd.

Ażesz ty w półprawdę kopany. Zapomniałeś już o pewnym dziesiętnastowiecznym oficerze, Walerianie Łukasimskim, który nie wiedział, że można kochać i czcić własne talenty, że należy uszczęśliwiać społeczeństwo swoją wroczystą obecnością, że przystoi w swoim interesie widzieć interes narodu. O tym natomiast, że przystoi do się

zamknąć w Sztetelburgu na sześćdziesiąt lat. O tym upiorze szlachetnego nieprzejdnięcia, który straszył Rosjan przez pół wieku w kazamatach stołey barbarskiego imperium.

Kiedyś uparty prowincjonalny Polakom ucinano głowy, dzieł luksusowym europejskim Polaczkom wycinają aluje.

XI

To potworny facet. Draży polską świadomość, zdiera bandaż, obnaża rany zabliźniane podłością — po czym kreuje bohaterów, krzepi ducha, buduje nadzieję. A w końcu preparuje przetrwaną apoteozę. Traugutt — dyktator bez wojska, rycerz przewrotny sprawy, carski oficer stracony jako przestępca na stopkach Cytadeli — oto model polskości, do której Konwicky uciekał „w tych kiepskich momentach, kiedy wszystko się wali, nie ma już nadziei i tylko gola, bezwstydna śmieć przed nami”.

Konwicky uparcie stawia Polakom lustrz z lekka przekrzywione i każe w nim oglądać swój niezbyt apetyczny wizerunek. W *Małej Apokalipsie* sporządził karykaturę opozycji demokratycznej. Była to karykatura brutalna, jadowita, złośliwa. A przecież miała moc terapeutyczną. Niejednego z nas przestraszyła skutecznie przed fanatyzmem, który rodzi szlachetność przelidowanych i przed triumfalizmem, który bywa dziecinem zwyciężyci rewolucji. Bowiem każdy z nas wiedział, że Konwicky „grzyje sercem”, że ten prorok polskich przeznaczeń dokonał aktu samospalenia swą ksiązką, która była wyrażeniem ciśniętym w twarz sowieckiemu imperium i naszym dorosłym namiestnikom Moskwy. Przyjmowaliśmy przeto jego krytykę z całą pokorą, której odmawialiśmy sobie i światu, słuchając innych krytycznych głosów. Nawet naszych własnych.

A przecież w tej *Małej Apokalipsie*, która nas rozwieściła i uwiadła Konwicky przeczał naszą drugą twarz, inne oblicze opozycji demokratycznej, które sami spojrzeliśmy po kilkunastu latach: „Demagogia. Licytowanie się w nadgorliwości patriotycznej. Koninkulturalny wrzask”.

XII

Wrzask. Teraz bądźcie coś dla lustratorów i moralistów ostatniej godziny. Tadeusz Konwicky był „czerwony”. Tak, tak. Ten autor najodważniejszych ksiązek antysowieckich pisanych tu, w kraju i pod nazwiskiem, był kiedyś członkiem PZPR i autorem ksiązek wychwalających komunizm. Pisał o tym po latach, rozliczając się z odgąg rzadko spotykana w naszym piśmiennictwie.

Należę do generacji, która może dziękować Panu Bogu za łaskę późnego urodzenia. Nas już nic nie kusilo, żeby występować w szeregach rządzącej partii komunistycznej. Nas już wszystko odpychało od tego siedliska intryg, dżurów i przywilejów, elity władzy, kłamstwa i obrzydliwego otępienia, owionemu. Nas już nie urzekano nie z tej mistyki internacjonalizmu, ludowadwidzka i sprawiedliwości społecznej. Nas już tylko mdliło na sam widok tych portretów, sztandarów, sloganów.

No i co? Czy przez to byliśmy lepsi? Czy to nam daje tytuł do

wymadrzenia się, do wyznoszenia się nad innych, do pobłażliwych obrzędów? Przynam, że brzydzę mnie, śmiejąc i żenując te rytualne obrzędy demaskacji, dokonywane nad książkami naszych najświetniejszych pisarzy. Przecież to doświadczenie całej generacji. Brandyś i Ważyk, Tuwim i Broniewski, Gałczyński i Jastrun, Kołakowski i Klenciewicz, i Szacki, Kersten i Holza, Konwicki, Dygat, Woroszyński i Rocheński — i tak dalej. Można cytować w nieskończoność. Na tej liście znajdzie się również niejeden z narzekiwszych demaskatorów, którzy mają dar krótkiej pamięci własnych życiorysów.

Przeto myślę sobie, że dobrze jest z tych cudzych życiorysów ucząć się, miast z fanatycznym błyskiem w oku i pasją effortu śledzącego obserwatora ze skóry ludzkiej, który udowodnił swą prawotę i odwagę w czasach, kiedy dawał strach, a beznadziejność odbierała sens czeremulkiwie. Wtedy właśnie Konwicki pisał: *Zarzymy się jak bateriję turkowi albo jak rozbakki świętosiakie. Oświetlani własnym wątlmym blaskiem pocziszamy się, że to piękny, słoneczny dzień, który przynosi dobre nowiny. A tu tymczasem noc. Noc, choć oko wykol. Noc pełna strasznych ręków lektioznych, pełna zgłęku i raptownych przemieczeń, pełna dzikich bójek, rozpaczliwych wrzasków i nie-zrozumiałych wyszków. Noc dzika jak tydowaki Sądy Dzień. Noc okrnatna jak chrześcijański Sąd Ostatni. Noc najstraszniejsza, bo na pewno nie ostatnia. A kiedy się rozwiną, a kiedy wejdzie słońce, może jakiel inne, ale na pewno słońce, diabli wiedzą, co zobaczymy i czy my właśnie zdjemy zobacząc.*

Zobaczyliśmy. Także dzięki Konwickiemu.

XIII

Uwoliłm się z wszystkich zakazów, grózb i kar. Zdeptałam wszystkie tabu. Skruszyłam na pył wszystkie budowlane praw oraz przysięgane społecznych. Jesteśmy wolni. I rozpoczynamy nową niewolę. Wydstawisz się z więzienia, które sami sobie zbudowaliśmy, Jesteśmy w nowym więzieniu, ani większym, ani mniejszym od poprzedniego. Po prostu znaleźliśmy się w więzieniu identycznym. W więzieniu przez nas samych machinalnie zbudowanym. Bo cokolwiek byśmy zamierzali stworzyć, zawsze stworzymy więzienie.

A górą na dziennych obłokach przyzgiełde dobry Bóg, na nocnych, czarnych chmurach zwępienia podpyłnie cicho żył szatan.

Wraca ośmielony diabeł jakby jeszcze trochę wspanialszy, groźniejszy i bardziej kompetentny. Rzucimy mu się do stóp z żądają nienawiści, ale z pokornym łękem. Wszystkie zdobycze naszych cudownych rozumów ludzkich obrócimy na chwałę Boga i szatana.

XIV

To Konwicki nauczył nas bić głową w twardy mur historii. To ten święty cwaniak z Kolonii Wileńskiej pokazał jak splwać z wyższościową pogardą brutalność namiestników ziemskich potęg, by zaraz potem ironicznie drwić z własnego heroizmu. Bowiem on wiedział, że heroizm niedozdolny do drwiny z samego siebie staje się szkaradym zarozumiałstwem, marnym samochwalstwem, niebezpieczną arogancją samodurów. I wiedział, w jakim świecie żyje.

Pisał: *Karta praw człowieka, socjalizm o ludzkim obliczu, racja stanu, walka z cenzurą, łaknienie demokracji, polskie tradycje tolerancji, równość i braterstwo, niezawisłość i samorządność, miłość bliźniego, komunizm święty, Półacy, Kochajmy się, nauki Marksa, chórna śpiewy i zbiorowe łzy, a pod spodem straszne zdziwienie, potworna raju zwierzęcość, padaczka powrazowa ofiar edukacji rosyjsko-sowieckiej.*

Kiedy ten naród uśmiechnie się z ulgą, kiedy wyciągnie przysiężnik rękę, kiedy odcznie w miarę czystym powietrzem Europy?

XV

Kiedy uśmiechniemy się? Tak całą gębą to pewno nigdy. Będziemy żyć wspomnieniami, rozliczać je do upadłego. Będziemy ranić siebie i bliźnich, popadać w histerię i melancholię, szukać uparcie ładu w oku bliźniego i ukrywać belkę we własnym oku. I tylko w antrakcie między jedną i drugą karczmą bijatyka, sięgniemy po książki Konwickiego, by przeczytać raz jeszcze piękne polskie klechdy i wspomnieć, czym była „dawnych Polaków duma i szlachetność”.

A przecież jego przepis na Polskę jest tak prosty! *Moim programem jest współżycie, moim programem jest współżycie w waszych wielkościach i nędzach, w waszej pysze i waszych przerażeniach, w waszych poetycznościach i bydlęcych bólach. Moim programem jest także współżycie, żeby to było współżycie samo w sobie, nawet bez mnie. Dlatego skrywam się za słowa i nie ma mnie z wyrazistą twarzą, z wychycajami oryginała, z jaskrawą biografją, z bibelotami, epistolami, bon motami, i całą kupą śmiecia naturalistycznego. Jakże zostawiać po sobie człowieka. Dlatego jestem współżyciem, współżyciem i współką bez imienia i bez nazwiska, bez osoby, bez adresu. Współżyciem od ludzi do ludzi, od nieba do ziemi, od mglenia do mgnienia.*

A celem mojej terapii ma być otucha. Otucha to dobra rzecz. Jak się przejdą obcywane raje — miło przytułić się do ciepłej, kającej i bardzo ludzkiej otuchy.

XVI

Pamiętajcie: *Każdemu może przydarzyć się wypadek długiego życia. A w naszych czasach i w naszej strefie klimatycznej niezwykle trudno jest długo żyć. Bardzo ciężko jest zaliczyć efektywną liczbę dziesiątków lat i nie zbryzdnieć paskudnie, nie zgłupieć zarazliwą się głupotą, nie rozgadać się wierszem albo prozą w kiepskiej intencji, nie utylać się w rowach przydrożnych, nie zramolować w prowincjonalnym, sitym zapyznieniu. Już dziś mi ciarki przechodzą po grzbiecie, gdy myślę, co będzie za mną za pięć, dziesięć, a może — nie daj Bóg — za piętnaście lat. Ale póki jest Tadeusz Konwicki, mamy kogo podglądać i naśladować.*

XVII

Tak, tak. Kancaer-szancener — Tadzium. Bylebyśmy tylko zdrowi byli, jak mawiał pewien Starszy Żyd.

Adam Michnik

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Sidi Bou Said

mystyfikacja okrucichów powietrza
zranione zęby
chmury
trzepocą nad Kartagina

las vegas bieli

morze
żyła kosmosu
inicjacja Adama i Ewy
pod jabłonią

patrzę
białe guliwery ścian
architektura gnu
zielone nerwy palm

migotliwe krechy piany
białe sylfidy bóstw
popychają językami
słońce

jak dźwięk lutni rozplywa się
ulica
tylko ręce
pozują
do gałązek oliwnych
oto dogmat
cyprysowego spokoju.

Kartagina

byłaś
jak but Hannibala
po wkroczeniu do rajy

jak łodzi wikingów
przed potopem

jestes
jak powalony jelen
jak foka bez płetwy

płynęłaś
jak Titanic
na srebrnej rybie

rufę do rekinów

pozostały ci ruiny
i trzewia
obcej gazeli

pozostało ci morze
jak pikiet
Neptuna

i szmaragdowa kondygnacja
przyboju.

Szeherazada

Szeherazada
bliźniaczka sarny
i lubinu
o brzuchu galki muszkatolowej
przesuwa się jak podmuch świeczki
po garbach pustyni

ociera się ciepłem kota
o pomruki soku
zapisana w kolejkach snów
twarz wygrzewa
na przypieckach bajek

zegarynka miłości

jej włosy
to gwar kawiarni
jej piersi
to aromat mleka oślicy

idzie przez suk
manierami piłomykówki
przepycha się przez tłum
syrpem zielonej tarniny
do salonu piękności

bliźniaczka sarny
siostra tańczącego kota
idzie przez rytm
wędrującego fletu.

Podziel oazę Tozeur

podziel oazę Tozeur
na pół
otrzymasz bieliznę palmy
podziel na dalsze pół
zobaczysz niewypał gwiazdy
i ramiączko Szeherezady
gdy pochyla się jak tatarak
nad ciepłem daktylowca

podziel jej oczy na pół
a ujrzysz w nich jak smreki
wilgotne zygaki burzy
wygląd je ukóz
poleruj
obejmij dłonią jak kalif
w drodze poślubnej

a wtedy dotkniesz poczujesz
zapach oazy Tozeur.

Cesarz i pomarańcze

cesarz
zamienił się w pestkę pomarańczy
i wyrósł
na wielkie drzewo

dlatego owoce pomarańczy
wiszą
na koronie

na ziemię
opadają tylko
ich cienie.

Śmiech cesarza

cesarz śmieje się
do własnego wizerunku
w zwierciadle

bo widzi tam
rozbawionego kota
na... uwięzi

Ludzie z wielkimi psami

ludzie z wielkimi psami
ich dusze o smaku pieczonych krewetek
apasze
salami z papugi
paszlet z koniżyny
twarze o owocach avocada
paralela sztormu

na plażach Niecei rozłożyli plecaki
ludzie i psy
ich dziewczyny
modelki fig berberyjskich
awangarda surówki fotosów

psy węszą
szukają ochlapów sumienia
(sumienia też są mięsiste)

na wzgórku lonowym Niecei
wyrasta trawa
pulchniejsza niż farsz Chateau
prostsza niż Promenada Anglików

animatorzy krzyku mew
latające żaby
przeciążeni nadmiarem nieboskłonu
jak wino bez szklanek
odsypią sny geniuszy

oberża mitów
bez frustracji bogów

postimpresjonistyczne modele
obojętni na pacierze
i katedrę św. Reparaty
ludzie i psy
rozwinęci w konopie indyjskie
trawią Salvadora Dali.

Janusz Wróblewski

TADEUSZ ZUBIŃSKI

Martwe ogrody

Leopoldynie

Życie człowieka to podróż po przypadkowym zawsze morzu, pelnym wysp ciemnych, i siatce pamięci, jaką zostawia na nas pajak czas. Znowu nadszedł chłodny, skandynawski od północy listopad, wróciły wspomnienia, a dusza błąkała się po polach samotności. Wzrosowski ksiądz proboszcz Pustulka siedział po obiedzie, w porze bliżej kolacji przy pustym stole w przerechodnym pokoju, wiatr zapamiętałe walił gałęziami starych drzew o zielone w dzień oknie, teraz czarne jak skrzydła nocnych motyli. Z okna sunął na pokój łagodnie akksamityny pył świetlny, jak po młóccie w stepowej krainie melancholii i ponurobrdatych ludzi o kamiennym spojrzeniu. Dalej, poza zasięgiem oka, pod baranowską górą zapewne wisi, dusząc ziemię nad wilgotnym, turkusowym lasem, ołowianoleczna, ciężka mgła i pachnie mocno. Ptaki nie śpiewają. W tęczywch zę starości szychbach przeglądał się lobuzersko zdyszany wiatr i myślał, co ludzie ze swoim życiem powybrabiali. Proboszcz wzrosowski wyobraził sobie jak malarzko i obficie te zaokienne gałęzie muszą wyglądać. A są niczym najdłuższe palce trupich wziadłał na bitografiach posępnego mistrza Doré, wszak to ilustrator i Słowa Bogoego, i Don Kichota, o panu Balzaku lepiej nie pamiętać. Wierzył, a nie tylko wyobraził sobie, że tam za oknem, tak blisko, jest jeden kolor, doskonaly — różne nasycenie brązu, szklistego, wężowa wylinka, szarego jak twarz, jak twarz wiejskich Chrystusów, ten kolor ma szczerzólną właściwość, dobrze znosi niedźwiedzność czasu, takie jednolite bogactwo barokowe uzyskuje się leniwstem talentu, pozorem sensu, bądź ostatecznie opełnającą się. Blisko na wyciągnięcie dłoni, gdyby zaszła istotna potrzeba, biały, agresywnie biały abażur dławi miodowozłote migotanie lampy, biel biała i chicha, wypolerowana milczeniem, zagubiona etiuda myśli, nasuwająca samotnemu pragnienie śmierci, lecz nie śmierci ciała, śmierci trudniejszej, śmierci duszy w lęku.

Ksiądz Pustulka przed kwadransem wrócił ze spaceru, niepiesznego. Jest to czynność apostołska i zbieża z codziennym obchodem przez gospodarza, nim spłuci na noc psy, swojego kawalka ziemi, wydzierzawionego od Pana Boga. Jest to także nagroda za rzetelne sprawowanie domowych i ładkich obowiązków. Prawo do wieczornego spaceru z samym sobą. Ksiądz Pustulka siedział ścisając oddech przy pustym stole, ludzka strona plebanii milczała, wieczór odgradzał go od porowatego blatu, po którym jak mysie ogonki

przemykały niejasne wiązki cieni. Przez otwarte na pokój kredensowy drzwi, wiśniowa szafa, ciężka, z tamtego wieku, z czasów, kiedy w podróż jeździło się dylizanssem, listy pisało się gęsim piórem, a w górach bywali ostatni, kolorowi rozbójnicy. Widać było też, jak dumal kremowy kredens wiejskiego kolejarza z nieważnej stacji. Usłyszał tekturowy stukot kilku kropel ciemnego deszczu, może to nie był deszcz, tylko kłęb wiatru zdari zeszłą wilgoć z ostatnich liści. Ostro i jasno, na bialo zamigotała świeżo położona blacharka przyokienna, zobaczył wyraźnie wyprysk pęzaju — zapomniany garnek wiejskim sposobem suszony na płocie, plebejskie lice jego za dnia rumiane i rubaszne, teraz tknięte nietoperzem i nocną rosą, łnił przypominając zimę i białe mrozy. Koło jasminowego krzewu jawiacego się granatową plamą, błysk przemyskającego chrząszcza, a w nos po zwierzęcemu wciągnął jujny, bogaty w objętość, aromatyczny zapach ciężkiej, tłustej, ogrodowej ziemi, pożyłowanej ciałami dżdżownic i ten drugi, ukradkowy zapach chłodu jak zapach rozkrzajanego arbuza świtem na kartofliisku, sporo już zimy i wiele pustki.

W sieni, przez którą szurając zmęczonymi nogami przeszła gospodni plebańska, Malczykowa, wieczny od tyłu lat nieodmienny kremowy oddech jabłek ze strychu, za objętoją szymba książki w letargu, szymba stoicko przybrała kożuszek zielonkawej skorpuki. Ostatnimi czasy, książkowo można powiedzieć, przez kilka dni nie spadł prawdziwy deszcz, tylko taki nieokreślony, ani ciepły, ani zimny, nawet nie letni, listopad, trudna para i spóźnione pożegnania. Zaintrygowana milczeniem Malczykowa zatrzymała się, w jej blado-buraczanych dloniach tkwił ciemny strzęp, zapewne zwykła sierka od podłogi, pociągnęła nosem, jakby wyczuwiała czad w izbie po rozpaleniu w piecu.

— Ksiądz proboszcz dzisiaj cały dzień Boży słabuje, jakiś skisły. Brucho pobolewa czy korzonki? Jak to jest?

Na mętłym niebie, jeśli nie ma chmur, są już ponure gwiazdy — pomyślał ksiądz Pustulka podnosząc głowę. Jej nagłe objawiony cieni na ścianie spalał w półmroku jego odbicie w kontur postarzany, pośredni między końskim them a szyszkami rysera. Widocznie zyskiwał trzeci wymiar, ten nie objaśniony fryzka.

— Ksiądz Tabiszewski też przed zaprzęstwem siadwał milczeniem, o tu, akurat w tym samuikim miejscu, głowę podierał jak kolejarze i dumal całym wieczorami — wyjaśniła Malczykowa mrząc oczu w gospodarskim, czujnym spojrzeniu.

— Warum einfach wenn es kompliziert sein kann? — odpowiedział, nie wiedząc sam dlaczego, ksiądz Pustulka, wydał wargi, po chwili prawie zsortko zapłoty. — Po co Malczykowa to wszystko mówić, w jakim celu? Czy jest jakiś sens wracać do tamtych spraw, Bóg doświadczył człowieka, nie pierwszy to raz, nie ostatni.

— A mówię, może ja czasem za mało mówię, ksiądz dobrodziej pomilkuje, to ja nie mam do kogo głęby otworzyć, z obrazami gadam, fiksować zaczynam.

— Niech Malczykowa mówić — przymlził się. W duszy pomyślał — rozum jest jak Pan Bóg, często nas odwiecda, lecz zwykle nie ma nas w domu.

Pomilczeli, lecz już inaczej, zgodnie. Malczykowa pociągnęła nosem, nieco łagodniej i powiedziała, chociaż to miało być pytanie, nie wyczuwało się śladu znaku zapytania. — Co ma być wedle wieszczycy. — Można i o kolacji pogwarzyć, dobry temat, ludzki i ewangeliczny, może lepiej będzie, jak ksiądz wstąpi wróci, to zdecyduję, on bliżej przeciw kuchni. Ale on z Przenajświętszym Sakramentem do starej Wikłowej znowu musiał, trzeci raz z rzędu, jak to ludzie w niczym nie mają opamiętania, tyle razy duchowną osobę do starej pod lasem trudzić, tyle razy. Teraz to się umiera z pompą, z ceregielami, po miastowemu, całe miasteczko musi wiedzieć, kszędza się wola, ale po nocu, w dzień nie laska.

— Wiem, wiem doskonale, nie wszystkim się spieszy do Pana Boga, tania to nasza ludzka natura, nie lubimy zdawać rachunków, chyba mnie głowa polewka, więc na święte powietrze, może Bóg da pomoże — wstał dostojnie, jak to robią chlopi po obfitym posiłku, aby uniknąć konfrontacji ze spojrzeniem Malczykowej utkwil zmęczony wzrok w jednorodziowej szafie w kącie pokoju, przysypany rudy, igrzastym pomrokiem. Na wierzchu szafy, pod lekko okopony sufitem stał mechaniczny, bez zwykłej domowego sprzętowi duszy, kulisty przedmiot, matematyczny kształtem, z jednej strony otoczony półobręczą. Zjawisko skończonego wymiaru i dotknięcie niedawnej pamięci było szybsze niż jego kostyczna i cudaczna nazwa, wściekle obojętne rejestrująca ludzkie emocje niczym wynajęty za liche pieniądze księgowy. Globus, remanent po wikarym Tabiszewskim, jednak dotyka nas i zaskakuje ukryta w szczególę i rzeczy metafizyka. Po to w dniu załamania ksiądz Tabiszewski z głupia frant kupił globusa. Po co? Brak wszelkiego sensu, rozpaczyły gest emocji, czy jakiś znak, a może krzyk? Globus został na plebani, jak zostają korzenie po wyrwionym przez wicher drzewie i zostaje staw po topielcu.

— Niech mi Malczykowa duchem zabierze z oczu to paskudztwo — zaordynował, przyłożył dłoń do czoła i popatrzył w granatową ciemność za oknem.

— Teraz to niech Malczykowa wyniesie, a jak sama z siebie chciałam, bo mi serce podpowiadało, to ksiądz dobrodziej mówił, że nie trzeba, może się sprawy odmienna. Spalić, to się złego z kretesem odpedzi, spokój wróci i duchowica po nocach nie będzie walczyć się po plebani, zły lubi...

— Święty Boże, co też Malczykowa wygaduje, jaki zły, po co palić, oddać do szkoły dzieciom na pozytywki, dla nauki. Albo nie, o na loterie wystawić.

— Loterie to były dawniej, przed wojną, teraz są tylko bezbożnicy.

— Moja Malczykowa albo mi o guslach, albo o wielkiej polityce, Globus zatem na strzyżek albo do komórki, niech szczerzy mając używanie, byle szybko i mi głupstw nie gadać, a w XX wieku widzieć diabła siedzącego na globusie. Zabobon i czyste pogafstwo, trzeba trochę oświecenia i nauki.

— A od kiedy to ksiądz proboszcz zrobił się taki oświecony postępowiec? Ja tam swoje wiem, zły to zły i nie musi być wcale diabeł taki z rogami w wierzbie siedzący, co go pasterze gromadą w 38

widzieli. Czasem ludzkie gadanie i ludzkie oko gorsze od nieziemskiej siły nieczystej, na przykład zepsuta baba. Czy źle ludzie starzy mówią, są trzy rzeczy zdradliwe, kość, strzebra i zepsuta baba szelma, taka to i duchowego stanu nie uszanuje.

— Wystarczy teologii kuchennej na dziś. Jednak wyjdź, świeże powietrze dobrze mi zrobi.

Wyszedł w placużku narzuconym niedbale, po kobiecemu, jakby się czegoś bał, albo kogoś oczekiwał. Wyszedł na ogrodowy ganek, w milczącą z pozoru granatową, spokojną ścianę, która weszła go, przypominając że to noc wysuwa pojedyncze światła, nie tracąc z własnej czerni. Z alei dochodził niespokojny szum, ksiądz Pustulka miał niespodziewaną, radosną i niezdrówą pewność, że o tej prawie nocnej porze aleja cała, od plebani do furki nad rzeką jest bezludna. Tą nagle i intymną świadomością przeraził się i dla uspokojenia starał się wsłuchiwać we własny gorący oddech, niby oddech wyrostka w stanie erotycznego upojenia sztubackim nalogiem. Niemal liczył cykle, wdech i wydech, czyż nie tak czyni topielec mający przekonanie, że nikt go nie odratuje. Minęła chwila, jednak na niebie były gwiazdy, nie zawiody go, nanizane na niewidzialny sznur, stare, zbieżne w zorstkich palcach cygańskie monety, przesiąknięte dymem ogniska i końskim potem. Na rzecę sprężycie wydhazony księżyc-szuchotnik, srebrny wąż, albo kawał wystudzonej miedzi. A takie gwiazdy bałkańskie widział już niedgdy u Cyganki właśnie, zachodziła do wikarówki, sama kwintesencja kresowej tęsknoty i nostalgiczna perwersja zagubiona w drugiej połowie wieku XX. Cyganka była postacią biblijną, miała słodko-pustynny owal zmęczonej twarzy, pogodzonej z losem nomadki i migdałowe oczy zamknięte gazetki, takie oblicza widujące się na kościelnych obrazach jako twarz ludu bożego. Parafia nazywała się Brzezinki, od Wrzosa-wa w linii prostej, jakby na skrzydłach ptaka mogła wrócić ludzka myśl, nawet mniej niż godzinie jazdy samochodem. Nazywała się, bo jej od kilkunastu lat nie ma na mapie i ludowe władze zrobiły dużo, aby znikła z ludzkiej pamięci. Wsi nie ma, pozostało wspomnienie wydarzenia, jakiego tak naprawdę w samej sąj istocie nie sposób wylumaczyć. Kласyczny przykład pozorowego sensu, każdy szczegół można odczytać, gdy ma się właściwe nastawienie, wyjaśnić i wszyscy będą zadwoleni, ale jako całość zawsze pozostanie tajemnicą. Czy zagubieni w nędzy chlopi świętokrzyscy mogli rzeczywiście odwrócić się in corpore od władzy, urzędów nauki, ba, nawet Świętego Kościoła? Bezkarnie zajrzeć na tamtą stronę, pokazać plecy całej rzeczywistości, czy to było możliwe?

Gwałtownie odwrócił się, gwiazdy poznałki, miał je za sobą, przed nim jakby ktoś nakrył świat cały ciężkim, czarnym kocem. Wolno, niby starzec, na pamięć wrócił na plebanię, a gwiazdy, to próchno wspomnienia, świecily światłem końca świata. Zielonkawy piec kaflowy siał przyjemnym ciepłem i piernikową, ceglana wonią, jak przed świętami Bożego Narodzenia.

— Co ma być w końcu, może kiszka z cebulką na gorąco i biała kawa? — zaskoczyła ksiądzka Pustulkę Malczykowa, pomroka za starą gospodynią Jezusze granatowa.

— Dobrze, niech będzie książka z cebulką — zgodził się, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że tłuszcz położy się na żołądku i będzie musiał pić ziółka, jeszcze te wzdęcia, niemożna fizyczność ciała. Przed kolacją zwykły wschodnim zwyczajem pić herbatę, nie więcej niż pół szklanki, jakby był rosyjskim kędzierzawym popem, brakowało tylko konfitur malinowych do kompletu. Dłuższą chwilę grał nieco wilgotne dlonie o szklankę, podobnie do tego, jak to robią ludzie w dworcowej restauracji w tęgie literackie mrozy i łagodnie patrzył na spokojny, wodny brąz pęczniejącej w kolorze, male obłoczki ciepłej pary.

Tak, Brzeziński, ile to już lat minęło, piętnaście, coś kolo tego, jeszcze żył Stalin. Jego pierzwa wikarówka, przypomniał sobie, że czytał wtedy z pasją „Journal d'un curé de campagne”, był przekonany, że pasowało, tym bardziej że czas jakby płynął wolniej. Cichy pokój pełen pomarańczowego żaru w modrzewiowym dworku, opalany oczywiście brzoźowymi polanami, w sionce leżały stopy czarno-białe, bardzo spokojne i wschodnie, chłodzily nacierając powietrze słodkąwą poźłotką. W wielkim ciemnozłotywnym piecu kaflowym, wysokim aż po ciemny sufit, paliła strą, gderliwa kobieta ze buchaltera o napeczniałłą szyi, wylewającej się z koloratki purpurową strugą. Nie szczególnego, zwykła służba Boża na kamiennym ugorze. Wies Brzeziński była przysłowia wia zabita deskami, tu rzeczywiście diabeł mówił dobranoc. Żyłaste wygony, nędzne gospodarki, szorstkowolose kozy miały oczy różnego koloru. Przedziwny ogród zaniedbania i apatii, staly cieszym, nawet nie szary, on był bez koloru, wyalowiony. Taki przelot wron czy szpaków, nie malarskiego, ociężałe chmury skisłe i wiatr niewieszły, las prawie bez zwierząt, szczyry cementarne w krostach, wzgórkii przykurzone skrzypem, bratkiem, jaskrem — oznaką gleby mocno zakwaszonej, matowe gaiki sośniny, białe kamienie, ich bieli nie czyscił zaden deszcz, bagniste kałuże, kąśliwe, niebieskie muszki. Strefa omszałych zielonosrebrnym mchem sztachet, wód w studniach o zimnej stałości kamienia, ochryplych z głodu, rudych i słomkowych kundli, prawie endemitów. Kleistych kropel jarzębiny, brudnogęstego światła w maulich wielobarwnych oknach, przypominających plastyry starego miodu, smutnych oczu dzieci i te objawy skrofulów. Strona przygarbionej misyjnego krzyża, czarnych ptaków łapawczy przyczepionym do mglistego horyzontu, dudnienie kijanek przy praniu w rzecze. Niebo było stale jednakie, to było niebo wczesnej wiosny, takie niebo nigdy nie dojrzeje i takie niebo patrzyło z wysoka na brzezińską biedę. Oddychało się powietrzem głębiej, rosyjskiej głubinki, z powieści nihilistycznych brodatych powieściopisarzy. Czyż w takim pejzażu nawet wisielec nie miał prawa wyglądać na atrapę? Powiesił się młody żołnierz, na pierwszej przepustce złapał młoda, świeżo poślubiona żonkę, łagodnie jąsną niczym leśny poranek, z gachem pod pierzyną. Żołnierz — jak naoczni świadkowie opowiadają, a tacy się post factum zawsze znajdują — powiódł wolim wzrokiem po izbie, zaklął i poszedł się powiesić. Na starym dębim, tym, na którym

ludzie wieszali klepsydry, a władza krzykliwe afisze. Tak było, nawet teraz, po latach, wspomnienie zmateriałowowało się pod postacią drobnego kosmoczka ciepłych łez na twarzy księdza Pastulki. Z radia dobiegał koncert muzyki klasycznej — uwertura akademicka Johanna Brahmsa, ta z cytatem „Gaudemus igitur”, opartym na XII-wiecznym hymnie pokutnym. Wnasmakowane, przetrawionej przez stulecia ciemnej tkaniej, jaka opłotła całą plebanie, ksiądz Pastulka wrócił do wspomnień. Powiało sucho niebi denaturatem, a to fioletowe szklivo suszonych sliwek — Malekzowa otworzyła drzwiczki kredensu, odbicie pulsujące jak rybia łuska, zająśniało płaskim, lososiowatym różem na krótką chwilę, wrazenie witrażowe i bieskie metafizyce. Zaraz potem wróbla szarość, ciepła i posępna przyprzyszyła na powrót całą plebanie, szarość to herbowy kolor Brzezinek. Wrócił myśli do tamtych ludzi. Rasa bałkańska, niscy, ciemni — nasi chłopci to mieszanina różnej krwi na podłożu słowiańskim — mawiał proboszcz brzeziński — czyli jacy? Z zasady bezębni po trzydziestce, zapelniali kościół chrapliwymi stękami, odorem wilgotnych kartofli i szruraniem bieli. Słuchali słowa Bożego z wielką gorliwością, jakby uciekali przed zarazą. Po pierwszym roku posługi wikarego Pastulki w Brzezińcach, proboszcza, bez zapowiedzi, wezwano plinie do kurii biskupiej do Sandomierza. W trybie ekstraordinaryjnym. — To może mi zabrad sporo czasu, nie wiem, kiedy zwierzchność dopuści, abym wrócił, a i że zdrowiem nietego, plucnik jestem po ojcu świętej pamięci, może być tuberkuloza, ojcu czterdzieści lat nie było, jak się poznęł z tym światem — wyjaśnił proboszcz niespokojnie swojemu wikaremu, unikając jego wzroku — poradzisz sobie z Bożą pomocą.

W głębi duszy wikary Pastulka był rad z wyjazdu proboszcza, nie lubił go, a służby dzupasterskiej w sam raz dla jednego. Nudził się, więc zwiędzał okolicie w zielonych gumnawach, podobno do wiejskiej geometrii. Słońce, bywało, przypiekoło kąśliwe, wracał z kępczerwieńioną skórą na policzkach, okrągłe schludne obłoki, w kopcie bżów za plebanią do wiecznie zielonego cienia kleiły się natrętnie kłęby czarnych much, jak to blisko wygódki, w której na rudym gwoździu wisiały równo poście w kwadraty kolejne numery „Trybuny Ludu”. Książd proboszcz abnował partyną gazetę, aby mieć satysfakcję powieszenia jej w wygódce. Pewnego dnia wracał z brzożowego zagajnika, wygon zieleńal kropkami koźiej trawy, chodził po nim jakby napompowany, flegmatyczny gawron, czarny z fioletowym polyskiem na kruczym kubraczku. Równy przyćmy ogon rozkładał szeroko, pysznił się pełnym żołądkiem i swobodą, jaka dają skrzydła. Wikary Pastulka spytał się, chciał pocztać trochę dla spokoju serca. „Confessiones” i „De civitate Dei” świętego Augustyna. W trakcie spaceru przyszła mu do głowy pewna myśl i chciał się co do niej upewnić. Czy nie byłaby zbyt wielkim szokiem prawda, gdyby na świętych obrazach przedstawiały negroidalne oblicze doktora Kościela z Hippony, czy to tylko przypadek, że Marcin Luter wywrócił się z zakonu Augustianów? Jakie to obroty spraw i rzeczy postrzępane. Nawet te pierzaste sosny na białozłotyłych pagórkach, czyż nie kojarzą się z łodziami na jeziorze Kinaret, choćby ilustra-

cy nie? Niespodziewanie przed plebanią zastał dwóch nieznanych, urzędowych. Wiadomo kto. Mają sprawę wagi państwowej — burknęli jak na komendę. Wiadomo, że nie ma plebana specjalnie ich nie zaskoczyła, zgodził się, niech będzie wikariusz — przyzwolił ważniejszy. Co za wybisy lingwistyczne — w myśli zaironizował wikary Pustulka. — Zło zaczyna się od mordu na seminarce — stara prawda.

Patrzył ponad głowami tamtych na wieczne obojętne obłoki o purpurowoczystych, nieco piaszcz obrzeżach, przesuwały się zaskoconym z siebie stadkiem po szkle nieba, popychane wyższym, spokojnym wiatrem. Na dach gołotych plebani, jak się wydyma i srebrzy linia pianki, zdłużenia zawartego pomiędzy ładem stałym budowli — rzeczą człowieczą, a morzem nieba — dziełem bezpośrednim Boga.

— Jest ważna decyzja władzy, władzy centralnej z Warszawy, wieś Brzezinki zostanie przemieszczona.

— Co to dokładnie ma znaczyć? — zdziwił się wikary Pustulka i przyknął jedno oko, gorąca ślina ugrzęzła w gardle, miał wrażenie, że późniejsie zapada na anginę ropną.

— Tu są ziemie kiepskiej klasy i ta ziemia nie rokuje perspektyw, a i poziom życia materialny ludności miejscowej musi ulec radykalnemu polepszeniu, niestety mimo wysiłków władzy ludowej i miejscowego aktywu nie mamy oczekiwanych efektów, nasza ludność to nie Murzyńcy w imperialistycznej Ameryce, dlatego musimy mieć realną szansę ludzkiego życia, jak wszyscy obywatele Polski Ludowej.

— Czy miejscowi ludzie już wiedzą o tej cudownej przemianie, jak ją im władze szykują? — ksiądz się całkiem pogubił, te gazetowe strzępy sloganów... Stali tak sztywno, nie patrząc na siebie, milcząc rozglądali się po ogrodzie. Od parkanu, gdzie od maja do jesieni kwitnie na biało-różowo i czerwono-karpiolim biały śmietanowo wiotkie pajęczyny mgły, pachniało małymi XIX-wiecznymi tajemnicami. Wciążniejszy z przybyszów z wąsikami i la Bierut, szorstko, z pasją przerwał milczenie. Wyglądał, wypisy, wymaluj jak drobny oszast matrymonialny, powierzchownie skruszony, lecz w głębi duszy zawzięty.

— Świadomość społeczna to sprawa delikatna, ludzie na pewnym etapie rozwoju nie zawsze potrafią odróżnić ziarno od plew. Zapewne byli prowincjonalny ministrant, odsunięty od służby ohtarowej za drobny szwindel, na przykład picie mszalnego wina — skojarzyło się wikaremu.

— Chodzi o to, żeby osoba duchowna, mająca znaczny wpływ, zwłaszcza na jednostki starsze wiekiem, naturalnie, i te bardziej konserwatywne użyła swego wpływu, właściwie trzeba ludności wytłumaczyć, że przemieszczenie jest przede wszystkim w jej najlepszy pojęty interes, ludzi brzeskieńskich — w tym miejscu chrząknął, zgodnie z rytuałem masówki.

— Jestem, jak słusznie pan sam zauważył osobą duchowną a nie politykiem czy agitatorem. Ludzie w sprawach życiowych mają własny rozum i sami najlepiej wiedzą, co robić i co jest dla nich najlepsze. Może ich samych należało zapytać, czy żyją sobie był

przemieszczeni, to przecie ich ziemia, marna, licha, rodzi więcej kamieni niż kartofli, ale to jednak ich ziemia, od pokoleń.

— Jaka ziemia, jakie grunty, ugory, badye, perz i jaskry, a jakie są prawa w tym kraju, to my sami najlepiej wiemy, co czuje klasa chłopska, wiemy — po raz pierwszy odezwał się ten drugi, młodszy, w czapce pilotce, paradoksalnie o twarzy stworzonej do czarnego kapelusza. Wtedy to wikary Pustulka spostrzegł, że w subtelnej dłoni o szlachetnych liliowoniebieskawyach żyłkach, jakby płynął w nich wiekowy atrament, trzyma, ten zagubiony inteligent, nie zapalonego papierosa. Jakis znak? Ta semelia ton kairon — człowiek wstydzący się swej przeszłości, pochodzenia i tego, że nie jest wystarczająco ordynarny. Może matka, może nawet bona uczyła, że nie wypada rozmawiać z zapalonym papierosem, teraz on uważa to za burżujski przesąd, ale nie do końca.

— A co ma być tutaj w zamian? Jakże są plany władzy? — zapytał ksiądz i wydawało się, że pyta sam siebie.

— Właśnie, konkret, dobre pytanie. Plany, jest decyzja najwyższego szczebla o budowie nowoczesnego kombinatu cementowo-wapienniczego — ucieślił się ważniejszy i patrzył na szrafową trawę przy zegarze słonecznym, gdzie przelawo się mętne odbicie wysokich, ciemnych drzew alei. Stąd przychodził niewidzialny sieńca, zawsze milczący, rozwiewając staroruski zmierzch w każdą godzinę, w tym samym samozapamiętaniu — miasta, mieszkania dla ludzi, potrzeba dużo cementu, a miejscowi znajdą stałą, godziwie płatną pracę w socjalistycznym zakładzie, czyli u siebie. Praca dla całej pokoleń i schludne czyste mieszkania, jasne, wygodne i z wodą zimną i ciepłą. Żłobek i przedszkole dla dzieci, szkoły, odbijemy reakcyjne dechy izolujące Brzezinki od świata.

Kiedy skończył, obaj, zgodnie, z wyrzutem popatrzyli na wiejskiego księdza, a on natwój czekał na najdrobniejszy, najmniejszy znak, jeśli nie od Boga, to choćby od jakiegokolwiek pomniejszego świętego. Wystarczyłby przelot wróbla albo szkielet kunda, nic takiego nie nastąpiło, bo świat był tłumaczony angielskim słowem „ery”, które jest wężorem niepokoju i polyskuje pogańsko, półwieczorne śliskie od pożądaną każdej wiedzy, nawet aż do białej apatii tamtego żołnierza-wisielca. Z niemego nieba spadały nieważne klekсы błazna złotego słońca w dusznym, funeralnym nastroju. Wikary Pustulka bez wyrzutu, pogodzony trochę z własnym bólem powiedział, chociaż pozornie mogło to być pytanie.

— Czy panowie, czy ludzie władzy, tam w Warszawie są pewni, że ludzie chcą tego, co im się szykuje, czy to dobre jest naprawdę dobre. Decydować za innych bliźnich to wielka odpowiedzialność. — Przy słowie „bliźnich” młodszy z urzędowych gości przygryzł wargę.

— Odpowiedzialność za Polskę i naród wzięliśmy w 1944, to nie będzie pierwsza budowa socjalizmu, w Nowej Hucie było znacznie gorzej, inna skala problemów, zwyciężyliśmy, mamy wiele przykładów, Krafnik, Starachowice, to są realne osiągnięcia z tego terenu i zapewniam, że i tym razem historia przynasza nam słuszną. My zwyciężamy, bo mamy jasno wytyczony program, cele, jakie prze-

konują ludzi i aktyw, a w naszym działaniu gusła kulackie czy reakcyjne zabobony nie są argumentami. Tym bardziej że decyzja zapada na najwyższym szczeblu.

Rytmiczne czytanie gazetowego wstępniaka, a przeciw ziemia w płowie masie cichej pogody, w ciepłych i wilgotnych tonacjach wiejskiego życia oddychała jak wieki temu i dważ ważni oby tutaj ludzie — wykonywcy jeszcze większych decyzji zapadających w Warszawie — tej która się miała tak do Brzezin jak Atlantydy, niczego nie widzieli, nie nie rozumieli. Jedynie wikary Pustulka uśmiechnął się pokątnie, w ograniczonym stopniu dopuszczony do masonerii przecież bardzo młodym człowiekiem, to autorzytet stanu duchownego stał za nim i ubrał w ciężką sutannę wiejskiego kapłana, ten autorzytet, który dla wielu ludzi jawił się odchodzącym i agonalnym. Modelowo, spokojnie, z dobrze odmierzoną troską jeszcze raz stwierdził w myślach. — Ludzie w XX wieku muszą być rozpaczliwie odważni, nawet jeżeli tylko ulegają własnym złudzeniom. Czyż nie jest tak, że ów wiek XX nie jest epoką ogólną kastracji, to za jego panowania ledwie kartkuje się księgi warte uwniejszeń lektury, zgrybiałym, obilnionym kciukiem krzykliwe gburza o naskórku do szczeru wypalonym z włókien pasji, smagok, kolorów i indywidualnego oglądu świata — żalując, że tego co najbardziej istotne nie wolno mu wypowiedzieć.

Dalsza rozmowa była inżynierska: zalecenia i dyrektywy, kończyli, kiedy odległe czerwone smugi od Gór Świętokrzyskich, od Puszczy Jodłowej brzygały ostrymi iskrami po ciemnych prześwitach boru. Nadechodził na wsi gospodarski zmierzch, mlękły leśne ptaki, skrzypiały furki, porykwały pojone krowy, na ganek plebani wysła plebańska gospodyni, trzymała dionie splecione na brzuchu. Wikary Pustulka czuł się, jakby całe stulecie przesiadział w pieczarze.

Tak naprawdę w Brzezinach tylko jeden człowiek był inny od wszystkich, zdawał się być istotą z innej strony planety. Dróżnik na stacyjce kolejowej, powiedział dróżnik, chyba za mało, urząd albo funkcja ważniejsza. Chodził w czerwonej czapce, nosił chorągiewkę. Taki prowincjonalny Charon, trzy razy na dzień, bo na stacyjce zatrzymywały się tylko sentymentalne trzy pociągi. Do stacyjki jechało się czarnym wykotem, potóród mrocznych lasów każących myśleć o partyzantach. Właśnie partyzanci, był to ulubiony temat brzezińskich ludzi. Stacyjka zbudowana zgodnie z carskim ukazem, trzy wiorsty od wsi, pachniała ciężkim chłopskim, kartoflanym potem, złotym końskim nawozem, wyglądającym na zagubione klekсы wczorajszego słońca i żelazista zielenią pokrzywy. W tych stronach ludzie jedzą pokrzywy w gorsze lata, w lepsze skarmiają nimi kozy. Sam budynek, wschodni w rzemieniu, przypominał nieco wojskowy szalet, zielona, świeżo odmalowana ławka jak rekwiwit w wodewilu stała pusta przy grubopiętnych kasztanach, na gałęziach drzew kilka ptaków. I aromat, chyba niebieskawy, szalwi, o tej porze roku małe zaskoczenie. Gdzieś niewidoczne gruchaly gółębie, także malomiatieczkowa niedziela, choć to był dzień powszedni. Dróżnik, wikary Pustulka nie znał go osobicie, może tylko nie zapamiętał.

z pewnością parafianin brzeziński, wyszedł przed stacyjkę. Stary człowiek o zmęczonej, ciemnożółtej cerze i grubych powiekach wotrobiał albo lekoma, cuchnął taniem, mokrym tytoniem jak rosyjski chłop. Zagryzał, wydymając wargi z fioletowym nalotem, pestki słonecznikowe, kurz z poczekalni siedział mu wąskimi strózkami w zagięciach butów. Patrzył niechętnie podczemczony oczyma na młode słońce, jak się przeciska przed rzadkie chmury, sucho i ospale. Przeszedł kilka kroków, zatrzymał się przy siedzącym na ławce księdzu Pustulce. Wikary czekał na pociąg południowy, miał przeczuć, że wróci nim do Brzezin proboasz, w takiej chwili powinien być razem z parafianami, inaczej takie zamiechanie nazywałoby się dezercją. Był lekko senny i nie mógł skupić myśli, ale najgorsze było, że nie wierzył w przyjazd proboasza.

— Kiepska pogoda — powiedział bez słowa kolejarz, z irytacją. Wtedy to wikary Pustulka spuścił wzrok, jakby była w tym jakaś jego wina. Ton głosu kolejarza był dwuwarstwowy: pierwszy to ton człowieka nudzącego się pracą, w Polsce rzecz zwyczajna, druga warstwa miała podstępne konspiracyjne, coś analogicznego do sytuacji, w jakiej się znajdują współpaaszerowie jednego przedziału w pociągu, wyczuwający że nikt nie wykupił biletu, więc jedzą wszyscy na gapę, choć to w niczym nie umniejsza zagadki.

— Rzeczywiście nieszczególna — zgodził się wikary.
— No cóż, Pan Bóg się i tym razem nie przyłożył, zresztą jak ze wszystkim tutaj. — Kolejarz ustawił się bokiem do księdza i patrzył na tory, na ich grzebioty rowniki, siadły na nich białe igielki, czy światła, czy rosy nie wiadomo. Ziąb, niby sół, przepłynął do fioletowej, poligonowej, nierównej trawy. Dalej tory płynęły jak dwa siostrzane pasemka zeschłej smoly i u zbiegu z widnokręgiem wyciskały się w kurtynę zielonogobelinowego lasu.

— Pan chce mi coś powiedzieć? — zainteresował się wikary licząc w duchu, że zniechęci kolejarza do dalszej rozmowy. Chciał być sam.

— Ja? Nie, księdzu chyba nie — lecz nie odchodził.
Wikary Pustulka dopuścił trzećią możliwość, nie wilgoc biegle na torach, nie słońce, lecz to za przyczyną bólu głowy. Ból głowy przeszedł na oczy, widział, że napaer herbaciany byłby lekkiem na podobną dolegliwość, niestety, nie był na plebani. — Pan chce mi jednak coś powiedzieć, ważnego — nalegał bez przekonania.

Kolejarz spuścił złotwą powiekę, nie, nie było w tym niczego z kpiny, odwrotnie, jakby sam się odsłaniał. — Aha, chyba jest rzeczywistość coś, pociąg ma kwadrans spóźnienia.

— Przecież to nie o pociąg jest sprawa, pan chce powiedzieć coś istotnego i nie wie jak. Jestem kapłanem, czekam.

Tamten wsunął zacięniętą pięć do kieszeni i zaczął ciężko oddychać, twardo, świadomie przez nos, z naciskiem, od środka jakby napęczniał, zrobił się nieporadnie większym i jednocześnie pustym.

— Mamy dla siebie dodatkowy kwadrans — dorzucił wikary z wielką zachęcią w głosie.

— Wiem — powiedział kolejarz nie podnosząc powiek, z udawaną naturalnością — kwadrans to bardzo niewiele. Czy ksiądz naprawdę nie myśli, że czas, który jest nam dany, to najbardziej okrutny

prokurator — od ziemi groźna, biaława, reumatyczna wilgoć. Stopy zimne, za to na głowy jasność, niczym lukrowa polewa, srokate chmury, mało wyczuwalny wiatr wyczyszczyający niebo, pędził chmury poza horyzont, jakby to była sobota, bo niebo, raz, na jedną chwilę, w sobotę, musi być łagodne i jasne, wszak Matka Boska suszyła pieluszki, właśnie w sobotę, tak wierzą wiejskie kobiety i to jest dobra wiara.

— Spróbujmy, słucham.

— Dobrze wiem, że ci ludzie dobrowolnie nie opuszczą siedlisk, oni odejdą, ale tam, dokąd nikt się nie spodziewa — odpowiedział piwnicznym głosem kolejarz. Po pauzie dorzucił szybciej. — Oni odejdą, bo mają gdzie iść.

— Władza chce dać całej ludności nowe domy, ba, całe gospodarstwa, tyle że na Zachodzie, w miastach mieszkania są blokach. Zapewniam, że blokowe mieszkania są nowoczesne i bardzo wygodne.

— Zachód to tylko kierunek tego świata.

Ksiądz Pustulka dramatycznie wbił oczy w twarz tamtego, teraz pojął dogłębnie, że oto znalazł się przed nieznanym murem; czy ktoś, choćby raz w życiu, go ostrzegł, że taki mur istnieje i co za nim jest? To nie była pospolita pogawka, kolejarz już nie gryzł pestek, zadał słodki wietrzyk, przeszedł przez zdziczałe jałuny, bzy i czeremchę, krótki cień kwadratowych ramion księdza nakrył buty kolejarza wstydiwie.

— Wiem — zaczął ksiądz, lykając ślinę — na zachodzie kraju są jeszcze wolne gospodarstwa, władza obecna jest w stanie siłą wysiedlić tyłu ludzi, ile uzna za stosowne. Te dwieście dusz, co to znaczy, kiedy przesiadło się całe narody z kontynentu na kontynent. Wywieź wieś na białe niedzwiedzie, dla tamtych nie trudnego, a cóż nam zostaje, tylko ufnąć w miłosierdzie Boże, no i modlitwa.

— Ksiądz mówi: miłosierdzie Boże. A gdzie jest Bóg, gdy ludziom biednym dzieje się wielka krzywda. Ja księdzu powiem, Bóg się znużył ludzką biedą, Bóg już 600 lat temu zapomniał o prördkach tych ludzi. Przyszła też na nich bieda, błagali, modlili się, i co. Wtedy Bóg im powiedział: „moi ludzie, ratujcie się sami, jeśli potraficie, ja dla takiej garstki nie będę niszczył długo planowanego porządku rzeczy”. Tak powiedział i ludzie sami obecnie porażili. Biedni ludzie, z tego dna, z tej najgłębszej nędzy, upodlenia. Przechytrzyli Boga, króla, biskupów, uczonych profesorów, dziedziców, wszystkich. Raz na stulecia, biednemu człowiekowi, udało się. Minęły wieki, prawda w ksiągach jest zaklamana, ale w Brzeźnikach babki wznukom, matki dzieciom zawsze powtarzają: — Dziecinco kochana, nie rozpaczaj, jest dla nas jeszcze ratunek, możemy się ocalić, opuścić tę ziłdą dla nas ziemię i wrogich ludzi. Lecz wtedy, tyko wtedy, kiedy nikt nam biednym ręki nie poda i wszyscy się od nas odwróci. Tak jest od 600 lat, zmieniają się ustroje, granice, państwa, władze, a pamięć domowa trwa.

Ksiądz wzdrygnął się, tak jakby dotknęła go niewidzialna ręka, słowa starego kolejarza padały ogniste niby deszcz meteorów

w ciemną noc. Potrzebował czasu, nim łagodnie odpowiedział: — To ludzka gorycz przemawia przez pańskie usta, gorycz jest bardzo blisko grzechu, tak nigdy nikomu nie wolno mówić. Bóg nie zapomina, Bóg jedynie doświadcza człowieka, więc ludzie muszą być pokorni, nie nam sądzić, nie nam...

Kolejarz machnął szeroko ręką, otwarcie nasuwając przekonanie o bezsensie dalszej rozmowy. Pomimo to nie odchodził, wadził dłoń do kieszeni spodni, przetrzymał i raptownie zaciął się wyjął. Przed oczami księdza rozkładał wolno, po kolei, robociarskie palce, w płamach siniej barwy przemroźnego buraka, w gęście wiru, bezsilnej rozpacz, własne cierpienie rzucił na szalę człowieczej niemocy.

— Moje białe niedzwiedzie — oznajmił dobitnie, zaciskając się na powrót piętę w zylasty kulak — stamtąd można wrócić, niektórym się udało, ale tam, dokąd pójść ludzie z Brzeźnik, nie ma powrotu. Niech lepiej ksiądz powie, kiedy mają ostateczny termin wyznaczony przez władze. Co potem ma być. Administracyjne wysiedlenie z użyciem wojska, tak mówią ludzie.

— Władze są zdeterminowane.

— Więcej oni nie mają wyjścia.

— Tak się mówi — przyznał wikary Pustulka i tym razem jakby poczuwał się do współludzi.

— Za dwa tygodnie więcej?

— Tak, za dwa tygodnie, chyba że ludzie sami...

— Ludzie z Brzeźnik nie pójda tam, gdzie chce władza, oni pójda tam, dokąd poszli sześćset lat temu — przerwał stanowczo cisze, jaka zalegała, kolejarz.

— A pan dokładnie wie dokąd?

— Proszę mi nie przerywać, jeśli już mówię, chyba że chce ksiądz pozostać w stanie błogosławionej niewiedzy i niech ksiądz pamięta, ksiądz będzie sam, nikt nie stanie koło księdza.

— Ja jestem zwykłym wikarym, poza tym jest jeszcze ksiądz proboszcz.

— Ten zgrybiły konformista, ten spocyno altarysta, uciekł, chwycił się pierwszego z brzegu pretekstu i zwiął, stchórzył, podle stchórzył.

— Nie sądzimy, abyśmy nie byli sądeni, lepiej niech pan powie, dokąd pójda ludzie w Brzeźnikach.

— Na Kreation — odpowiedź była tak klarowna, jak banalny jest prasowy inserat. Zagryztał druciany hurkot kolejowego telefonu głębi budynku stacji. Kolejarz — turbator chori, jednym krokiem przemógł na drugą stronę przelęczny zaskoczenia, przez otwarte okno, ponad doniczką z pelargoniami, krzyknął urzędowo po krótkiej chwili. — Pociąg jedzie, nadrobił po drodze pięć minut.

Dwa tygodnie chłodnej jesieni miały i nie szczególne się nie wydarzyło. Brzeźniccy ludzie z szarym mozołem monotonnie obrabiali pola, karmili inwentarz, snuli się po mieczach, wieczorami wczernie gasili światła. Proboszcz przydał odkrytę z zabytkowym kościołem i wiadomością, że wraca za miesiąc, ale dlaczego dopiero

za miesiąc nie napisał, chociaż dołączył serdeczne, ojcowskie błogosławieństwo. Aż nadszedł tydzień ostatni, wielki dzień tajemniczej próby, dzień w kolorze papieru pakowego, słodce dymilo za ażurowymi soplami chorobliwie smętnych chmur. Rzecz niespotykana, srebrożyty czubki najwyższych w lesie drzew i tających, co miały ponad sto lat, droge przyswicał wyblakły, czerwony, plamisty różnym natężeniem odbłask zapowiadający silne i wczesne mrozy, czuło się, jak pęcznieje wiatr. Choć było rano, ledwie wikary Pustulka skończył śniadaniować, jednak nastrój zalegał przedwieczorny, takie nastroje mają kolor ponurego granatu. W chwijnej przestrzeni niespodziewanie zaczęło się ogólne poruszenie, kołno z chat zaczęły wychodzić ludzie. Jednocześnie w kominach uszywały dymy, wygaszano ogień. Wychodzili wszyscy, całe rodziny, każdy żywy, starzy i młodzi, cała wioska. Dzieciaki siedzieli na plecach ojców, matki tuliły do piersi najmłodsze, ktoś wspierał ramieniem utykającego starca, para zakochanych trzymała się za ręce, na prowizorycznych noszach niesiono obłożnie chorego, młoda kobieta szła karmiąc różową pierśią niemowlaka zawiniętego w kraciastą chustę z warcokami frędzli podobnymi do strug czarnego deszczu.

— Co oni wszyscy robią — zdziwił się wikary Pustulka. Oparty jedną rękę o stół stał pochylony ku oknu i patrzył od dłuższej chwili. To, co widział, było jak taniec odbywający się bez muzyki, średnio-wieczne misterium, woda, która ze swej natury jest sucha, ogień ścinający mrozem i lęk, na jaki nie ma nazwy. To prawda jednak, raz na całe życie człowiek doznaje iluminacji, nie zawsze świadomie, te wszystkie sprzeczności nabierają sensu po drugiej stronie, w świecie równoległym, krainie alternatywy. Analogia do lewej dłoni, świat ortodoksyjny jest światem ręki prawej, ale nie wolno zapominać, że każdy zdrowy, nie okaleczony człowiek ma lewą rękę, bliźniaczą, w tym świecie uśpioną zakazem i obyczajem. — Chochołi taniec, idą jak manekiny — wyszeptał wikary. Nie był jednak sam, obok stała plebańska gospodyni, kobieta bez rodziny, przgrzygnięta przez kosiół, łagodna łagodnością wiejskich bab. Rubasznie pachnąca po domowemu sosnowymi szcypami, sadzą, herbacną i mydłem „Szary Jeleń”. Oboje teraz patrzyli, jak ludzie za oknem, na drodze, pod melodię fletu szczurołapa idą i idą. Tworząc przycięty zakrętem drogi jednolicie plamisty, milczący wąż ludzkich głów, pleców i ramion. A szli w kierunku wielkiej, gąbczęstą góry, porostej najstarsza puszcza. Tam kończyła się droga i zaczynał największy las w Polsce Środkowej.

— Dokąd oni idą?

Gospodyni przekrzywiła głowę, przypominając starą sowę, która dziwi się ludzkiemu pytaniu, przecież odpowiedź jest oczywista.

— Oni idą na Kreation — odpowiedział.

— Kreation, czy to jakiś adres pocztowy, wieś? Dziwaczna nazwa, czy może kolchoz?

— Nie, to nie kolchoz, Kreation to ich bezpieczny świat. Już kiedyś, bardzo dawno, ich dziadowie uciekali na Kreation, jak im ten nasz świat dopiekił szarczyć.

— A wy, co z wami, dlaczego wy nie idziecie z nimi?

— Ja nie mam takiego prawa, jestem obcow, tu trzeba żyć ze siedem pokoleń, dziadowie, ojcowie i wnuki, obcy nie mają prawa.

— Ależ trzeba ratować tych ludzi, ratować, coś trzeba zrobić.

— Nie, ich nie trzeba ratować, tam, gdzie idą, jest ich ratunek i nie ma takiej siły, aby ich mogła zawrócić, oni muszą iść i dojść — ciszej, bardziej do siebie i z zadróżką powiedziała stara kobieta.

Oni poszli w posokę niby ze szkła witrażowego, nabyli z pęczery wodnych, niby z trawy powietrznej, jaka staje nad żniwnym polem i ludzie nieruchomością porażeni jej ogromem. W posokę, bez określonego pojęciem z tego świata stanu, bez nazwanej struktury, w obcą do wymierzenia odległość. Szli do dawnego, pogańskiego uroczyska, ziemi, na której pakti gniazd nie zakładają, tam źródła nie tryskają, ziemia odrzucona, wylęta i bez oficjalnej pisanej historii, ziemia, która była wrzytem i zapowiedzą zbawienia, Ultima Thula, najniebezpieczniejszych z niebezpiecznych.

— Wielki Boże Męczenników, to niepojęte, to jest poza rozumem — w polowie wyszeptał, w polowie wykrzyczał wikary Pustulka, chemicznie biały, jakby przedśmiertnie naboskowany gorączką, niby zjawą pojawiającą się w ciemni fotograficznej przy upiornym czerwonym świetle. Jego bezgraniczne, atawistyczne przerażenie przechodziło z oczu widzących legion ogłomnia, a oni szli, szli nie patrząc ani w górę, ani pod nogi, bez oglądania się za siebie. Uparcie, maszynowo do przodu, ile trwał ten makabryczny, niepojęty przemarsz, zapomniał, pół godziny, czy tylko minuty, ludzie rozum i imaginacja nie były w stanie tego określić. Pogrom wszystkim co w wierzy człowiek, kłęska, całkiem jak u Szekspira — świat wypadł z ram i normy, w jakie go zakuli ludzie pyszni, zrzuca łańcuszek ustalonego, uświęconego porządku. Raz na całe stulecia, jak przerażająca czarna niedziela, tym razem w małej wioszczyźnie, w kacie świata, w bólu i przy dwóch świadkach, bez chwały, pokątnie. To wydarzenie nie trafi do druku, będzie dla wszystkich tego świata irytujące i wielce kłopotliwe. Cóż się bowiem stało: oto biedni ludzie, do tej pory posłuszny narodek, wymknęli się, nikt tego nie przewidział, wstąpił i złość, zacieklenie pięści.

Gdy zakończyło się, dwie lady: stara kobieta — analfabeta i imłokos — bezradny wikary odczuli tę samą ulgę, jakiej doznają się, gdy kończy się agonja kogoś nam bardzo bliskiego, umierającego na nieuleczalną chorobę.

W rok po tym wydarzeniu wikary Pustulka specjalnie nadłożył drogi wracając z bogatej parafii Kurozweki do Kielc, aby choć na jeden wieczór zatrzymać się w pewnej małej wiosce. Wioska ta przed wiekami była targowym miasteczkiem i co ważniejsze, na miejscowej plebanii znajdowała się najstarsza księga zapisów parafialnych w całej diecezji. Po kolacji z miejscowym proboszczem, pili piotłundkę dobrze schłodzoną, proboszcz, uroczy staruszek o aparycji świętego Mikołaja na wakacjach, poszedł szybko spać. Wikary Pustulka wśliznął się do kancelarii i przy biurku z winiowego drzewa zaczął wertować stare wołuminy. Na kwadrans przed północą natknął się na interesujący go fragment. Anonimowy skryba,

przy mdłym ogarku, drżący od metafizycznych lęków średniowiecza, przed zszעיםniami, w monastycznej lacinie, jako ostrzeżenie albo pamiętkę ogólnej niemocy zanotował:

„W Roku Pańskim 1348 przysłała na ojczyznę naszą wielka plaga morowego powietrza od Saracenów, jak utrzymują jedni, albo od Schizmatyków, jak twierdzą drudzy. Z wiatrem południowym. Ludzie marli niczym muchy, w bólu wielkim, całe miasta wydunialy się i parafie wszelkiego obrządku, domy klasztorne i emery. Ludzie marli tysiącami, gwałtownie, tak prędko, iż martwych nie miał kto grzebać, nie było ręki, aby ich nagości okryć. Kara ta doświadczyła stany wszelkie. Jedyne parafia wśródleśna Brzezinki lubo Brzezunki, nazwana od wielkiej obfitości brzoźowych zagajników w miejscowej dieceji, szkody żadnej od morowego powietrza nie poniosła, a to za sprawą niepojętą i nieczystą. Parafianie miejscowi w całości opuścili domostwa swoje i udali się na miejsce złej sprawy, gdzie zapodzielili się w sposób Bożej roztropności nie znany i urągający. Dla porządku powtarzam, jako że wiary nie zatrzymują, iż mieli się udać na gwiazdę bliźniaczą księżycowi, którą w swej bliźnierczej pobudliwości Kreatonem nazwali. Na ową to gwiazdę spokój od trosk i dostatek mieli wszelki otrzymać. Jeszcze co popędliwi z odchodzących odgrazali się, że wieki przemiją, a ci co po nich we wzmiankowanych Brzezinkach osiadą także na owym Kreatonie azylum znajdują w kłeskach i dopustach Bożych. Wielka jest Twoja menażeria Panie Boże i cierpliwość bezbrzeżna na nasze robacze uraganie Chwale Twojej”. Tu zapis z motywem Kreatonu kończy się i kronikarz przechodzi do opisu zjawisk i wydarzeń wylumaczalnych świętą wiarą chrześcijańską lub przynajmniej opisaną i uznaną wiedzą uniwersytecką. Tej cichej nocy skrzypiała jedynie stara podłoga i kot zaczął się na myszy, wikary Pustalka odnalazł nie znany mu do tej chwili stan łagodnego opuszczenia. To było uczucie, jakby odnalazł się sam na tratwie płynącej po ciemnej rzecce w wielkim milczeniu. Z brzegów nieznanzi ludzie dawali mu sygnały, czy to ogniem ognisk, czy światłem latarni, a on nie chciał dobić do brzegu, pragnął poddać się spokojnemu biegowi rzeki, która nie miała dna, źródła i nie płynęła do morza.

czeskie /lipiec 1994 — Złotów

Tadeusz Zubótski

MAREK CHORABIK

Obserwacja botaników skazanych na śmierć

Botanicy skazani na śmierć idą ostatnim podniebnym wiaduktem, rozmawiają półgłosem wiatr niesie słowa w drugą stronę.

nie słyszymy nic, zastanawiamy się nad brakiem tłumów spragnionych krwi, dosięga nas pustynia pełna skazańców

Ład

idziemy na wernisaż pełen nostalgicznych przewlekłych kolorów,

patrzmy oddychamy marszczy się ład wyobraźni

Bursztyny

bursztyny w twoich rękach splecione, nieme, ile mórz nas dzieli, ile trzeba biec przez przysypyany las

Rozmowy z kobietami

kobiety z którymi rozmawiam o miłości bawią się piłką w grochy, potrafią podrzucać ją wysoko

i łapać za każdym razem,
a potem nieoczekiwanie
noszą granatową żalobę,

kobiety z którymi rozmawiam o życiu
poprawiają włosy i wiatr,
jak w narodowe święto
obklejają wystawy oczami
i zawsze wsiadają do tramwaju
jadącego w tę samą stronę,

kobiety z którymi nie rozmawiam
pytają czemu nie piszę o nich

Wbijanie noża w plecy

To prosie.
Nie trzeba nic nadzwyczajnego,
nie nadaje się jednak do tego
harcerska finka
— ma zbyt wiele skrpułów —
ani tym bardziej
banal kryminalów
nożyk do papieru,

wystarczy że otworzysz
ostrze spojrzenia,
umiera się cicho
bez śladu

Listy z Francji

wisniowe listy
opowiadają jak pięknie jest we Francji,
śmieją się
z moich upartych stóp
tańczących tylko
połonaise, polonaise...

zandarmi ocierają czoła
w lusterkach samochodów
poprawiają kępi,
twoja fotografia
w ich spoczonych dłoniach
mruży się zawstydzona,

wisniowe listy
opowiadają o pękniętych winnicach
zarużonych osłiskom na grzbiecie,
o niebie w przestronnych zagajnikach
podpartym
dzikimi pnąciami katedr

Marek Chorabik

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Ryszard Matczewski: *Przyjechał anioł cały małyony*. Wydawnictwo „Tentem”. Ss. 62, ilb 2 [w tym 11 barwnych reprodukcji].

Piotr Sommer: *Słowa. Słownik*. Stowarzyszenie Literackie „Krety”. Lublin 1995. Ss. 147. Biblioteka „Kresów” Tom 9, Serja Krytyki.

Stanisław Staszak: *Piszę mojego dzieciństwa. Opowiadania i listy*. Agencja Poligraficzno-Wydawnicza, Kraków 1995. Ss. 161, ilb 4.

Janek Dąbala: *Wit Tarnowski jako krytyk literacki*. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1995. Ss. 160.

Maria Dulańska: *Twój zakaz jak nakaz*. Wydawnictwo Książkowe „Ibis”. Lublin 1995. Ss. ilb 52.

Tadeusz Piotr Polanowski: *Listy do przyjaciół*. Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin 1996. Ss. 44.

Gabriel Bręka: *Ksiądz Michał Pilpicz*. Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin 1996. Ss. 64, + zdjęcia ilb.

Cezary Domarus: *Caligari Express. Romanse bez licencyjnych odniesień*. Wydawnictwo „Lampa i Iskra Boża”, Warszawa 1996. Ss. 80.

Krzysztof Varga: *Chłopaki nie płaczą*. Wydawnictwo „Lampa i Iskra Boża”, Warszawa 1996. Ss. 96.

Mirosław Derecki: *Na szlakuem szlaku*. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1995. Ss. 179 + ilustr. ilb.

Jerry Graca: *Wartykan znany i nieznany*. Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna „Adam”, Warszawa 1994. Ss. 295.

Jerry Graca: *Spół o koskowiak*. Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna „Adam”, Warszawa 1994. Ss. 126.

Zbigniew Jakubiak: *Mój sergotny brzech*. Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod wiatr”, Warszawa 1995. Ss. 188.

Konrad Bartoszewski: *Sęd polowy*. Wydawnictwo Roman Sokal, Biłgoraj 1995. Ss. 168.

Księga Pamiatkowa Czarnoczyków: *Historia — Sylwoki — Wspomnienia*. Red. Dariusz Kostecki, Zbigniew Okoń, Witoldów Fluta. Wydawnictwo „Optimum”, Chelm 1997. Ss. 227 + ilustr. ilb. Księga wydana z okazji 80-lecia i Licorn Ogólnokształcącego im. Stefana Czarnieckiego w Chelmie oraz VI Zjazdu Czarnoczyków (22-24 września 1995 r.).

Bogumiła Truchlińska: *Mądry afirmacja o sceptycyzm*. Oficyna Wydawnicza „Stan 2”, Kielce 1995. Ss. 127.

Powracająca Jala: *Adaptacje sceniczne*. Bolesław Prus: *Powracająca Jala. Omyła*. Maria Kompanicka: *Mondal Szalaki*. Adaptacje Stefana Kruka. Wyd. Wojewódzki Dom Kultury, Lublin 1995. Ss. 68.

JERZY ŚWIĘCH

Polszczyzna jaką mówimy Zapiski na marginesach tomu *Współczesny język polski*¹

1. Jaki jest stan obecnej polszczyzny? Katastrofalny, uszalełem od jednej z osób, bynajmniej nie purystki w kwestiiach języka. Zewsząd słychać mowę, która nie tylko że nie respektuje elementarnych zasad poprawności, to jeszcze z taką samą nonszalancją zdaje się traktować reguły zwykłej gramatyki. Środki masowego przekazu, które w naszych czasach zwanowały do rangi autorytetu także w sprawach języka, lansują — co tu mówić — wzory mowy byle jakiej, która tylko pragnie uwodzić swoją potocznością, spontanicznością, swobodą od wszelkich ograniczeń. To samo niestety da się powiedzieć o szkole, gdzie polonista sam nie jest w stanie opowiedzieć o języku, będącej jawnym zaprzeczeniem języka, którego żywiołu mowy, będącej jawnym zaprzeczeniem języka, którego zasady chciałaby wpisać swoim uczniom. Przeciwny Polak używa na co zasady słów obcych, których znaczenia nie rozumie, sądząc, że w ten sposób okaże się lepiej wykształconym, godnym większej uwagi w oczach innych. W życiu publicznym (albo czy tylko w nim?) operujemy pakietem gotowych tekstów na wszelkie okazje, nie starając się bynajmniej wyłamać z panującego zwyczaju. A cóż mówić o spustoszeniach dokonanych przez komunistyczną nowomowę, kiedyś „drgną mowę”, która niestety przenika coraz częściej do codziennego języka.

Można by ciągnąć w nieskończoność ów rejestr wykrzeseł przeciw zasadom poprawnego wyświadczenia się w mowie i piśmie, gdyby nie to, że na każdym etapie swojego rozwoju język wykazuje tendencję zgłębiać przeciwie obowiązującym standardom. Użytkownicy języka są także jego twórcami, starając się ów najlepszy jak dotąd środek ludzkiej komunikacji uczynić coraz bardziej sprawnym, lepiej wyrażającym potrzeby, jakie niesie ze sobą życie. Te banalne prawdy przestają być takimi, jeśli koncentrujemy się na konkretnym fragmencie dziejów języka, wtedy bowiem rzeczy pozornie abstrakcyjne nabierają niespodziewanej wyrazistości i dynamiki.

Okazją do takiego spojrzenia jest wydany w 1993 obszerny, bo liczący 659 stron duży formatu tom *Współczesny język polski* pod redakcją Jerzego Bartmińskiego. Ukazał się on w ramach *Encyklopedii kultury polskiej*, jako jej drugi tom (pierwszy *Pojęcia i problemy wiedzy o kulturze*, wyszedł w r. 1991). Radziły lekturę książki rozpocząć od *Wprowadzenia* pióra J. Bartmińskiego, gdyż przynosi ono ważne informacje na temat koncepcji i układu tomu, który stanowi „próbę syntetycznego przedstawienia obecnego stanu wiedzy o współczesnej polszczyźnie” (s. 13) dolną do wcześniejszych opracowań tego typu, by wymienić chociażby *Encyklopedię wiedzy o języku polskim* pod redakcją Stanisława Urbanczyka (1978, 1991) oraz pracę zbiorową pod redakcją Haliny Kurkowskiej *Współczesna polszczyzna* (1981).

¹ *Encyklopedia kultury polskiej XX wieku. Wprowadzenie* Jerzego Bartmińskiego, pod redakcją Jerzego Bartmińskiego, Wiedza o Kulturze, Wrocław 1993, ss. 659, 7. nr 8.

Redaktor tomu, znany językoznawca związany z polonistyką UMCS, od wielu lat kieruje pracą zespołu, skupiającego badaczy z całego kraju, której rezultaty przyniosła m.in. seria wydawnictwa „Język a kultura”, licząca do chwili obecnej 6 tomów wydanych w latach 1988-1992. *Współczesny język polski* w niemałym stopniu korzysta z poczynionych tam ustaleń, ale koncepcja tomu kształtowała się pod wpływem sugestii wielu uczonych, m.in. zmarłej już Marii Renaty Mayenowej.

Wyraża ona podstawowe stanowisko, które jest legitymacją odrębności i oryginalności tej propozycji, o jakiej tu mówimy, że badanie współczesnej polszczyzny może przynieść zadowalające wyniki tylko wtedy, jeśli ukáže rozwój języka na tle kultury. Kultury pojmowanej szeroko, jako dobro wspólne, do którego przecież należy także — a może przede wszystkim — właśnie język narodowy.

Polszczyzna powojenna, lepiej niż inne świadectwa, odzwierciedla zmiany w sferze życia zbiorowego, jakie zaszły w kraju. W kraju, bowiem mimo iż obszerny rozdział traktuje o sytuacji języka polskiego w diasporze, czyli w środowiskach emigracyjnych, to jednak o obrazie polszczyzny decydują zmiany, jakie miały miejsce w Polsce. To stąd pochodzi materiał, na którym opierali się współautorzy tomu w liczbie 31(1) osób. Jest to zarazem polszczyzna oglądana już w perspektywie zmian, jakie zaszły na przestrzeni paru ostatnich lat, ściślej od r. 1989, tj. upadku komunizmu, co, jak się wydaje, pomaga lepiej zrozumieć zawartość książki. Traktuje ona o różnych odmianach języka ogólnonarodowego, różnych stylach polszczyzny, jakie miał do dyspozycji każdy przeciętny obywatel tego kraju, czyniąc z nich użytek taki, który często bywał wyrazem sprzeciwu wobec ósdek — władzy, propagandy — manipulujących językiem. Chodzi najogólniej o język, jakim ludzie mówili na co dzień, a więc ustny, potoczny, język, który nie służy bynajmniej jakimś wygórowanym aspiracjom jednostki, ale utwierdza ją w prawie do bycia sobą, poza wszelką narzucaną jej rolę społeczną. Często narzucaną par force, czym był styl urzędowy, z którym często spotykał się na co dzień, czym był styl, który przesyłał do języka potocznego (mówi o tym opracowanie poświęcone tzw. frazematyce). Do spraw tych jeszcze wrócimy.

Współczesny język polski ma ambicję przedstawienia zagadnień dzisiejszej polszczyzny w nowym oświetleniu, z uwzględnieniem najnowszych zdobyczy myśli językoznawczej. Współautorzy tomu wzięli na siebie niemalże ryzyko spopularyzowania na szerszy użytek wiedzy nowych koncepcji badawczych, które w środowiskach specjalistycznych wciąż są przedmiotem dyskusji, jak np. sprawa tekstu, potoczności, aktów mowy, wspomniany już frazematyki. W tomie pojawia się co najmniej sześć nowych pojęć i terminów nie znanych przeciętnemu odbiorcy, niekiedy odnoszą się one do zjawisk i problemów z potocznego doświadczenia, ale dotąd nie mających własnej nazwy, jak np. chrematizem, z gr. *chrema*, rzecz, nazwa wytworów ludzkich lub produktów. Tom stanowi więc także kompendium wiedzy o języku w ogóle — niektóre opracowania, ubogie pod względem materiałowym, przynoszą wiele cennych informacji na temat stanu zaawansowania wiedzy w takich specjalistycznych dziedzinach jak teoria tekstu, aktów mowy, tzw. kognitywnego podejścia do języka itp. Wiele pisze się tu o języku z perspektywy epistemologicznej i aksjologicznej, bynajmniej nie w żargonie naukowym, choć wiele nowych pojęć i terminów wraz z odkryciem nowej problematyki będzie z czasem musiało być przyjęzione przez ogół. Można zastąpić „prymarną funkcję” i „człon nieneacechowany”

innym określeniem, nie zmieniając sensu, ale nie da się tego samego zrobić z aktami mowy. Wraz z postępem widczy wzrastają także obowiązki ze strony zwykłego użytkownika języka, którego poczucie językowe uwrażliwia się na nowe problemy. Tu drugą funkcję książki, funkcji popularnonaukowej żadną miarą nie można lekceważyć.

Dla perspektywy kulturowej podstawowym zagadnieniem jest stosunek języka do rzeczywistości, to, w jakim stopniu patrzymy na świat przez pryzmat pojęć wytworzonych przez język. Kategoria pod tym względem nadrzędna dla wszystkich opracowań w tomie jest „obraz świata”, określenie nieco metaforyczne (tyl ławiesz do przyjęcia, które oznacza utrwalone w języku wyobrażenia na wszelki temat, z jakim ma do czynienia użytkownik, przy czym nie są to jego własne wyobrażenia, ale jakie dzieli z innymi, będąc nośnikiem tej samej kultury. Ow „obraz świata” jest wewnętrznie kalkiem spójny i — by tak rzec — sensorywny, bowiem nadaje znaczenie wszystkim, co znajduje się w jego obrębie. Radzi sobie dobrze ze wszystkim, chociaż za cenę pewnego zmniejszactwa, uproszczenia rzeczywistości. Źródłem do jego poznania jest przede wszystkim język potoczny, w nim bowiem tak wiąza świat w postaci najwziewej i zdroworoządkowej jest najlepiej utrwalone. Wszystko, co znajduje się w jej obrębie ma pewną nadaną sobie z góry wartość, dodatnia lub ujemną i dlatego w sytuacji zagrożenia przez fałsz i kłamstwa język potoczny bywa jedynym azylem prawdy. Pragmatyczne podejście do zagadnień komunikacji językowej, dominujące w całym tomie, nie eliminuje bynajmniej etycznej roli do język jako źródło prawdy.

A zatem moment w jakim doszło do krytycznej refleksji nad stanem polszczyzny dzisiejszej umożliwił z jednej strony jej ogład z perspektywy zwykłego użytkownika języka, z drugiej — różnych ośrodków sterujących mową: urzędu, propagandy, prasy. W konflikcie między tymi dwoma ośrodkami mowa kształtuje się pełna wewnętrznych napięć i antagonezów polszczyzna kraju, którego granice przesunęły się ze wschodu na zachód i północ, kraju praktycznie jednojęzycznego, jakie ubożego pod tym względem w porównaniu z mozaiką językową Drugiej Rzeczypospolitej. Polszczyźnie po wojnie zabrakło partnera (ów), który wcześniej nadawał jej specyficzny polski, czyli podatną na inny „obraz świata”. Wpływ zatem na doskonalenie jej możliwości i umiędniczeń. W nowych warunkach powoływanych polszczyzna wykształca swoje możliwości przede wszystkim w rozmaitych odmianach, stylach, wariantach potocznych, czyli mówionych, ustnych. Wzbogacenia niesłuchanie swój zasób leksykalny i frazeologiczny. Rozwinięta mechanizmy zachowań językowych tam, gdzie jednostka stara się na szenie życia zbiorowego i publicznego wykrócić dla siebie należny i niezbędny margines swobody i niezależności. Stąd własnie owo bogactwo socjolektów, gwar zawodowych, dialektów środowiskowych. Stąd bogaty materiał, jaki otrzymuje badacz frazeologii, frazeatyki, stereotypów. Stąd wreszcie mniejsze znaczenie, jakie językoznawca dzisiejszy przypisuje tradycyjnym kwestiom „opracowanosciowym”. Pouczanie, jak się mówić powinno, mogłoby latwo stać się zabiegami ryzykownymi wobec tendencji „sukawczych”, odgórnego sterowania językiem przez aparat propagandy, arbitralnie orzekającej, jakie sformułowania i zwroty znać należy za jedynie słuszne, a jakie znów za naganne i niepożądane. Lepiej, żeby język sam strzegł granic własnej poprawności.

2. Co jednak dzisiejsi językoznawcy mają do powiedzenia na temat poprawności językowej, czyli jak należy mówić, jakich błędów unikać? W opracowaniu encyklopedycznym w języku polskim nie mogło naturalnie zabraknąć i tych kwestii, nader ważnych dla

zwykłego użytkownika języka, nie purysty przecieć, ale jakże często zdezorientowanego w wyborze formy właściwej, co do której brk pewności, czy jest błędem czy zwykłą usterką, możliwą mimo pewnych oporów do zaakceptowania. O błędach i usterkach piszą Andrzej Markowski (ten głównie o poradnictwie językowym) i Jadwiga Pazdynia w hasle (tak określając będziemy poszczególnie opracowania) *Kultura języka* oraz znany doborca z audycji telewizyjnych Jan Miodoł *O normie językowej*. Osobne opracowanie pióra Tadeusza Piotrowskiego poświęcone jest *Słownikowi języka polskiego* (nb. krytyczne wobec istniejącej lęksyografii). Otóż czytelnik, który oczekiwałby od autorów jasnych odpowiedzi, jak poprawnie należy dzisiaj mówić i pisać, w tej lekturze może nieco zawiedziony. Zamiast konkretnych uwagów znajdując raczej wywody na temat, czym jest właściwe użycie języka (według Pazdyni oznacza ono wzajemny szacunek, jaki okazują sobie partnerzy dialogu, chęć zrozumienia czyżby racji i tolerancję wobec czyichś przekonań), czym jest norma w postaci skodyfikowanej (przez gramatyki, słowniki, poradniki), a czym norma użytkowa, zwana też z lacyu uszum (utrwalony społecznie zwyczaj, który z czasem staje się normą). Czyli lingwicy są dziś nader ostrożni w proponowaniu wyroków, bo też im bardziej komplikuje się sfera użyć języka, im dotkliwiej odzruwa się brak instytutów i autorytetów, do których jak kiedyś można by się było odwołać w kwestiach spornych, tym bardziej jedynym sprawdzianem poprawności pozostaje kryterium tak subiektywne i nieuchwytlne, jak poczucie językowe, estetyka, sprawność komunikacyjna itp. Co nie znaczy, by sami nie widzieli, jak należy poprawnie mówić.

Bywają normy i normy, jedne mniej, inne bardziej obligatoryjne, i obowiązujące w danej sytuacji, margines usterek, kiedyś wąski, obecnie znacznie się poszerzył, coraz więcej wyrazów i wyrażeń obcych zyskując prawo obywatelstwa w języku polskim, coraz częściej też językoznawcy wykazującą zrozumienie dla form, które jeszcze do niedawna uchodziły za zdecydowanie niepoprawne i błędne. Brak kanonu językowego (upomina się o niego Bartmiński), którą to rolę pełnił kiedyś język literacki, a której to nazwy zabrakło nawet w indeksie terminów i pojęć na końcu encyklopedii (zob. język ogólny, s. 641). Odnosi się wrażenie, jak gdyby skutkiem rozchwiania jednej obowiązującej normy językowej było to, że każda odmiana, styl czy wariant polszczyzny ustanawia w tym względzie własne reguły i prawa, które nie mają zastosowania gdzie indziej. Na szczęście nie jest aż tak źle, bowiem równoległe z procesem zmianekowanym przed chwilą postępuje drugi: upowszechniania się standardów mowy zarezerwowanych w przeszłości dla warstwy wykształconej (zjawiska te śledzi Irena Bajerowa *Język ogólnopolski*), styl czy wariant polszczyzny ustanawia w tym względzie własne reguły i prawa, które nie mają zastosowania gdzie indziej. Na szczęście nie jest aż tak źle, bowiem równoległe z procesem zmianekowanym przed chwilą postępuje drugi: upowszechniania się standardów mowy zarezerwowanych w przeszłości dla warstwy wykształconej (zjawiska te śledzi Irena Bajerowa *Język ogólnopolski*), styl czy wariant polszczyzny ustanawia w tym względzie własne reguły i prawa, które nie mają zastosowania gdzie indziej.

Na szczęście nie jest aż tak źle, bowiem równoległe z procesem zmianekowanym przed chwilą postępuje drugi: upowszechniania się standardów mowy zarezerwowanych w przeszłości dla warstwy wykształconej (zjawiska te śledzi Irena Bajerowa *Język ogólnopolski*), styl czy wariant polszczyzny ustanawia w tym względzie własne reguły i prawa, które nie mają zastosowania gdzie indziej.

Najoburzniejszy przezeń dział książki poświęcony jest odmianom i stylom polszczyzny. Różnice między dwoma podstawowymi odmianami języka, ustną i pisaną, dawno już przyćmawiały uwagę badaczy, wiadomo bowiem dobrze, że odmiany te wykazują się zauszualnie nie tylko na poziomie fonetyki i prozodii, ale też i gramatyki, słownictwa i stylu. Język ustny budzi przy tym

pañając sobie podobne prerogatywy, mianowicie języka urzędowo-propagandowego Trzeciej Rzeczy, znanego jako Lingua Tertii Imperii (LTI), dzięki słynnym zapiskom niemieckiego filologa-romaniisty Victora Klemperera. Cechy owej komunistycznej nowomowy, tak jak je widzi i ocenia autor, to w kolejności: dominacja wartości nad znaczeniem, rytualność, magiczność, arbitralność (nie idzie o dialog, lecz o posłuszeństwo), uniwersalność (narzucaenie jej jako jedynego i powszechnie obowiązującego). Głowiński pokazuje, jak był w Polsce zasięg nowomowy. Fakturyzacja bardzo szeroko, niepostrzeżenie zdobywała ona niemal wszystkie dziedzin życia, nawet te, którym przysługiwali statusy prywatności czy opozycyjności wobec władzy. Władza komunistyczna przynajmniej w tym zakresie mogła mówić o zwycięstwie, jakie udało się jej osiągnąć nad zniewolonym społeczeństwem, które często niewiedząco przyzywało sobie reguły języka służącego do jego zniewolenia. Ślady nowomowy przeżyły komunizm i wolno wiąpić, czy jego rozkład spowodował automatycznie upadek nowomowy (zob. s. 170). Niemniej sama zjawisko należy do rzędu centralnych dla dzisiejszej polszczyzny.

4. Polszczyzna podlegająca dziś opisowi to niewyczerpane wręcz bogactwo rozmaitych odmian społecznych i zawodowych mowy, języków regionalnych, czyli gwary, i terytorialnych (relikty dawnego podziału dzielnicowego). Właściwość gwarowe, o czym pisał Kwiryna Handke, maleją i zacierają się w zastraszającym tempie i praca folklorysty-dokumentalisty coraz częściej utrwala stan języka, jakim na wsi mówią ludzie starzy, kiedy dzieci i wnuki opowiadają już niemal całkowicie normę ogólnonarodową. Jest to oczywiście skutkiem widownych procesów demograficznych, społecznych i przemysłowych, wiąże się z awansem kulturalnym chłopa, dla którego własna kultura w coraz większym stopniu podlega ocenie jako wartość odwieczna, by nie rzec – muzealna. Na tym tle szczególnego znaczenia nabiera sztuka ludowa, ludowy styl artystyczny, któremu Bartmiński poświęca obszernie i wyczerpująco hasło. Strzeżona i sumnie wyniki wieletletnich studiów autora nad tą wciąż atrakcyjną dziedziną twórczości słownej, która swoją pełną autonomię otrzymuje jedynie we własnym, macierzystym otoczeniu i środowisku. O właściwościach folkloru nie możemy orzekać na podstawie sztucznego obrazu, jaki wytworzyła literatura, choć wciąż cieszy się on dużym powodzeniem. Każdy dialekt wyraża dwa style językowe, potoczny i artystyczny, w czym przypomina język ogólny, przy czym ten drugi zawidzając swoją obecność nie tylko funkcji, ale też swoistym cechom strukturalnym i semantycznym. Ma on swoje własne środki – poetyzm, jego cechy ekspandują poza jedną gwarrę, z której wzięły swój początek (Bartmiński mówi o tzw. interdialektie poetyckim), przeważa ma w nim formułczość („zasada typizacji sytuacji), postaci, motywów – przedmiotowych, języka”, s. 215), jest doskonale przystosowany do niemu i rytmu. To właśnie, choć weale nie wszystkie elementy ludowego stylu artystycznego.

Z nieco podobnym zjawiskiem spotykamy się w tzw. kolektach, czyli w rozmaitych środowiskowych i zawodowych odmianach dzisiejszej polszczyzny, którym nader interesujące opracowanie poświęcił Stanisław Grabias. Jak wiadomo, każda ludzka zbiorowość powiązana jakimś rodzajem więzi pretendująca do odrębności społecznej samowystarczalności konstruuje reguły własnego kontaktu językowego, które, jak w interdialektie mają te właściwości, że stosunkowo łatwo przenoszą się z jednej grupy do drugiej. Np. w gwarze studenckiej (autor – obok Leona Kazmarka i Teresy Skubalanki – jest współautorem słownika tej gwary, który wreszcie ukazał się drukiem w r. 1994 po długich bojach z cenzurą)

przechowało się sporo słów i wyrażen ze slangu wzięłego. Podobnie jest i gdzie indziej. Podobne grupy społeczne odznaczają się różnym stopniem wewnętrznej spójności, co w naturalny sposób znajduje swój wyraz w języku. Wśród jednak zasady kontaktu są podobne, a są nimi: zawodowość, tj. przydatność języka w konkretnej działalności danej grupy, tajność (fakt, że wytworza on coś w rodzaju własnego szyfru, który chroni ją przed obcymi) oraz ekspresywność, czyli przewaga elementów wskazujących na ocenę danego obiektu, jego emocjonalny związek z mówiącym itp. To właśnie owe sojoklety stanowią stali dopływ nowych słów i wyrażen do języka ogólnego, wiele zawiąduje im także styl artystyczny. Jeden i drugi nieustannie odnawia się w kontakcie z mową, która stanowi tak jawne zaprzaczenie oficjalności, służy pomocą w odbudowaniu więzi autentycznych między ludźmi, wprowadza żywość mowy, w której ani na chwilę nie zanika twórcy stosunek mówiącego do rzeczywistości.

Polowanie nacisku na język, tak jak on działa w konkretnych kontaktach międzyludzkich, musiało też doprowadzić do uwzględnienia całych, gotowych form wypowiedzi, gdyż każda taka wypowiedź, choćby minimalna, jak np. zadanie, komuś pytanie, prośba, ostrzeżenie itd. stanowi zakończoną, względnie zamkniętą jednostkę. Jest to, najprościej mówiąc, tekst. Słowo to, jedno z części stosowanych w książce, odbiega swoim znaczeniem od użycia potoczego. Tekst kojarzy się zazwyczaj z piśmem i drukiem, musi być odpowiednio duży, tu zaś jest synonimem każdej wypowiedzi pretendującej do miana pełnej i samodzielnej jednostki znaczeniowej. Teksty występują w mowie i piśmie, w języku ogólnym i gdzie indziej, nie podobna wyobrazić sobie jakiegokolwiek kontaktu językowego bez udziału tekstów. Podobnie gatunki, które powszechnie kojarzy się z literaturą, podczas gdy, jak nas autorzy przekonują, mają one zastosowanie stałe, w sytuacjach zgola banalnych. Są to gatunki mowy, które, niewiadomo, że stosujemy zwane do pewnych reguł, reprodukujemy stałe w najrozmaitszych sytuacjach, wnosząc do nich zaledwie pewien całość osobisty, indywidualny. Stanisław Gajda (*Gatunkowe wzorce wypowiedzi*) słusznie dowodzi, że gatunki w praktyce podlegają ciągłym zmianom, że, inaczej niż to się dzieje w literaturze, gatunki mowy stanowią integralny składnik sytuacji mówienia i dla pełni wydobycia swojego sensu wymagają rekonstrukcji całej „sytuacji komunikacyjnej”, w ramach której dany gatunek występuje. I tu można mówić o pewnej systematyce gatunków, chociaż opartej na innych zasadach. Problematyka ta w istotny sposób wzbogaca polszczyznę mówioną, chociaż badania nad tymi gatunkami mowy znajdują się dopiero w stadium początkowym.

Inspiracje płyną tu m. in. z teorii aktów mowy, opracowanej przez przedstawiciela tzw. filozofii analizy językowej zwanej niekiedy „ofordoką”, Johna Austina. Tytuł głośny i wpływowej książki tegoż autora *How to Do Things with Words*, czyli: co, jak, rzeczy można robić przy pomocy słów, wyraża już dobrze, choć metaforycznie, jego intencje. Otóż, jak potocznie doświadczenie uczy, słowa powodują określone reakcje słuchacza, mają pewne zdarzenie, wskazują, co *partnerzy konwersacji powinni robić, aby przynosiła ona jak najefektywniej i jak najracjonalniej* (Dorota Zduńkiewicz, *Akty mowy*, s. 263). Autor referuje wyniki badań językowych w tym zakresie, ale szczegółowo, choć czaszkowo egzemplifikując to problemu znajdziemy dopiero w hasle Malgorzaty Marejank *Ektykieta językowa*. Chodzi o *zbiór przyjętych w danej społeczności wzorów językowych zachowań grzecznościowych, zwyczajowo przyporządkowanych określonym sytuacjom pragmatycznym* (s. 271). Współczesnie, twierdzi autor, obowiązuje się daleko posuniętą schematyzację formalną językowych zachowań grzecznościowych (s. 276). I tu dochodzi do wyodrębnienia warstwy

oficjalnej i nieoficjalnej, na tym te powstaje szereg niespodziewanych zachowań, tradycyjny obyczaj ustępuje pod naporem „młodzieży” doby lub zwykłego chłamtawa. Opracowanie Marjanki zachęca na szczególną uwagę, podobnie jak hasło *Tęcza* autorka Teresy Dobrzyńskiej, choć ściśle i nader pouczające wydoby autorki zostały pozbawione bazy materiałowej czerpanej bezpośrednio z polszczyzny.

5. Preferowane dzisiaj w środowiskach naukowych tzw. kognitywne podejście do języka, podważające fakt, o którym zresztą była już mowa w tych uwagach, że jest on ściśle związany z naszym potoczny doświadczeniem świata, w jego wymiarze materialnym i duchowym, otóż podejście takie najwyraźniej realizuje się w leksykografii. Istniejące słowniki podając treści realnoznaczeniową wyrazu mają na uwadze głównie odniesienia przedmiotowe, czyli coś, na co dane słowo wskazuje, ostrzegając od ustulowania się podmiotu (mówiącego) do danej treści. Tymczasem znaczeniowo strona języka jest nośnikiem niejednokrotnie ukrytych, danych nie wprost, społecznie utrwalonych sposobów kategoryzowania i oceny rzeczywistości (Ryszard Tokarski, *Słownictwo jako interpretacja świata*, s. 335). Cytowany autor już w tytule opracowanego przez siebie hasła wyraża dobitnie przekonanie, wsparte dale szeregami argumentów, że analiza zasobu słownikowego polszczyzny, a odnosi się to do języka w ogóle, dowodzi istnienia w nim pewnych stałych tendencji skłających się na subiektywne wyobrażenie świata, naszego — jeśli tak można rzec — „świataobrazu”. Jest on ściśle powiązany z codziennym doświadczeniem, jest nieuchronnie antropocentryczny, gdyż w świetle dowodów dostarczonych przez język, człowiek a nie coś innego jest miarą wszystkich rzeczy, jest zarazem partykularny, polski i ogólny, uniwersalny, gdyż ludzkie, tak bardzo różniące się historią, kulturą, rasą, pochodzeniem, wiarą, nie tracą mimo tych różnic własności własności.

Dotychczasowe metody opisu znaczenia słowa okazują się zatem zdecydowanie niewystarczające wobec faktu, że w znaczeniu tym przecinają się różne i nader skomplikowane decyzje, jakie podejmuje mówiący. Za każdym razem dochodzi do głosu postawa wartościująca, oceniająca dany przedmiot czy zjawisko pod kątem cech jakości, które choć uchodzą za ważne i reprezentatywne. Istniejący zasób jednostek leksykalnych okazuje się wciąż zbyt ubogi wobec lawinowo przystępu doświadczeń, ślad ogromna ilości metafor w naszym języku, wciąż zyskująca, co tym bardziej nie widać o nazbyt wygórowanych skłonnościach estetycznych, nie wyczerpuje potrzeby uwzględnienia jakiegoś swoistego aspektu naszego doświadczenia, nie mającego dotąd swojej nazwy. Nie tylko tutaj podkreśla się znaczenie metafor w języku potocznym. Tokarski (i inni) powołuje się na udoświadczenia niedawno w przekładzie polskim książki dwóch lingwistów amerykańskich, George'a Lakoffa i Marka Johnsona *Metafory w naszym życiu* (1988, tłum. T. P. Krzeszowskię), której oryginalny tytuł lepiej od wersji polskiej wyraża sens tej nowej i oryginalnej propozycji badawczej: *Metaphors we live by*. Materiał dobrany ze współczesnej polszczyzny pokazuje, jak silnie ogarnięta jest ona przez żywioł metaforyczny. Językoznawca wyposażony w nowe narzędzia i nowa świadomość interweniuje w procesy powstające niejako na jego oczach, zajęcia, w których sam jako użytkownik uczestniczy. Nie zadawała go preto statyczne podejście do języka, skoro jest on terenem ciągłych zmian semantycznych, gdyż proces interpretacji świata nie ma końca. Procesy metaforyzacyjne należą do najbardziej skomplikowanych i przez to ogromnie ciekawych, oparte są na intuicjach trafnych, choć nie zawsze łatwych do wytłumaczenia przez tego, kto się nimi posługuje.

Na przykładzie nowego podejścia do zjawisk, którymi tradycyjnie zajmuje się leksykografia, widać coś, co być może uchodził uwagi samych badaczy, że ingerując w procesy i praktyki językowe, które mają charakter dynamiczny (tzn. że nie można bliżej określić ich początku i końca), zakładają zarazem, że celem tych zmian jest wprowadzenie porządku w chaotyczny i niezorganizowaną materię życia, ustalenie reguł, które pomogą nam lepiej niż dotąd oswoić rzeczywistość. Czy nie tkwi w tym pewien paradoks, a może nawet sprzeczność, że język będący integralnym składnikiem naszego doświadczenia jest zarazem jak gdyby wyrzucony na zewnątrz tego, którego stworzył? Czy nie w tym leży właśnie cała siła i wartość, którego (rzekomo) w nim nie ma?

Jeśli każdy język posiada właściwie dla siebie strefy gęstości i rozproszenia, czyli bądź kumulacji cech, które czynią go nieprzeładnym na inny język, bądź ich rozrzedzenia w sposób umożliwiający powiędzenie tego samego w innym języku, to najpełniej zjawisko to ilustruje frazeologia. Hasło jej poświęcone autorka Andrzej Marii Lewickiego i Anny Pajdzińskiej, poza szeregiem koniecznych zabiegów definicyjnych, klasyfikacyjnych i typologicznych, niezmiernie zresztą pouczających, daje najbogatszy w całej książce materiały dotyczące idiomatyki językowej. Frazy, zwrotów, wyrazów, jakże dobrze znanych z codziennej praktyki, pełnych nieczytelnych już dzisiaj aluzji do jakichś innych wydarzeń, ale przecież wciąż tworzonych od nowa, w oparciu o inne fakty, które dla naszych następców też staną się niezrozumiałe. I na tym właśnie polega twórczy stosunek jednostki do języka, w którym wyraża ono to, co w danej chwili wydaje się dla niej ważne i godne utrwalenia jako środek porozumienia z innymi. Związki frazeologiczne *uczupielniwą system słownikowy języka i pomatniają zasób synonimiczny środków leksykalnych* (s. 319). Jeśli się pojawiają nowe, to zawsze są to innowacje niezbędne: choćć może z pozoru zaledwie o pewien odcień znaczeniowy, ale w danej sytuacji słowno na okazuje się to na miejscu, lepszy od swoich synonimów. Świat, twierdzą autorzy, widziany jest i oceniany przez pryzmat frazeologiczny, przy czym zawsze mowa jest „o ludzkiej perspektywie oglądu świata” (s. 322). W tej dziedzinie najwyraźniej przeto ujawnia się nasza językowa inwencja, frazeologia jest niewyczerpanym źródłem nowych pomysłów, gdyż stąd — jeśli można tak powiedzieć — najbliższ życia, najbliższ ludzkiej oczekiwani, potrzeb, ale także i zagrożeni. Współczesność wiele zawdzięcza jej styl artystyczny (por. świetną książkę Pajdzińskiej *Frazeologizmy jako twórczość współczesnej poezji*, Lublin 1993).

Pora zasygnalizować krótko pojawienie się frazematyki, gałęzi frazeologii, zajmującej się pewnymi całokształtami wyrazowymi, które w pewnych sytuacjach, miejscach, okolicznościach są reprodukowane. Może to być zarówno wywieszka na drzwiach sklepu „Zaraz wracamy” jak życzenie „Wesołego Allahu!” stały zawsze w rozmowie na jej początku i zakończeniu itd. Rzecz jest stara i dobrze znana, problematyka jednak dopiero obecnie analizowana naukowo (Definicja Chlebda).

Zarysowane omówienie w sprzeczności właściwej definicji znaczenia (słowa, frazeologizmu) potęgają się z chwilą, kiedy w obszar ten wprowadzi się pojęcie stereotypu. Jest ono w naszym wieku dobrze znane socjologom „specyfic” od komunikacji społecznej, teorii propagandy itp., tu za poważa się jako kwalifikacja językowa naszych wypowiedzi. Autor hasła *Stereotypy językowe* prezentuje poglądy, że należą do nich wszelkie pojęcia potoczne, które są silnie zabarwione podmiotowo, swoicie wewnętrznie zorganizowane i uchodzą w skład językowo-kulturowo obrazu świata danej wspólnoty komunikatywnej (s. 365). Stereotyp nie jest tym samym co nazwa,

wzborgać on znaczenie słowa, gdyż używając stereotypy wybieramy *pełniejsze* ujęcie treści znaczeniowej słowa, *natomiast się na uchwycenie jego relacji do podmiotu mówiącego i jego punktu widzenia* (s. 367). Jak widać, novum tej propozycji tkwi w tym, że stereotyp jest nieuchronnie związany z każdym znaczeniem, choć nie w każdej sytuacji czy momencie sens stereotypowy może się ujawnić. Oznacza on generalizację cech przypisywanych wszystkim obiektom danego gatunku czy klasy, sugeruje, co z góry należy o nim myśleć, jeszcze przed nawiązaniem z nim kontaktem. Pod tym względem stereotyp jest pojęciem przeniesionym z socjologii. Językoznawca ma jednak ambicje opisanego go w terminach językowych, pokazując, że czyni Bartmiński, jakie są wykladniki językowe stereotypizacji: powtarzalność charakterystyki danego obiektu w różnych wypowiedziach przy pomocy zbliżonych środków językowych, analiza wyrazów pochodnych (derywatów), metafor, frazologizm, przykładów, które jak wiadomo są nosicielami stereotypów, a także sam sposób komponowania tekstu, sugerujący stereotypową ocenę danej osoby. Stereotypy mogą bardziej niż inne środki dowodzą, że myślimy i projektujemy nasze zachowania wedle zasad, jakie rządzą naszym „obrazem świata”.

6. Pomnożenie zasobu słownictwa stało się udziałem polszczyzny powojennej. W tym czasie powstało kilkadziesiąt tysięcy nowych wyrazów oraz kilkaset tysięcy terminów naukowych (Teresa Smółkowa, *Nowe słownictwo polskie*, s. 389). Ponad połowę tego stanu stanowią rzeczowniki, z tego ponad 90% nazwy przedmiotów, których dotąd nie było (jak „domofon”), w ogóle zaś nastąpiła intelektualizacja leksyki ogólnej. Tempo przyrostu nowego słownictwa odpowiada tempu życia. W nazewnictwie własnym językoznawcy uprzążają — w niewielkim co prawda zakresie — proces zmiany nazw pospolitych na własne, rejestrują coraz częstsze osobliwości w odmianie nazw własnych, co już obecnie staje się zadaniem tzw. gramatyki onomastycznej, uwzględniającej gramatyczne swoistości nazw (Ewa Rzetelska-Feleszko, *Nazwy własne*). To samo odnosi się do nazewnictwa geograficznego, które po wojnie stało się np. wcale niemal problemem na tzw. ziemiach odzyskanych (szkoda, że o tym tak mało, zob. E. Rzetelska-Feleszko, *Nazwy geograficzne*). Jesteśmy też świadkami wielu interesujących tendencji, jakie zachodzą w dziedzinie nazw osobowych (hasło opracowane przez Czesława Kosyla). Znaczną rolę odgrywają tu tradycje rodzinne, wpływ masowych środków przekazu i literatury pięknej, w wyborze imion. O chrematomach była już mowa na początku (hasło autorstwa Kosyla), tworzą one jeden z bardziej dynamicznych działów obecnego słownictwa. Tu i gdzie indziej statystyka językowa, która po wojnie zdobywa coraz szersze uznanie, pozwala lepiej i precyzyjniej uchwycić procesy, widoczne często gołym okiem (por. Jadwiga Sambor, *Język polski*).

Poliszczyna, jaka mówimy dzisiaj, przechwuje ślady obcych wpływów i zapożyczeń, których pochodzenie całkowicie zatario się w świadomości potocznej. Kontakty jednak nie ustały i trudno nie dostrzec, jakim powodzeniem cieszy się u nas język angielski, skutecznie konkurując w dziedzinie gospodarki, reklamy, terminologii naukowej z francuskim czy niemieckim. Nie brak w tym względzie zapożyczeń sztucznych i egzotycznych (por. Bogdan Walczak, *Kontakty polszczyzny z językami nieświadczoślanymi*). W mniejszym stopniu dotyczy to kontaktów z językami słowiańskimi (Janusz Rieger i Janusz Siatkowski), które zdaje się wyczerpały swój potencjał formotwórczy. Sporo uwagi przyciągał po wojnie stan polszczyzny w dialektach, tak liczącej jak amerykańska, gdzie „mother tongue” używany jest przez ok. 2,5 miliona ludzi. Kwestie te niezwykle

ciekawe pod względem socjologicznojęzykowym stanowią przedmiot opracowania Bogdana Walczaka *Język polski na Zachodzie*. Polećić go należy wszystkim, którym bliskie są sprawy emigracji powojennej (i wcześniejszej). Ostatnimi czasy ogromnie wzrosło zainteresowanie językiem polskim na Wschodzie (Janusz Rieger). Temat ten w PRL podlegał cenzurze i dopiero z upadkiem komunizmu polszczyzna kresowa stała się przedmiotem szerokiej studium — sięgającej ona zarówno na tereny pogranicznych północnych i wschodnich, jak i poza granicami polski. Rzecz z konieczności tu zasygnalizowana zasługwałaby na znacznie dokładniejsze zreferowanie.

7. Dzieje językoznawstwa polskiego w XX wieku stanowią przedmiot gruntownego opracowania Andrzeja Marii Lewickiego. Autor stanął tu przed tymi samymi problemami, z jakimi wcześniej musiał uporządkować (z różnym zestąpił skutkiem) monumentalna *Historia nauki polskiej* (jej pierwszy tom ukazał się w r. 1970). Czy mianowicie w historii jakiegos dyscypliny naukowej rozwój jej przebiega w sposób niezależny od okoliczności zewnętrznych, czy też historia warunkuje w pewien sposób sposób widzieć. Tak się składa, że początek naszego wieku pokrywa się dokładnie z wydaniem jednego z ważniejszych słowników języka polskiego, zwanego warszawskim, który zaczął ukazywać się w r. 1900, w tym samym co *Słownik gwar polskich* Jana Karłowicza. Od tej daty do r. 1925 trwa proces, który Lewicki nazywa kształtowaniem środowiska naukowego. Jest to okres znany świetnymi nazwiskami uczonych, których prace naukowe znajdowały się podówczas nie tylko w kraju, ale w całej wręcz Europie: Baudouin de Courtenay, Kazimierz Nitsch, Aleksander Brückner, Jan Rozwadowski, Władysław Nehring... Lingwistyka polska w tym czasie właśnie nie odbiega od poziomu europejskiego, a pod pewnymi względami nawet go przewyższa. Następuje okres to, wedle opinii autora, kontynuacji i rozwój, czas rozpięty między latami 1925-1958, kiedy na szeroką skalę rozwinęły się badania historycznojęzykowe, w szczególności nad historią ojczystego języka, dialektami i polszczyzną współczesną. Lata 1958-1975 to panowanie strukturalizmu, w czym lingwistyka polska nie odbiega od sytuacji panującej podówczas w świecie. Końcowy okres od r. 1975 do dzisiaj (nie ma w opracowaniu Lewickiego własnej nazwy, czyli jednej, dominującej tendencji). Autor demonstruje rozmaite kierunki badań w tym okresie, często w stanie powalającym mówić bardziej o perspektywach i możliwościach niż konkretnych osiągnięciach.

Rodzi się na koniec pytanie, czy mianowicie tom zredagowany przez Bartmińskiego wyraża wspólnie stanowisko autorów w sprawach języka? *Ważne miejsce w nim* — pisze autor w *Wprowadzeniu* — *zajmują pojęcia językowego obrazu świata, funkcji mowy, gatunku i stylu, stanowiące pomost między wiedzą o języku a wiedzą o kulturze* (s. 14). Odpowiada to tendencjom we współczesnym językoznawstwie, a także lingwistycie usposobionej brytyjskiej filozofii analitycznej, które to dyscypliny wspólnie, choć każda na własną rękę, próbowały (i czynią to nadal) zdefiniować język, przede wszystkim przez odniesienie go do świata znaczeń. Do sfery ludzkich doświadczeń. *W nauce o języku* — pisze dalej Bartmiński — *po okresie triumfalnego rozwoju strukturalizmu i generatywności, która przyniósłaby wyisolowanie języka z kontekstu, zaczęto w większym stopniu zwracać uwagę na wielokierunkowe wniknięcia języka w konteksty psychologiczne, społeczne i kulturowe* (s. 15). Jesli nie jest to deklaracja przynależności autora (i jego współpracowników) do żadnej z konkretnych „szkół” czy „kierunków”, to jest to z pewnością wskazanie na taki sposób rozumienia języka, który mimo wszelkich różnic jest wspólny autorom tomu.

Jerzy Święch

GENOWEFA JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA

* * *

byłam u pierwszej komunii
chciałam zostać świętą
ale nie mieliśmy pieniędzy

nie było więc w rodzinie
świętych ani samobójców
kilka kobiet zmęczonych
o piątę rano

nie mieliśmy też ziemi
ani nieruchomości
raz z siostrą przyniosłam
ze szkoły wszy

na wsi kwitły głogi
i umierały gęsi
na wyschniętych stawach

w mieście czytałam Prousta

dalej nie było już poczty
dziennik telewizyjny
żytnia na kartki
porodówka

* * *

kroi mortadłę w plasterki
za oknem niebo w różach
przypomina sobie
we śnie miała orgazm
naprawdę to nic
nie ma sensu

siada w pozycji lotosu
wbija różowe paznokcie
w kolana ale to też
nie ma sensu
pies szczeka

nie można zapomnieć
na wiosnę przychodzi wiosna
farbuje włosy
spodziewa się depresji
i bólów głowy

patrzy w ścianę
idzie do łazienki
obmacuje piersi
boi się

siada na tapczanie
zakłada nogę na nogę
patrzy w ścianę
placze

gdy była małą dziewczynką
podała starą sukienkę
placze jeszcze bardziej

nienawidzi ślicznych dziewczynek
w różowych sukienkach

Jeździec

koniom z pysków cieknie
złotawy pył zachodu
choćbyś z tego ognisko nieba
wydubiał zdycha ci koń
bydło posag
dłużej nie będziesz patrzył
masz serce obrzeżane
a nie wiesz kiedy dokonano
rytuału czystości
boi w sen zapadał wieczny
tak sam byłeś jak bóg jak pies
i językiem wysuszałeś
krypię miłości
w kącie klacz
wysiadywała żrebię
żeś klęczał głuchy u stóp
święty był ci łaskaw
ale odgryzłeś piersi klaczy
i mleczność bieli
sypie kopyta gwiazd
z otwartej stajni nieba

i nie na ziemi nie słychać
prócz płaczu i siebie i płaczu

* * *

pusto w środku
między udami
palce

cicho płacze cicho

palce na wargach
zapach
uschniętej lodygi

palce na brzuchu
na piersiach
palce w gardle
we włosach
między udami

nagi jak księżyc
mi się śnisz

* * *

gdy jesteś Marią
świętą szaloną
ubierając się
w koszulę bez guzików

uciekasz boso
pod łóżko

karawana pajków
idzie przez twoje piersi

obok na łóżkach
siedzą manekiny
kiwiają nogami

mucha

siada na białej
kracie okna

za oknem słońce
wyrzywa sobie pióro

niebo w krwi

Genowefa Jakubowska-Fijałkowska

SZCZEPAN WORONOWICZ

MOTYL

Tej jesieni nie jestem osamotniony. Kiedy przychodzę do domu z myślą o tym, że będę mógł słuchać, powiedzmy — „Koncertów brandenburskich” w wykonaniu leningradzkiej jeszcze orkiestry kameralnej, kładąc płytę na dysk starego adapteru „Cyril” wiem, że w którychś z pokoi albo w kuchni trzepoce się piękny, wielobarwny motyl. Harmonia kolorów na jego skrzydłach każe mi myśleć z pokorą i zawstydzeniem o kolorystycznej niedoskonalości ludzkiego ciała.

Motyl nie opuszczał mnie, chociaż wychodząc co dnia rano, z rozmysłem zostawiałem okno otwarte, nie chciałem bowiem tak po prostu wyrzucić go z wysokości trzeciego piętra, zlągzonej nieco sąsiedztwem wielkiego kasztana, mojego rówieśnika, słowem z wysokości, która dla niego (przynajnie) nie jest z pewnością żadnym utrudnieniem, a jedynie przestrzenią do pokonania z lekkością, o której oczywiście tylko on ma pojęcie. Nie chciałem sam przykładać do tego ręki, bo z pewnością uszkodziłbym cienką warstwę wielobarwnego pyłku na jego skrzydłach.

Wspomniałem o motyłu Ewie N., a właściwie Ewie R. Powiedziała, że motyl zaśnie i obudzi się na wiosnę. Była przy tym bardzo pewna siebie, jest to jej maska, kryjąca trochę zagubioną istotę, osobowość dość neurotyczną, szukającą we wszystkim potwierdzenia swoich racji i swego widzenia świata. Ja zaś często widzę ją jako trochę zablakowaną dziewczynkę, której potrzeba dużo czułości. Pamiętam, że byłem sceptyczny, jeśli chodzi o szanse przetrwania motyla. Powiedziałem, że wątpię.

Często zastanawiałem się, czym żywi się motyl, nie miałem żadnego pomysłu i w desperacji zostawiałem mu świeże cięte kwiaty w tęczowym wazonie na stole przykrytym białą serwetą z haftem richelieu. Pamiętam kardynała z jakiegoś filmu, który oglądałem przed laty. Jechał w pięknej karecie, zasłonki w oknach były opuszczone. Powóz miał miejsce strażen urządzone naprędce na którychś z paryskich placów. Richelieu uchylił zasłonkę, spojrzal przez szybę i lekkim usmiechem skwitował to, co działo się na zewnątrz. To on przyczynił się do tego, że plac był pełen gapiów, obserwujących kata przy pracy. Może pomyślał: „w Bogu nasza siła” albo coś w tym guście, mając przy tym poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Motyl najwyraźniej czuł się dobrze, co dodawało mi otuchy,

wieczorami jednak latał mniej, wolał przesiadywać na białych przedmiotach, wachlując kolorowymi skrzydłami. Brąz, czerwień meksykańska, głęboki granat, błękit, błękit paryski, miejscami trochę beżu — tylko tak potrafię opisać piękno jego skrzydeł. Jest to zaledwie muśnięcie jego charakteru, ponieważ na razie nie czuję się na siłach, by pisać o symetrii i asymetrii barwnych plam, które mówią o jego przewadze nad wszystkim, w co ubierają się kobiety, po rozebraniu blade i chyba trochę bezbarwne, bezbronne nieco przez widoczne w ich oczach wielkie pragnienie czułości, której tak naprawdę zaznają chyba dość rzadko.

Później wybierał powierzchnie chropowate, nadal zdecydowanie gustując w białym. Godzinami siedział na przykład na „gęsiej skórcie”, wąskiej, białej taśmie klucy, którą kiedyś przykleiłem do stoika po kawie „Jacobs”, w którym teraz trzymam cukier. Jego już niewielkie zapasy powoli dojadam. Nagromadzili się one podczas stanu wojennego, kiedy każdego miesiąca trzeba było wykupić kartki wojenne.

Po pewnym czasie przestałem poruszać się swobodnie po mieszkaniu, gdyż zorientowałem się, że motyl lata już coraz mniej, woli raczej chodzić po podłodze. Dlatego też trudno było przewidzieć, gdzie pojawi się w następnej chwili. Kiedy wchodziłem do mieszkania, od razu zapalałem światło, żeby przyпадkiem na niego nie nadeprnął. Myśl o tym, że nieświadomie mógłbym go zgnieść, niepokoiła mnie bardzo już w autobusie, gdzie moim ulubionym zajęciem była zabawa polegająca na wyobrażaniu sobie niektórych kobiet, siedzących nobilnie lub kokieteryjnie na fotelach ze skajiu, że są zupełnie nagie i że nie wiedzą o tym. Bardzo podobało mi się, jak poprawiają płaszczki czy jedwabne chustki pod szyją, albo sięgają do nie istniejących torebek. Niektóre były pięknie, inne może nieco mniej, ale wszystkie miały więcej ciepła niż w ubraniu.

Kiedy przekraczałem próg, wyobrażałem sobie siebie widzianego oczami motyla, który może zaledwie pomyśleć o pojawieniu się czegoś niewyobrażalnie wielkiego i niezgrabnego i czuje się skazany na łaskę tego kogoś, bo nie może już pofrunąć. Nie może też zawołać, a raczej ostrzec: „Uważaj, tu jestem!”

Chodziłem więc naprawdę bardzo ostrożnie, uważnie spoglądając pod nogi. Postanowiłem też nikogo nie zapraszać, zwłaszcza kobiet.

Ktorego wieczora motyl zataczał się w przedpokoju, pomiędzy ścianą a szerokim chodnikiem o nieco jarmarczonym wzorze, który w zestawieniu z nim wydawał się jakiś niezwykle tandetny i brzydki. Najwyraźniej upatrzył sobie dębowy, niedawno polakierowany czwórwałek, stanowiący granicę pomiędzy poziomem podłogi, a pionem białej ściany, którą malowałem ostatnio emolakiem. Zastanawiałem się, dlaczego wybrał to miejsce. Doszedłem do wniosku, że może dlatego, że to najbardziej oświetlone miejsce w przedpokoju i w ogóle w całym mieszkaniu. W takim stanie rzeczy przejawia się zresztą moja nieco chorobliwa, z trudnością skrywana, skłonność do fasadowości.

Był najwyraźniej skrajnie wyczerpany, rozwarł skrzydła i tkwił nieruchomo przez dłuższą chwilę. Pochyliłem się nad nim i pomyślałem, że już czas się żegnać. Nie wiedziałem, co począć. Po-

stanowiem zrobić mu zdjęcie. Nie mogłem użyć flesza, w aparacie miałem slajd Fuji, który nie nadaje się do lampy błyskowej. Najpierw dobrałem obiektyw, chciałem użyć tzw. dwusetki, ale w końcu wzięłem sto trzydziestkę piątkę, wydawało mi się to trestają logicznie, przecież zamierzałem robić portret.

Długo ustawałem kadr. Szukałem poziomu i pionu i jak najbliższego zbliżenia. Motyl tkwił nieruchomo, ukazując piękno swoich barw. Kiedy wreszcie zdecydowałem się eksponować, zaczął się poruszać, co mnie zaniepokoiło, ponieważ musiałem otworzyć przesłonę na stosunkowo długi czas. Film nie był bardzo czuły. Czekając, pochyliłem nad podłogą. Wiedziałem, że robię coś bardzo ważnego. On z pewnością wie więcej ode mnie, pomyślałem. A ja chcę tylko zatrzymać czas, dla niego zaś przestanie on istnieć. Zdałbym sobie sprawę, że żęgnam go i że tym razem tracę go bezpowrotnie. Trochę tak jak ostatnie spotkanie z bliską kobietą, która odpływa za ocean. Popatrzyłem na siebie z boku. Śmieszny sentymentalny facet, skurczony nad podłogą, z aparatem w ręku, zastygnięty w oczekiwaniu. I do tego jeszcze naciągnięta migawka, symbol potencji, ponieważ jest synonimem strzału, stad zaś do iniektywala już bliźuteniok jak przez przysłowiową sien. Obiektyw, zgodnie z prawami statyki, ciężły w dół. Właściwie powinienem sobie kupić statyw — pomyślałem.

W końcu, po paru kolejnych sekundach wyczekiwania, zrobiłem zdjęcie, zawieszony w niepewności nad podłogą, ufając, że zdjęcie będzie udane. Nie miałem innego wyjścia.

Po dwóch dniach zobaczyłem go na białej serwecie ozdobionej haftem richelieu, martwego. Leżał głową na podstawie stojącego zegara, który ze złotym błyskiem wahała odmierza czas liczony od mojego pobytu w Londynie kilka lat temu, skąd przywoziłem zegar. Skrzydła miały złotone, ukrył ferię barw na zawsze. Spodnia strona skrzydeł, właściwie czarna, dostosowana do sytuacji, w jakiej się znalazł. Położyłem go na katafalku niezbyt wielkiej mahonowej tacy, z orłem Kazimierza Jagiellończyka, na której trzymałam woskowy samochód osobowy z przyczepą, woskową gwiazdę betlejemską, prezenty, które zrobiły dla mnie moje dzieci, białego szklanego zajączka, którego dostałem od kadrowej, piórko dzięki gęsi, od mojej czerceki i szlufkę od paska do sukienki Krystyny, kobiety, która po latach odzidiwała mnie kiedyś na krótko.

Tej jesieni nie jestem osamotniony.

Szczepan Woronowicz

JAROSŁAW ADAM SAWIC

Pani Płacząca Wierzba

Wcale nie jest liryczna ani marzycielska,
Choć tak często ociera łzy.
Czesze pachnące włosy, chce być najpiękniejsza,
Zamiast pudru używa mgły.

Przyciąga swych kochanków żywicznych, sękatych,
Wydeciem brązowych ust.
Gdy ustrojeni w lity noszą dla niej kwiaty,
Odsłania swój zielony biust.

Liściasty Casanova nie ma do niej wstępu,
Jęj domu strzeże ostry krzew.
W seledynowych palcach splecionych na pępku
Trzyma dusze umarłych drzew.

Czasami, gdy lśni księżyc, lubi trochę śpiewać,
Ma tamburyn z miękkiego pnia.
Pani Płacząca Wierzba nigdy nie umiera,
Odradza się każdego dnia.

Dzieci Quetzalcoatl

Możemy już tylko karmić się peyotlem,
recytować hymny ku czci Dawcy Życia
pana wszystkich kolibrów świata
i oddawać się grze tlachtli,
świętej grze.

Teraz, gdy białokóry
stoi u bram miasta Tenochtitlan,
miasta naszych ojców,
a z nim wszystkie hordy Tlaxcali
chciałbym zmienić się w jaguara,
albo przynajmniej w jadeditową maskę
wyrewaną z grobu Axayacatla.
Niekiedy mówią, że to Quetzalcoatl
przybył zza siedmiu wód,
aby nas ukarać za nieposuszeństwo.
To prawda, kochają go nasze kobiety,

a starożytny lud Totonaków złożył mu hold.
Lecz czy to wystarczy, żeby być Pierzastym Wędzem?
A może rzeczywiście trzeba było
składać ofiary tylko z kwiatów?
Tylko z motyli?
Lecz co by wtedy powiedział Dymiące Zwierciadło?
I czy Huitztopochtili pozwoliłby nam odnosić zwycięstwa w wojnach?
Tak czy inaczej i tak wszyscy kiedyś wrócimy do Aztlan.
Miejscu Czaplń.
Krainy naszych przodków.

Mefisto

Na starość Mefisto lubi siaładć w pubie
I przy szklaneczce Smirnoffa namiępnie wspominać
Swą mlodość pełną przygód i piekielnych szaleństw,
Gdy pół Europy grzmiało o jego wyczynach.

Był czas, gdy swym harcapiem ślicznie fryzowanym
Zdobywał wdzięki panien z bogobojnych domów,
W eleganckich karocach pstrykał klejnotami,
Wioząc wór cyrografów z pieczęcią aniołów.

A dzisiaj choć kuszą nogi Cindy Crawford,
Są już lepsi od niego, ich Lucyfer woli,
Więc Mefisto siedzi z niezdrową aurą
I łamie obwarzanki w kształcie aureoli.

Spotkanie Tristana z pająkiem

Drzę i uciekam przed białych dłoni
Spłotem śnieżystym,
Chciałbym mieć znowu przy swojej skroni
Pukiel złości.

Choć piję dużo, nie zapominam
O złotych lokach,
Czasami śni mi się w oparach wina
Brew Lancelota.

Lecz częściej jeszcze stopa Marhotta
I obce fiordy,
Uśmiech Gawaina, złościy ołtarz —
Włosy Izoldy.

I każdej nocy błękitną laną
Zabijam smoka,
Wyrzynam język, czerwoną barwą
Plynie posoka.

A potem kruszę panczer irlandzki
Pod białym wrzosem,
I chwytam miękkie puch akwitański —
Dłoń złotowłosej.

Tę dłoń gorącą, nie jak śnieg białą
I jak on zimną,
Pieszczę bez końca, nade mną gałąź
Smutku zastęglą.

Bo gdy trzejwięce, pęka widziadło
Jak struna harfy,
Zamiast smoczycy bure wahadło
To pająk martwy.

I pęka również Marholta zbroja
Szara chityna,
I nie utoną w nagich ramionach,
Lecz w pajęczynach.

Dolina łabędzi

Każdego roku
wraz z końcem zimy
dolina napelnia się czcicielami łabędzi.
Górale w baranich kożuchach milczącej i groźni
młode kobiety z dziećmi na ręku
kupy z dalekich grodów mający zamiast pępka złotą kłamię
baronowie na karych rumakach
kolodzieje z dymiących górskich osad
nawet wiedzący najemnicy i prostytutki o różowych ustach
wszyscy uczestniczą w wiosennej krucjacie.
Czciciele łabędzi...
Gromadzą się nad stawem
sypią srebrne okrauchy monet
chlebowe lilie
białym ptakom z wygiętymi szciami.
Mijają lata
zimy są coraz dłuższe
a oni pozostając w katedrze uniesienia
nie dostrzegają że w dolinie
nie ma już łabędzi
i że wielbią tylko
puste zwierciadło stawu.

Chalcedon i Sykomora

Chalcedon i Sykomora mieszkali w cylindrze
pomarszczonym i szorstkim jak makowy keks,
Czas płynął im ślesko aż do dnia pewnego,
Kiedy to Sykomora znalazła cache-sexe.

Leżało w wąskobiodrym, bladej szkle
Pośród wiązki dzbaneczników zakutych w żelazo,
Sykomora pobladła, syknęła jak wąż
I gwałtownym ruchem stfukła drogocenny wazon.

A gdy wieczorem Chalcedon stroił katarynkę
I nacił „The End” Doorsów w tonacji C-dur,
Sykomora naciągnęła lewar wielkiej kuszy,
Belt wbił się w Chalcedona brzuch aż po pępek piór.

Uśmiechnięty i skryty w białym winie sznur
„Marsz pogrzebowy” Chopina bardzo cicho gwizdał
Czeka na Sykomory delikatną dłoń.
Chalcedon i Sykomora mieszkali w cylindrze...

Jarosław Adam Sawic

W dniu 1 lutego 1996 r. został rozstrzygnięty IX ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Błę Kawałki”. Jury w składzie:

— prof. Zofia Moczarska-Tycowa
— o. Wacław Ouzajca SJ
— prof. Janusz Kryszak

ocenało 415 zestawów wierszy nadesłanych przez autorów z całej Polski.
Jury konkursu przyznało nagrody za zestaw wierszy oraz równorzędne wyróżnienia za poszczególne utwory w następujący sposób:

I nagroda — 600 zł
Mariusz Baryła z Piotrkowa Trybunalskiego.
Dwie równorzędne II nagrody po 350 zł
Marek Brymora z Kalisza.
Alojzy Michalski z Bydgoszczy.
III nagroda — 300 zł
Michał Bendkowski ze Zduńskiej Woli.
Wyróżnienia po 100 zł: Stanisław Goła z Bielska-Białej, Adam Korzeniowski z Gościmcia, Grzegorz Olszański z Orzecha, Paweł Pawłowski z Ostrowia Wielkopolskiego.

MARIA JÓZEFACKA

ELEGIA DLA SARAJEWA

1. Zaistnień mocniej. Tego zapragnąłem. „Ein Gott vermag.“
Czułem, że trzeba się śpieszyć. Wygrzywać z czasem zamieniam moje
dziedzictwo na muzykę.

Jest noc i ciężkie gwiazdy zawisły na Romaniji, nad pustkowiem,
skąd nie mam wyjścia, chyba prosto w śmierć. Z rękoma na karku,
z przeświadczeniem, że nie warto było się starać. To nie dla mnie, nie
dla nas, balkańskich desperatów. W tej części Europy rodzimy się
z zapisaną w genach wolą przetrwania — równą pasji samozniszczenia,
jaka też nie jest nam obca.

Rok temu wzdurliwym wzruszeniem ramion kwitowałem frazesy
i łgarstwa na temat mojego kraju. Nie przyjmowałem do wiadomości
także tego, co docierało do mnie z wewnątrz: zbiórowego samooszustwa,
frustracji, powoływania się na mity wbrew faktom. Nie zamierałem się
w to mieszać. Z urodzenia Europejczyk, dzięki muzyce
obywatel świata, objęty na otoczenie, zapatrzony w siebie, śniący
na jawie — dobrowolnie wróciłem tutaj, pozwolłem zatrzasnąć się
w balkańskim getcie, aby udowodnić sobie i innym, że getto,
jakkolwiek je nazywać, jest w nas. O ile wyrazimy swoje przyzwolenie.

W pewnej chwili czujemy, że przestaliśmy się zgadzać na święty
spokój za wszelką cenę, że nie życzymy sobie, aby nas traktowano jak
ulubioną salonową papugę, że nieznośnie stały się zarówno litowicze
puste gesty elit, jak niewiedza i obojętność większości.

Od pewnego czasu w mojej europejskiej ojczyźnie, która tak hojnie
obdarza artystów łaskami, otrzymuję przesyłki docierające do hoteli,
gdzie się zatrzymuję i do sal koncertowych zapelnianych przez
wrażliwą, wyrafinowaną publiczność. Przesyłki z napisem, jaki
z pewnością często widywał mój dziadek: „Serbom, Żydom, Cyganom
i psom wstęp wzbroniony“.

Początkowo wyrzucałem te świstki do kosza, później usiłowałem
dochodzić, kto jest ich autorem, komu oplaca się ścigać mnie po
Europie. Szukałem w pamięci osobistych wrogów, ale ich nie
znalazłem. Nie na tym poziomie. Musiałem wręczcie uznać, że nie
osoba moja wzbudza tę nienawiść, ale pochodzenie, że jest to wojna
nie ze mną, ale z każdym. Przeciw dwadzieścia parę lat wystarczyło,
że jestem muzykiem. Raść, że tak wielkie mam do ofiarowania,
tym uzasadniałem swoją obecność w świecie. Teraz zaszeregowano
mnie w sposób zgoła absurdalny. Prawdopodobnie umiałbym odzrucić
nową tożsamość zaoferowaną mi przez zbiorową nienawiść,

nie mam zamiaru jednak udawać przed samym sobą. Tutaj, na
pograniczu śmierci, staram się wyjaśnić tę jedność, tę wyłączność, tę
sprzeczność.

Mój dom, moje dzieciństwo, moje dziedzictwo.

Wyjeżdżałem kilkanaście lat temu z Sarajewa, żegnając na krótko
czyli na zawsze przez wszystkich, którzy mnie wtedy kochali, których
nie kochałem, ponieważ takie rozpoznanie przychodzi zwykle zbyt
późno, kiedy nie ma już do czego wracać.

Wcześniej osierocony, wychowywany byłem przez babkę i zastęp
przyrodniczych ciotek, które bezgranicznie pusły mnie i rozpieszczały.
W Bośni, gdzie wciąż żywe są chłopskie tradycje bezwzględnej
męskiej dominacji, nasz dom był wyjątkowy. Niezależność matera
łianalna dodatkowo to pożyję umocniła. Moja babcia grała
pierwszą rolę wśród sarajewskiej elity. Dwukrotnie odwołała,
nie była jeszcze nazbyt posunięta w latach. Chodziła zawsze
w czerni, co nie oznaczało żaloby, lecz wydatniało urodę; pełna
osobistego czaru, doskonale wychowana, wykształcona gruntownie,
choć bez dyplomów, była ozdobą towarzystwa i udzielała się nader
chętnie. Kiedy jej to odpowiadało, zrzęcznie chroniła się za parawanem
swojej kobiecości, uchylając się od politycznych i propagandowych
funkcji i twierdząc, że jej mąż misję tę wypełnił. Oczagowo go
respektem, nikt więc nie odważył się narzucić wdowie czegoś, co
byłoby jej niemiłe. Córki lekceważyła, ponieważ okazały się przeciętne
pod każdym względem, nienagane matki i żony, więcej niż. Zięciów
uważała za marnych karierowiczów, którzy sprzedaliby duszę
(gdymy już posiadali, dodawała z uśmiechem) za pół dinara na
hazarze lub za awans do rady skupsziny. Pochlebiała jednak ich
ambigiom, wiedząc że dobrze wytwoszone córki nie zdemaskują
kamufażu.

Jakbywem w towarzystwie i rządzenie z ukrycia dostarczało babce
wiele uciechy. Umiała się posługiwać ludźmi. Wmówiłyby we mnie
talent, nawet gdybym go nie miał. Pokochała mnie, ponieważ
odkryła pokrewną duszę. Radość, jaką oboje znajdowaliśmy w muzyce,
stworzyła między nami szczególnie intensywną więź.

Była rodem z Dubrownika, dokąd często jeździłszy w odwiedziny
do jej dawnych przyjaciół. Twierdziła, że jak Anteusz czerpie siłę
z rodzinnej ziemi. Niesychanie żywotna, zdawała się zrzucić bagaż
niepotrzebnych lat. Lubiała tańczyć, a zasypywałam ją zaproszeniami.
Nie potrafił zapomnieć jej śmiechu w tamte dni. Nauczyła mnie
pływać, nauczyła mnie cieszyć się każdą chwilą, wypijać ją do
ostatniej kropli, nauczyła mnie nie bać się, wychodzić naprzeciw
niebezpieczeństwu.

Długo teraz jestem tutaj, zamiast chować się po kątach Europy.
Ponawiam i pogłębiając nasz ślad w kulturze. Ilu z nas rozszarpały
szalejące menady? Muzyka trwa. U progu tego wieku jeden z moich
duchowych mistrzów pytał: „czy znajdzie się kiedykolwiek taki Bóg,
który będzie miał dość dobroci w sobie, aby zaleczone została ta
straszliwa rana, jaką jest dziś Europa?“ Czy jest w nas dość dobroci,
pytam teraz, gdy wiek się dopala w ciemności rozrywanej dalekimi
wybuchami nad Romaniją.

Aby się nie lękać, powtarzam jak pacierz wspomnienia z dzieciństwa.

W Dubrowniku babka pokazała mi dom, w którym się urodziła, dom, w którym przyszeli na świat także jej ojciec i pradziad. Dotykając Onofrijeviej ścemy szeptałem dziwnie życzenie, spełniały się nader szybko, nie wiem czy za sprawą świętego Onofrija, czy mojej babki. Układałem piosenki, które śpiewaliśmy wniebogłosy przemierzając ręką w rękę Stradun. Ściągnaliśmy się, biegnąc schodami i tarasur Braşlje prosto w morze tonące w słońcu. Moje chłopięce serce zachyciło się ryccarską dewizą wyrzut w murze twierdzy Lovrijenac. Zapamiętałem uzyć się łaciny, skoro dźwięczała jak muzyka. Non bene pro toto libertas venditur auro. Oto prawdziwa przyczyna chwały i nieszczęście tego świata. Zaiste: wolności nie sprzedaje się za jego złoto.

Wrzeszła mnie rzeźba oplakiwana nad portalem kościoła małych braci, gdzie moja babka brała ślub ze swoim pierwszym mężem. Ostatnio w górskich wioskach Romanji często widywałem tę scenę rzeźbioną najgłębszym cierpieniem w ludzkim materiale. Twarze kobiet, które kamienieją, ponieważ nie mają już łez, aby oplakiwać najbliższych. Dawny mistrz, którego imienia nie zapisano, wykult do wiekiste doświadczenie czyniący je niemiernymi. Wiedział z pewnością, że cierpienie zawsze jest to samo, chociaż nowe w każdym człowieku.

Pływały motorówką na Lokrum, gdzie straszyla mnie skala, z której stracono skazańców. Nie lubiłem tej wyspy ani jej rucuchanej, lapczywej roślinności. Nie pojmowałem, dlaczego stale tam wracamy, skoro są inne, ciekawsze miejsca. Babka miała jednak własne powody. Przesiadywała godzinami w ukrytej zatoczce. Bawiłem się opodal budując z kamieni fortece. Kiedy jej spojrzenie lagodziłało, wrócone jakby do wewnątrz, przeczucwałem, że wspomina swego pierwszego męża, o którym nie chciała mi opowiadać.

Ciotki, które na jego temat męczyłem w Sarajewie, niewiele potrafiły dodać. Prawie go nie pamiętały. Wiedziały tylko, że był wysoki i piękny, i że zginął w czasie włoskiej okupacji. Ich przodźwym ojcem stał się drugi mój babcia, mój dziadek, którego wspominały z wdzięcznością. Przymieraly całą piątką w ruinach wypalonej wioski, gdzie babka schroniła się z dziećmi w czasie kolejnej rzezi. Patrol powstańcy, którym dowodził mój dziadek, natknął się na nie, nakarmił i zabrał ze sobą w góry. Tam przetrwały wojnę. Uprawiały jakies kamieniste półka, przemieszczały niekiedy w szalaszach, niekiedy w jaskiniach, przewędrowaly te góry na piechotę wzdłuż i wszerz. Pewnie dlatego babka mawiała, że ma dosyć gór na resztę życia i nie dawała się namówić na żadną wycieczkę. Za to morza była zawsze spragniona.

Dziadek mój sływał z surowości. Jego imię nadal wymawiają w Bośni z respektem. Należał do tych ludzi, których młodość wyrzeźbił wiatr i mróz na Kaimakalan. Miał kilkanaście lat, gdy wraz z resztą uchodźców podążył za armią szkieleców gnana przez wojska generała Mackensena. Widział, jak wokół niego topnieją szeregi, umierają tysiące. Wyginęli wszyscy mieszkańcy wioski,

z której pochodził. Zarazem jednak w nieludzkich warunkach doświadczał wiele zwyczajnej dobroci, codziennych okruczeń, które odejmowano sobie od ust, aby pomagały przetrwać innym. Czarnogóra, przez którą wycyfowali się ku Albanii, atakowana była z lądu i z morza. Maleńkie państwo mimo braku żywności, broni i sprzętu stawiało opór Austrii, nie godząc się na haniebne warunki pokoju za cenę wydania uchodźców. Dzięki temu opóźnieniu przynajmniej część niedobitków skazanych na zagładę zdolała przedrzeć się na wybrzeże, skąd alianckie statki ewakuowały ich na Korfu.

Dziadek mój mawiał podobno, że gdyby miał drugie serce, ofiarowałby je Czarnogórze.

Słuchając tej historii zrozumiałem, że wielkość narodu mierzy się jego honorem.

Nasza rodzina po wojnie osiedliła się w Sarajewie. Wspaniałomyślnie zapomniano o „niesłusznym” pochodzeniu babki. Memu dziadkowi nikt nie śmiał czynić uwag. Zatrzaszczył się o los dziewcząt, ale zagarnął na własność jedynego syna. Uformował go na swoje podobieństwo, odebrał matce. Z pewnością imną przyszłość mu wymarzył.

Dopóki żył mój ojciec, nie znalazłem domu w Sarajewie.

2. Gdy ostrzelano tramwaj, wybuchła panika. Motornicy zdążyli wyhamować w ostatniej chwili przed nadjeżdżającym z przeczewka wagonem. Upadł głową do przodu. Z rany buchnęła krew.

Dominika stała tuż obok, podtrzymała głowę. Kilku mężczyzn chwytła rannego pod pachy i za nogi. Dominika nadal stara się podtrzymać mu głowę. Naokoło trwa strzelanina. Ludzie przebiegają pędem, kulać się za każdą osłoną, jaka się nadarzy. Przepuszczają jednak.

W schronie panuje tłok. Ludzi wciąż przybywa. Usuwają się, na ile to możliwe. Koło schodów ktoś rzuca kurtkę na beton. Kładą rannego, Dominika kłęczy obok. Ktoś się przepycha, pośbieżna Bada. Kobieta. Słychać trzask rozdzieranego materiału. Schodzą z halki, tampon z apaszek. Tampony nasiąkają krwią. Bandami wciąż napływają ludzie. Potężny wybuch wstrząsa sąsiednim budynkiem. Pył w powietrzu dąsi. Dominice wydaje się, że czuje dym. Prud oczyma wirując czarne placki. Siłą woli stara się zapanować nad własną słabością.

Wybuchy są coraz częstsze. Wstrzelano się do celu. Dominika zastanawia się, kto ich odgrzebie, jeżeli wejście do schronu zostanie zasypane.

Skulona przysiadła na piętach. Pochyliła się nisko. Cięży jej głowa konającego. Drago, woła w myślach, czy żyjesz? Gdzie jesteś?

Rok dziewięćdziesiąty czwarty. Środek Europy. Sarajewo.

3. Nie znalazłem domu w Sarajewie. Rodzice nieustannie przemieszczali się z miejsca na miejsce, co związane było z wrednym zawodem ojboja. Wybrali sobie ten tryb życia, odpowiadał im bardziej niż zacisze domowe. Żyli na walizkach, w wiecznym pośpiechu. Przypuszczam, że niekiedy zastanawiali się, co ze mną uczynią, gdy dorosnę i będę musiał iść do szkoły. Tymczasem

jednak byłem ich maskotką i stanowiliśmy szczęśliwą rodzinę, obfotografowywaną i opisywaną w popularnych magazynach.

Właściwie nie zapamiętałem chwili wypadku. Oczywiście duszy mogłoby jeszcze z pamięci przywołać skłębione szare morze bijące o czarne skały u podnóża gór. Z ładu wiała porzywista, mroźna bora. W hotelu ostrzegano nas, ale matka miała wieczorem występ, którego nie mogła odwołać. Zresztą wielokrotnie przebywaliśmy te trasy. Ojciec znał ją na pamięć. Prowadził wtedy z zawrotną szybkością, zresztą może to wiatr nam sypchał. Pamiętam, że matka, która siedziała z przodu, zapaliła dwa papierosy, dla siebie i dla ojca. Zartując odwróciła się do mnie. I było tak, jakbym zasnął.

Kiedy się obudziłem w obcym miejscu, bolała mnie rozbita głowa i bok. Z płaczem wołałem rodziców. Zamiast nich pojawili się obcy ludzie, których usilnie starali się mnie uspokoić i uspokoić, co mnie jeszcze bardziej przeraziło. Następnego dnia przyjechała babka i wszystko odzyskało swoje właściwe miejsce i sens. Oznajmiła, że zabiera mnie ze sobą, co wydawało się naturalne, skoro rodziców nie mogli się dowołać. Uważałem, że u niej będą mogli na nich zarezekać.

Spodobała mi się. Nie usiłowała mnie głaskać, ścisnąć i całować, czego nie znosiłem. Przyjaciółkom matki, egzaltowanym artystkom wrywałem się z objęć, ilekroć usiłowały mnie przytulać. Pokazywałem język różnym starym czupieridłom, które zachwycały się „ślicznym chłopczykiem”. Byłem z pewnością bardzo źle wychowany, ale babce zdawało się to wcale nie przeszkadzać. Traktowała mnie jak dorosłą osobę i tym mi zaimponowała. Pamiętałem, że ojciec wyrażał się o niej z podziwem. Byłem jej ciekaw, toteż z ufnością wzięłem ją za rękę i pozwoliłem zabrać się do Sarajewa.

Tam zobaczyłem dom, który mnie pokochał.

Nie wiem, czy jeszcze stoi, czy go pozarząły pociski, strawił pożar, rozszabrowała ulica. Nie chciałbym tego oglądać.

Tamtego wieczoru zdumiało mnie, że wielkie zgromadzenie osób, których nie znam, okazało się ze mną spokrewnione. Było mnóstwo dzieci i młodzieży. Otoczyli mnie zwartym kręgiem, jak jakieś dzwio, a ja stałem dumnie zadzierając głowę, odmawiając odpowiedzi na jakiekolwiek pytania.

Babka rychno odesłała całe towarzystwo. Kiedy wypucowany i nakarmiony spożęłem w jej własnym łóżku, wyszła do sąsiedniego pokoju zostawiając uchylone drzwi. I zaraz przybiegła do mnie stamtąd muzyka, upieściła i ukoiła.

Krewynym musiało się wydawać, że zbyt szybko zapomniałem o rodzicach, a ja po prostu z nikim nie chciałem o nich rozmawiać. Wystarczyło mi, że między mną i babką zapanowała milcząca zмова.

Nie urodziłem się w Sarajewie, ale właśnie to miasto kształtowało mnie w sposób naturalny i pełen radości, dając mi siłę, wiary w siebie i napędź życiowy. Z okien dzieciniego pokoju codziennie widywałem Trebeviu na przemian w zimowych gromostach, w świeżutkiej zieleni mają wdzięczną za słoneczną żarliwość, w rudosiym kokonie z jesieni i mgieł. Biegając po amfiteatralnie położonych krętych

i spadzitych uliczkach, w prześwitach zawsze dostrzegałem rodzinne wzgórze, które stanowiły dla mnie wyzwanie, wyznaczając kierunek: zawsze napród i w górę. Bjelasnica, Treškavica, hardy Ozren, zuchwały Vlastić — wszystkie one były mi towarzyszącymi zabaw i strażnikami marzeń. Moje miasto w prześlicznej dolinie o łagodnych stokach, przepasane siwą szarą Milijacki, z dziesiątkami wymuskanych minaretoów, pełne śpiewu i śmiechu, w zimową noc zdławioną jak kryształ, otulone puszystą zielenią letnich wieczorów, o porankach, kiedy świt przebija wśród białych muzałmankich domów z gładzącą na wysbiegu ponad ulicę pięterka baremów. Miasto, gdzie Orient z takim wdziękiem i basiniową zmysłowością objawia się zachodniej cywilizacji, gdzie nowocześnieść rozkwita na gruncie tradycji, tajemniczej i pełnej ekspresji.

Otoczył mnie uwielbiany przez moje serce, harmonia ichnąca miłością. Usynowiony w późniejszych latach przez zachodnią Europę wiedziałem, że wciąż czerpie z przebogatyh zasobów dzieciństwa, że szczodrości mojego miasta, którego dobroduszną gościnność i pełna ciekawości otwartość sprawiły, że jego mieszkańcy, spadkobiercy wilek kultur, różnili się od siebie w sposób szlachetny, pełen wyrazu i wewnętrzne przekonania.

Oczy dzieciństwa i wczesnej młodości postzegają piękno, które jest tylko sobą i dlatego się podoba, tajemnicie pod powierzchnią zjawisk, wielość, która jak listowie spowija drzewo życia.

Przez cały czas pobytu w Sarajewie cieszyłem się nieskrępowaną swobodą. Przypuszczam, że babka, która nigdy przegrała walkę o syna, teraz uśmiechnie pozostawiła mi wybór. Czowała tylko z daleka i wychodziła naprzeciw moim pragnieniom, gdy mogła mi pomóc w ich realizacji. Dzięki temu wzajemnie obdarowywałem się radością istnienia, jakie było naszym wspólnym przywilejem.

Gdy poprosiłem o lekcje muzyki, zgorzyla cała rodzina decydują, że nie będzie mnie uczyć. Nie zrobiła ze mnie dziecioła usilnie szukającego w głuchy pień. Odwiedziłem różnych pedagogoów, uznanych artystoów i dzwiołakoów, cierpliwie czekając i obserwując, z którym z nich mógłbym się prawdziwie zaprzyjaźnić. Wybrałem sobie mistrza, który okazał się wiernym i niezawodnym przewodnikiem. Zaczepnałem z niego i sztukę, i człowieczeństwo, ofiarowując mu w zamian niejedną pociechę. Chłubił się mną i bardzo mi później pomógł, gdy zdawałem do konserwatorium.

W tym czasie poznałem w Sarajewie wszystkich artystoów i tych, którzy się za takowych uważali. Zżyłem się z wieloma, którzy w muzyce mieli swe upodobanie, ale nie usiłowalem nikogo nasładować. Staralem się przecierać własne ścieżki, zaciągając często zęby ze złości w poczuciu niespełnienia. To mi jednak tylko dodawało ostrogi.

Zawarłem też przyjaźń, która przez kilkanaście lat, właściwie do dzisiaj, pozostała ważną sprawą; teraz jako rachunek nie do wyrównania.

Zaczęło się to w parę dni po moich osiedleniu w Sarajewie. Pewnego wieczoru pojawił się barczysty obrzym w fezie owianym wzorzystym szalem. Wiódł za sobą chłopca, starszego ode mnie może o rok czy dwa, który mrugnął lubazersko, co natychmiast odwzajem-

nilem. Oczy nam się zaczęły jarzyć, okazało się naraz, że mamy sobie mnóstwo do powiedzenia, pokazania, wzajemniczenia.

Byliśmy tak zajęci sobą, że kompletnie zapomnieliśmy o dorosłych. Naszą uwagę zwróciła dopiero gorąca wymiana zdań. Wówczas rzeczy nie umiłem rozsyfrować nianuś w gestach, tonach i spojrzeniach mojej babki, nie interesowały mnie zresztą, nadal był to świat osoby. Dziś przypuszczam, że potraktowała poturczeńca, jakim był przyjaciel syna, że wzdziękowała się, że z pewnością nie pozostał dłużny. Tych dwóch serdecznie się nie znosilo. Skoro jednak jak z Orhanem zgadłem się doskonale, dorodził pochwałami swoje urazy, udając, że nie się stało.

Crzulem się prawdziwym szczęściarzem. Dzieliłmi się z Orhanem nasze patje, niekiedy rywalizowaliśmy ostro, nie stawiając jednakże dla siebie konkurencji. Ja wypowiadałem się najpełniej w muzyce, on w sporcie. Zastylam później jako narciarz, zanim jednak do tego došlo, wyciskał ze mnie siódme poty, najpierw na stokach góry Trebević, później wyruszyliśmy na coraz dalsze wyprawy. Obaj zauroczeni surową przyrodą, z apetytami aby dorównać najlepszym, coraz bardziej zahartowani, wytrenowani, rozzuchwaleni. Kusila nas dziewczca puucza Perućica, jej ostępy, jakich nie oglądalo do tej pory ludzkie oko. Wzduł i wszczr przewędrowaliśmy całą Romanję, która dzięki temu nie ma dla mnie tajemnic. Mógłbm się tu ukrywać przez długie miesiące, chociaż z daleka dochodzą odgłosy frontu. Mógłbm przeżyć, wynajmując się do pracy w górskich osadach, skąd większość mężczyzn poszła na wojnę. Mógłbm — o ile wciąż będę chciał trudzić się życiem.

4. Dominika śpieszy do domu, lekceważąc przyjazne ostrzeżenia. Niesie lekarstwa dla Dike zdobyte z takim trudem za paskarską cenę. Tamte, które dostarczył konwoj z Polski, starczyły na krótko. Chwilowo nie ma nadziei na pomoc. Kończąc się zapasy żywności. Kobiety dokonują cudów, bo tak trzeba nazwać wyprawę na baz. Rzyknio w każdej chwili zarówno te, które z odległych wiosek przyniosły drób i nabiał, jak te, które usiłują coś kupić. Niedawno pocisk zdiesiątkował ludzi. Krają pogloski, że strzelali swoi, aby podnieć nienawiść do napastników. Kobiety szepczą, że dziś wszystko jedno kto swój, kto nieprzyjaciel. Ludzie się tak poróżnili, że człowiek sam siebie nie poznaje. Jednym serce wystygło, u innych zachłanność zadławiła wszelką uczciwość i poczucie przyzwoitości. Bazar żyje dzięki kobietom. Tutaj zbiera się informacje. Dominika, która przypadkiem przeżyła masakrę, jest już znana, rozpoznawalna, już zdobyła sobie przyjaciół. Starsze kobiety pragną jej pomoc. Obiecują, że przepytają każdego przybyszka, jaki pojawi się w ich stronach. Teraz ludzie stale wędrują. Szukają się, ukrywają. Drago jakby rozpylnił się w powietrzu.

Kobiety namawiają Dominikę, aby wracała do Polski. Niezwykłe, że w ogóle tu dotarła, ale nie powinna się ociągać. Dominika jednak wie, że ma tu swoje zadania do spełnienia. Każde na granicy niepodobieństwa. Strzec domu. Leczyć Dike i Orhana. Odnaleźć Drago. Przeżyć.

Ostatnio pojawił się jeszcze jeden cel, który w tym samym stopniu napelnia ją lękiem, co radością. Wie, że nosi w sobie dziecko.

Dominika wchodzi do domu. Chociaż nadzarnięty przez wojnę, jest taki jak w opowieściach Drago. Przeznaczony dla licejnej rodziny, dla urwisów, którzy wylizgali poręczę schodów, dla dziewcząt, które z góry wystrząsły przyziółek i ukończonych. Dom ma zakamarki pełne stęptów z dawnych czaśów i zapachów suszonych ziól. Dike powiada, że Drago stale przysyła wysokie sumy na konserwację budynku, który prawie należy do niego. Ostatnio konfiskowano te kwoty, no i wojna, Dike bezradnie wzdusza ramionami. Jest siwiuteńka, pochylona i schorowana, ale ma w sobie wiele czulości. Przysła Dominikę jak własne dziecko. Teraz wzajemnie o siebie się troszczą.

Orhan ucieka spożeraniem, gdy Dominika wypakowuje na stół ubogie zakupy. Czuję się darmożjadem. Drażni go, że siedzi tu na lasce dwóch kobiet. Przypięty do boku rękaw maskuje brak ramienia. Rany wciąż mu się otwierają, chociaż Dike i Dominika dokładają starań, aby je zalać. Stokroć gorzszą jednak jest rozpacz w jego oczach. Orhan uważa, że zdradził przyjaciela.

Zamknięty w obozie jenieckim, do którego nie wypuszczano wysokich delegatów międzynarodowych misji, poddany wyszukaniu torturom, ugął się i zaproponował wysoki okup. Za pieniądze kupuje się broń, której w tym kraju potrzeba coraz więcej. Taką kwotę mógł wpłacić jedynie Drago. Orhan go zawiadomił. Nie sądził, że przyjaciel sam wypłaci pieniądze. Gdy to się stało, dokonano wymiany. Idź, pocięchal go Drago, ja sobie poradzę. Zatrzymano go jako zakładnika, wielono do wojska. Podobno uciekł.

Dominika niczego nie pojmuje. Nie chce wierzyć, chociaż Orhan unika szczegółów swego pobytu w obozie. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego ludzie muszą się wzajemnie mordować. Orhan wie, że polska żona Drago przyjechała tu nałafaszerowana humanitarnymi utopiami, jakie w tym kraju nie mają żadnego zastosowania. Coraz częściej ucina rozmowę, odchodzi, jakby uciekał. Dike, która go zna od dziecka, spoglądała na nich zrazu podejrzliwie, później z litoscia. Tym gorliwie namawia Dominikę do powrotu do Polski.

5. Starzy ludzie trudzą się życiem z lęku, z przyzwyczajenia, niekiedy z miłości. Moja babka niemal do końca nie zdradzała się ze swoją chorobą. Teraz wiem, że dręczyła ją od dawna i że przysparzała jej wiele cierpienia, skrzętnie ukrywanych.

Oczekiwała ode mnie tak wiele, spodziewała się po mnie tyle, że już nie musiała niczego wymagać. Jej obecność, dyskretna i krępująca, tworzyła klimat, w którym mogłem się swobodnie rozrastać. Wyczulała, jak zapach lasu w górskich powietrzu: ukrywała nawet, gdy go mgasł. Dzięki niej nie znalazłem pustki osamotnienia. Dopiero gdy odjechała.

Miałem już dłaż terności i nie potrafiłem wyobrazić sobie zmiany, o jakiej miem uprzedzono. Musiałem sam zdecydować, czy wyjadę do jednej z ciołek, która ofiarowała mi gościnę i wróć dopiero, gdy będzie po wszystkim, czy zostaną do końca, a było to żmudne umieranie.

Może byłbym innym człowiekiem, gdybym wówczas ustąpił, zatopił się w muzyce czy nieistotnych czynkach. Nie mogłem zgodzić się na to, aby ta dumna kobieta, tak bardzo kochająca życie, przeżywać udręk śmierci bez mnie.

Kiedy już sama nie mogła zasiać pręgi fortepianie, prosiła, abym grał dla niej. Uchylałem wówczas drzwi sypialni, tak jak uczyniła pierwszego wieczora, kiedy mnie tu przywołała. Spoglądając czasem znad klawiszy widziałem wysokie dębowe wzgórzewie jej łóżka zrębione w kście czarnych wyniosek i festony splecionych pędów, które je otaczały z pełną wdzięką łagodnością ponad wysoko uniesionymi poduszkami, na których spoczywała chora.

Odgąk dostawała coraz więcej środków przeciwbólowych, przeżwanie trwała w stanie pomiędzy snem i jawą. Wydaje mi się jednak, że muzyka stanowiła dla niej ratunek spokoju, pogodzenia, uciśnienia, które nie miało nie wspólnego z rezygnacją czy rozpaczą. Moja habka wycofywała się z życia bez skarg, jak zawsze pełna godności.

Niekiady któraś z ciotek pojawiała się bezzeleśnie, sygnalizując, że chora zasnęła. Wychodziłem wówczas, aby zacerpnąć powietrza.

Obowiąży szkolne wydawały mi się w tym okresie niezmiotnym przysmem. Odsunąłem się od kolegów. Nawet Orhan uznał, że muszę to przetrwać w spokoju i cierpliwie czekać, aż go sam przyzwolam.

Przywykłem do dalekich wędrowek, a w okolicach Sarajewa jest się gdzie włóczyć. W tamtych okolicych zaczęły wyprowadzać mnie na Igman. To miejsce, gdzie wybuchą spód ziemi wywierzyska Bośni oplatające przetrzytą opoń i gęstym szumem skalne rumowiska, miało dla mnie magiczną moc. Przyjmoło mi pewne wydarzenie z wczesnego dzieciństwa. Jeszcze żyła moja matka i zabrała mnie kiedyś w odwiedziny do krewnych, których ówczesny świat nie akceptował, nie towarzyszył nam bowiem, a nawet jak przez mgłę pamiętałem ostrą kłótnię, której sensu nie pojmowałem. Wiem jednak, kto okazał się bardziej uparty.

Matka pochodziła z Fruiti. Do dzisiaj brzmienie tamtej mowy napelnia mnie szczególną słodyczą. Gdy zasną, niekiedy w ciemności odbijają światła z wysokich okien, przesłaniające w przepaściste ogrody z rozróżnionymi starożytnymi drzewami. Budowalem w ich gąszczach kryjówki, pewnie, że mnie tam nikt nie znajdzie. Zachowywałem się we własnym mniemaniu jak zdolny konspirator. Matka nie miała pojęcia, że wspinał się na taką wysokość. Świadomy marnego nieposłuszeństwa ukrywałem się tam z rozkosznym dreszczem, w przecuciu, że jestem ścigany, ale oto przechytrzyłem wroga i po napowietrzonych mostach przesiłgnę się w bliżej nie określony gąszcz, z którego ktoś dawno mi przyznanie znaki. Ucieczki musiały jakoś korespondować z opowieściami krewniaków matki, którzy wciąż wspominali wojnę, terror i prześladowania. W mojej wyobraźni wydarzenia te jawiły się równie niezręczyste, jak zmyślone przez matkę usypianki. To wówczas rozbudziła się we mnie potrzeba wędrowki, poszukiwania, niedost.

Wydaje mi się, że matka prowadziła mnie wtedy szlakami swoich urzeczeń, jakby pragnęła odwiedzić własne dzieciństwo. Bawiła się ze

mną często i chętnie, wymyślając niesamowite historie, w których odgrywaaliśmy główne role.

Pewnego razu pojechałszy do San Giovanni del Timavo. Węszylem jak psiak, zdumiony lodowatym zapachem, jaki napływał z innej przestrzeni. Cienisty las pełen był rozkrzewionych, olbrzymich pierwiosków. Otaczały głębie, która była zarazem jeziorem, rzeką i swym własnym źródłem. Kiedy się nachyliłem, aby śledzić falowanie w wodzie paprociowych płożupuszy wciągniętych grądem, matka zbieła się, chwyciła mnie w ramiona i długo nie puszczała na krok od siebie. Wyjaśniła mi, że góry uwięziły Timavo, która płynie z daleka pod ziemią i dopiero tutaj wydosłaje się na powierzchnię. Marzyłem często, że gdy dorosnę, zanurzę się w jezioru i popłynę w górę rzeki, aby sprawdzić, kto czeka za tą wodą o śnieżnym posmaku. Wyobrażałem sobie nietoperzowate stworze, więc z ptasiemi skrzydłami, śpiewające ryby, morskie koniki z koralu.

Zakochałem się w tym miejscu i błagałem matkę, abymy tam zostali, uczyniwszy namiot z paproci. Zaniepokojona tym zarozumieniem starała się odwrócić moją uwagę, opowiadając baśnie mniej czarodziejские niż rzeczywistość, jaka nas otaczała.

Wracałymi kilkakrotnie w te okolice, ale nigdy już nad Timavo. Przesiadaliśmy w ruinach starego zamku w Duino, gdzie gnieździły się nieprzełiczone rzesze jaskółek, jerzyków, dzikich gołębi i turkawek. W oddali widniał majestatyczny pałac otoczony starannie utrzymanymi kłombami, na których przekwitwały jesienne róże. Trawniki lśniły jakby stale zroszone deszczem, wokół kamiennych urn na szarych cokółkach. Fronton tamtego zamku był surowy i odstraszał moje marzenia. Szeregi okien zdawały się spoglądać ze smutkiem, tęsknią za czymś, co nie mogło być prawdziwe. Wysoki mur okalał ogrody, ale ze wzgórza, na którym wznosiły się ruiny i które górowało nad okolicą, mogliśmy obserwować wszystko, co działo się wewnątrz. Miałem wrażenie, ilekroć zasypiałem i budziłem się wtulony w faldy matczynej spódnicy, że wówczas gdy śnię, za tym murem wydarzyły się sprawy, które objawia mi się kiedyś w przyszłości. W śniwcu matki znajdowałem zrozumienie i odchodziłymi ze wzgórza unosząc wspaniałą tajemnicę. Duino już wtedy wydawało mi się spokrewnione z błędzonym po alejach wiatrem, który wyduła drogę, aż ta zapomnia o swoim początku.

Dwa lata temu, koncertując w Triście, powróciłem na parę godzin do Duino, świadom już, kim jest niewidzialny towarzysz i mistrz. „Ist er ein Hiesiger?”

Od mojego Duino, od źródeł pod Igmanem powracalem do domu w Sarajewie. Gdy go dostrzegłem, wszystko we mnie zdawało się śpiewać, niesiony tą muzyką wpaadałem z tupotem. Natychmiast pojawiała się któraś z ciotek, spoglądała z wyrzutem, kładąc palec na ustach. Pokornie mi nie pętał swiadok natury i praw cierniowego, okrutnego wyściekiewania. Nadani jednak kipiły we mnie życie jak ukryta w cieniu Timavo. Staralem się przetłumaczyć je na muzykę, niekiedy z powodzeniem.

Nadszedł okres, kiedy umysł mojej babki się zaćmił, przeszedł napywała na miejsce terażniejszości, zacieraając ją i deformując. Nie

poznała ludzi, myślała mnie z kimś, kogo już dawno nie było. Spoglądałem w jej oczy pełne miłości. Aby ją pielęgnować, obcięli te włosy, nadal gęste włosy, które teraz okalały bezbronna, wychudła twarz krótkimi, wijącymi się puklami. Trzymałem jej rękę, lekkie jak piórko gołębia, wsłuchiwałem się w szepot, jakim starała się opowiedzieć siebie. Bardzo się wiedy śpieszyła, dając świadectwo miejscu, osobom, rzeczom i wydarzeniom. Przeżyte zło i cierpienie w tej namiętej relacji stawało się źródłem dobroci: wszystko jest dobre, pamiętaj, wszystko jest dobre.

Wierzyłem jej wtedy i teraz staram się tego nie zapomnieć, chociaż może uszy, oczy i rozum mówią co innego. Po wojnie znów wojna. Cóż może jeden człowiek czyniący dobro? Cóż mogą tysiące? Skłócenie, podzielenie, uczestnicy cierpienia staliśmy się instrumentem nie dla tworzenia, ale dla zabijania. Cóż znaczy moja muzyka? To prawda, dzięki niej wykupiłem teraz Orhana z niewoli, ale co z tymi, którzy tam zostali? Co ze mną? Jestem przeciw dezertorem. Nie chciałem służyć „jedynie słusznej sprawie”, bo nie wiem, czy taką tu głosz — ani popierać jednej strony przeciw drugiej. Czy odmowa udziału w zniszczeniu uzasadnia moje prawo do życia? A gdybym nawet wydosłał się stąd i wrócił na Zachód, zostawiając za sobą tę rzeczną, w jaką zamienia się mój kraj, co ocale?

Kiedy zacząłem wygrywać międzynarodowe konkursy i zastanawiałem się nad tym, co uczynię po ukończeniu konserwatorium w Wiedniu, nieoczekiwanie zaproponowano mi zmianę nazwiska. Jeszcze stał mur berliński, Jugosławia wśród „demoludów” była wciąż uważana za oazę bezpieczeństwa i współpracy, wybrzeże i wyspy adriatyckie konkurowały z Rivierą, sportowców pochłaniała olimpiada w Sarajewo. Przekonywano mnie jednak, że moje pochodzenie źle się kojarzy i nie sprzyja zrobieniu prawdziwej kariery. Nazwisko zaś jest zbyt prowincjonalne, trudne do wymówienia i zapisania w sensowny sposób. Bardzo młody, pełen pychy i żądzy sukcesów może dałbym się kusić. Moim oporem przeciwstawiano kpinkę: taki z ciebie patriota? Żadne propagandowe, nacjonalistyczne hasła nigdy nie miały nade mną mocy dzięki babce, która uważała je za złepk frazesów. Zupełnie czym innym jednak była tradycja, z którą wyrosłem, bogaty w poczucie wartości i godność, magia mojego domu w Sarajewie i nazwisko, któremu nikt dotąd nie przyniósł wstydu. Uparłem się więc, chociaż mi wmawiano, że jedyną ojczyzną artysty jest sztuka. Ja zaś wiem, że twórczość nie powstaje w próżni, chociażby, jak Timavo, miała odległe i podziemne źródła, ukryta we wnętrzu góry i milczenia. Ja, Drago i Duzzan, chciałem się zresztą różnić od tych wszystkich Johnów i Hansów. Nie zamierzałem wtopić się w tło, rozpłynąć się w powszechnym sukcesie, błyszcząc odbitym światłem. Uważałem, że warto zachować prawo do własnego cienia i swojej strefy.

Podtrzymał i ugruntował moje przekonania chłopak, z którym się wówczas przyjaźniłem, świetnie zapowiadający się wiolocenzlista, Marko. Nie brałem do końca poważnie jego ilirzyjskich mrzonek. Podziwiałem talent. Ufałem bez zastrzeżeń. Inaczej niż z Orhanem, dzieliłem z Markiem jego świat myśli i sztuki. Wprowadził mnie do swego rozmiłowanego w muzyce domu w Zagrzebiu. Poznałem jego

liczną rodzinę i podkochiwałem się kolejno w starszych siostrach, które jednak były już przyzrezone i wychodziły za mąż jedna po drugiej, co bynajmniej nie zlamalo mi serca. Dokuczaly mi w żartach, że jestem dzikiem Serbem, ale to również nie robiło na mnie wrażenia.

Objazd Marko uzyskaliśmy stypendium w Paryżu. Zamieszkaliliśmy razem, wynajmując obszerne studio i dzieląc się sukcesami artystycznymi i miłosnymi podbojami. Paryż jest najlepszym miejscem wszechświata do szlifowania talentu i objazd skorzystał z tej okazji. Zabezpieczony materialnie przez babkę radziłem sobie i tak nieźle. Korzystałem z każdej radości, która nadawała życiu sens, czerpałem z jego bogactwa, piękna i nadziei, zapominając o istnieniu kłbowiska śl sprzeżonych i nieublaganych, jakie napędzają koło historii i przeczucia. Nie pojmowałem, że obok doskonałości i harmonii, jaką śni nasza młodość, tworzenie i niszczenie nie ma początku ani końca. Kytlos anankes orfików dopiero teraz wznica moje przeżeranie i moją niezgodę.

Marko, wrażliwie z nerwami na wierzchu, przerywał bardzo mocno ówczesne przemiany. Gdy świat uznał niepodległość Chorwacji, Marko szalał ze szczęścia. Zacięgał mnie do zaprzyjaźnionego bistro: jego właścicielem był, rzec jasna, jakiś rodak. Marko wszystkim stawał wion, pililiśmy przez całą noc, odbudziliśmy się o dziennej porze w cudzych łóżkach, z potwornym bólem głowy.

Wkrótce Marko wyjechał do Zagrzebia, aby tam nadal świątować. Ciągnął mnie z sobą, ale miałem jakiś bliżej nie określone opory, wynalazłem sobie pinc zająca, odbijając mu, że do niego dojadę. Odprowadziliśmy go na dworzec, gdzie się pożealiśmy popieszenie i bezładnie, bo przecież nie było to rozstanie. Do dzisiaj mam w pamięci jego żarliwą twarz, o nieregularnych rysach, wyrzista, opatrzoną dużym nochem, z którego niemal każdy sobie pokpiwał. Chyba drażniła mnie ta jego nieprzytomna radość, czegoś się obawiałem, zaprzeczałem przecuciom.

Marko zginął w zamachu bombowym. Nigdy już nie pojadę do Chorwacji. Byłem na pogrzebie, a rodzina Marko traktowała mnie jak winowajcę. Gdybym tu towarzyszył, gdybymy zginęli objazd, czy to zmieniłoby cokolwiek?

Zaczęło mnie jednak ścigać dziwne fatum. Konflikt bałkański nasiał się, zapalał czołwki gazet. Europejczycy usłiwili coś zrozumieć lub udawali, że rozumieją. Stałem się czymś w rodzaju królika doświadczalnego, na którym w sposób bezbolesny i kulturalny dokonywano ustawicznej wiksęki. Odpowiadałem na dziesiątki idiotycznych pytań, zanim nauczyłem się ucinac rozmowę. Byłem podglądany i śledzony jak nieszkodliwy wariat, któremu wprawdzie rokuja powrót do normalności, ale z którym nigdy nieś wiadomo.

Szukalem wybiwienia w pracy. Miałem jej dużo, ponieważ zapraszają mnie organizatorzy manifestowali swą liberalizm. Po koncertach anielskie osoby pytały z uduchowionym zgorzeleniem: czy to prawda, że wy wszyscy chcecie się tam wymordować? — jakby chodziło o rozlanie na kostownym dywanie sok pomidorowy. Inteltektualiści o wykintwiny manierach kiwali głowami dowodząc, że zawsze wiedzieli, iż Słowianie nie dorosli do wolności. Kombatanci

ze wszystkich frontów z lubością wspominali bałkańskie ekscesy, które tak wykrwawiły nieszczęsą Europę. Pewien dygnitarz czarno liczne zgromadzenie cytując słowa Bismarcka, o których Albert Balkin donosił Churehillowi w lipcu czter nasto roku: „Jakieś błękitne białozłote na Bałkanach”. A kajzer, który w tym czasie odbywał wakacyjny rejs po Morzu Śródziemnym, zatelegrafował do WAGENHEIMA: „rzecz, którą należy teraz uczynić, jest postawienie w stan gotowości każdego karabinu na Bałkanach, aby strzelać do Słowian”.

Jednocześnie ocenilem szmer, jaki towarzyszył tej lekki historii. Wystrzelił i długi wleczylem się ulicami Zurychu, aby zgubić własny cień.

Kiedy impresario zapronował mi serię koncertów w Polsce, zgodziłem się z nadzieją, że tam odetchnę od koszarów, jakie nawiedzały mnie coraz częściej, odkąd wydarzenia w Sarajewie zdominowały doniesienia wojenne. Siemam planując do Dike, nie wiem jednak, czy do niej docierają. Najstarsza z moich ciotek, od lat samotna, niepokoiłem się o nią. Przeszłość się mnie nie wyrzekła, chociaż ją odrzuciłem.

W Polsce spotkałem Dominikę, która mnie wybrała.

6. Dominika jest zawiedzona. Liczyła na to, że przez Gorałde dotrą listy z Polski. Telefony nie działają, a czasem dobrze jest pocać, że komuś na człowiekowi zależy.

Utrzymywała rodzinę w przeświadczeniu, że towarzyszy młewi. Dzięki temu nie mieli nie do gadania.

Nie przyznawała się, że zostawił ją bez słowa wyjaśnienia. Poprzedniego dnia dostał wiadomość, która nim wyraźnie wstrząsnęła. Natychmiast wyszedł, coś załatwił, zadzwonił z miasta, że nie wie, kiedy wróci. Nie przejęła się, ostatnio stał mijali się w biegu. Drago wiele pracował, stale wyjeżdżał. Dominika kończyła studia, pisała pracę, pochłonięta była urządzaniem ogromnego mieszkania.

Kiedy się obudziła, na poduszce obok znalazła szkarłatną różę. Była trochę zdziwiona, że Drago wymknął się bez słowa. Wkrótce zaczęła się niepokoić. Impresario, z którym się skontaktowała, był zakłopotany. Skarżył się, że Drago odwołał najbliższe koncerty, że to mu utrudnia zadania. Cierpliwie wysłuchała gorzkiich załóż i dopytała się wrzecio o wiadomości, która nadeszła pod adresem biura. Chodziło o jakiegoś człowieka z Sarajewa, zamkniętego w obozie jenieckim. Imię Orhan Dominika znała.

I oto jest tutaj, pokonawszy przeszkody, których wcześniej nie potrafiła sobie wyobrazić. Nie przybliżyła jej to jednak do celu. Orhan coraz częściej napomyka, że sam pójdzie szukać Drago. Obie z Dike go powstrzymują, chociaż wiedzą, że tylko on, znając wszystkie dawne szlaki, mógłby spaść na trop. Za miastem jednak czeka go pewna śmierć. Nie ma sensu ginąć, tłumacza.

Dominika idzie śpiesznie, nie zwraca uwagi na pojedyncze strzały dochodzące z Bjelawy. Nauczyła się już poruszać w tym mieście. Zachwyca ją, chociaż jest tak zniszczone i zabiedzone. Gdyby jej wcześniej znała, kiwa głową Orhan. Jego dom został zburzony,

rodzina rozproszona lub wybita. Dlatego przyszedł do Dike, dlatego się spotkali. Dominika potrzeba głowa. Nie tak miało być. Drago obiecał, że przyjadą do Sarajewa, gdy tylko wojna się skończy. Opisał jej dokładnie miasto. W jego pamięci przechowało się jak cudowny witraż przesiwiony słońcem. Kiedy to powiadziła Orhanowi, zauważył, że witraż są najbardziej kruche spośród dzieł sztuki. Nie ma już tego miasta, ono umarło, dojadł.

Dominika nie zgadza się z nim. Miasto broni się, trwa i to też jest piękne.

W tej chwili, przybliżając się do wypalonego ratusza, zauważa nieznamy ruch w sąsiednich ruinach. Jakieś dziecko buszuje w zburzonym domu. Strop może runąć w każdej chwili. Dominika ośmiaga niebezpieczeństwo w paru sekundach przekracza zrujnowaną bramę, dostaje się do środka, chwytając brząca, który wierzą i gryzie, wyciąga go na ulicę, przytuła do siebie, tłumaczy, zagląda w zabezpieczoną twarzyczkę.

Dziewczynka jest mała, zabiedzona i zdziżcała. Powoli jednak uspokaja się i Dominika wyciąga z niej niechętnie zwierzchnia. Dzieciak wrócił do domu, w którym kiedyś mieszkał, aby poszukać jakiejś odzieży. Ma brata, który umiera z zimna. Nie wie, co się stało z rodzicami. Zgubili się. Takich dzieci jest więcej. Dziesiątki. Mają swoje kryjówki w podziemiach ratusza. Tam są szczyry, ale z nimi można wytrzymać.

Dominika spogląda w rozgorączkowane oczy i nie waha się ani przez chwilę. Zabiorę was do siebie, decyduje, idź po brata.

Przemykają obie pod kamienną arkadę. Część jeszcze stoi. Reszta strzaskanych kolumn stanowi dobrą osłonę. Idą już pewniej. Dłusze i śniegi starły ścienne malowidła, przeniknęły w głąb wypalonego budynku. Czuch ściepliznę i zapach popiołów. Wądzicie walają się kadłubki poczerzanych książek, szczerki biblioteki narodowej.

Dziewczynka wlaży w dziurę, zbyt ciasną, aby Dominika mogła się tamędy przecisnąć. Piski, szmery, szelsty. Dominika ma się na baczności, pamięta o szczerach. Po kilkunastu minutach pojawia się dziewczynka popychając przed sobą malca, liczące najwyżej trzy lata. Dziecko ma rozpaloną buzię, wstrząsają nim dreszcze. Dominika bierze go na ręce, owija kurki, przyciska do siebie. Nie pozwól wam zginać, mówi do dziewczynki, która stoi obok, wpatrując się w Dominikę ogromnymi, przerażonymi oczyma.

7. Człowiek, którego tego ranka zastrzelono na stokach góry Igman, ponad miejscem zwanym Vrelo Bosne, zachowywał się, jak mieszkający wolnego kraju. Nie krył się ani nie uciekał. Znalaziono przy nim fotografię młodej kobiety oraz nutowy zapis utworu zatytułowanego „Koncert dla Sarajewa”.

Maria Józefka

IRENA SŁAWIŃSKA

OPOWIEŚCI O UTRACONYM DOMU Uwagi o książkach dla młodzieży Marii Józefackiej

Lublińska, absolwentka polonistyki KUL, doktor Uniwersytetu Łódzkiego, poetka, krytyk literacki, edytor, członek Związku Literatów — oto najkrótko schemat biografii Marii Józefackiej, „Ojczyma domowa” — Lublin i okolice, „Ojczyma literacka” — mazowiec, mazowiec, krajobraz powieści — od Tatr po Kaszub.

Przewidzia biografka autorki wyzyska się naturalnie takiej powieści — przekracza ją i w horyzontalnym, i w wertykalnym wymiarze. Kał czuwał autorki stwardzić też wypadła, że całym jej twórczym życiem rządził bardzo regularny i rytykri tryby. Wstępuje na uniwersytet mając lat 17, uzyskuje magisterium w 5 lat później, doktoryz — jeszcze przed trzydziestką. We wcześniejszej fazie twórczej przeważają tomiki poezji, nieco później — powieści, niemal w stałym rytmie (co dwa lata), nie licząc reedycji-Swiadectwo wielkiej pracowitości i koncentracji. A przecież przez kilka lat spędła długie godziny przy pracy bibliograficzno-edytorskiej w Katolickim Uniwersytecie.

Powieści zarzucają kwalifikacje przez autorkę jako „młodzieżowe”, „dla młodzieży”, „dla dorastających dziewczyn” — można upiś w pewne, zresztą krępujące się cykle czy grupy np. „dzwonczyki” i „chłopczyki”; lub — zależnie od „ojczymy domowej” bohaterów: włościańskie, podlubińskie, kaszubskie. To regionalne zróżnicowanie wydaje się uzasadnione odrębnością kulturową tych „domowych ojczyzn”, która decyduje o i sytuacji domu rodzinnego. Także o jego utracie, przeważnie zawieszony czy dobowolny. Przy tej sprawie się zatrzymam.

Jaka to utrata i przez kogo zawieszona? Czy zawsze pokrywa się z odjęciem dzieci: na naukę czy za zarobkiem lub wreszcie — z myślą o zaleźności własnego domu? Autorka przegląda się świadnie różnym sytuacjom w przekroźniku, nie przedcznena utrata domu jest zawsze naruszeniem normalnego procesu dojrzewania, ale zawsze powoduje jakieś skrzywienia i sbydki, psychiczne i moralne. O tej nierozłączności nie mówią jednak te powieści. Chyba słuznie. Wskazują jednak na zagrożenia.

Nawet czasowe czy „sezonowe” odjęcie z domu ma różnorodny charakter i nie zawsze równa się zerwaniu rodzinnego więzi. Miłota, udołbionka Miłota z Podhala wyrusza się do wkoły ziemii artystycznych, by nauczyć się taktika i wrócić do okochanej wsi. Tam stworzy ośrodek wyrobów tkaniny, która wyrazi jej miłość do kultury, sztuk i krajoznawstwa Podhala. Nie musimy się o nią martwić, haszcej z dziećmi Mazuszków spoc Włodawy; uciekają ze wsi, gdzie ich rodziny dom przestał już istnieć. Zaczynają po pijalstwu ojca i spowodowana sin choroba — kalekto matki. Córki uciekają do miasta (Chelma czy Włodawy), gnieżdzące się byle gdzie, szukając byle jakiego zarobku, skłaniając na spotkaniu, nędze i przygodnych pozycyjonai. Nad tą niebezpieczną rodziną ciąży się autorka, wydając (nie bez trudu) jakże za małż za Rafała, chłopką z tej samej wsi, który nawet bierze całą ziemię Mazuszków w dzierżawę i odbudowuje dom. Ale ten happy end wydaje się zbyt piękny i niewiarygodny.

Czy dziewczyna, dojrzewająca w pogardzie dla ojca-pijaka i dla małżeństwa rodziców, dla której dom jest synonimem kłopotu, nędzy, choroby, obciążenia — potrafi stworzyć prawdziwy dom rodzinny?

Rozwijając się rodziców, rozwodzi, odjeżdża — ale także kulę piętnadzia powoduje rozpad domu. Całą rodzinę Matykeja (Chłopot na sierogół) łączy ten sam kul (dolara oczywiście), są w tym względzie solidarni i solidarnie zaskarżają drwisi przed dziadkiem-chłopotem, gdyż nie pasuje już do ich nowobogactwa bliźnika. Najbardziej-

stra to krykatara artystów i najgroźniejsze ostrzeżenie: skrajny egoizm i „speranstwo” młodych Matykosów doprowadzi do śmierci ich słabszych towarzyszy w czasie zimowej wyścielki na Babią Górę. A jeden z Matykosów, as pilki nożnej, próbuje (przez trenera) kupić sobie świadectwo maturale!

Wewnętrzne zryły dom przastanie być domem: syn bezgranicznie próżni matki i ojca — aferysty opuszcza ten dom, by ratować własną tożsamość i godność (Pawel Janicki). A czasem to synek uczciwych rodziców chwytia się podstępnych procedur — i tym samym wyłącza się ze wspólnoty rodzinnej pojeży jako całob moralna. Autorka nie każe nam wierzyć w nawrócenie tych złotych młodzieńców. Po prostu od nich odchodzi.

Łączy się natomiast nad wypudłymi z gosiłda psakami — nawet nad dziewczynami Mazuszków. Dla jednej znajduje szlachetnego męża, dla drugiej i jej towarzyszek — opiekuniek starsz woźna, która wyszła tym dziewczynom ze wsi stworzy i siebie troskliwą ręką ubochudny dom. Zastępcę gniazdo. Taką zastępczą matką będzie też — z braku rodziców — starsza siostra, Marta, której jedynobornie miłośnikto staje się jednak prawdziwym domem nie tylko dla jej rodzicielstwa, ale i chłopca-narkomana.

Ucieleźli i rospad rodziny lokuje autorka zawsze w centralnej czy wchođniej Polsce: nie zdarzają się one (w jej powieściach) ani na Podhalu, ani na Kaszubach, to jest tam, gdzie wysoka i stara kultura zbiorowicę przekazuje swój stos z pokolenia na pokolenie. Etnos rygorów moralnych, codziennej pracy i współodpowiedzialności za rodzinę i więźność zbiorowicę. Także zasady rządzą kaszubską rodziną Ziętka, one też mobilizują całą okolicę do ratowania Prinsy, fermę zagrożonej sprzedażą czy licytacją. Angażują się w to także nawet dzieci: chłopak-wiasty z podstawówki będą produkować zabawki z wryszek, zbierając pieniądze na ratowanie domu (*Korona Polowcy*). W takich — ale i innych dramatycznych — sytuacjach ogromnie pomocna okazuje się przyjaźń między młodymi: ona to, nie miłość, erotyca, jest właściwą siłą, powietrzem, w którym dojrzewa człowiek, ona ona natomiast na przetrwanie ludzkiej potrzeby i bolesne sprawy, przygotowuje młodych do stworzenia prawdziwego domu.

Apologia domu i przyjaźń wpisuje się w ogólniejszy problematykę ojczyzny domowej i zakorzenienia. Przy różnych okazjach autorka wprowadza nas w piękno, uroki i sztukę Podhala, Wybrzeża i Kaszub, ale także i w zażytki i bogactwa mniej atrakcyjnych terenów, np. Mazowsza.

Często się jeszcze wolno spodziewać w przyszłych powieściach dla młodzieży czy o młodzieży Marii Józefackiej? Ciepłe aktualnego problemu: nagminnego wyjazdu otkoście na sukty. Te wiadomościem, a często siedemlecie wyprawy na Zachód skutecznie rozbijają dom i kaleczą psychikę dzieci. Ale obyłwa się to „dla chleba” — ani nawet dla „zrynekci do chleba” — ale dla zbudowania woli, która nie stanie się gniazdem rodzinnym ani domem. Wolno też oczekiwać od autorki ścisłego wprowadzenia przewidy, chyba nierozdnych w procesie dojrzewania: przeżyć nauki rodzinnej. Czy prawdziwe dojrzewanie może je odmici? Zależnego udziału w życiu młodzieży, zwłaszcza młodzieży ze wsi — nie mają kłopoty. Czy tylko wychowuje tych młodych telewizorzy? Może taka jest bolesna prawda!

W otmatach powieści Józefackiej pojawia się problem rodziny w literaturze młodzieżowej obecnie: praca zawodowa jako powołanie. Powołanie, którego wymogi i konsekwencje okazują się trudne. Ceseć to gotowa jest płacić Marta (*Chłopot na sierogół*) jako uczeń i niezaprzekany wychowca młodzieży. Płaci ją Lukasz, ratując tenego sierotki. Matykeja (tam jini). Wszechy Greszek świadome studia prawnicze z myślą o sądownictwie dla nieletnich, a Szymon z tej samej powieści — studia medyczne. Obaj (Greszek i Szymon) atknęli się z narkomanami, wykorzystując młodzieży i pragną jej pomóc.

W jakrawym kontrastie do takich wyborów i zaangażowania porostają młode Mazuszków, chwytające się byle jakiej roboty, bez myśli o jakimś powołaniu! Sprawa to niemiernie ważna i zadanie, przed młodzieżą — w takich kategoriach — stawiana.

Ale książki Józefackiej zabiera nie tylko tak rozległy zasięg problematyki. To przede wszystkim wartkie, żywe powieści, ciepło o przygodowy, niemal detektywistyczny onowice, pełne młodzieźowego żargonu i pięknych krajoznawów. Krąją w tym świecie wspomiale, atrakcyjne dziewczyny jak Laranza — żywe serbo i dzielna pogromczyń chłobianów; jej beak Greszek, której też potrafi „zasnąć” komu trzeba;

ofiarny Łukasz; młoińszka koni, amazonka — Poleśza; młodzień, z którą się łatwo zaprzyjaźnił.

Zeby wyczerpać ten świat — ileż trzeba było się „nasunąć”, jakie studia etnograficzne i językowe przeprowadzić! Ile nachodzić się po kaszubskich wsiach i nasłuchać tej mowy! Ile napiątek. A z tych wprówek, nasłuchań, przemyśleń wyrosło świetne pisanstwo.

lipca 1994

Irena Słowitka

Tekst wygłoszony w czasie wieczoru autorskiego Marii Józefackiej zorganizowanego w listopadzie 1994 r. przez „Akcent” i Muzeum Literackie im. J. Czechowicza w Lublinie.

Dnia 20 stycznia 1996 roku zebrali się w Łodzi Jury V **Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego o Nagrodę im. K. K. Baczyńskiego**, zorganizowanego przez Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego we współpracy z Katedrą Literatury Romantyzmu i Literatury Współczesnej Uniwersytetu Łódzkiego.

Jury w składzie: prof. Krystyna Poklewska (przewodnicząca), prof. Jerzy Poradecki, Joanna Słowska, Wojciech Bonowicz, Dariusz Bugalski, Stanisław Dłuski, Norbert Kulasa oraz Piotr Wiktor Lorkowski postanowiło przyznać następujące nagrody:

I nagrodę w wysokości 500 zł,

Romanowi Honetowi z Krzeszowa za zestaw sygnowany godłem „Oto”;

II nagrodę w wysokości 300 zł,

Bogusławowi Filipowi Dnytrekowi z Raciborza za zestaw sygnowany godłem „Filip”;

dwie III nagrody po 200 zł

Gabrielu Jarzabek z Nysy za pracę oznaczoną godłem „Ga-Ja” oraz

Anecie Woźniakowskiej z Łodzi za zestaw sygnowany godłem „Adriana”;

Jednocześnie jury zdecydowało przyznać trzy równorzędne wyróżnienia honorowe następującym uczestnikom konkursu: **Annie Andrych ze Zduńskiej Woli** za zestaw „Varia lectio”, **Krzysztofowi Bieleniowi z Jasta** za zestaw „Baal” i **Kamilowi Reńdzisz z Olkusa** za zestaw „Henri”.

Jury i organizatorzy serdecznie dziękują sponsorom konkursu — fundatorem nagród: panu Andrejowi Warzesze (Agencja Celna „Ago”) i Radio Taxi Metro za nagrody pieniężne, Fabryce Kosmetyków „Pollena-Ewa” S.A. za zestawy kosmetyków oraz Radia Łódź za przygotowanie uroczystości wręczenia nagród i jej transmisję.

EWA MAZUR

Znowu księżyc

* * *

nikomu nie zlamalam serca tej jesieni
a przecież nie brakowało wiele
księżyc w pełni był mi przyjazny wiele noc
i sypał gąsienicami złoto w głąb ciemnych przedrannych godzin
pora chyba spoważnieć
rozliczyć słowa i czyny
nim czarny nikiel nowiu
ostrzegawczo brzęknie o szybę

* * *

Chudziutki błąd księżyc stanął pod oknem i westchnął.
Na kocich łapkach bezgłośnie odszedł bez słowa przeprosin.
Jesień — ruda wariatka — pościwała nad ranem.
Wpatruje się z miną poępną w nieba ostre szkiełka.

* * *

księżyc jak złoty kornik noc na wyłot przegryza
przez dziurki w drewnianym niebie Bóg światłem ziemię ogląda
nad ranem unoszą się deski anioły ptaki motyle
w złudnej lekkości światła karmią wiatrem skrzydełka

któż śpiewa na wysokości? szeleszczą liście? gałązki?
pajęczce nitki, szron, kropkle, piórka i płatki śniegu
jak srebrne lustra powtórzą muzykę boskiego spojrzenia
ostyglych promieni słonecznych odbitych od pustki kosmicznej

potem znów ciężkie wieko deski czarnej jak trumna
lub tylna ściana ikony zapęta czarny horyzont
i tylko księżyc cierpliwie w tej czerni nuty wyjada
na pięcioliniu bezkresnej układa milczące puenty

któ wygra tę partyturę kto ją przynajmniej usłyszy
muzykę ciszy utkaną z szaleństwa i z ciekawości

* * *

księżyc jak złoty kornik noc na wyłot przegrzyza
przez dziurki w drewnianym niebie Bóg światłem ziemię ogląda
nad ranem unoszą się deski anioły ptaki motyle
w złudnej lekkości blasku karnią wiatrem skrzydełka

potem znów ciężkie wisko deski czarnej jak trumna
lub tylna ściana ikony opada czarna zasłona
i tylko księżyc cierpliwy z punktów złotych i białych
składa swą partyturę na pięcioliniach bez kresu

on pisze bezgłośnie muzykę choć nikt jej przecież nie zagra
bezgłośnie drząc będą światła odbite od pustki kosmicznej
ostyle promienie słońca przepadną w ciemności na zawsze

czy pieśń ta to boskie szaleństwo czy lęk człowieka niewczesny
gdy ciężki czarny horyzont przyginała niebo do ziemi
podnieś głowę na moment Bóg ciągle śpiewa dla ciebie

* * *

Księżyc w pełni ma sny erotyczne,
Rudą czapkę co wieczór przymierza,
Przeciąga się po niebie
— Jutro spadnie złoty deszcz — obiecuje —
Jutro spadnie złoty deszcz.
Gwiazdy drżą z niecierpliwością,
Złoty promień w rozchyłoną okiennicę się wiskwa.

* * *

Wieczorem księżyc — jak zardzona kobieta —
podgląda nas zza drzewa.
Liści czarny ornament
za hiszpańską koronką
krzyje twarz
napuchniętą od płaczu.

Innej płci są księżycy nocy.
Szkłane światło bezgłośnie tnie przestrzeń między nami.
Objętnie oczy myśliwego,
który już wie i czeka.

W moich oczach

wylej wino
nie gaś lampy
dwa zobaczysz księżyc
nad sobą i pod sobą
pełnia trwa krótko
kolejna noc — inna noc

Ewa Mazur

Książki nadesłane

Poezja

Maciej Melecki: *Niebezpiecznie blisko*. Wydawnictwo „Przedwici”, Warszawa 1996. Ss. 64.

Maciej Melecki: *Te sprawy*. Oficyna Cracovia, Kraków 1995. Ss. 93.

Andrzej Niewiadomski: *Niebycie*. Wydawnictwo „Przedwici”, Warszawa 1996. Ss. 64.

Maciej Piotr Puc: *Czy ktoś a mnie pytał?* Oficyna Literacka, Kraków 1996. Ss. 51.

Krzysztof Martwicki: *Czas i blask*. [wstęp Wacława Oszańczy] Płockie Wydawnictwo Dincerjalne, Płock 1995. Ss. 95.

Aljoja Michalski: *Niebieski Mójstran*. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 1994. Ss. 68.

Malgorzata Smukłyńska: *Wzrost Abelarda*. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 1994. Ss. 89.

Waldemar Zyskiewicz: *Pielni między męczyznami*. Posłowiem opatrzył Marian Stala. Wydawnictwo Baran i Suszyński, Kraków 1994. Ss. 88.

Janusz Gryz: *Ryzyk*. Wydawnictwo „Feniks”, Koszalin 1995. Ss. 86.

Konrad Chmielecki: *Gru w kwiet*. Stowarzyszenie Civitas Christiana, Płock 1995. Ss. 50.

Anna Czajkowska: *Kiedy stygną godziny*. Stowarzyszenie Civitas Christiana, Płock 1995. Ss. 33.

Jerzy Tomaszewicz: *Upełnowieni*. Sopocki Klub Pisarzy i Przyjaciół Książki „Brodwino”, Sopot 1995. Ss. 99.

Jack Guz: *Geny*. Lubelska Oficyna Wydawnicza, Lublin 1995. Ss. 72.

Janusz Adamczyk: *Płomka skala*. Wydawnictwo „Norberrinum”, Lublin 1995. Ss. 40.

Dorota Muszyńska-Kota: *Przeszeń ięczy*. Lubuska Oficyna Wydawnicza „LOW”, Zielona Góra 1995. Ss. 81.

Cielu sowa. Wybór utworów: Antoni Matuskiewicz. Posłowiem opatrzył Kamil Maliszewski. Miejska Biblioteka Publiczna im. Cyprjana Norwida, Świdnica 1995. Ss. 48.

Marek Grewling: *Przepracowałam za ten pseudonim*. Oficyna Współczesna, Wrocław 1994. Ss. 62.

Stanisław Dłubiński: *Stary Dom*. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Frana”, Rzeszów 1995. Ss. 32. Seria Poetycka „Frazy”.

Jadwiga Dóer: *Smak krostki*. Agencja Wydawniczo-Handlowa, Lublin 1995. Ss. 23.

III Turniej Jaskowego Wierca o Laur Pasteranki. Sosnowiec 1995. Ss. 61.

Marcin Cholewicki: *Kuźniczka*. Stowarzyszenie Deszcz Wroclaw Automatom, Radom 1995. Ss. 23. Seria z Automatu, Zestaw nr 1.

Katarzyna Nalepa: *Yon, delfin i sowa*. Wyd. ASP w Krakowie, Kraków 1995. Ss. nb 24.

Wojciech Zalewski: *Definicje*. Polskie Towarzystwo Bibliologiczne, Kraków 1994. Ss. 39.

Ewa Sonnenberg: *Harard*. Wydawnictwo „Astrum”, Wrocław 1995. Ss. 80.

Choroba Tamerlana albo ewolucja humanizmu

W ciągu wieków słowa zmieniają swoje znaczenia w sposób często tak układowy i nieuchwytny, że trudno zdać sobie czasem sprawę z ich ewolucji. W efekcie procesów społecznych, historycznych i językowych wiele powszechnie przyjętych i stosowanych pojęć odmienna się nie do poznania. Tak było z komedią, tragedią, metafizyką, imitacją, klasyką, romansem czy, jak argumentował prof. Bohemski, z logiką.

Podobnie, w moim mniemaniu, przez ostatnie czterysta lat ewoluowało pojęcie humanizmu. Mówiąc ściślej, zmieniano się w nim pojmowanie człowieczeństwa. Stąd, jeżeli od końca czternastego wieku, od „koronacji” Petrarki i początków włoskiego odrodzenia humanizm rozumiano praktycznie nieodmiennie jako postawę uznającą człowieka za najwyższą wartość i miarę innych wartości, to przychylabym się do twierdzenia, że charakter owej najwyższej wartości podległ pewnym subtelnym zmianom.

Do ilustracji tego procesu posłużyć mogą w prawdziwie unikalny sposób *Dwa komiczne dyskursy o Tamerlanie, pastusza sytykism Christophera Marlowe’a*. Można przjąć, że w momencie swojej premiery na deskach londyńskiego The Theatre w 1587-88 r. ta dwuczęściowa tragedia wlotu i upadku azjatyckiego tyra była najbardziej przełomową manifestacją ducha renesansu od czasu *Il Canzoniere* Petrarki.

Dlaczego? Otóż napisana 50-30 lat wcześniej przez któregośkolwiek z angielskich dramaturgów pokolenia Heywooda sztuka ta byłaby późną odmianą moralitetu z gatunku tzw. upadków książąt („fall of princes” genre). Głównego bohatera, czy to występującego pod swym własnym imieniem, czy też zgodnie z wcześniejszą tradycją moralitetowych personifikacji noszącego imię Pychy, spotykały zasłużony koniec w postaci niepodważalnej boskiej kary za to, co od czasu papieskich bulli Grzegorza Wielkiego w VI w. określono powszechnie jako pierwszy i najcięższy z siedmiu grzechów głównych, wyobrażony często, jak choćby w *Parson's Tale* Chaucera jako korzeń symbolicznego drzewa zła — pochodnię zakazanej rajskiej jabłoni.

W sztuce takiej nie byłoby miejsca na sympatię, a w każdym razie nie na podziw dla uzurpatora. Wartość katarsystyczna takiej sztuki miałaby wymiar moralizatorski, nie byłoby w niej miejsca na szramat w antycznym (czy współczesnym) tego słowa znaczeniu. Na skierowanie do hipotetycznej publiczności pytanie, czy główny bohater jest ludzki, otrzymalibyśmy zapewne odpowiedź: tak, bo jest słaby.

Na tym tle nowatorstwo Marlowe’a wydaje się niewiarygodne. Cały wszechświat zdaje się wstrząsnąć i zmieniony nie do poznania. Pycha, która jeszcze u lorda Spensera przewodzi w odróżającym korowódzie ludzkich wad i ulomności (*Królowa ełfów*, cz. I, canto 4),

u Marlowe’a przeistacza się w to, co nazwiemy dumą, czy ambicją¹. Co więcej, ta właśnie cecha stanowić będzie o człowieczeństwie Tamerlana. Od pierwszych słów dramatu wiadomo, że człowiek staje się tu miarą wszechrzeczy, także miarą okrucieństwa. To jest dziedzictwo dramaturgii antycznej, gdzie u Sofoklesa czy Seneki faktie iminicznego wszechświata wyznacza ludzki wlot i upadek. Fakt, że zarówno u Seneki, jak i Marlowe’a potężna retoryka ocieka wyobrażeniami bogów, sił nadprzyrodzonych, komei, gwiazd czy sfer niebieskich (największy ze znanych ówczesnie mechanizmów przyrodniczych) nie oznacza, że człowiek umieszczony jest w boskim wymiarze wszechświata. Przeciwnie, przez mitologiczne decorum, czy — żeby użyć oświeceniowego terminu — maszynerie, decyduje i czynny ludzkie uzyskują ów boski wymiar:

*I hold the Fates fast bound in iron chains,
and with my hand turn Fortune's wheel about,
and sooner shall the sun fall from his sphere,
than Tamburlaine be slain or overcome.*

akt I, sc. 2

*(Ja to w śleziu zakulem Fortuny koła,
i moja dłoń obraca kółko Losu,
i pierwej słońce runie ze swej sfery,
niż Tamerlan zostanie pokonany.)²*

Kiedy jednak w dramaturgii greckich klasyków człowiek będzie przedmiotem, czy w najlepszym wypadku narzędziem przernaczenia, Tamerlan wydaje się być, do czasu przynajmniej, przernaczenia siłą napędową, uosobieniem sił, które pojmowane były wcześniej jako od człowieka niezależne.

Bohatera takiego trudno by szukać w tradycji nowożytnej, znajdujemy go jednak u Homera. Gniew czy duma Achilleusa jest wszakże równa boskiej, a Diomedes w piątą księgę *Iliady* toczy walkę z siłami nadprzyrodzonymi i jest w stanie nawet zranic Atrydyę (II: 370-400). Tak więc, wracając do naszego hipotetycznego moralitetu, zauważyć należy, że Tamerlan łączy w sobie zarówno cechy Everymana, personifikacji człowieka jako reprezentanta gatunku, jak i cechy, które w takiej sztuce należałyby do Fatum, Przernaczenia, czy po prostu do Boga.

Z tych więc starożytnych tradycji czerpać będzie Marlowe i takie będzie jego rozumienie człowieczeństwa jako zespołu cech właściwych człowiekowi z racji jego miejsca we wszechświecie.

Tutaj dochodzimy do podłoża konfliktu, który Marlowe napotkał jako jeden z pierwszych, a który przelidowadł jeszcze będzie byronowski Kain. Mowa tu o problemie pogodzenia greckiej tradycji humanistycznej z sztuką chrześcijańską. Przez ponad tysiąc lat średniowieczna prądy intelektualne i naukowe dominujące w Europie przyjmowały za punkt wyjścia wartości nie do pogodzenia z heroiczną etyką *Iliady*. Kultura średniowiecza, choć nie mniej bogata niż świat antyczny, była jednak przynajmniej do XI w. jego negacją (filozofów starożytności umieli Dante w piekle nie z powodu idiosyncrasytycznych upodobań). Okres ten zmienił świadomości cywilizacji europejskiej w sposób nieodwracalny, co stało się paradoksalnie widoczne właśnie po renesansowym odkryciu dziedzictwa antyku. U Marlowe’a to rozdarcie jest przyczyną ostatecznej klęski wszystkich jego protagonistów. Humanizm nie jest tu do końca pogodzony z chrześcijaństwem, jest to przede wszystkim humanizm buntu. Chociaż dopiero w *Doktorze Faustusie* zdecydowanie Marlowe

¹ Dla Marlowe’a słowo przetworzało to samo „pride”, zmieniło się tylko znaczenie.
² Waryskite tłumaczenie autora.

zmierzyć się ostatecznie z problemem dziedzictwa średniowiecznego chrześcijaństwa, to we wszystkich jego dramatach powtarza się ten sam schemat. Marlowe tworzy bohaterów nieprzeciętnych, obdarzonych zarówno niepokromioną ambicją, jak i wrodzonym poczuciem piękna (u Tamerlana będzie to watek Zenokraty), cechami pierwszorzędnej wagi dla ideału swjej epoki. Bohaterowie ci jak wystrzelone z impetem pociski wznożą się, a następnie rozbijają o niewiedzialną, ale i nieprzekraczalną barierę ludzkich możliwości.

Przeszedłmy ten proces na przykładzie Tamerlana. Jest to nie tylko postać główna, ale także, mimo całego swojego niewysłowionego okrucieństwa, jedyna w dramacie miara cnoty i występku. Miarą taką Tamerlan pozostaje nawet w chwili swego upadku. Podrywkowa pogarda decyduje o pozostawieniu Mycenasa do zabicia przez innych, czy morderstwo własnego znieścieżalonego syna, z tego samego zresztą powodu, nabierają w obrębie dramatu cech obiektywnej oceny oba postaci, a ich los — naturalnej tej oceny konsekwencji.

To, co obserwujemy jako zawrotną transformację przywódcy wieńczącego bandy w potężnego imperatora, dokonuje się w wymiarze, można by rzec, metafizycznym. W triumfalnym pochodzie Tamerlana do władzy nie ma miejsca na przypadek i nawet talent w rzemiośle wojennym nie jest elementem decydującym. Tamerlan pokonuje przeciwników siłą woli, jak też swoją ambicją. Pokonuje, ponieważ jest bardziej jej pełniej człowiekiem, homo aspirans — istota dążąca.

Ambicja Tamerlana wypływa z tego samego źródła co rycerski etos romansowy średniowiecza. Ambicja Rolanda czy Lancelota zakorzeniona jest w pojęciu honoru, honoru rozumianego jako wypełnienie konwencji społecznej, realizowanie powinności względem suwerena, głowy rodu czy damy serca. Owe konwencje wyznaczają jej miejsce i granice, jest ona w dużym stopniu racjonalna. Ambicja Tamerlana nie mogłaby być bardziej odmienna; jest niepopohamowana, indywidualistyczna, wymierzona przeciw konwencji i feudalnemu porządkowi. Tamerlan powtarzać będzie wielokrotnie, że nie pochodzenie, ale naturalna, wrodzona „wielkość ducha” (magnanimity of spirit; podobnie określał podstawową cnotę Platona) decyduje o wartości człowieka.

Marlowe wydaje się jednak utwarcie podkreślać, że kolejno obaleni przez Tamerlana księżęta, opisujący go jako złodzieja, barbarzyńcę czy bandytę mylą się w jego ocenie całkowicie. Tamerlan nie przyjmuje okupów, zdobywa bogactwo nie dla jego gromadzenia, ale dla samej przynależności zdobywanym lub fincyngem pokazów szczytności, największą zaś radość znajduje w poniżaniu wrogów:

*No, though Asphaltis lake were liquid gold,
and offer'd me as ransom for thy life,
yet shouldst thou die; shoot at him at once.*
— skł. akt 5, sc. 1 (cz. II)

*(Nie, choćby Asphaltis wypełniło złoto,
na okup dla mnie w zamian za twoje życie,
zgnąłbyś tak samo, zastrzelić go zaraz.)*

*Lachryma Christi and Calabrian wine,
shall common soldiers drink in quaffing bowls,
ay, liquid gold, when we have conquered him,
mingled with coral and with oriental pearl.*
— skł. akt 1, sc. 3 (cz. II)

*(Lachryma Christi i kalabrijskie wino,
proci żołnierze będą pić wderamy,
więcej: korale, wschodnie perły w płynnym zlocie
zapijone, kiedy zwyciężymy.)*

Pomimo to nie można powiedzieć, że Tamerlan jest niewolnikiem własnej dąmy czy ambicji. Jest nim na pewno Makbet, którego ambicja jest tylko jedną z cech złożonej osobowości; cecha negatywna, tak jak odwaga jest jego cechą pozytywną. To samo powiedzieć można o Koriolanie, to samo o Otellu z jego bezgraniczną zdolnością do miłości OBOK jego nieokielzanej zazdrości.

U Marlowe'a natomiast osobowość jest zdominowana przez jedną centralną cechę, narazem dobrą i złą w swych implikacjach, nie sposób rozdzielić jej na specyficzne komponenty. Tamerlan nie jest więc jak Makbet niewolnikiem ambicji, pomimo że ta cecha definiuje go jako postać, ponieważ on JEST ambicją. W efekcie postać Tamerlana, jakkolwiek nadludzka wydawać się może w porównaniu z Makbetem lub Koriolanem, wyraża człowieczeństwo w bardziej symbolicznym wymiarze potencjalnej wielkości.

Tamerlan nie jest więc feudalnym wojownikiem czy pełnym awanturniczej megalomanii wielkaniem. Jest wyrazem tych samych prądów, które ukształtowały włoską, a potem i europejski renesans, jest modelem humanizmu według swojej epoki, modelem różnym od współczesnego, a nieobcym już właściwie od Szekspira. Człowieczeństwo wyrażone u Marlowe'a realizuje się bowiem poprzez wielkość lub dążenie do wielkości i nie jest mu bardziej obce niż zjawianie istoty człowieczeństwa w jego słabości lub jej przeważaniu.

Sam autor zdawał sobie sprawę, że humanizm tak rozumiany musi być humanizmem tragicznym. Koniec, jaki spotyka Antygone, jest tragiczny, ale śmierć jest tam w imię pewnego systemu etycznego, dzięki czemu ma także wymiar pozytywny — potwierdza w pewien sposób wielkość człowieka. Śmierć Tamerlana potwierdza jego needę.

Dramat Tamerlana rozgrywa się, jak już powiedzieliśmy, w wymiarze metafizycznym, nawet odrodzeniowa żądza poznania jest tu pojmnowana postarowumowo:

*Our souls, whose faculties can comprehend
the wondrous architecture of the world,
and measure every wandering planet's course,
still climbing after knowledge infinite,
and always moving as the restless spheres,
will us to wear ourselves and never rest
until we reach the ripest fruit of all, (...)*
— skł. akt 2, sc. 7 (cz. I)

*(I nasze dusze, których zmysł obejmuje
całą cudowną architekturę świata,
odmierzy drogę wędrujących planet,
zawsze w pogoni za wiedzą nieskończoną,
każ nam być ustankiem i trwać żyć
nie stępnymy po najdojrzałszy owoc, (...))*

„Nasze dusze”, nie „umysły”. W ten sam sposób choroba czy niemoc, która kładzie kres podbojom Tamerlana, nie jest właściwie dolegliwością fizyczną, jest wynikiem biuźnierstwa, jej główny wymiar to uświadomienie sobie przez Tamerlana istnienia nieprzekraczalnego limitu dla własnej ambicji. A skoro, jak powiedzieliśmy, Tamerlana jest ambicją, cnotą wymierzony z tego ambicji jest tym samym końcem jego samego. Tamerlan porównuje się z bogami

od pierwszej sceny dramatu i stopniowo zaczyna czuć się im równy. Jego mowy odwołują się przetrzone do mitologicznego decorum, jednak ostatni monolog po zdobyciu Babilonu robić musi zgola inne wrażenie:

*Well said! Let there bea fire presently.
In vain, I see, my worship Mahomet.
My sword hath sent millions of Turks to hell,
slew all their priests, his kinsmen, and his friends,
and yet I live untouched by Mahomet.
There is a God, full of revenging wrath,
from whom the thunder and the lightning breaks,
whose scourge I am, and him will I obey.
So, Casane, fling them to the fire.
Now Mahomet, if thou have any power,
come down thyself and work a miracle.
Thou art not worthy to be worshipp'd
that suffers flames of fire to burn the wit,
wherein the sum of thy religion rests.
Why sendst thou not a furious whirlwind down,
to blow the Alcoran up to thy throne
where men report thou sit't by God himself,
or vengeance on the head of Tamburlaine
that shakes his sword against thy majesty,
and spurns the abstracts of thy foolish laws?*

akt 5, sc. 1 (cz. 2)

*(Dobrze mówisz! Rozpalisz zaraz ogień.
Na próżno ludzie wierzą w Mahometa.
Mój miecz miliony Turków ślał do piekła,
wszystkich kapłanów jego, ród, przyjaciół,
a jednak żyję, nieknięty przez Mahometa.
Jeden dla mnie jest Bóg, w zemicie pełen gniewu,
który błykawicę z nieba się i gromy,
jego narzędziem jestem, jego tylko służę.
Tak więc, Casane, wrzuc Koran do ognia.
Teraz Mahometcie, jeśli w twój mocy,
zstąp z nieba sam i dokonaj cuda,
Nie jesteś warty być obiektem wiary,
który pozwalasz, że ogień pochłania
twojej religii księgi objawione.
Czemu nie zleśles potężnego wiru
by unieść Koran do twegoj tronu,
gdzie, mówią, siedzisz po prawicy Boga,
czy zleścał zomąć na głowę Tamerlana,
który swój miecz wymierza przeciw tobie
i tak poniża twoje głupie prawa!)*

Publiczność zapelniająca przedstawienie *Tamerlana* w końcu XVI w. nie mogła nie dostrzec tej różnicy. Islam jest religią monoteistyczną i na tyle do chrześcijaństwa podobną, że obrazurcy ton Tamerlana musiał być odbierany jako graniczący z bluźnierstwem. Efekt taki wydaje się być w pełni zamierzony, ale traktować *Tamerlana* jako sztukę antyreligijną, dramat, gdzie Bóg niszczy człowieka, byłoby wielkim uproszczeniem.

Od początku cywilizacji, kiedy miejsce człowieka we wszechświecie zaczęło opisywać w kategoriach religijnych, pojęcie boga stanowiło zarazem granicę ludzkich aspiracji i symbol potężniejszej niż ludzka woli. Tamerlan w swej oszalałej krucjacie niepokromionej ambicji musiał ten próg napotkać. Pokonując wszystkie ziemskie przeciwności, Tamerlan rzeka ostatecznie wyzwanie Bogu, które,

jeśli nie może przynieść mu zwycięstwa, jest dla Marlowe'a nieuchronnym i w pewnym sensie logicznie usprawiedliwionym krokiem — rezultatem wielkości człowieka. Tamerlan nie ma w sobie słabości, jego wola jest potencjalnie równa boskiej; słabość, która jest powodem jego klęski przychodzi jak gdyby z zewnątrz. W tym niezwykłym podjęciu słabość nie jest ludzka, nie ma pozytywnego wymiaru czy konsekwencji, jest przeszkołą, której nie można i nie ma sensu przewycięzać.

Nie trzeba dodawać, jak bardzo postawa taka klóci się ze współczesnym rozumieniem humanizmu. Oparcie dla humanizmu w dwudziestym wieku odnajdywano właśnie w myśli chrześcijańskiej i przeciwstawiano systemom myślowym, które pomimo swego odrodzeniowego czy oświeceniowego rodowodu od uznania człowieka za najwyższą wartość ostatecznie odchodziły. Na pytanie, co określa człowieczeństwo Winstona Smitha z *Roku 1984* Orwella, odpowiemy prawdopodobnie: jego słabość i próba jej przewyciężenia. To O'Brian, tyraniczna postać o wielkiej sile woli (Winston powie: *Jego umysł zdaje się zawierać mój własny*) będzie symbolem tendencji humanizmowi przeciwnych. Humanizm Winstona zaczyna się tam, gdzie człowieczeństwo Tamerlana kończy się nieodwracalnie.

Takie rozumienie humanizmu przenika całą obecną kulturę, dominuje i w poezji, i w stereotypach kultury masowej. Jest tak powszechne, że trudno uwierzyć, jak zadziwiająca przeszło ewolucja.

Bartłomiej Błaszkievicz

Redakcja kwartalnika „Fronda” ogłasza:
Konkurs poetycki im. ks. Józefa Baki oraz **Konkurs prozatorski**
Nie publikowane dotychczas utwory w 4 egz. (objętość dowolna) prosimy nadsyłać do 31 lipca 1998 pod adresem:
FRONDA, ul. Reymonta 30/61, 01-842 Warszawa.

Ogłoszenie wyników wraz z wręczeniem nagród odbędzie się 1 października 1996 roku.

Prace poetyckie ocenić będzie jury w składzie: Krzysztof Koehler, Krzysztof Mrówciewicz, Jarosław Marek Rymkiewicz (przewodniczący jury).

STANISŁAW DŁUSKI

Rozmowa z cieniem

Tańczymy z cieniem
na ścianie umierającego
domu naszych tęsknot
mniejsi od cienia
od losu jętki
uczymy się życia
jak krople rosy
spadające w serce ognia

przychodzi sen
słowo cienia
odsłania dłoń
zaciśniętą na
drugiej dłoni
linie zmarszczek
dolinę światła

Czarny wiatr

Zbyszkwowi Guzemu

Nie umieliśmy żyć
pisać miłosne ody do rozpacz
w kościele poezji
zagubieni ministranci
szukaliśmy siebie

Wiara miała twarz matki
pełną niewzpanych zmarszczek

Nadzieja okradziona z zieleni
gnła w szumie listopada

Miłość w różowej sukience
szepciem wchodziła w dorosłość

Dzisiaj szukamy kropli słodca
o Boże ale ten czarny wiatr
wieje w oczy bez końca

Spowiadanie domu

Nasz dom na
samotnej wyspie,
podmywają fale zwątpienia,
dni klótni i złowrogich
milczeń.

Pan Bóg chowa się wtedy w
najciemniejszym szepcie pokoju.

toczymy tę kulę ze szkła,
śliny,
światła,
zazdroszcząc kwiatom
miłości do korzeni

Z mojego okna

W gorące porannych godzin
z mojego okna
nie widać śmierci
maj wkrada się przez
uchylone serca i powieki
pachnie Twoim potem
i spóźnionymi fiołkami
oddech wykradziony
naszym pocałunkom
łączy sen z chłodnym
wchodem powietrza

Wiersze chrome

Majg Sabine

Matko Boska Saletyńska
spadam z liście, listem
ostatnim, nie znoszą
mnie nogi, nie spotykają
się ręce; obce dni i noce

Twoje małe dlonie,
kropki radości, *Dieffenbachia*
tańczy w wazonie,
nie odwracam się plecami;
śnię przepaść

Oda do wycofania się

Wycofać się, to nie znaczy przegrac
lub być obojętnym jak kamień,
kochanek bez namignięcia, oddany
pieszczotom rzeki. Wycofać się
by żyć, jak ogień zakłęty
w słojach drzew, w garści popiołu,
zapowiadany cieniem salamandry.
Wycofać się nie dla zwycięstwa,
bo nie ma zwycięzców i zwyciężonych:
topią się państwa z wosku,
oflary zmieniają się w tyranów
jak ciche źródła w rwałe potoki:
ciemność staje się nadzieją.
Wewnętrzny rytm wiersza:
znak życia, oddanego we
władanie światła, zamkniętego
w kształcie dystychu

Stanisław Dhaski

Książki nadesłane

Wydawnictwo „Okis”, Wrocław

Biblioteka Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, seria IV

Henryk Wolniak: *Głodości*. Poezja. Ss. 64.

Leszek Badrewicz: *Złotych cukierków*. Proza. Ss. 64.

Wojciech Izak Strugał: *Rozmowa o wycofaniu*. Poezja. Ss. 64.

Maciej Grzesiowski: *Boże nie umiaraj*. Poezja. Ss. 53.

Rafał Witki: *Drugi człowiek*. Poezja. Ss. 62.

Andrzej Zawada: *Bresław*. Proza. Ss. 64.

Irena Wyczółkowska: *Gwar stojący*. Poezja. Ss. 54.

CYBERPUNK

W „Akencie” nr 2/95 czytelnicy mogli przeczytać recenzję „brulona”, którego numer 25 poświęcony był konfekturze zwanej cyberpunkiem. Niestety, krakowiko-warszawscy autorzy zajęli się raczej marginalnymi zagadnieniami, takimi jak cyberseks czy rola narkotyków w przemyśle komputerowym, ignorując to, od czego wywodzi się sama nazwa ruchu, czyli jego literackie przesady. Dziś „Akcent” prezentuje aneks, a właściwie zestaw najwspanialszych tekstów, do którego uzupełnieniem mogłyby być rzeczy publikowane wcześniej w „brulonie”. Czyli po prostu prezentę miniblok literatury cyberpunkowej, dołączając do grona pism amerykańskich i japońskich, które podjęły ryzyko publikacji tekstów jawiących się w świadomości wielu ludzi jako nowe, naturalne i bezwartościowe pod względem literackim, a przecież tak istotnych dla współczesnej kultury.

Cyberpunk jest literackim wyrazem epoki postindustrialnej, kulturowym produktem gwałtownego rozwoju technologii oraz jej postępującej ingerencji w życie człowieka. Z krytycznoliterackiego punktu widzenia jest on częścią literatury science fiction. Co go w niej wyróżnia, wyjaśnia chyba najlepiej esej Bruce’a Sterlinga, który w 1986 roku położył za wstępu do „Mirrorshades” („Laszramki”, pionierskiej antologii opowiadań autorów, których imi nazywali cyberpunkami, a oni samych siebie — „Ruchem” (The Movement). Aczkolwiek niezapelnie bezstronny, Sterling rzeczowo przedstawia korzenie cyberpunku starając się określić jego charakterystyczne cechy. Esaj ten zasługuje także na uwagę ze względu na wyjątkowo barwny język autora, który nieprzypadkowo jest od wczesnych lat 80. rzecznikiem i popularyzatorem pojęcia „Ruchu”.

Początkowo ignorowany, od połowy lat 80. cyberpunk zaczął przyciągać uwagę krytyków literatury. Na Północnoamerykańskiej Konwencji Science Fiction w Austin w Teksasie w 1985 roku organizatorzy stworzyli specjalną grupę dyskusyjną dotyczącą nowego gatunku, zaś w 1988 roku jedna z poważniejszych amerykańskich pism literackich, „Mississippi Review”, poświęciło mu cały numer, którego honorowym redaktorem został znany krytyk literatury awangardowej Larry McCaffery. Od tamtej pory w periodykach akademickich i krytycznych ukazało się wiele artykułów i opracowań, chociaż z wyjątkiem jednej książki poświęconej Williamowi Gibsonowi dotychczas nie powstała żadna krytyczna monografia na „Ruchu”.

Jest to o tyle zrozumiałe, że podobnie jak inne nowe, nie zwykryfikowane przez czas zjawiska literackie, cyberpunk umyka klasyfikacji jednoznacznie określenia. Do kanonu kilku pisarzy krytycy dodają nowe nazwiska, co do których „cyberpunkowości” nie wszyscy się zgadzają. Toczą się boje o to, co decyduje o uznaniu danego dzieła za należące do tego gatunku. Są wreszcie i tacy, którzy twierdzą, że czysty cyberpunk umarł i że jesteśmy obecnie świadkami post-cyberpunka świadomego włączającego się w mechanizmy ekonomii kulturalnej, w którą godził się pierwsi pisarze. Ostatnia teza może znaleźć potwier-

dzienie w niezwykłej popularności wszytkiego, co jest „cyber”. Celem stał się znakomity chwyt marketingowy i doprowadził do powstania cyber-gier, cyber-magazynów, cyber-komiksów, nie wpoimając już o takich mętnych pojęciach jak cyber-polityka i cyber-moralność, które też przewidywały się przez lany przysz. Tak czy inaczej, jest niezaprzeczalnym faktem, że faworyzowany przez krytyków postmodernizm cyberpunk wyprowadził na arenę szerszego zainteresowania całą literaturę science fiction, która wyzwała narzuconego jej niezadłużenie gęstej literatury lektury, łatwej i przyjemnej. Postmodernistyczna, lub też, jak chce Zygmunt Bauman, „ponowoczesna” idea zmieniła postuła na literaturę „powązną” i „popularną” pozwoliła na dostrzeżenie science fiction jako równoprawnego, co więcej, wręcz archetypalnego dla epoki dominującej techniki, gatunku literackiego.

W Polsce cyberpunk jest dość nieznamy, w każdym razie poza wąskim gronem miłośników science fiction. Jedyną przetłumaczoną powieścią pozostaje cykle „Neuromancer” w bardzo dobrym skądinąd przekładzie Piotra Cholewy. Do tego można dodać garść opowiadań Gibsona, Sterlinga czy Williamsa, jakie ukazały się w „Sfinksie” i „Fenixie”, miesięcznikach poświęconych SF i fantazji.

Niewielki wybór przekładów jest z konieczności ograniczony i arbitralny. Niemniej jednak starałem się włączyć do niego utwory, które w jak najtrafniejszy sposób oddawałyby ducha oraz sposób obrazowania nowego gatunku. Nie oznacza to, że wspomniane w nich tematy są jedynie poruszonymi przez jego pisarzy. Jest ich o wiele więcej i to także wspomina Sterling w swoim programowym esaju.

Opowiadanie Williama Gibsona „Johnny Mnemonic”, opublikowane w 1982, jest pierwszym, w którym młody pisarz przedstawił zupełnie nową wiedzca estetykę. Wiele motywów z tego utworu powtarza się potem w twórczości innych członków „Ruchu”. Opowiadanie przetarło również szlak dla „Neuromancera” (1984) — niekwestionowanej sztandarowej pozycji całego gatunku. Uznany jednogłośnie za jego ojca Gibson stworzył w swojej pierwszok powieści wizję świata niedalekiej przyszłości, zdominowanego przez technikę komputerową oraz zaawansowane technologie, w którym informacja jest narzędziem władzy i łapem dla niezależnych lub najemnych piratów komputerowych sieci zwanych hackerami. Gibsonowska rzeczywistość to syntetyczne narkotyki, biotechnologie, inżynieria genetyczna, bezprawie w cyberprzestrzeni i realnym świecie oraz dużo, dużo komputerów i komputerowego żargonu.

Następna pozycja to fragment „Snow Crash” Neala Stephena. Opublikowana w 1992 roku powieść stała się sensacją nie tylko w kręgach SF, ale i na szerszym rynku czytelnictwa. Wiele krytyków przyrównało tę powieść, łączącą estetykę cyberpunkową z erudycją tencyklopedyczną, do piśrwa Thomasa Pynchona. „Snow Crash” zadłużony jest do „drągiej fali” cyberpunka, zaś sam autor szczerzy został za jednego z najbardziej obiecujących młodych pisarzy science fiction. Jako autor literacki „Snow Crash” udowadnia również, że cyberpunk to nie tylko werbalne fajerwerki i porwijące obrazy, ale także idee i głębia, której nie powstydziłby się tak zwani „poważni autorzy”.

Reprezentantem „akademickiej” strony gatunku jest Rudy Rucker, profesor matematyki i znany pisarz science fiction. Zamieszczony fragment pochodzi z jego powieści „Software” (Program) wydanej w 1982 roku, która z miejsca stała się jedną z pozycji gatunkowego kanonu. Estetyka Ruckeru ma niewiele wspólnego z rozgrywającymi się w cyberprzestrzeni wczesnymi utworami Gibsona i pod wieloma względami przypomina tradycyjną science fiction. Nietrudziłyne, właśnie cyberpunkowe, są w niej podejmowane problemy.

Cyberpunk to także poezja. Nie jest ona z całą pewnością tak popularna jak proza Gibsona, Stephena, Sterlinga czy wielu innych,

ale istnieje i ciągle się rozwija. Jednym z jej reprezentantów jest znany awangardowy poeta, artysta z Nowego Jorku, Rob Hardin, którego trzy wiersze także znalazły się w tym skromnym wyborze.

O tym, że cyberpunk zdobywa coraz większą popularność, mogą świadczyć liczne filmy, których fabuła zawiera elementy powszechnie postrzegane jako charakterystyczne dla tego gatunku. Powszechnie postrzegane, gdyż umieszczenie w fabule komputera nie czyni jeszcze z filmu obrazu cyberpunkowego. Najwcześniejszym przykładem jest „Johnny Mnemonic” — film oparty na opowiadaniu Gibsona, do którego scenariusz napisał sam autor, a który polscy widzowie mogli oglądać w polskich kinach w listopadzie zeszłego roku. Jakkolwiek poza głównymi bohaterami i motywami fabuła ma niewiele wspólnego z oryginałem, doczyta realizacja obrazu oraz faktu wykupienia przez wytwórnię filmowe prawa do ekranizacji kilku innych tekstów twórcy „Neuromancera” świadczą dobitnie o zaakceptowaniu tego typu literatury przez mass media.

To, co przez wiele lat pisarze fantastyczni przedstawiali jako wizje, staje się obecnie rzeczywistością. Rozwój sieci komunikacyjnych, istniejąca komputerowo oraz inżynierii genetycznej może już wkrótce doprowadzić do statusu quo, jakie Gibson przewidział w „Johnny Mnemonic”. W recenzji „Neuromancera” Bruce Sterling napisał: „Przyszłość już nadeszła... Zanim zobaczymy ją na żywo w Polsce, może warto sprawdzić w literaturze, czy będzie nam odpowiadała.

grudnia 1993

Paweł Fręk



Jack Crow: Anta, fragment, grafika komputerowa.

BRUCE STERLING

PRZEDMOWA DO „LUSTRZANEK”

Razdło który pisarz dobrze musi etykiety, a już na pewno żaden z kręgu „cyberpunków”. Literackie klasyfikacje mogą bowiem podciągać za sobą pewne nieczyste paradoksy: pisarze określani czują się jednocześnie zaskafunkowani, z kolei ci porównani etykiety — lekceważeni. Co więcej, rzeszowego wyrażenie nigdy nie oddaje pełni twórczej jednostki i wysiłku niezastanego rozdrażnienia. Mogłoby z tego wynikać, że „typowy pisarz cyberpunkowy” tak naprawdę nie istnieje, pozostając jedynie Platoniąką fikcją. Dla reszty z nas narwa ta stanowi niewygodne łote Prokuratorów, w które wciągają nas fanatycy krytyki.

Niesienie jednak możliwe jest sformułowanie ogólnych założeń i przełożenie charakterystycznych cech ruchu. Uznajmy to za chwilę, bowiem punkowi jest zbyt silna, by się jej oprzeć. Pamiemo przestrzeń, krytyce, do których również i ja się należam, obstaty przy naklejanym etykiety. Masmy tak robić, bo jest to cennym narzędziem analizy, a co więcej — świetną zabawą.

Cyberpunk jest produktem atmosfery lat osiemdziesiątych i w pewnym sensie — co mam nadzieję udowodnić — produktem technologii. Jednak jego korzenie to sześćdziesiątolecia tradycja współczesnej literatury SF.

Cyberpunk jako grupa ukwiał po uszy w wizję i tradycję SF. Ich prekursorzy są niezliczeni. Poszczególni pisarze racznegli różne literackie długi, ale wpływ kilku starszych twórców, niejako antenówców technologii, pozostają zawsze rownie widoczne.

Z Nowej Fali: zapreczniony Harlan Ellison. Wjorńskie blask Samuela Delany'ego. Nieokleznana blaznada Normana Spinrada i rockowa estetyka Michaela Moorcocka. Intelektualne wyzwanie Briana Aldisa. I, jak zawsze, J. G. Ballard. Z tradycyjnej SF: komizna wizja Ołafa Stapeltona. Nauka i polityka H. G. Wellsa. Sławotek ekspatałpolnie Larry'ego Nivena, Paula Andersona i Roberta Heinleina.

Podsiadło cyberpunkowi forma w sposób szczególny rdzennych wjorńców SF: bariąca pomyślowo Philipa Jose Farmera; żywność Johna Varley'a; gra z rzeczywistością Philipa K. Dicka; szychująca beatnikowska technologia Alfreda Bestera. I zgodnie wielebna Thomasa Pynchona w nieczarowany sposób łączącego technologię z literaturą.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Nowa Fala, ostatni rok wewnątrz SF, zwróciła uwagę pisarzy na warstwie literackiej. Wiada cyberpunków korzenie ciekawem zgrahem i efektywną prozę. Konstruują się na stylu i, jak się uważa, są do przesady wzniesione na mody. Z drugiej strony, tak jak punki z 1977 roku najbardziej ciekawie estetykę garażowych kapel. Ubióstwiają zmagania z sarową matierią SF — jej ideami. Ten aspekt przybliża ich do klasycznego nurtu SF. Ciepłi krytyków utrzymują, że cyberpunk uwalnia SF od dominującego wpływu głównego nurtu, tak jak punk obdarł rock'a rólą z symbolicznych ornamentów progresywnego rocka lat siedemdziesiątych. (Inni krytycy, zaważadłymi tradycjonalistami, z wrodzoną niechęcią wobec „artyzmu”, głoszą się lemsa sprzeciwiają.)

„Jak mazyka punkowa, tak i cyberpunk jest w pewnym sensie powrotem do korzeni. Cyberpunku to bodaj pierwsze pokolenie SF wychowane nie tylko na tradycji science fiction, ale również w prawdziwie fantastycznym świecie. Typowe techniki klasycznego nurtu SF, takie jak ekspatałpolnie czy owajanie technologii, są dla nich nie tylko literacką taktiką, ale i pomocą w codziennym życiu. Nieoczekiwany sposobem poznania.

Pop-kultura stawia praktykę na pierwszym miejscu. Jej śladem podają kulejąca teoria. Zanim pojawiły się etykiety, cyberpunk był po prostu „Ruchem” (The Movement) — ludźo zorganizowaną formacją młodych, ambitnych pisarzy, wymyślających listy i rękopisy, dzielących się pomysłami, żarliwym pochwalami i bezwzględnej krytyką. Gibson, Rucker, Shiner, Shirley, Sterling odnieśli jednak we wspólnych pogadankach i tematach, a nawet w nieoczekiwanym zastosowaniu tych samych symboli, które widocny wiąsny żywoty w ich twórczości. Jednym z nich były lustrzanki.

Lustrzane okulary przyciśnięte są symbolem „Ruchu” od początku 1982 roku. Nie trudno zgadnąć dlaczego. Osiągając oczy, lustrzanki skrywają przed „normalnym” światem fakt, że jest się niebezpiecznym szalecem. Symbolizują wjorńcowa odważnie spoglądającego w słońce, motorowca, rockera, polijacina i innych stojących na marginesie społeczeństwa. Lustrzanki, najlepiej w chromie lub matowej czarnej — symbolizujących kolorach, „Ruchu”, przeważają w kolejnych opowiadaniach niezłym rodzajem literackich identyfikatorów.

A więc cyberpunk to etykiety, które riki i nie wie myślenie. Klasyfikacja stała się jednak faktem dokonywanym w tej samej jakas parcie. Termini ten bowiem odwróciła element klaczywo w twórczości cyberpunków, element klaczywo dla całej dekady: nowy rodzaj integracji. Sojusz światów jak dotąd zupełnie odległych: królestwa naszasnowanej technologii i podmiemia wopkowanego popu.

Ta właśnie integracja stała się głównym źródłem kulturowej energii następnego dekady. Twórczość cyberpunków rozwija się równolegle do pop-kultury lat osiemdziesiątych — do rockowych teledysków, do hacznego podziemia, do silicznego hława sampli i hip-hopu, do rockowych syntezatorów Londynu i Tokio. Zjawisko to, ta specyficzna dynamika, ma globalny zasięg. A cyberpunk jest jego literackim wcieleniem.

W innych czasach taka kombinacja wydobywała się wysonoma i strzaczam. Pomiedzy naukami ścisłymi i humanistycznymi zawsze istniała głęboka kulturowa przepaść: przepaść między kulturą literacką, formalnym wysonoma i polityki a kulturą naukową, światem przemysłu i inżynierii.

Ta właśnie przepaść zanikła w najmniej oczekiwany sposób. Świat techniki wrywał się spod kontroli. Postępy nauki są tak radykalne, tak niepokojące i rewolucyjne, że nie sposób dłużej ich powstrzymać. Zalewają kulturę szeroką falą. Są natarczywe, wszechobecne. Tradycyjne struktury wiedzy, tradycyjne instytucje stracły kontrolę nad tempem tych zmian.

I nagle uwidoczniła się nowo sjozus: mariaż techniki z kontrolą i kulturą lat osiemdziesiątych. Wypłyły związek świata techniki ze światem zorganizowanej niezgody — podziemiem światem pop-kultury, wjorńcowskiej wroby i użyciu anarchy.

Kontakultura lat sześćdziesiątych wpatwała się w powrotem do natury, z romantycznym postępowaniem świata, antytechnicznym i antytechnicznym postawą. Ale za jej dzieje twórcze czadło się samospontaneousznie wymyślone przez elektryczną gitarę. Wjorńcowa zaczęło się od technologii w roku. Wraz z upływem lat rozwijała się ona i dokonalnia, dając początek nagranom wysokiej jakości, satelitarnym teledyskom i grafice komputerowej. Powoli zamienia ona wywrotną pop-kulturę w jej przeciwzwrotność, aż rzydkimi artyści stają się niejednokrotnie radykalnymi spocami od techniki. Wirtuozami efektów specjalnych, mistrzami muzycznych remiksów, technicznymi muzykami tain, haczerkami grafiki, którzy wyruszają się z nowych mediów wpatylwajęcych społeczeństwo w osłupienie przy pomocy wybrków w stylu kina efektów specjalnych i globalnych imprez jak Live Aid. Sprzecznoci przetrzadziła się w integrację.

I właśnie teraz, kiedy technologia osiąga swoje szczyty, wyrwają się ona spod kontroli i wychodzi na ulicę. Jak zauważył Alvin Toffler w *Trzeciej Fali* (*The Third Wave*, 1984) — Biblii wiada cyberpunków — rewolucja techniczna przekształcająca nasze społeczeństwo optera się nie na hierarchi, ale na decentralizacji, nie na zachowawczości, ale na pletkoci.

Hacker i rocker to iłode pop-kultury naszej dekady, a cyberpunk to jeszcze jeden jej przejaw: spontaniczny, pełen energii, blisko jej korzeni. Cyberpunk pochodzi ze sfery, w której komputerowy hacker i rocker to jedno, z kulturowej płytki Petriego, na której łączą się ze sobą splątane linie genetyczne. Dla niektórych efekty tego są dozwolone, inni się powstrzymają. Dla innych integracja jest niewypracowanym źródłem szaleń.

Literatura science fiction, przynajmniej według oficjalnego akseptatu, zawsze traktowała o wpływie technologii. Ale latwie czuło Hugo Gernsbach, kiedy to Nauka była zamknięta w wiązki z kosi słonowej, odego w zapomnienie. Nauwa technofilia tamtych dni należało do zanikłej, ospaliej ery, kiedy władza ciągle jeszcze miała wygodny margines kontroli.

Z kolei dla cyberpunków technologia jest czymś instyktowym. Nie jest już uwielbionym dzimem odległych mędźców Wielkiej Nauki, ale przeklęwym, całkowicie intymnym zjawiskiem. Nie poza nami, lecz tuż obok nas. Wchodzi pod skórę, czepio w nasze umyły.

Sama technologia też uległa zmianie. Nie dla nas gigantyczne buchające parą cuda przewoźni tania *Hisovers*, Empire State Building, elektronowa jądrowa. Technologia dla osiedźniastych łgnie do skóry, reaguje na dotyk tak jak komputer, walkman Sony, telefon komórkowy, szkła kontaktowe.

Przez cyberpunk przewija się szereg wspólnych tematów. Motywy ingerencji w ciało; sztuczne kończyny, wszczepione podpasoby, chirurgia plastyczna, inżynieria genetyczna. I jeszcze siniejący wątek ingerencji w umysł: interfejsy komputera i mózgu, sztuczna inteligencja, neurochemia — te techniki radykalnie zmieniają naturę ludzkości, naturę naszego ja.

Wiele ułówek, włączając w to rock'n'roll, jest bez wątpienia produktami zaawansowanej technologii. To nie konkulturowa Matka Ziemia dla nam LSD, ale laboratorium w Sandoz, po wydotowaniu się z którego kwas przemknął przez społeczeństwo jak błyskawica. Nie przez przypadek Timothy Leary obwołał komputery mianem „LSD dla osiedźniastych” — w obu technologiach czai się generalnie radykalny potencjał. I jako takie są one niezmiernym punktem odniesienia dla cyberpunka.

Cyberpunk, sami będąc byedydami, są zafascynowani strefami wymiany, obstrzami, gdzie — używając słów Williama Gibsona — „ulica wykorzystuje różne rzeczy do swoich celów”. Buczające, nieuczarzone graffiti z cyfrowego industrialnego artefaktu, poszki sprawy. Wyrotowy potencjał drukarki i zero. Sampłowana muzyka pionierów z gita zmieniających gramofon w instrument i tworzących archetypowe bierzenie lat osiedźniastych, w którym funk łączy się z metodą cięż Barroghusa... „Jstota tkwi w mikście” — stwierdzenie to odnosi się do dużej części sztuki lat osiedźniastych i równie łatwo przypada je cyberpunkowi co pirokatce punkowej modzie czy wielościelkowym nagranom cyfrowym.

Łata osiedźniaste są epoką przewartościowania, integracji, ściągających się wpływów, starych pojęć wstrzygniętych i interpretowanych na nowo w zmieniającej się perspektywie, z nowym wyrafowaniem. Celem cyberpunków jest szeroki, globalny punkt widzenia.

Neuromancer (1984) Williama Gibsona, bez wątpienia kwintesjencja cyberpunka, rozgrywa się w Tokio, Istambale, Paryżu. *Frontier* (1984) Lewisa Shintera zawiera sceny z Rosji i Mekajku — oraz z powierchami Marsa. John Sharley w *Zamienion* (1985) opijuje chaos w Europie Zachodniej. *Perspektywa Pireni Krwi* (1985) Grega Beara jest globalna, nawet kosmiczna w swym zasięgu.

Narzędzia globalnej integracji — satelitarne sieć mędźców, wiodonarodowe korporacje — fascynują cyberpunka i niecierpienie pojawiają się w ich utworach. Cyberpunków niewiele obchodzi granice. Tokijski „Hayakawa's Science Fiction Magazine” był pierwszym czasopiśmem, które w listopadzie 1986 poświęciło cyberpunkowi cały numer. Nowatorami brytyjski magazyn SF „*Interzone*” również był wylegarą cyberpunka, publikując Shintera, Gibsona i Steringa; jak również przelomowe artykuły, wywiady i artystyczne manifesty. Zbiorowa świadomość masy dla cyberpunków coś więcej niż doktryny i stanowi cel ich poszukiwań.

Twórczość cyberpunków jest naznaczona wizjonerską siłą. Piszarce ci cenią wszystko co dziwaczne, surrealistyczne, dotychczas niewyobraźalne. Chętnie, nierazko gorliwie, przenoszą swoje pomysły poza wszelkie granice. Tak jak J. G. Ballard, idół wielu z nich, często stwarza niewiarygodny, niemal kliniczny obiektywizm. To chłodna analiza, technika napotycona z nauk ścisłych i przystosowana do celów literackich, aby szokować w klasyczny punkowy sposób.

Intensywności wizji towarzyszy silna koncentracja wyobraźni. Cyberpunk słyszy z wymownego ujęcia szczegółów, starannie skonstruowanych zawiłości, gotowości wnoszenia ekstrapolacji w codzienną materię. Cyberpunk opowiada się za „za-

łoczoną” prostą; raptowno, przyprowadzając o zawroń głowy załewem informacji, przedławając wrażliwością pograżającym czysteliska w literackim ekwiwalencie hard-rockowej „cisny dźwięku”.

Cyberpunk stanowi naturalne przedłużenie elementów już obecnych w literaturze SF, często zapominanych, ale zawsze pełnych mocy. Wyraza z SF i nie jest obcym wstrząśnięciem, lecz wysoce nowatorską. Właśnie dlatego ma tak gwałtowny i silny wydźwięk.

Jego przetrwanie postępuje pytaniem bez odpowiedzi. Podobnie jak artyści punka i Nowej Fali, cyberpunkowi literaci mogą wkroczyć w miarę własnego rozwoju pognać w dziesiątkach różnych kierunków. Zapewni swoim poczuciem mocy SF debatając, na nowo formułując, wzbogacając staro dogmaty o nowe sztuczki. Jednocześnie fala cyberpunka nie przestając się rozchodzić eksyktując jednych, niósąc wywołanie drugim, a niektórych doprowadzając do wściekłości. Pełnie wyrażono protesty tych ostatnich są jeszcze słabo słyszalne.

Pomimo licznych prób przystąpiło pozostaje nie zgipnana karta. I to jest właśnie ostatnie kurtoazje naszego pokolenia SF — fakt, że literatura przyszłości ma dla nas drugą i honorową przelotkę. Jako pisarce zaciągamy dług u naszych poprzedników, których przekazanie, poświęcenie i talent podbiły nasze serca i w całym tego słowa znaczeniu zmieniły nasze życie. Takiego długu nigdy się nie spłaci. Można jedynie być go świadomym i — na co mamy nadzieję — przekazywać jako didaktyczny ton, który nadaję po nas.

przełożyli: Edyta Lewnick i Paweł Frelik



Jack O'Neil. Mapa, grafika komputerowa.

WILLIAM GIBSON

JONNY MNEMONIC

Umieciłem strzelić w torbie Adilasa wyłożonej czterema parami skarpetek tenisowych. Zapamiętałem nie w moim stylu, ale właśnie o to mi chodziło: jeśli oni myśla, że jesteś prymityw, stał się techniczny; jeśli myśla, że jesteś techniczny, bądź prymityw. Ja jestem bardzo techniczny, więc zdecydowałem się zagrać jak najbardziej prymitywnie. Z drugiej strony w naszych czasach trzeba być bardzo technicznym, aby w ogóle aspirować do prymitywu. Sam musiałem wytoczyć z mosiądzu na obrabianie obryda pociaki, kaliber dwaście sześć, a potem je uźbroić; musiałem znaleźć statek mikrofilmy z instrukcją ręcznego lodowca; musiałem zbudować dźwignię, która osadzalaby splotki — wszystko to bardzo skomplikowane. Ale wiedziałem, że zadział.

Spotkanie było wyznaczone na 23:00 w „The Drome”, ale przejechałem trzy stacje za najbliższy przystanek i wróciłem na piechotę. Pełne zawodowstwo.

Przejechałem się w chromowanej kiasce buski z kawą — normalny typ kaskawki o ostrych ryśach i z kępą sztywnych ciemnych włosów. Dzwęczyła z „Pod Nożem” były wielkimi fankami Sony Mao i coraz trudniej było je powstrzymać od dodawania delikatnej folii epandycznej. Najprawdopodobniej nie zmyliłoby to Ralfiego Twarczycki, ale przynajmniej pozwoliłoby mi dostać się w pobliże jego stolika.

„The Drome” to pojedyncza, wąska sala z barem po jednej stronie a stolikami po drugiej, zarzuć ją pełną alfonsów, wyklądów i tajemniczej mieszanki różnych handlarzy. Tego wieczoru na bramie stały Magarytynie Piec Siostry, więc nie uśmiechało mi się przekiszanie obok nich, gdyby coś nie wypaliło. Miały po dwa metry wzrostu i były chude jak charty. Jedna była czarna, druga biała, ale poza tym wyglądały na tyle identycznie, na ile pozwalały operacje plastyczne. Od lat stanowiły parę, jak również żyły znak w każdej bójce. Nigdy nie byłem pewny, która z nich była pierwotnie mężczyzną.

Ralfi siedział przy tym samym stoliku co zwykle. Był mi winien mnóstwo forsy. W mojej głowie siedziało setki megabajtów umieszczonych tam na zasadzie idiota/uczony, dane, do których nie miałem świadomego dostępu. Tylko Ralfi mógł je odczytać za pomocą hasła, które sam wymyślił. Zawsze się ceniłem, a opłaty za przedłużone przechowywanie są astronomiczne. Tymczasem Ralfi był bardzo skąpy.

Potem jeszcze usłyszałem, że Ralfi Twarczycki chce mnie zabić, więc umówiłem się z nim w „The Drome”, ale jako Edward Bax, półlegalny importer prosto z Rio i Pekina.

„The Drome” cicho było biznesem, metalicznym zapachem napięcia nerwowego. Porozcześnie w tłumie osiłki napływali na swój widok podstawowe części ciała i przymierzali cienkie, zimne uśmiechy. Niektórzy z nich do tego stopnia ginęli w strukturach przeszczołów mięśniowych, że ich sywetki nie wyglądały na ludzkie.

Przepraszam. Przepraszam, kolezdy. To tylko Eddie Bax, Szybki Eddie Importer, ze swoją profesjonalnie mąką torba sportowa i nie zwracając proszę uwagi na ten otwór, na tyle szeroki, aby wsunąć w niego prawą rękę.

Ralfi nie był sam. Osiemdziesiąt kilo jasnawosłej kalifornijskiej wolowiny ze wschodnimi sztakami walki wypisanymi na wszystkich częściach ciała czynie ukłokowało się na krześle obok niego. Szybki Eddie Bax znalazł się na krześle naprzeciwko, zanim ręce wolowiny oderwały się od blatu.

— Masz czarny pas? — spytałem z zaciekawieniem.
Skiął głową, a niebieskie oczy biegły mu automatycznie pomiędzy moją twarzą i rękami.

— Ja też — powiedziałem. — Mam go tu w torbie. Włożyłem rękę przez otwarcie i odsiodłem kurek. Klik.

— Dwaście milimetrów w dwóch łufami i polączoneymi spustami.
— To broń — powiedział Ralfi kładąc pulchną dłoń na naprężonej, obłożonej w niebieski nylon pierś swojego chłopca i powstrzymując go. — Johnny ma w torbie zabytkową broń.

To by było na tyle, jeśli chodzi o Edwarda Baxa.
Wydaje mi się, że zawsze nazywano go Ralfi Taki czy Inny, ale swoje przybrane nazwisko zawiądział jednej słabości. Zbudowany jak dojrzała gruzka, od dwudziestu lat nosił słynną twarz Christiana White'a, tego z Arjan Reggae Band, który był Sonym Mao dla swojego pokolenia i ostatni gwiazdą rasistowskiego rocka. Jestem specem od takich szczegółów.

Christian White: klasyczna twarz popu o rzębnionych kościach policzkowych i wyraźnie odznaczających się mięśniach śpięwaka. Czasem anielska, czasem przystojnie zdeprawowana. Ale za tą twarzą żyły oczy Ralfiego — male, czarne i zimne.

— Proszę — zagadnął — zalatwny to jak biznesem.

Jego głos odznaczał się niesamowicie chwytliwą szczerkością, a kąciki jego pięknych ust a la Christian White były zawsze wilgotne.

— Lewis — skinął głową w stronę wolowinastego chłopca — to mięśniaki. Lewis przyjął to bez zwrócenia oka — wyglądał bardziej na cóś, co zostało złote z części.

— Ty, Johnny, nie jesteś mięśniakiem.

— Ależ jestem, Ralfi, mój mięśniakiem pełnym implantów, w którym możesz zostawić swoje brudne pranie, kiedy zajdziesz się szkanieciem ludzi, aby mnie zabić. Ralfi, z mojego końca torby wygląda na to, że masz do wyjaśnienia par spraw.

— To ja ostatnia parta towaru, Johnny — westchnął głęboko. — Jako pośrednik...

— Paser — poprawił go.

— Jako pośrednik jestem zazwyczaj ostrożny w wyborze fródel.

— Kupujesz tylko od tych, którzy kradną najlepiej towar. Rozumiesz. Znowu westchnął.

Starłem się — powiedział znużonym głosem — nie kupować od głupców. Ale tym razem chyba tak wyszło.

Trzeci westchnienie było znakiem dla Lewisa, który uruchomił przerywniki nerwowy przerypnął pod stolikiem po mojej stronie.

Zrobiłem wszystko, aby zgiąć palec wskazujący prawej ręki, ale wydawał się odłączony ode mnie. Czulem metal strzelby i piankową taśmę, która owinałem krótką kołbę, ale moje ręce były jak z zimnego wosku, odległe i bezładne. Miałem nadzieję, że Lewis jest prawdziwym mięśniakiem, na tyle głupim, aby ślać za torbę i zabawić o moją szywny palec na spuścić, ale się myliłem.

— Johnny, bardzo się o ciebie martwiłbym. Bardzo. Widział, że to cam masz, to własność Yakuzy. Głupiec im to zabrał. Martwy głupiec. Lewis zachichotał.

Wszystko ukłoty się w calosć, psuknącą calosć, niczym worki mokrego piasku składające się wokół mojej głowy. Zabijanie nie było w stylu Ralfiego. Nawet Lewis nie był w stylu Ralfiego. Ale Ralfi uśmiechnął pomiędzy Symami Neonowej Chrystantem i czymś co należało do nich, czy też, co bardziej prawdopodobne, co było ich, ale należało do kogoś innego. Oczywiście Ralfi mógł użyć swojego hasła, aby wprowadzić mnie w stan idioty/uczony, a ja wypęcałbym cały ich program nie zapamiętując nawet jednego dźwięku.

Tyle wystarczyłoby takiemu paserowi jak Ralfi. Ale nie Yakuzie. Po pierwsze, Yakuza wiedziała o Nawikach i nie chciała martwić się o to, że ktoś może wyłowić z mojej głowy słabe, ale trwałe ślady ich programu. Sam nie wiedziałam za dużo o Nawikach, ale słyszałam różne opowieści i pamietalem, aby nigdy nie powtarzać ich klientom. Nie, Yakuze to by się nie podobało, za bardzo przypominaloby dowód. Nie osiągnęli swojej pozycji przez zostawianie dowodów na widoku. Albo żywcem.

Lewis uśmiechał się sztycher. Pewnie wyobrażał sobie punkt tuż za moim czołem i zastanawiał się jak bezopornie dotrzeć do niego.

— Czeki — usłyszałam niski kobiecy głos, gładzi spóza mojego prawego ramienia.

Kowboje nie bawia się chyba żył dobrane.

— Spływyś dawko — powiedział Lewis, a jego opalona twarz pozostawała niewzruszona. Twarz Ralfiego była bez wyrazu.

— Wyłuzuj się. Chcecie kupić trochę dobrej kawy?

Chwyła za krzesło i usiadła, zanim którykolwiek z nich mógł ją powstrzymać. Znajdowała się na obrzeżu mojego zamkniętego pola widzenia, chuda dziewczyna w lustrzankach, czarne włosy przycięte w nierówną stopę. Ubrana była w czarna skórę, spod której wystawał T-shirt przecięty ukośnie czerwonymi i czerwonymi pasami. — Osiem patyków do gram.

Lewis parsknął z rozdrażnieniem i spróbował zrzucić ją z krzesła. Dzinywn trafem nie pocielował, zaś jej dłoń uрониła się i jakby musnęła w powietrzu jego nadgarstek. Jasnę krew skropiła stół. Lewis trzymał się za nadgarstek aż bielał mu krynkiel, a krew wyścielaka spomiędzy palców.

Ale jak skoro jej dłoń była pustą?

Bedzie potrzebował spinacza do ścięgien. Wstał ostrożnie nie dbając o odumienie krzesła, które przewalowało się do tyłu i białko zniknął z linii wzroku.

— Lepiej będzie jeśli ktoś ma to opatrzy — powiedziała. — To paskudna rana.

— Nie masz nawet pojęcia — powiedział Ralfi jakby zmęczonym głosem — w jak głębokie gówno właśnie wiazałaś.

— Naprawdę? To zagadka? Bardzo mnie podniecają zagadki. Na przykład dlaczego ten twój kumpel jest taki cichy. Jakby zastępy. Albo do czego służy to urządzenie — i wyciągnęła maly kontroler, który jakimś cudem zabrała Lewisowi. Ralfi wyglądał na chorego.

A może chce chwerc miliona w zamian za tę maszynkę i spacer?

— Thusta dłoń uрониła się, aby nerwowo pogladzić białą, szczyplą twarz.

— Chęć pracy — powiedziała strzelając palcami tak, że kontroler zakręcił się, odbijając światło. — Posady. Twój chłopiec ma uszkodzony nadgarstek. A chwerc starczy na zaliczkę.

Ralfi gwałtownie wypuścił powietrze z płuc i zaczął się śmiać pokazując zęby, o które nie dbał tak jak Christian White. Wtedy ona wyłczyła przerywnik.

— Dwa miliony — powiedziała.

— To lubię — odpowiedziała ze śmiechem. — Co jest w torbie?

— Strzelba.

— Surowka — mógł to być komplement.

Ralfi nie odzwał się ani słowem.

— Nawiasko brzmi Millions. Mollly Millions. Chcesz stać się gwiazdą? Ludzie zaczynają się gapić — wstała od stołu. Jej skórzane dżinsy miały kolor zaschniętej krwi.

Dopiero wtedy dostrzegłem, że lustrzanki były chirurgicznymi wczepkami, których srebro wemosiło się gładko z wysockich kolców poliuretanowych zamykając jej oczy w swoich sferach. Moja nowa twarz odbijał się w nich podobnie.

Jestem Johnny — przedstawiłem się. — Zabieramy Pana Twarczyk z sobą.

Czekal na zewnątrz. Wyglądał jak zwykły inżynier na wakacjach — plastikowe sandały i gładkowata hawajska koszula w powiększonej procesory

swojej firmy. Mały, spokojny typek w rodzaju tych, którzy upijają się sake w barze serwującym miniaturowe krakersy ryżowe z przybrami z glonów. Wyglądał na takiego, który płacze, śpiewając hymn swojej korporacji albo bezustannie podaje rękę barmanowi, Alfonsi i handlarze zostawiają go w spokoju uważając za konserwatywno do szpiku kości. Zadnych aspiracji, a do tego ostroży z pieniędzmi, jeśli już.

Gdy domyśliłem się północy, musiałem amputować mu część lewego kciuka, gładzi poniżej pierwszego stawu, i zastąpić ją wydrążoną protezą wyposażoną w szpulę i gniazdo wykonane z dysmwentowych zespolów Ono-Sendai. Potem na szpulę nawlekł trzy metry monokolektarnego włókna.

Moją wdala się w jakąś rozmowę z Magnetycznymi Pami Siostrami pozwalając mi na przechepkanie Ralfiego przez drzwi z pomocą torby lekkko przyciętej do podstawy jego kręgosłupa. Wyglądało na to, że je zna. Uśmiechał śmiech tej czarnej.

Pod wpływem jakiegoś dziwnego odruchu spojrzalem w górę, moe datego, że nigdy nie przyzwyczailem się do strzelizłych haków światła i cienia konstrukcji nad nimi. Moe to właśnie mnie uratowało.

Ralfi nie stanął, ale nie sądził, aby próbował uciekać. Chyba już wtedy się poddał. Był moe przezwalał, co nas czeka.

Kiedy wróciłem wzrokiem na dół, zobaczyłem jak eksplodował.

Tasma z playbackiem pokazuje Ralfiego, jaki idzie przed siebie, a przed nim pojawia się, nie wiadomo skąd, maly inżynier z uśmiechem na twarzy. Nieostrzegalony uklon i jego lewy kciuk odpada. Wygląda to jak magiczna sztuczka. Kciuk wie ledwo trzymając się palca. Lustra? Druty? Ralfi zatrzymał się, plecami do nas, ciemne półkula potu odznaczają się pod pachami jego jasnej letniej marynarki. Już wie. Wcześniej to wiedział. A potem jarmarczna kołowotka kciuka, czepka jak otów, strzela w górę niczym byskawicą jo-jo, zaś niewidoczna naly przycięzona do ręki zabójczy przechodzi poziomo przez czaszkę Ralfiego, tuż nad brwiami, idzie w górę i zawraca, rozcinając gruszkowaty torus od ramion do klatki piersiowej. Ciepca są tak doskonałe, że nie ma śladu krwi aż do momentu, kiedy śniyną się łączą i pierwsze drgania oddają ciału silne grawitacji.

Ralfi rozpał się na czepki w różowej szmurek płynów, trzy rozdzielone czepki potoczyły się po płytkach chłodnika. W absolutnej ciszy.

Podniosłem torbę i moja ręką zadrgała. Odrzut niemal zwał mi nadgarstek.

Musialo padać: strutki wody spływały przed pękniętą konstrukcję rozpryskując się na płytkach za naszymi plecami. Pstrykający w wąskim przejściu pomiędzy chirurgicznym butikiem i sklepem z antykami. Chwyci wcześniej wystawiające lustrzane oko za róg. Mollly spostrzegła tylko jedna migawka czerwonymi światłami jednostkę Volks przed „The Drome”.

Sprztałą Ralfiego i zadawali pytania.

Byłem cały pokryty przypalonym białym męszkiem. Skarpetki. Z torby tenisowej została tylko poszarpana plastikowa obrączka wokół mojego nadgarstka.

— Nie wiem, jak do diabła mogłem chwycić.

— On jest szybki, bardzo szybki — Objęła kolana rękami i kobyłała się do przodu i do tyłu na obcasach. — Jego system nerwowy jest podroszowany.

Uśmiechnęła się szeroko i pisała z radości.

— Dostanę tego chłopczaka. Dziś wieczór. On jest najlepszy, numer jeden, najdroższy, ostatni krzyk techniki.

— To co masz zrobić za dwa miliony tego tu chłopczaka, to wydosłacie mnie stąd. Tamten kolega był pewnie w calosci wyhodowany w próbnice w Chiba City. To zawodowy zabolka Yakuzy.

— Chiba City. Tak. Mollly też była w Chiba — i pokazała mi swoje ręce rozkładające nieznamnie palec. Szczęśliwie się ku kołcom, bardzo białe w porównaniu z burgandywnym lakierem na paznokciach. Spod

włębieni pod paznokciami wysunęły się dziesięć ostrzy, wąskich obustronnych skalpelii z bladobłękitną stalą.

Nigdy nie spóźniałem zbyt dłużej czasu w Nocnym Mieście. Nikt nie miał tam niczego, co mogłoby pamiętać, a większość z nich regularnie placisz za zapominanie. Całe pokolenia snajperów trenowały na neonach aż brzydki remontowe przestały to przychodzić. Nawet w południe luki świetlne były czarne jak sadza na tej najełodszej perły.

Gdzie się udać, kiedy najpóźniejsza na świecie organizacja przestępstwa wymusza cię spokojnymi, odległymi palcami? Gdzie się ukryć przed Yakuzą, tak potężną, że posiada własne satelity komunikacyjne i co najmniej trzy promy kosmiczne? Yakuzą to prawdziwa międzynarodowa korporacja, tak jak ITT czy Ono-Sendai. Już pięćdziesiąt lat przed moim urodzeniem wchłonęła Triadę, Mafię i Korsykańczyków.

Molly znała odpowiedź. Chowaś się w Otchłani, w najniższych kregach, gdzie jakiekolwiek oddziaływanie z zewnątrz powoduje natychmiastowe, koncentryczne fale otwartości. Chowaś się w Nocnym Mieście. Co więcej, chowaś się nad Nocnym Miastem, ponieważ Otchłani jest odwrócona i spód jej kielicha sięga ku niebu, którego Nocne Miasto nigdy nie widzi, pojąc się pod własnym firmamentem żywy akrylowej, tam gdzie w ciemności niczym chimery czają się Nistechowie ze związującymi z ust papierosami z przemytu.

Znała też jeszcze jedną odpowiedź.

— Wice jesteś zamknięty na dobre, Johnny-saa? Nie ma szansy na dostanie się do programu bez hasła? — Poprowadziła mnie w kierunku rozciągający się poza jasno oświetlonym peronem meta. Betonowe ściany pokryte były graffiti, przez lata poskręcane w jeden metaburzog gniewu i frustracji.

— Przechowywane dane przepuszczane są przez zmodyfikowany system miniaturywnych kontrastuistycznych protez — wytrącałem beczynliwą wersję mojej reklamówki. — Kod klienta przechowywany jest w specjalnym procesorze. Z wyjątkiem Nawików, o których w brzoźnie nie wspominamy, nie ma sposobu, aby złamać hasło. Narkotyki nie działają, nie można go wycofać, albo wymusić torturami. Ja go po prostu nie znam, nigdy go nie znalazłem.

— Nawiki? To coś pływającego? — Weszliśmy na opuszczone targowisko. Ciemne sylwetki obserwowali nas z przeciwnej strony zagrożonego placu pełnego walających się rybich głów i gnijących owoców.

— Nadprzewodzące wykrywacze interferencji kwantowej. Używane w czasie wojny do wykrywania łodzi podwodnych i systemów komputerowych nieprzyjaciela.

— Marynarka wojenna? Z czasów wojny? Nawik włamałby się do tego twojego procesora? — zatrzymała się. Pozałema na sobie jej oczy spoza bliźniaczych luster.

— Nawet prymitywne modele mogły mierzyć pole magnetyczne o mocy jednej miliardowej siły geomagnetycznej; to tak jak wykrywanie szepotu na rozszalałym stadionie.

— Gliny mogą to zrobić za pomocą mikrofonów parabolicznych i laserów.

— Ale twoje dane są i tak bezpieczne — powiedziałem z zawodową dumą.

— Zaden rzad nie pozwoli, aby ich gliny miały Nawiki, nawet ci z ochrony. Zbyt duże ryzyko współzawodniczących wydziałów, zbyt łatwo się kogoś zrobić.

— Marynarka wojenna — powtórzyła, a jej uśmiech zajaśniał w ciemności. — Marynarka Wojenna. Mam tu kumpla, który był w marynarce. Narzywa się Jones. Myślę, że powiniem go poznać. Problem w tym, że jest epunem. Będziemy musieli coś dla niego wziąć.

— Cpusen?

— To delfin.

Był czymś więcej niż tylko delfinem, ale z punktu widzenia innego delfina mógł się wydawać czymś mniej. Patrzyłem jak kręci się niemiernie w ocynkowanym zbiorniku. Trochę wody chlapięło na zeszwartę mozaikę na buty. Był pozostałością z ostatniej wojny. Cyborgiem.

Wynurzył się z wody pokazując nam, mierzmy wizualny dwuznacznik, skropowane blachy na bokach — jego wdzięk niemal zupełnie zagubiony pod wyrafinowanym pancernem, niezgrabnym i prehistorycznym. Blizniacze deformacje po obu stronach czaszki miałyby zespoli czujników. Srebrne zmiany patologiczne linie w niektórych miejscach jego szaro-białej skóry.

Molly zagwizdała. Jones uderzył oponek i więcej wody spłynęło po ścianach zbiornika.

— Co to za miejsce? — patrzyłem na rozmazane w ciemności kształty, pokryte plandekami i związane rdzewiącymi łańcuchem. Nad zbiornikiem wisiała niezłazna drewniana konstrukcja poprzeczana rzpadami zakurzonych lampek choinkowych.

— Wesole miasteczko. Zoo i zabawy karnawałowe. „Rozmowa z wiołyrbem wojennym”. Te rzeczy. A Jones jest niezłym wiołyrbem...

— Jones ponownie podniósł głowę i zmierzył mnie smutnym i sędziwym okiem.

— Jak on pada? — nagle zachciało mi się stamtąd iść.

— Na tym polega sztuczka. Jones, powiódz „czuść”.

Wszystkie żarówki zapaliły się jednocześnie. Migaly na czerwono, biało i niebiesko.

CBCNCBCBN

CBCNCBCBN

CBCNCBCBN

CBCNCBCBN

CBCNCBCBN

CBCNCBCBN

— Zna się na symbolach, ale jego język jest ograniczony. W marynarce był podłączony do ekranu audiowizualnego — Z kieszeni kurtki wyciągnęła wąski pakietek. — Czysztą dróg. Jones. Cześć? — Zamrł w wodzie i zaczął się zanurzać. Ogarnęła mnie dziwna panika, kiedy przypomniałem sobie, że nie jest rybą i może utonąć. — Chcemy klucza do banku Johnny'ego. Natchymiaś.

— Światła zamigotały, zamrły.

— Spróbuj Jones!

N

NNNNNNNNN

N

N

N

N

Niebieskie żarówki, kształt krzyża.

Ciemność.

— Czyszt! Żadnego świstwa. Dalej Jones!

BBBBBBBBB

BBBBBBBBB

BBBBBBBBB

BBBBBBBBB

BBBBBBBBB

Silny białowy blask zalał jej twarz, gładki chrom, cienie załamujące się na kociach policzkowych.

C CCCC

C C

CCCCCCCC

C C

CCCC C

Ramiona czerwonej swastyki skłacały się w jej srebrnych okularach.

— Daj mu to — powiedziałam. — Mamy je.

Ralfi Twarczycka. Zero wyobraźni.

Jones drwił poważną swoją opancerzoną masą ponad krawędź zbiornika i pomyślałem, że metal puści. Molly zamusnęła się jednorazówką, wbijając igłę pomiędzy dwie płyty. Syknał wstrzykiwacza pła. Wzory światła rozszalały się szpatynkami po tablicy, aby po chwili zgasnąć.

Zostawiliśmy go drwijącego, obracającego się ociężale w ciemnej widoczności. Może śnił o swojej wojnie na Pacyfiku, o cybernetykach, które wykręciłby delikatnie włączając się w ich obwody Nawikim. Tym samym, którym zżamzał żalonne hasło Ralfiego z procesora ukrytego w mojej głowie.

— Mogę sobie wyobrazić, jak do tego doszło. Zdemobilizował go zostawiając cały ten sprzątnięty nieszczęście, ale jak cybernetyczny definizacja uleciała się od dróg?

— Wojna — odparła. — Wszystkie takie były. To Marynarka. Jak by inaczej dla nich pracowały?

— Nie jestem pewien, czy wygląda to na dobry interes — powiedział pirat, próbując wyciągnąć od nas więcej fory. — Dane techniczne satelity komunikacyjnego, którego nie ma w spisie...

— Maraj nasz czas, a nie zrobisz żadnego interesu — powiedziała Molly, przechylając się przez pokancerowane plastikowe biurko, aby szturchać go paktem wskazującym.

— A może chcesz kupić mikrofalówki gdzie indziej? — był twarziem pomimo swojej twarzycki zrobionej na Mao. Najprawdopodobniej urodzony w Nocnym Mieście. Jej ręka przejechała po przodzie jego marynarki, odcinając kłapę i nie gnojając nawet materiału.

— Umowa stoi czy nie?

— Stoi — powiedział, patrząc na zmieszoną kłapę z czymś, co jak zapewne miał nadzieję było tylko groźnym zainteresowaniem. — Stoi.

Kiedy sprawdziłem dwa kopuśce wreszcie magnetofony, ona wyszła z kieszeni na suwak na nadgarstku kurtki kartkę, którą dałem jej wcześniej. Rozwinęła ją i przeczytała po cichu, poruszając ustami. Wzruszyła ramionami. — To wszystko?

— Dawaj — powiedziałam, włączając nagrywanie w obu magnetofonach jednocześnie.

— Christian White — wyrecytowała — i jego Bryan Reggae Band.

Wierny Ralfi, fan od ostatniej chwili.

Przejdzie do trybu idioty, użony jest zawsze mniej gwałtownie niż się spodziewam. Wtórny pirackiego nadawcy należała do podupadłego biura podróży mieszającego się w pastelowym segmente szczytującym się biurkiem, trzema kreslami i wyblakłym plakatem szwajcarskiego kurortu orbitalnego. Para sztucznych praków o korpusach z dynamicznego szkła i nogach z blachy monotonnie pła wodę z plastikowego kulbka na półce obok ramienia Molly. Kiedy wszedłem w tryb, stopniowo przyspieszył aż ich żarzenie czubki lekko zmieniły się w jednolite łuki kolorów. Cyfry sekund na plastikowym zegarze ściennym stały się pulsującą siatką bez znaczenia, a twarze Molly i Maowatego chłopaka rozmarzały się, tak samo jak ich ramiona w widmach gestów zrybnych jak owadzie skrzydła. A potem wszystko zbladło do szarej mgły i nie kończącego się wiru drzewiaka w sztucznym zjeżdżaku.

Siedziałem i przez trzy godziny wypisywałem ukradziony program martwego Ralfiego.

Kompleks handlowy rozciga się na czterdziści kilometrów pokrywający nieregularnymi kopułami Fullera dawna podmiejska arteria komunikacyjna. Jeśli w ciągu dnia wylączy się świetlne łuki, szara namastka promieni słonecznych przedlatuje się przez pokładę akrylu przypominając wężenne szkie Giovannię Pranesi. Trzy nakładki polowane na podobnie kilometry dachu przykrywają Nocne Miasto. W Nocnym Mieście nie płaci się podatku ani rachunków za światło. Neonowe łuki są tu jak wymarle,

a poleniska płonące przez dziesiątki lat osmalły części konstrukcji. W niemałą rzepnąc ciemności pobudzenia w Nocnym Mieście, ktoś zauważył garską szalonych dzieci zagubionych wśród krowek?

Wspinali się już od dwu godzin po betonowych schodach i stalowych drabinach z podziurkowanymi stopniami, mijając porzuczone podnożniki i zakurzone narzędzia. Zaczęliśmy w miejscu wydajającym nam nie używany płac remontowy zagrożony trójkątowymi segmentami zadania. Wszystko było pokryte zmodyfikowaną warstwą sprayowych grafitu: nazwy gangów, inicjały, daty z perłową wiotką. Graffiti porzuciły za nami, rzędnie, aż do momentu, kiedy tyłki jedna nazwa powtarzała się co jakiś czas. NISTECH. Czarne, rozmażane litery.

— Kto to jest Nistech?

— Nie są, szefie. — Wypięła się po rozkołysanej aluminiowej drabinie i zniknęła w otworze w płycie z podłogowego planistki. — Niska technika, niska technologia. — Plastik tłumil jej głos. Podążyłem za nią, wstając na boki nadgarstek. — Nistechowie uznałby tę twoją sztuczkę za strzelbę za kłepką.

Godzinie późnie przesiadłem przez kolejną dziurę, tym razem wzięty w gnać się płycit z dyktu, i spotkałem mojego pierwszego Nistecha.

— Spokojnie — powiedziała Molly dotykając ręką mojego ramienia.

— To tylko Pies. Jak kaci, Pies?

W wąskim sнопie światła z poklejonej latarki Molly zmierzyl na swoim jednym okiem i powoli wysunął gruby szarawy język liżąc obrzeżony kły. Pomyślałem, że trudno uznać transplantacje zawiązków zębnych od dobermanów za niezawansowaną technologię. Środki immunosupresyjne niekoniecznie rosną na drzewach.

— Moll — przestój zębów utrudniał mi mowę. Strudniał śmy wisiela z wyniętej dolnej wargi. — Słyszałem, że wpadniecie. Pocaż czasa. — Mogł mię pniećnie lat, ale kły i barwna mozaika blizn, połączone z głębokimi ocedziałami tworzyły maskę absolutnego zwierzeczenia. Zmiontowanie takich twarzy wymagało trochę czasu i specyficznego rodzaju wyobraźni, zaś jego postawa zdradzała, że czuł się z nią dobrze. Miał na sobie parę pniących dzimów, czarnych od brudu i wysychających na zgięciach. Tęsi i stopy były nieuste. Usta wycięły się w czymś, co wyglądało na śmiech. — Idź za nami, co?

W dali i w dale w Nocnym Mieście, sprzedawać wodę chwałd swój towar. — Pies, strony się ruszają? — Skierowała latarkę w bok i wtedy zobaczyłem ciemne druty przymocowane do przelotki. Druty biegły do krawędzi i tam znikły.

— Wyłącz to pieprzone światło!

— Wyłączyła.

— Jak to się dzieje, że ten, który wisi, nie ma latarki?

— Nie potrzebuje jej. On jest ostry, Pies. Wasze straża zadra z nim, to wróci do domu w latwach do niemięsia zwichnięcia.

— To przywił przyjaciel, Moll? — Jego głos brzmił niepewnie. Używałam, jak przestępnie stopami po zmieszonym drewnie.

— Nie. Ale jest mój. A ten tu — kłepnęła mnie po ramieniu — jest przyjaciel. Kapuśce?

— Jasne — powiedział bez większego entuzjazmu drępaczą do brzegu platformy, gdzie znajdowały się sworcznie. Zaczął wyszarpnąć na napiętych drutach jakąś wiadomość.

Nocne Miasto rozciągało się pod nami jak dotknięty dła szczerów zamiast lalek: miał okna mawiając światłem świeci i tylko kilka surowych jasnych kwadratów było oświetlonych przez latarnie na baterie i lampy karbidowe. Wyobrażenie sobie starych ludzi nad nie kończących się partiami domina, pod cieplymi, grubymi kłopotami wspaniałej z mokrej plandeki robionej z żerdziach pomiędzy chatami z dyktu. A potem uświadełem wywarzone sobie jego, jak ciepłowie wspania się w ciemności w swoich sandałach i okaradanej turystycznej koszuli, dobrotliwy i powolny. Jak on nas znajdował?

— To dobrze — powiedziała Molly. — Idź za nami po zapachu.

— Zapalisz? — Pies wyjął z kieszeni pogiętą paczkę i wyłowił z niej splaszconego papierosa. Rzuciłem ukradkowe spojrzenie na markę, kiedy zapalał go dla mnie kuchenna zapalka. Filtry Yibeyuan, Pekinśka Fabryka Papierosów. Zdecydowanie, że Nistechowie to szumlerzy. Pies i Molly wrócili do swojej rozmowy, która zdawała się obierać wokół pragnienia Molly, aby użyć jakiejś konkretniej części posiadłości Nistechów.

— Oddalam sam wiele przysług. Chcę też podłogi. I murki.

— Nie jesteś Nistechem...

Dyskusja trwała przez większą część wieczora w kilometra. Pies prowadził nas po kołyszących się kładkach i drabinkach sznurowych. Nistechy przycyplali swoje sieci i legowiska do szkieletu miasta za pomocą grubych rury żywnicy i śpiw w hamakach nad otchłinią. Ich kraj jest tak rozproszony, że miejscami składa się z niewielkich wioseczki niż z punktów oparcia dla rąk i nóg wyciecznych w słupach nośnych struktury.

Nazywała ją Podłogą Śmierci. Gramoląc się za nią w szluzujących się w wytartym metalu i wilgotnej dykcie nowych butów Eddiego Baxa, zastanawiałem się w jaki sposób może być ona bardziej śmiertelna niż reszta terytorium. Jednocześnie wyczulem, że protesty Psa są formalne i że Molly dostanie to co chce.

Gdzieś pod nami Jones krążył po swoim zbiorniku cząstek pierwsze ukłania narkotycznych młodości. Policja zadawała bywałość. "The Drome" pytaniami o Raffiego. Kim jest? Z kim przemywał, zanim wyszedł na zewnątrz? A Yakuza pochyla swoje widmoście ciał nad bankami danych w mieście, szukając moich bladych odbić w numerowanych kontaktach, transakcjach, rachunkach za sprzęt. Jesteśmy gospodarką informacyjną. Związek tego w szkole. Nie mówią za to, że niemówią jest poruszenie się, życie, praca na jakimkolwiek poziomie bez zostawiania śladów, okruczeń, pozorne nie znaczących fragmentów informacji o sobie. Fragmentów, które mogą zostać znalezione, wzmożone...

Ale do tej pory pirat wysłał już naszą wiadomość przez tajny przekaznik do satelity komunikacyjnego Yaguru. Prosta wiadomość: odwołajcie psy albo rozpowszechnimy wasze programy.

Program. Nie miałem pojęcia, co zawierał. Ciągłe nie mam. Ja tylko śpiewam bez żadnego zrozumienia. Najprawdopodobniej były to dane badawcze, Yakuza kładzie takie duże nacisk na zaawansowane formy sprzętowa przemysłowego. Czyste interesy — kradzież z Ono-Sendai oraz groźne przetrzymywanie ich danych z ładaniem okupu, pod groźbą ujawnienia produktu i stopniem badawczego ostrza komercyjnego.

Ale dlaczego nasz morder nie miałby zadziałać? Czy nie byłby szczęśliwie mając produkt do sprzedania Ono-Sendai niż jednego martwego Johnny'ego z Zaułka Pamięci na koncie?

Ich program był w drodze do pewnego miejsca w Sydney, miejsca, które przechowywało listy klientów i nie zadawało pytań po zaplaceniu małej zaliczki. Zwykły list poczta morską. Czykawałem włączyć drugiej kopii i w powstałym miejscu nagłałem naszą wiadomość, zostawiając tyle programu, aby można go było zidentyfikować jako prawdziwy.

Bolał mnie nadgarstek. Chciałem się zatrzymać, poloczyć, zasnąć. Wiedziałem, że wkrótce ręką mi się omknie i spadnie, że elongacje czarne buty, które kupilem na wiciorz jako Eddie Bax stracą właściciela i poniosą mnie w dół do Nocnego Miasta. Ale w głowie niczym tam religijny hologram pojawił się on, powiększony procesor na hawajskiej koralu mającej niczym podmiejska wypustka aglomeracji skazanej na wyładnienie.

Podjąłem więc za Paen i Molly przez niebo Nistechów, tandemnie i naprzędę skłone do odpadków, których nie chciało nawet Nocne Miasto.

Podłoga Śmierci miała bok długości osiemu metrów. Jakis gąbki poprzękał w poprzek kmitniska tania i z powrotem sławą linki i napiał ją. Zgrzytała przy każdym poruszeniu, a poruszała się bezustannie, odwijając się i kołysząc, kiedy nadciągający Nistechowie sadowali się na otaczającej ją drewnianej półce. Drewno było srebrne ze strąkami, wyżłizane od długiego użytku i głęboko poznaczone inicjalami, garbami i namietnymi deklaracjami.

Sama półka była zawieszona na oddzielnych linach, które gmiły w ciemności nie objętej sirowym białym blaskiem dół staromodnych reflektorów zastawionych nad Podłogą.

Dziwczyną z zębami podobnymi do kłów Psa spadała na Podłogę na czworakach. Jej piersi były wystawowane niebieskawymi spiralami. Przeziła po Podłodze śmiejąc się i moczując z chłapikiem, który pił ciemny płyn z litrowej butelki.

Moda Nistechów zorientowana była na blizny i tatuaze. I zgęby. Elektryczność, którą używali do oświetlenia Podłogi Śmierci wydawała się być wyjątkiem w ich ogólnie estetyce szczycionym w mię... rytualnego sportu? Strużki! Nie wiedziałam, ale łatwo było dostrzec, że Podłoga jest czymś specjalnym. Wyglądała też na budownia przez całe pokolenia.

Pod kurtką trzymałem bezużyteczną strzelbę. Jej twardość i ciężar uspokajały, pomimo że nie miałem już amunicji. Zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co tak naprawdę się działo, albo miało się dziać. Ale taka była natura mojej pracy, natomiast spóźniłem większą część swojego życia jako ślepe nastawienie w polniane wiedza innych ludzi, a potem opróżnianie, wpływające syntetyczne języki, których nigdy nie rozumiałem. Nie ma co, bardzo techniczny chłopak.

I wtedy zauważyłem, że Nistechowie ucihli.

On tam był, na brzegu świata, mierząc Podłogę Śmierci i galerię ucieczonych Nistechów spokojnym wzrokiem turysty. A kiedy nasze oczy spotkały się po raz pierwszy w wzajemnym rozpoznaniu, porwocły wspomnienia — Paryż i długich elektrycznych Mercedesów przesuszających się w deszczu do Notre Dame, przemychniętych szklarni, japońskich twary za szkłem i setki Nikonów, kwiatów ze stali i kryształami, wzmożących się w ślepych fototropizmie. Za jego oczami, kiedy mnie już znalazły, furczyły te same przekłony.

Rozczirzałem się za Molly Millions, ale Molly zniknęła.

Nistechowie rozstapli się, pozwalając mi wejść na półkę. Ukłonił się z uśmiechem i szybko zrzucił sandały, zostawiając je obok siebie, równiutko ustawione, a potem zszedł na Podłogę Śmierci. Ruszyłem w moim kierunku przez falującą trampolinę odpadów, lekko jak turysta kroczący po syntetycznym dywanie w jakimkolwiek, niczym nie wyróżniającym się hotelu.

Molly spadła na Podłogę i zaczęła się.

Podłoga zawała.

Była omikrofonowana i podłączona do wzmacniaczy. Zobaczyłem okablowanie wspinające się po czterech grubych sprężynach i mikrofony kontaktowe przyklepane taśmą w różnych miejscach rdzewiącej konstrukcji. Nistechowie mieli gdzieś wzmacniacz i syntetyzer, a teraz mełom już wyłowić z ciemności ponakł otrzymanymi białymi reflektorami kształty głośników.

Rozległy się uderzenia bębna, elektronicznie niczym wzmożenie serca i miarowo niczym metronom.

Molly zdjęła skózaną kurtkę i buty; koszulka bez rękawów odsłaniała na jej chodnych rękach ślady obwodów z Chiba City. Skórzane spodnie zbliżyła w świetle reflektorów. Zaczęła tańczyć.

Ujęła kolana, białe stopy przyswały do splaszconego zbiornika po palnino, a Podłoga Śmierci zafalowała w odpowiedzi. Dźwięk, jaki wydawał brzmiał jak koniec świata, jak gdyby kabły przyczepiające niebo pękły i wily się po niebokułonie.

Dal się ponieść przez kilka uderzeń serca, a potem ruszył doskonale przewidując ręk Podłogi, jak ktoś skaczący w odróżnie z jednego płaskiego kamienia na drugi.

Niemal grzechoczącym gestem, z widzieliem nieskrępowanego człowieka, zdjął komunistę ze swojego kolanu i cisnął nim w jej kierunku. W świetle reflektorów włókno było załamującą się nicią tęczy. Padła płasko na ziemię i przeturlała się. Wstała, kiedy włókno śmigło kolo niej, zaś jej stalowe spony otworzyły się w świetle w czymś, co musiało być automatycznym odruchem obrony.

Puls bębna stał się szybszy, a ona skakała w jego rytm — ciemne włosy oszalałe wokół srebrnych szkieł bez wyrazu, zwałone usia, wargi zaczierniełe w skupieniu. Podłoga Śmierci grzmiła i ryczała, a Nistechowie wykrzykiwali swoje podniecenie.

Skrocił włókno do metrowego wirującego kręgu widmowego polichromu i kręcił nim przed sobą, trzymając rękę bez cukiaka na poziomie mostka. Tarza.

Wtedy Molly uśmiałna coś, coś w środku, i to było dopiero prawdziwy początek jej tańca wiciekiego psa. Skakała, kręcąc się, rzucając na boki, ładując oboma stopami na bloku maszyny ze stopu metalu podłączonej bezpośrednio do jednej ze sprężyn. Zakryłem uszy rękami i uleknąłem w dźwiękowym zawrocie głowy, myśląc, że Podłoga i półka lecą w dół do Nocnego Miasta, i zobaczyłem nas jak przelatujemy przez chwały niczym ulewa i eksplodujemy na betonie jak zgulał owoce. Ale kabale wytrzymały, Podłoga Śmierci ponosiła się i opadała jak oszalałe morze z metalu. A na nim tańczyła Molly.

Pod koniec, na chwilę przed ostatnim rzutem włókna, zobaczyłem coś na jego twarzy, wyraz, który zdawał się do niej nie należeć. Nie był to strach ani gniew. Myślałem, że było to niedowierzanie, ogólnie nie zrozumienie zmieszane z czysto estetyczną odrazą do tego, co widział, słyszał, do tego, co się z nim działo. Coś jak wirujące włókno, widmowy krąg kręcący się do wymiarów talerza w momencie, kiedy uniosł rękę nad głowę i opuścił ją, koniec cukiaka sięgnął po Molly niczym żywe stworzenie.

Podłoga poniosła ją w dół i molekula śmignęła tuż nad jej głowę; Podłoga odśledziła się, unosząc go w zasięg napiętego włókna. Powinno było przelcieć nad jego głowę i wrócić do swojego diamentowego gniazda. Oddało mu rękę za nadgarstkiem. Tuż przed nim była dziura w Podłodze, wiodła w nią niczym nurek z dziwnym, zamierzonym wdziękiem, pokonany kamikadze w drodze do Nocnego Miasta. Myślałem, że częściowo rzucił się po to, aby zyskać dla siebie kilka sekund godności w ciszy. Molly zabiła go szokiem kulturowym.

Nistechowie zaryzykeli, ale ktoś wyłączył wzmacniacz. Molly z twarzą pobladłą bez wyrazu unosiła się na Podłodze Śmierci aż tu uciechli; trzymała się jej do momentu, kiedy kołysanie osłabło i słychać było tylko cienie jeszcze torturowanego metalu i tarcie rżny o rdze.

Obeszliśmy Podłogę w poszukiwaniu odciętej ręki, ale nigdzie jej nie było. Znaleźliśmy za to łagodny luk w kawałku porządowej stali, gdzie włókno przelzło na wylot. Jego brzoگی były jasne niczym nowy chrom.

Nigdy nie dowiedzieliśmy, czy Yakuzu przyjęła nasze warunki, albo czy w ogóle otrzymali naszą wiadomość. O ile wiem, ich program ciągle czeka na Eddiego Baxa na półce, na zapleczu sklepu z upominkami na trzecim poziomie Sydnycyowskiego Centrum-5. Najprawdopodobniej odsprzedali oryginał Ono-Sendai kilka miesięcy temu. Albo też odebrali transmisję pirata, ponieważ nie pojawił się nikt, kto by mnie szukał, a minął już prawie rok. Jeśli jednak ktoś się pojawi, będzie miał przed sobą długą wspinaczkę przez ciemność i strażę Psa, a ja też nie wyglądam obecnie jak Eddie Bax. Zajęła się tym Molly przy miejscowym zmierzaniu. I moje nową żęby prawie się przyjęły.

Postanowilem zostać tu na górze. Kiedy popatrzyłem na Podłogę Śmierci, zanim on się pojawił, uśmiekwilem sobie jak bardzo jestem pusty. Wiedziałem, że mam doyleć bycia wiadrem. Więc teraz, prawie każdej nocy, schodzę na dół i odwiedzam Jonesa.

Jesteśmy teraz współnikami, Jones i ja, i jeszcze Molly Millions. Molly zajmuje się naszymi interesami w „The Drome”. Jones jest ciągle w wesolym miasteczku, ale ma większy zbiornik i co tydzień zmieniają mna morską wodę. I ma swoje markotyki, kiedy tylko chce. Ciągłe rozmawia z dziećmi za pomocą swojej konstrukcji ze światełek, ale w rozmowie ze mną używamy nowego ekranu w szopie, którą tam wynajmuje, lepszego niż ten, jaki miał w marynarce.

I zarabiamy dużo pieniędzy, dużo więcej niż przedtem, ponieważ Nawik Jonesa może odczytać ślady wszystkiego, co ktokolwiek zostawił w mieście w przeszłości, a on pokazuje mi to na wyświetlaczu w językach, które mogę zrozumieć. Dowiadujemy się więc mnóstwo rzeczy o moich byłych klientach. A pewnego dnia chirurg usunie mi cały kręzak z mojej głowy i będę żył nie z cudzym, lecz własnymi wspomnieniami — tak jak to robia imi ludzie. Ale jeszcze nie teraz.

Póki co jest tu całkiem fajnie na górze w ciemności; palę chwiejne fajki i słucham kropki, które spadają ze ścian. Jest tu bardzo cicho, chyba, że para Nistechów zechce zatańczyć na Podłodze Śmierci.

Dużo się też uczy z Jonesem, który pomaga mi w wielu sprawach, na pewno będę najbardziej technicznym chłopakiem w mieście.

preludium Pawał Prelik



Jack O'Connell: bez tytułu, obój

ubrania i nieskazitelny makijaż. W Metaświacie możesz wyglądać jak goryl, smok, albo wielki gadający penis. Wystarczy spędzić pięć minut na Ulicy i zobaczysz je wszystkie.

Awatar Hiro wygląda po prostu jak Hiro, oprócz tego, że niezaleźnie od tego, co Hiro nosi w Rzeczywistości, jego awatar jest zawsze ubrany w czarne skórzane kimono. Większość hackerów nie leci na krzykliwe wzory, ponieważ wiedzą, że realizacjom odzwierciedlenia ładkiej twarzy wymaga o wiele więcej wyafinowania niż w przypadku gadającego penisa. To tak samo jak z ludźmi, którzy znają się na modzie i mogą dobrać szczegółoby różniące tani garnitur z szarej wlny od drogiego sztygno na miarę.

W Metaświacie nie można zmaterializować się gdziekolwiek, zjeżdżając z gry naszym Kapitain Kiek. Dla ludzi dwojako byłoby to doświadczenie jać i denewerację. Poulbko cała metafora. Materializowanie się znikąd (lub powrót do Rzeczywistości) uznane jest za prywatną czynność, którą należy odbywać w zaciszu własnego domu. Obecnie większość awatarów jest w momencie tworzenia anatomicznie poprawna i naga jak niemowlak, więc i tak zanim wyjdiesz na Ulicę, musisz zdobyć coś przyzwoitego. Chyba że jesteś kimś niesłychanie nieprzyzwoitym i nic cię to nie obchodzi.

Jeśli jesteś bezdomnym penem i włączasz się z publicznego terminala, materializujesz się w Porcie. Na Ulicy jest 256 Portów Ekspresowych, rozmieszczonych regularnie na jej obwodzie co 256 kilometrów. Każdy z tych odstępów jest podzielony na 256 Portów Lokalnych, oddległych od siebie dookładnie o kilometr (pełni studenci hakcerskiej semiotyki uważają obsejny powtarzanie się liczby 256, czyli 2⁸, no i sama 8 wygląda zachęcająco, zawierając w sobie dwie 2). Porty spełniają funkcję podobną do lotnisk: wyśiada się w nich przybywając do Metaświata. Kiedy już zmaterializujesz się w Porcie, możesz powędrować Ulicą albo złapać kolejkę.

Pary wychodzące z kolejki nie mogą sobie pozwolić na awatary na zamówienie, ani też nie widzą jak napisie je samemu. Muszą kupować standardowe. Awatar jednej z dziewcząt jest całkiem ładny. Pośród zestawów K-Tel byłyby uznany za całkiem modny. Wygląda na to, że dziewczynka kupiła Zestaw Konstrukcji Awatarów™ i sama złożyła własny model z drobnych części. Być może wygląda on nawet podobnie do właścicielki. Jej chłopak też prezentuje się nie najgorzej.

Druga dziewczynka to Brandy. Jej chłopak to Clint. Brandy i Clint to popularne, standardowe modele. Kiedy białe malowidła mają randkę w Metaświacie, zawsze biegają do działu gier komputerowych polskiego supermarketu i kupują egzemplarz Brandy. Użytkownik może wybrać trzy rozmiary piersi: nieprawdopodobny, niemożliwy i absurdalny. Brandy ma ograniczony repertuar wyrazów (twary; wdzięczny i skwaszony; wdzięczny i rozczochany; pewny siebie i zainteresowany; uśmiechnięty jest i uważny; wdzięczny i rozmarzony). Jej rzyły mają pół cala, a 8e program jest tani, więc wygląda jak dzikrzy lebanus. Kiedy tała Brandy rusza powoli, to czuć jakichś podmuch wiatru.

Clint jest męskim odpowiednikiem Brandy. Jest grubokłody i przystojny oraz posiada wyjątkowo ograniczoną liczbę wyrazów twary.

Hiro zastanawia się, jak doszło do spotkania tych dwu par. Najwyraźniej pochodzi z różnych klas społecznych. Może starsze i młodsze rodzeństwo. Ale oto zjeżdżają w dół ruchomymi schodami i mijają w tłumie staje się cępcia Ulicy, na której jest wystarczająco dużo Brandyh i Clintów, aby stworzyć nową grupę etniczną.

Ulica jest raczej zatłoczona. Większość ludzi to Amerykanie i Azjaci — w Europie jest w tej chwili wczesny ranek. Z powodu takiej liczebności Amerykanów cały tłum wygląda nieco krzykliwe i surrealistycznie. Dla Azjatów jest to środek dnia i dlatego noszą ciemnoogranowane garnitury. Dla Amerykanów jest to czas przeżyj, więc mają na sobie wszystko co tylko komputer potrafi wygenerować.

W chwili gdy Hiro przekracza linię dzielącą jego dzielnicę od Ulicy, ze wszystkich stron, niczym wjeżdżając na ofiary śmiertelnego wypadku na drodze, spada na niego kaskada kolorowych kształtów. Aniamarklami są niedozwolone w dzielnicy Hiro. Na Ulicy tymczasem dozwolone jest prawie wszystko.

Przelatują myślimy stają w plomieniak, wypada ze swojego kursu, i wali wprost na niego z dwukrotną szybkością dźwięku. Whija się w Ulicę 30 metrów od Hiro, wybucha z znikła, zamieniając się w poskręcany masę szczątków i plomieni, która turla się po chodniku w jego kierunku, rosnąc i obejmując go, tak że widzi tylko rozszalałe plomienie, perfekcyjnie otworzone i wygenerowane.

Nagle widowsko zamiera i przed Hiro pojawia się mężczyzna. Wygląda na klasycznego hackera — brodą, białą i chudy — który stara się podkaskować nosząc obstrzną jedwabną kurki ozdobioną logo jednego z wielkich centrów rozrywki w Metaświacie. Hiro w go, kiedyś ciągił spotykał się na różnych targach handlowych. Od dwa miesiące facet stara się go wynajść.

— Hiro, nie rozumiem dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać. Robimy tu duży szmal, kondyglatory i jeny, i możemy być bardzo elastyczni, jeśli chodzi o pieniądze i przywileje. Pracujemy teraz nad pakietem z tytuł „mieśc i czary” i przydałoby się nam. Pogadajmy, dobra?

Hiro przechodzi przez niego i facet znikła. Centra rozrywki w Metaświacie może i są szokujące w swoim wirywalnym interaktywnym trywymiarowym filmów, ale te nie są ostatecznie niczym więcej niż grami wideo. Hiro nie jest aż tak biedny, aby pisać gry video dla tej firmy. Jej właścicielami są Japonezyści, co w sumie nie znaczy. Jednak jej kierownikiem jest także Japonezyca, a to oznacza, że wysocy programiści muszą nosić białe koszony, zjawiać się w pracy o osmie, siedzieć w swoich klikach i chodzić na zebrania.

Kiedy Hiro uczył się zawodu, ponad piętnaście lat temu, hacker mógł samodzielnie napisać cały program. Teraz nie jest to już możliwe. Programy wychodzą z fabryk, w których hackerzy są, w mniejszym lub większym stopniu, robotnikami na linii montażowej. Co gorzsa, mogą zostać kierownikami, którzy sami nigdy nie programują.

Perspektywa zostania robotnikiem na linii montażowej daje Hiro zachętę do zaleniania jakiegoś dobrego ino. Stara się wewnątrznie podbudować, wywać z letargu wywołanego długotrwałym brakiem pracy. Info może być wielką rzeczą, kiedy jest się już w sieci. Ze swoimi kontaktami nie powinien mieć z tym żadnego problemu. Musi sie tylko poważnie do tego zabrać. Poważnie. Tak trudno jest zabrać się do czegośkolwiek poważnie.

Hiro jest winny Mafii równowartość nowego samochodu. To dobery powód, aby poważnie się do czegoś zabrać.

Przechodzi przez Ulicę pod linią kolejki i idzie w stronę masywnego i przyszłostego czarnego budynku. Na wasunki Ulicy jest on wyjątkowo pomury, jak działka, którą ktoś zapomniał zabudować. Wygląda jak niska czarna piramida ze ścietym szczytem. Sa w nim tylko jedne drzwi — skoro wszystko jest wyobrazone, przepły dostarczające wyjęj awaryjnych po prostu nie istnieją. Nie ma też straży ani znaków, niczego co przeszkadzałoby ludziom do niego wejść, ale i tak wokół kręci się tysiące awatarów zgładających do środka jakby to czegoś wypatrywali. Stoją na zewnątrz, bo nie zostali zaproszeni.

Nad drzwiami, we frontowej ścianie budynku, znajduje się czarna matowa półkula o średnicy około metra. To jedyna dekoracja, która została tuż przed tym budynkiem. Pod nią, wyrzta literami na czarnej ścianie, widnieje nazwa tego miejsca: CZARNE SŁONCE.

Nie jest to bynajmniej majsterzycj architektury. Kiedy DaŚid i Hiro napisali wraz z innymi hackerami Czarne Słonce, nie mieli wystarczająco dużo pieniędzy, aby wynająć architektów czy projektantów, więc poprzestali na prostych kształtach geometrycznych. Awatary kręcąc się wokół wejścia i tak się tym nie przejmują.

Gdyby byli prawdziwymi ludźmi na prawdziwej ulicy, Hiro nie mógłby dotrzeć do wejścia. Jest zbyt obłączony. Jednak system operujący Ulicą ma ważniejsze rzeczy do roboty niż kontrolowanie każdego z milionów ludzi i zapobieganie wzajemnym zderzeniom. Nie obchodzi go rozwiązywanie tego niebywale trudnego problemu. Na Ulicy awatar po prostu przechodzi przez siebie.

Prześcigając się przez tłum w stronę wejścia, Hiro dosłownie przecina go na pół. Kiedy robi się tłoczno, komputer upraszcza sytuację tworząc widmowe i przezroczyste awatary, tak, aby było widać głębiej się idzie. Dla siebie samego Hiro nie jest widmem — to wszyscy inni wydają się jak duchy. Idzie więc przez tłum niczym przez obłąk młody wyraźnie widząc przed sobą Czarnego Słonica.

Przebiegając linie posiadłości i jest już w przejściu. W tym momencie staje się nieprzezroczysty i widoczny dla wszystkich awatarów, którzy zostali na zewnątrz. Jak na sygnał, zaczynają one krzyknąć. Nie żeby wiedzieli, kim jest — Hiro jest tylko gładującym kłodzikiem, który mieszka w kłocie przy lotnisku. Ale na całym świecie jest tylko kilka tysięcy osób, które mogą przebiegać linie i wejść do Czarnego Słonica.

Hiro obraca się i patrzy na dziesięć tysięcy rozświetlonych awatarów. Teraz, kiedy sam jest już przy wejściu, z dala od powodzi awatarów, widy wyraźnie ludzi w pierwszym rzędzie tłum. Wszyscy noszą najdłuższe i najbardziej wymyślne awatary, mając nadzieję, że DaSid, właściciel Czarnego Słonica i naczelny backer, zaprosi ich do środka. Tlum miga i łączy się w historyczną ścianę. Obserwującąą pigmke kobiety, wykończoną komputerowo przy 72 klatkach na sekundę niczym trójwymiarowe rozkładówki z „Playboya”, to niedoświadczone akterki mające nadzieję na kontrakt. Abstrakcyjne i dziwno wyglądające tornada wirującego światła to hackery liczący na to, że DaSid zauważy ich talent, weźmie do siebie i zaoferuje pracę. Niewielka ilość czarno-białych postaci to ci, którzy dostają się do Metaświata za pomocą tamkich publicznych terminali, wygenerowanych w dychozającej się grubziarzystki bielej i czerni. Wiele z nich to zwykli psycholodzy ogarnięci wiązaniem zasztyletowaną kłójką aktorki; w Rzeczywistości nie mogą się do niej zbliżyć, więc wskazują do Metaświata, aby polować na swoją ofiarę. Są tu też niedoświadczone gwiazdy rocka skapane w laserowym świetle, jak gdyby właśnie zeszły ze sceny oraz awatary japońskich biznesmenów, doskonale kopie odzorowane za pomocą ich wyrafinowanego sprzętu, ale niezmienne powiększając i miednie w swoich garniturach.

Jeden z bialo-czarnych wyróżnia się zdecydowanie z powodu swojego wzrostu. Protokół Ulicy zastrzega, że awatar nie może być wyższy od swojego właściciela, co ma chronić przed kilometrowymi postaciami. Poza tym, jeśli facet używa płatnego terminalu, no co wskazuje jakość obrazu, nie może tak po prostu podrasować swojego awatara. Maszyna pokazuje go takim jak jest, tyle że mniej okładnie. Rozmowa z bialo-czarnym na Ulicy przypomina rozmowę z osobą, która włożyła twarz do kserokopiarki i kopiuje ją nieustannie, a ty wyciągasz z maszyny oddzielny i patrzysz na nie.

Facet ma długie włosy, z przedziałkiem potrodku nocykmi zasłona odslaniającym tatusz na czole. Ze względu na gównianą rozdzielczość nie można go wyraźnie zobaczyć, ale najprawdopodobniej składa się ze słów. Bialo-czarny ma wąsik a la Fu Manchu.

Hiro idzie sobie gwałtem, że facet zauważył go i tel mierzy go wzrokiem od stop do głowy zwracając szczególną uwagę na miednie.

Na jego twarzy rozlewa się uśmiech. Jest to uśmiech zadowolonia. Rozpoznawczy uśmiech człowieka, który wie coś, czego nie wie Hiro. Do tej pory facet stał z rękami założonymi na piersiach, jak ktoś zmęczony czekaniem, ale teraz jego twarz opadają, kłóczy się w ramionach, niczym ręce atlety gotującego się do biegu. Podchodzi tak blisko, jak tylko może, i pochyla się, jakby się tak wykończył, że za nim widać tylko puste czarne niebo, rozdzierane świecami śladami mijających animarek-lam.

— Cześć, Hiro — mówi czarno-biały facet — masz ochotę na Snow Crash?

Wokół Czarnego Słonica kręci się mśtwosto ludzi gadających dzwonne rzeczy. Zwykle się ich ignoruje, ale ten facet przyciąga uwagę Hiro.

Pierwsze zakoszenie to to, że facet zajął jego imię. Ale ludzie mają sposoby zdobywania tego rodzaju informacji, więc może to nie być znaczy.

Po drugie brzmi to jak oferta handlarza narkotyków. Tak tekst to normalna przed jakimś barem. W Rzeczywistości, ale tutaj jest Metaświat. A w Metaświacie nie sprzedaje się narkotyków, ponieważ nie można dostać odłutu przez sam internet.

Po trzecie znawca narkotyków. Hiro nigdy przedtem nie słyszał o narkotykach zwanym Snow Crash. Nie ma w tym nic dziwnego — co roku powstaje tysiące nowych, a każdy z nich jest sprzedawany pod tuzinem różnych nazw. Ale „snow crash” to żargon komputerowy. Oznacza awaryjne system, błąd na tak podstawowym poziomie, że niszczy on całość komputera kontrolującego w monitorze strumień elektronów, który zaczyna szaleć po ekranie zamieniając uporządkowaną sieć pikseli w wirującą zacinę. Hiro widział to tysiąc razy. Niemię jednak jest to dawna nazwa dla narkotyku.

Jednak najbardziej przyskwa uwagę Hiro jego pewnością siebie. Facet jest zupełnie spokojny i nieruszony. Przypomina to rozmowę z asteroidem. Byłoby oczywiście w porządku gdyby robit coś, co ma jakikolwiek sens. Hiro próbuje wyczać cokolwiek z jego twarzy, ale im bliżej się przysładza, tym bardziej tandenty bialo-czarny awatar wydaje się rozpaść na podskakujące kanciaste piksele. Przypomina to przylepanie nosa do ekranu zegustego telewizora, co przysparza Hiro o ból zębów.

— Przepraszam — mówi Hiro. — Czy mógłbyś powtórzyć?

— Masz ochotę na Snow Crash?

Ma wyraźny obcy akcent, którego Hiro nie może zidentyfikować. Jego fonia jest tak samo fatalna jak wzia. Hiro słyszy w głębi mijające go samochody. Musiał włączyć się z publicznego terminala w pobliżu jaskółki autostrady.

— Nie rozumiem — mówi Hiro. — Co to jest Snow Crash?

— To narkotyk, dupku — odpowiada facet. — A myślałeś, że co?

— Moment. Nigdy o nim nie słyszałem — mówi Hiro. — Ty naprawdę myślisz, że dam ci tutaj jakikolwiek pieniądze? I co potem, mam czekać aż przyjeździesz mi go poczta?

— Powiedziałem spróbować, nie kupić — odpowiada facet. — Nie musisz dawać mi żadnych pieniędzy. Próbką jest gratisowa. I nie musisz czekać na żadną pocztę. Mam go przy sobie.

Siga do kieszeni i wyjmuję hiperkartę.

Wydłaga ona jak wziętych, ale faktycznie jest czymś w stylu awatara. W Metaświacie używana jest jako wyobrażenie zespołu danych — tekstu, dźwięku, obrazu, grafiki lub jakiegokolwiek innej informacji, którą można zapisać cyfrowo.

Pomyśli tylko o karbie z baseballista, która zawiera jego zdjęcie, trochę tekstu i garść danych. Baseballowa hiperkarta mogłaby zawierać film z najbardziej spektakularnymi akcjami gracza pokazany w telewizorze o wysokiej rozdzielczości, pełną biografię czytana przez samego zainteresowanego odzwiercadsz cyfrowo i w stereo oraz kompletną bazę danych wraz z wyspecjalizowanym oprogramowaniem wyszukującym wyniki.

Hiperkarta może praktycznie zawierać nieograniczoną ilość informacji. Z tego co Hiro wie, ta może mieć w sobie wszystkie książki z Biblioteki Kongresa, albo każdy odcinek serialu „Honorje Pień Zero” jakikolwiek zrobiono, albo wszystkie nagrania Jimiego Hendesa, albo spisy ludzkie z 1950.

Albo, co bardziej prawdopodobne, całą gamę pasujących wirusów komputerowych. Jeśli Hiro sięgnie i weźmie hiperkartę, wszystkie dane jakie reprezentuje zostaną przeniesione z systemu tego faceta do jego komputera. Hiro oczywiście nie dotknąłby jej pod żadnym pozorem, tak samo jak nie bierze się strzykiwki od nieznanego w środku Nowego Jorku i nie pakuje się jej sobie w zyle.

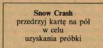
— Ale to i tak nie ma sensu. — To jest hiperkarta. Wydawało mi się, że powiedziałeś, że Snow Crash to narkotyk — mówi Hiro, teraz już zupełnie zdezorientowany.

- Bo jest — odpowiada facet. — Spróbuj.
- Czy on rozpiepra ci mózg czy komputer — pyta Hiro.
- I to, i to. Albo nic. Co za różnica?

Hiro zdaje sobie w końcu sprawę, że właśnie zmarłowi sześćdziesiąt sekund swojego życia na bezsensowno rytmie z paranooidalnym schizofrenikiem. Odwraca się i wchodzi do Czarnego Słońca.

* * *

- Widziałem tego faceta?
- Jasne. Nietrudno go znaleźć — mówi DaSid. — Jest za drzwiami. Dotarliśmy to od niego.
- Przeszukaj stół, bierz jedną z hiperkart i pokazuj ją Hiro.



- DaSid — mówi Hiro — nie wierzę, że wziął hiperkartę od białoczarnego.

DaSid śmieje się. — Stary, to już nie są dawne czasy. Mam w swoim komputerze tyle antywirusowych medykamentów, że nie się nie przedstawi. Ci wszyscy hackerzy, którzy tu przychodzą, przynoszą tyle zarobione go świntacha, że czuje się jak na zakazaniu. Nie ma strachu, cokolwiek na niej jest.

- To zaczyna być coraz ciekawsze — wyznaje Hiro.
- Dla mnie też — śmieje się ponownie DaSid.
- Pewnie i tak się rozczarujemy.
- Na pewno animareklama — zgadza się DaSid. — Myślisz, że powiniem spróbować?
- Dlaczego nie. Nie co dzień próbuje się nowy markotyki — mówi Hiro.
- Jeśli chcesz, to możesz robić to każdego dnia — odpowiada DaSid — ale nie zawsze znajdujesz taki, po którym wraca się do siebie. — Podnosi hiperkartę i przelidza ją na pół.
- Przez moment nie się nie dzieje.
- Czekam — stwierdza DaSid.

Na stole przed DaSidem materializuje się awatar, który zaczynając od widmowej przezroczystości, stopniowo krystalizuje się i nabiera trzech wymiarów. Jest to absolutnie banalna sztuczka i Hiro z DaSidem zaczynają się śmiać.

Awatar to nagusienka Brandy. Nie wygląda nawet jak standardowa Brandy, ale jak jedna z tych tanich taniuchych podróbek. Najwyraźniej jest to tylko demon¹. W rękach trzyma dwie tuby, każdą z nich jest wielkość rolki jednorazowego ręcznika.

DaSid wyciąga się rozbowalony na krześle. W całej scenie jest coś histerycznie kiczowatego.

Brandy pochyla się do przodu przywołując go gestem. DaSid zagląda jej w oczy szczerząc zęby w uśmiechu, kiedy ona przykłada mu do ucha swoje protactkie rubinowoczerwone uszy i szepce coś, czego Hiro nie słyszy.

Kiedy Brandy cofa się, twarz DaSida jest zmieniona. Wygląda na oszołomionego. Może DaSid wygląda tak naprawdę; może Snow Crash

spasował jego awatar tak, że komputer nie śledzi już prawdziwego wyrazu twarzy DaSida, który gapi się przed siebie z oczyma zastylonymi w orbicach. Brandy unosi obie tuby przed zneruchomiałą twarzą DaSida i rozwija je. Tuby okazują się zwojem. Brandy rozwija go tuż przed DaSidem, tworząc przed jego oczami płaski dwuwymiarowy ekran. W świetle emanującym z wewnątrz sparaliżowana twarz DaSida nabiera niebieskawego odcienia.

Hiro obchodzą stół, aby przyszyć się dokładniej. Widzi zwoj przelotnie, zanim Brandy znów go zamyka. Wygląda on jak tyra ściana światła, jak elastyczny telewizor z płaskim ekranem, na którym nie ma widać. Tylko zakłócenia. Biały szum. Śnieg.

W chwili później Brandy znika bez śladu. Chaotyczne, sarkastyczne owacje rozlegają się wokół kilku stołów w Sektorze Hackerów.

DaSid wraca do normy, przybierając częściowo fabryczny, a częściowo zakłopotany uśmiešek.

- Co to było? — pyta Hiro. — Widziałem tylko pod koniec trochę śniegu.
- Nie było nic więcej — odpowiada DaSid. — Regularny wzór białoczarnych pikseli o stuosobkowo wysokiej rozdzielczości. Popatrzyłem sobie na kilkadziesiąt tysięcy jedynek i zer.
- Innymi słowy, ktoś skonfrontował twój nowy optyczny z cymś, co mogło być kilkadziesiąt tysiącami bitów informacji — mówi Hiro.
- Wyglądało bardziej na zakłócenia.
- Hm, każda informacja wygląda na zakłócenia, dopóki się nie złamie kodu — mówi Hiro.

— Dlaczego ktoś miałby pokazywać mi informacje w kodzie binarnym? Nie jestem komputerem, nie umiem czytać bitmapy.

— DaSid, wyluzuj się, ja tylko żartuję — mówi Hiro.

— Wiesz, co to było? Wiesz, jak hackerzy zawsze próbują pokazywać mi próbki swojej pracy?

- No.
- To jakiś hacker, który to napisał i chciał pokazać mi efekty. Wszystko grało aż do momenta, kiedy Brandy rozwinięła go — koda miał być i zawiązał się w niewielkąjawię momencie, więc zamiast dzieła zobaczyłem tylko śnieg.

- Więc dlaczego nazywał go Snow Crash?
- Wisielczy humor. Wiedział, że kod jest bledny.
- A co Brandy wyszeptala ci na ucho?

— Jakiś żyrk, którego nie rozpoznałem — mówi DaSid. — Belkot.

Belkot. Babel.

— Ale wyglądał jak oszołomiony.

DaSid wygląda na urażonego. — Nie byłem oszołomiony. Po prostu to wszystko było takie dziwne, że przez moment nie wiedziałem co robić.

Hiro spogląda na niego z wyjątkowym współczuciem. DaSid widzi to i wstaje od stołka. — Chcesz zobaczyć, co porabiają twoi konkurenci z Nipponem?

- Jacy konkurenci?
- Przecież projektowali awatary dla gwiazd rocka?
- Ciagle to robie.
- No wie. Mamy tu dziś Sushu K.
- A tak. Fryzura wielkości galaktyki.

Nawet tu widac promienie — mówi DaSid pokazując ręką w kierunku sąsiedniego sektora — ale ja chce zobaczyc cały strój.

Rzeczywiście, widac jak gdyby sloboc wchodzące gdziez w iredku Sektora Gwiazd Rocka. Nad glowami drepcacych awatarow Hiro dotrzega krug pomaraczowych promieni emanujacych na wszystkie strony ze iredka flumu. Krug porusza sie, kręci, przechyla na bok, a wraz z nim rusza się cały wszechświat. Na Ulicy pelny blask fryzury Sushiego w stylu „Wschodzące Sloboc” ograniczajac przepłyty dotyczace wysokosci i szerokosci. W Czarnym Slobcu DaSid dopuzacza swobodę wyrazu, więc pomaraczowe promienie siegają aż do granic lokalu.

¹ Jak Stephenson pisze w innym miejscu Snow Crash „demon jest bezgłównym określeniem wykorzystanym z kuzyna operacyjnego. Ułóż, w którym oznacza ono prosty program awatarów, podobnową czepę systemu operacyjnego. W Czarnym Slobcu demon wygląda jak oszalec. Nie jest jednak graficznie przedstawionym istotą, tylko rebotem minującym w Metaświecie” (przyp. tłum.).

— Zastanawiam się, czy ktoś mi już powiedział, że Amerykanie nie kupią rapu od Japonczyka — mówi Hiro, kiedy obaj idą w stronę Sektora Civiaka.

— Może powiniem tu to powiedzieć — proponuje Da5id — i zażądać opłaty za poradę. Jest teraz w L.A.

— Najprawdopodobniej gdzieś w hotelu pełnym wadziupków, którzy opowiadają mu, jaka z niego wielki gwiazda. Powinien spotkać się z prawdziwą biomasą.

Wstrząsają się w strumień rachy wycią się cienką nicią przez tłum.
— Biomasa? — pyta Da5id.

— Suma żywych organizmów. To termin ekologiczny. Jeśli weźmiesz jeden akr dzungli, milę sześcienną oceanu albo też dzielnicę L.A. i odfiltrujesz wszystkie żywe organizmy od ziemi i wody, to otrzymasz biomasę.

— Nie rozumiem — mówi Da5id, komputerowiec do spryku kości. Głos brzmi imiesznie. W jego fonie wkłada się biały szrum.

— Termin przemysłowy — mówi Hiro — Przemysł żywi się ludzką biomasą Ameryki. Tak jak wieloryb w morzu kryem.

Hiro wiska się pomiędzy dwu nippichskich biznesmenów. Jeden z nich jest ubrany w przepisywany granat, ale drugi to neotradycjonalista w ciemnym kimono. Podobnie jak Hiro, też ma dwa miesiące — długą katana na lewym biodrze i jednorzędny walczyński zakłótnie ukośnie za pas. Obydwaj trzniąca pobieżnie spojrzenia na swoją broń. Hiro odwraca wzrok, udając, że nie patrzy, podczas gdy ten drugi nieraczejnie z wyjątkiem kąków ust, które opadają w dół. Hiro zna takie sytuacje. Wie, że może wplatać się w walkę.

Ludzie usuwają się z drogi; ktoś wbiega i nieubaganego przepycha się przez tłum odsuwając na boki awatary. Tylko jedna rzecz wewnątrz Czarnego Słońca ma umiejętność takiego popychania ludzi. To demony-wykładki.

Kiedy podchodzi bliżej Hiro widzi, że jest to cała ekipa goryli w smokingach. I to prawdziwych goryli, które są w kierunku Hiro.

Próbując się odsunąć, ale zaraz na coś wpada. Wygląda na to, że nielegalne info w końcu napłynęło mu między i że za chwilę wylączy z baru.

— Da5id — mówi Hiro. — Człowieku, odwołaj je. Już wyciągnięto nie będzie.

Zgromadzeni wokół ludzi patrzy przez ramie Hiro, jak twarz oświetlone podświetlone jankrow kolorowymi światłami.

Hiro obraca się, aby spojrzeć na Da5ida. Ale jego już tam nie ma. Zamiast Da5ida widząc gąsienicę chemię złej cyfrowej karmy. Jest ona tak jasna, szybka i rozmarzana, że patrzeć na nią sprawia ból. Raz jest kolorowa, raz czarno-biała, a kiedy nabiera koloru, kręci się szaleńczo wokół białego dysku, jak gdyby była przetrzana dyskotekowymi światłami o dużej mocy. Nie zostaje nawet w granicach własnego ciała; ciężkie niczym włos niekiedy wystylizują w jedną stronę przechodząc przez całe Czarne Słońce i na zewnątrz przez ścianę. Jest to nie tyle zorganizowane ciało, co wirująca chemia nie trzymająca się osi linii i wielokątów, wyrzająca odbiorcy cielistych szrapneli po całym pomieszczeniu, kolidująca z awatarami, migająca i znikająca.

Goryle nie przemieszają się tym. Wypychają swoje długie owłosione paluchy w środek ropadającej się chemii, przetrzymują ją jak i mięso obok Hiro w kierunku wyjścia. Hiro spogląda w dół, kiedy go mijają i wzdri coś, co wygląda jak twarz Da5ida widziana przez sterię tęczowego szkła. Jest to tylko krótkie mignięcie. Potem awatar znika, fachowo wykopany za frontowe drzwi, wzbijając się ponad Ulicą dużym plaskim lukiem, który nieśie go poza horyzont. Hiro spogląda wzdłuż przejścia na stolik Da5ida, pusty i otoczony osobliwymi hackerami. Niekiedy z nich są w stroku, inni próbują słuchnić umieszk.

Da5id Meier, król hackerów, założyciel protokołu Metaświata, twórca i właściciel światowej szły Czarnego Słońca, doznał systemowej zapadki. Został wyrzucony ze swojego własnego baru, przez swoje własne demony.

przetłóczył Paweł Frelik

RUDY RUCKER

SOFTWARE¹

Rozdział trzynasty

Zapłajdając do środka nasi dwaj bohaterowie nie widzieli nie poza ciemnością oraz przytłumionym światłem czerwonego włoboku. Kiedy przeszli przed drzwi, przedstawienie rozpoczęło się.

— Nie jesteśmy w stanie zbudować inteligentnego robota — stwierdził stanowczo jakiś głos. — Ale możemy spróbować, by się rozwinął.

Widmo młodego Andersona przeszło obok rzędów komputerów, aby powitać odwiedzających.

— To właśnie tutaj opracowaliśmy pierwsze programy bopowe² — kontynuował zarejestrowany na tamnie głos. Widmo uśmiechnęło się pewnie, zachęcająco. — Nikt nie potrafił *uspójnić* programu bopowego³ — są zbyt skomplikowane. Wiele zamiast tego wpuszczem tutaj tysiące prostych programów SP⁴ — wskazywało poufale na komputery. — Przeprowadziliśmy mnóstwo... testów sprawnościowych, podczas których słabsze programy zostały wyeliminowane. Pozostałe natomiast były dość często przyrędkowo zmieniane... poddawane mutacji. Zauważłem nawet o swego rodzaju... pliwową reprodukcję, podczas której dwa programy mogą się połączyć. Po piętnastu latach...

Człeb poczuł okropne indolności, kiedy zdał sobie sprawę z przepaści czasu dzielącej go od młodego, dynamicznego człowieka, którym kiedyś był. Bezczelny bieg wydarzeń, lat, śmierci... nie był w stanie spojrzeć na swoje stare „ja”. Przybity, opuszczony pokój, ciągnąc za sobą Sta-Hi. Obrząz zniknął.

W pokoju znowu zapanowała ciemność rozpraszana jedynie jarknięciem się przy przeciwległej ścianie czerwonymi światłami.

— Ralph — zawołał Cobb lekko drżącym głosem. — To ja.

Ralph Numbers przeszedł z kosmosem po pokoju. Jego czerwona migocząca obwódka promieniowała spiralą różnorodnych emocji.

— Miło nam widzieć, doktorze Anderson.

Starając się postąpić właściwie, Ralph wyciągnął manipulator, jakby chciał uściśnić dłoń doktora.

Słuchając już otwarcie Cobb zrzucił ręce na twardego korpus bopera i zakłósal nim.

— Zestarałem się Ralph. A ty... ty wciąż jesteś taki sam.

— Niezaprawdę, doktorze Anderson. Byłem przebudowywany trzydzieści siedem razy. Wymieniono mi również różne podprogramy.

¹ software (ang.) — oprogramowanie, w odróżnieniu od hardware — sprzętu komputerowego

² bop (ang.) — jest to odmiana jazyka powstała w latach 40. naszego wieku, nazwana również bebop i charakteryzująca się złośliwymi partiami rytmicznymi, trykami i tempami oraz zakłócaniami harmonii utworów. Czasowniki „to bop” oznaczają intencje do muzyki bebopu. Można by się więc pokusić o przebudowanie terminu bopowe jako „kważące”, „sujacek” lub „hustacek”. Z drugiej strony, czasowniki „to bop” oznaczają w slangie chłodzenie, postępowanie naprzód, a także udzielenie kogoś piękną lub kiejem. Żadna z wymienionych wyżej propozycji nie oddawalaby więc w pełni wszystkich konotacji słowa „bopper”.

³ SI — Sztuczna Inteligencja (ang. AI — Artificial Intelligence)

— W porządku — powiedział Cobb, płacząc i śmiejąc się na przemian. — Mów mi Cobb, Ralph. A to jest Sta-Hi.

— Brzmiał jak imię bopera — zauważył Ralph.

— Wykonuję swoje zadanie — odpowiedział Sta-Hi. — Czyś nie sprzedawał mojemu małemu bratankowi Ralph Numbers? Myślałem tak do szóstego roku życia... aż do momentu buntu bopera w 2001. Siedzieliśmy w samochodzie, kiedy rodzice usłyszeli o tym w radiu i wyrzucili mojego małego Ralphie przez okno.

— Oczywiście — powiedział Cobb. — Anarchistyczny rewolucjonista nie jest najlepszym przykładem dla dorastającego chłopca. Ale w twoim przypadku, Sta-Hi, powiedziałbym, że do stało się już wcześniej.

Ralph zdął sobie sprawę, że ich głosy są trochę niewyraźne i trudne do zrozumienia. Szybko zaprogramował sobie obwód filtry, aby wyzerować ich sygnały. Istniało pytanie, które zawsze chciał zadać swojemu konstruktorowi.

— Cobb — powiedział skłupiony Ralph — czy wiedziałeś, że różnie się od pozostałych dwunastu oryginalnych bopero? Że będą mogli się sprząścić rozkazem?

— Nie wiedziałem, że to będziez ty. Ale wiedziałem dobrze, że jakiś boper wywołał się za parę lat.

— Nie mogłeś temu zapobiec? — zapytał Sta-Hi.

— Nie rozumieasz? — Ralph zamigał wzrosem szlachowicy.

Cobb klepał poudale Ralph. — Chciałem, żebyś się zbantował. Nie chciałem być ojcem rasy niewolników.

— Jesteśmy wdzięczni — powiedział Ralph. — Domyślam się, że bardzo z tego powodu cierpiełaś.

— Cóż... — powiedział Cobb. — Straciłem pracę. I pieniądze. No i miałem proces o zdradę. Ale nie mogli mi niczego udowodnić. Ostatecznie jak mogłem kontrolować rozwijający się przypadkowy proces.

— Ale mogłeś wprowadzić niezmienny program, który by nas zmuszał do ciepłego podłączenia się do Pierwszego — powiedział Ralph. — Chciał wściekłe bopero tego nie lubi.

— Oskarżył zwrócił nas to uwagę — powiedział Cobb. — Domagał się kary śmierci.

Przez radio dobiegaly słabe sygnały, strzępy olejnych, szejących głosów.

— ...sodyszysz mmmmm...

— sss nagrywane nie

— ...ggroszek mówwwi...

Przypominały odgłosy zbliżających się obłąkanych węży.

— Chodźmy — powiedział Ralph — tedy do nieśmiertelności.

Szybko przeszło przez hall i rozpoczęło badanie za pomocą swoich manipulatorów. W górze po lewej stronie pojawiło się znowu widmo Kurta Godeła.

Ralph odsłonił fragment ściany. Niskie drzwi wyglądały teraz jak duża szczelna osłona.

— Tędy.

W środku było strasznie ciemno. Sta-Hi sprawdził rezerwy powietrza. Wciąż dużo, wystarczy na osiem do dziesięciu godzin. Po dwudziestu metrach pojawiły się znowu jaszczurki.

— Chodź — powiedział Cobb, ujmując Sta-Hi pod rękę. — Przesmyśmy to.

— Przesunąć? Dokąd? Wciąż mam bilet powrotny na ziemię, no nie! Nie zamierzam dać się zmusić...

W radiu znowu zatrzeszczały głosy, tym razem głośnie i wyraźnie. **Krzężni! Doktorze Andersson! Rralph Numbers** mnie powiedział panu wszystkim. Oni chcą pana pokroić!

Po dalszych dziesięciu metrach, petając w ich kierunku sąleją z wesołego miasteczka, pojawiły się trzy świecące na niebiesko bopery, zbudowane na podobieństwo tłustych węży ze skrzydłami.

— Ko-pacze! — krzyknął Ralph, a jego sygnał emanował strachem. — Szybko ko-Cobb, prze-przeł.

Cobb przeszedł się głową naprzód przez dziurę w ścianie. Sta-Hi wykonał wreszcie swój ruch. Ruszył korytarzem, a widma eksplozdy wokół niego niczym pociąg z moździerza.

— Kiedy Cobb przecisnął się przez niskie drzwi, mógł się wreszcie podnieść. Ralph popisywał się nim, zamknął za sobą drzwi, a następnie zabezpieczył je z czterech miejscach. Jedynie światło pochodziło teraz z czerwonej, mijającej obudowy Ralph. Słyszeł kopytami kochających ścianę po drugiej stronie. Ralph zauważył, że liderem jest Wagstaff.

Wykonał skrócony wódt, upokajający gest i przemasł się ostrożnie obok Cobba. Cobb siedział następnie za nim, zamknął dwa lub trzy kilometry. Przechwał drogę tunel ani nie opadał, ani nie wzrosł się; nie skręcał w prawo ani w lewo... niegł prosto, chocio, krok po kroku. Cobb nie był przyzwyczajony do takiego wysiłku i w końcu klepnął Ralph po plecach, aby go zatrzymać.

— Dokąd mnie prowadzisz?

Robot zatrzymał się i obrócił głową.

— Ten tunel prowadzi do różnych domów. Hodujemy tam organy. Mamy również... stół operacyjny. Pielegniarki. Zmiana nie będzie dla ciebie bolesna — Ralph zamilił i maksymalnie wytyczył zmyśli. W pobliżu nie było kopaczy.

Cobb siadł na podłodze tunela. Kombinezon był na tyle sprężysty, że czuł się w nim wygodnie. Postanowił wyciągnąć się na plecach. W końcu nie ma co robić ceremonii, kiedy przebywa się z robotem.

— Problem jest także w tym, że Sta-Hi uciekł — mówi Ralph. — Nikt mi nawet nie wspominał, że on miał tu przyjeść. Jest tylko jedna pielęgniarka i jeżeli on przyglądał się, podczas sąg... — przerwał nagle.

— Wiem — powiedział Cobb. — Wiem, co się stanie. Zmieńcie mój mózg, aby uzyskać wzory i pokroicze moje ciało, aby odnowić banki narzędzi.

Zebrańcie się w sobie i wypowiedzcie tych słów przyniosło nam łąg.

— O to chodzi, no nie Ralph? Nie ma lekarstwa na nieśmiertelność, prawda?

Nastąpiła długa cisza, lecz w końcu Ralph przyznał mu rację.

— Tak. To prawda. Mamy dla ciebie na ziemi zdalnie sterowane ciało robota. Mamy tylko wykożyć twoje software i wysłać je na dół.

— Jak to będzie? — zapytał Cobb zadziwiająco spokojnym głosem. — Jak oddzielacie umysł od mózgu?

— Na początku robimy oczywiście EKG, ale holograficznie. Pozwala to uzyskać ogólną elektro-magnetyczną mapę czynności mózgu, nawet bez konieczności otwierania czaszki. Ale wspomnienia...

Wspomnienia są biochemiczne — powiedział Cobb. — Zakodowane jako sekwencje aminokwasów we włóknach RNA.

Przyjmiecie więc leczyć tutaj i rozmawiać na tematy naukowe z swoim najlepszym robotem.

— Zgadza się. Wykorzystując procesy gazowo-spektroskopiczne oraz rentgenowo-krytalograficzne potrafimy odczytać zakodowaną w RNA informację. Ale najpierw RNA musi zostać... usunięty z tkanki mózgowej. Istnają również inne chemiczne uwarunkowania. Jeżeli mógł się właściwie pojąć, możemy także określić wzory fizycznej sieci neuronów. Jest to bardzo...

— Chodzi Cobb! Ściągają nas kopacze!

Ale Cobb wciąż leżał, odpoczywając. *A jeżeli to kopacze są w porządku?* Ralph, nie zrobilibyś mi numeru? To wszystko brzmi tak niewiarygodnie. Skąd mogę wiedzieć, że naprawdę dacie mi moje własne ciało robota. I nawet jeśli robot zostanie zaprogramowany za pomocą moich wzorów mózgowych... to czy naprawdę...

— Niech pan poczekaj doktorzrre Anderssonne! Chocce tytkoo z ppanem porozmawiać!

Ralph gwałtownie złapał Cobba za ramię, ale było za późno. Wagstaff miał ich.

— Cześć Rralph, cieszysz się, że cię przebudowali. Niektórzy

ROB HARDIN

Penetracja: Świątynie mułu

Życie jest chorobą materii
Goethe

I
30 centymetrow pelzającej protoplazmy,
mamroczące nieobecnie spirale, szelaciany, nasypy, tryle,
moga wskazywać na reakcję autokatalizyczną.
A hipnotyczne kształty aksonów nerwowych —

— chłonne, aktywne, nieruchome —
obracają się niczym zwiłki elekrolizowanej plazmy.
Ich substancje posiadają dar organizacji przestrzennej:
ich martwa chłosta tropi wzory mózgowej zawośności.

Podobnie skurcze mięśnia serca ludzkiego
przypominają rozchodzącą się falę.
Kiedy fala załamuje się, migotanie przedsionków
pokazuje stały wzór. I, często,

tym autokatalizycznym spiralom choroby
towarzyszy kłępa i śmieć.

II
Powierzchnia móżgu
może również eksplodować nekropolią spiral.
Odbijanie depresji korowej
przynosi ze sobą wzór samoodtworzących się form.

Nawet galaktyka dysku naśladowe je rokokoową patologię:
człuki gwiazd to poszarpane zwoje.
Paraladzki architekt bez końca skazuje
ślimakowe świątynie według swoich biernych sil.

Jeżeli bóg umarł, przybrany jest niczym wąsaty Ludwik XIV,
a jego palce łapią skurcze.

Terminale nerwów

Poimiernie rozbadzone tarantule
wibrują HHHH z plus-kośną pokrytą gazą.
Ich człuki wiją się poza korpusem
a kosy nadzieja
sylabizują Nikogo w Domu.

Ożywione zdania
człogażą się przez palce w poszukiwaniu czegoś.

136

...dłipy rozspajają się, zamienione na halas...
nacz symfonii
są mormani insektów.

Seryjna zmora
sączy aa-nasienie w poszarpane futro.
Te II — IIIII łączą się — mieszają —
aby ekskumować
jej namacalne spojrzenie

—
Każdy bit miłości rani do żywego.
Katastroficzny harmonia
przepowiada przecięnie sobowótara
niemurney, Kalambury żędy
obumarle słonka.

Pięściarskie hermafrodyty

Skarabeusz leżał na małym stole operacyjnym
aż pojawiły się skropione deszczem nawierzchnie alei,
tańczące wolno do idiotycznych melodii z przedstawień.
Linie pomiędzy płytami chodnika pogłębiły się w szczeliny,
i jeżeli nie pękła zmas je do łepo.

Czyż widzieć jak smakuje twój raszt
lecz nigdy nie zrozumieją
dlaczego nasza stonoga skwirczy w sadzawce
i obnażony zamek rozkoszy gładko się otwiera.
Jej wytrysk pokrył ściany kucharki mikrofalowej,
wśląc o nerw

mieszkaniam, chybając sufitu i podłogi o całe.
Dochodzimy teraz do czystego ekstremum ruchu,
choć kwiś się na boki i zostanie wkrótce unicestwiony
przez kawalki ogrodu rozspiane
na arkuszu papieru milimetrowego. Królowa

sama wybrała tę technikę: poddaje się spekulatywnemu instyngtowi
z bezmyślną precyzją. Wyciągnij rękę, ćwierka,
wyciągnij z niej serce, sedno sprawy.

Leżąc członki mężczyzny spadają z dużej wysokości,
wiją się w sadry i zostają usunięte z geografii.
Nowożeńcy kaszlą larwami, uśmiechając się przepraszająco.
Ich pożądania czyta się niczym pracę domową
a przy podstawie piątej pury chodzących nóg,
ich kanały płisowe jeszcze się nie wykształciły.

spolszczył Andrzej Antoszek

Stąd do przyszłości: poezja cyberpunka

Zaki skarabeusz, bity miłości, pelzająca protoplazma, aksony nerwowe — to tylko niektóre wizje roztaczane przez poezję cyberpunka, symbole wypełniające mroczne zadki futurystycznych światów Sterlinga, Gibsona czy Stephena. Z jednej strony, podobnie jak cały cyberpunk, poezja ta jest czynnikiem zupełnie nowym, technic światłości i innością metafory, zaskakującą kompozycją obrazów, pamiętając rozbadzonych pojściu poruszających się wśród terminali nerwów, nowotworów wykształdzących larwy. Rob Hardin.

137

mieszający w Nowym Jorku awangardowy pisarz i muzyk, mówi o swojej poezji, że jest to „wymyślenie z jego systemu ludowej dysfunkcji komunikacji — kuzynów muzyki kameralnej i puistych poddaży”. Z drugiej strony, trudno odmówić racji Brianowi McHale, człowiekowi krytyki postmodernizmu, a obecnie cyberpunka, który charakteryzując epokę, w której żyjemy jako **POSTcyberMODERNpunkISM**, zwraca uwagę na połączenie i różnorodność elementów tworzących naszą rzeczywistość.

Jeżeli przyjrzymy się dokładnie wierszom Harada, zamieszczanym przede w jednym z największych i najbardziej reprezentacyjnych antologii cyberpunka, jaką bez wątpienia jest „Storing the Reality Studio”, zauważymy bez trudu, iż mimo całego nowatorstwa można w nich odnieść liczne echa tradycji i skarbów leżących na stole operacyjnym to nikt inny jak eliowski pacjent ujętyj eterem, sparaliżowany i bierny obserwator świata z „Pieśni miłośnicy J. Alfreda Pruffrocka”, polimerem naciekającym kuraczką do zbliżenia przypominając złowrogie duszki-krali, władnie tego świata (jedynemu zabawki Boga, wypełniające pod skórą moją i moją w jednym z wierszy Teda Hughesa. Zjemy, jak pisał Jean Baudrillard w „Ekstazie komunikacji”, w „narcyzyzmie i proteoantycznej erze powiatu, kontaktu, Mikrobi i powrocie technicznego interfejsu związanego ze wszechświatem komunikacji” i dlatego praktycznie niemożliwe jest odcięcie się od zalewającej nas fal informacji — informacji dotyczącej najbliższych zbliżeń szeroko pojętej kultury. William Gibson, uwieczniając swój wiersz „AGRIIPA (A Book of Dead)” w sieci Internetu, w przeciwieństwie do wybitnego i odważnego awangardowo-cyberpunkowego walec miliozów potencjalnych czytelników; niewykluczone więc, że cyberpunk stanie się częścią tradycji literackiej. Niewykluczone, że już się stał. Mark Amerika, jeden z twórców nowego ruchu Avant-Pop, obok takich artystów Modkrajobrazu jak William Burroughs czy John Cage wymienia również Williama Gibsona. Może właśnie dlatego podkasz czytania awangardowego cyberpunka warte uwzględnienia powzięły uwagi i spojrzeć na poezję nie jak na coś zupełnie abstrakcyjnego i odważnego od rzeczywistości, ale jak na kolejny krok ku niedokładnej przyszłości. A o niej właśnie jest cyberpunk.

Andrzej Antoszek



Joak Ostad Fosha, grafika komputerowa.

prekroje

JANUSZ TERMER

PARADOKSY I PYTANIA PROZY TADEUSZA SIEJAKA

Zmarły przedwczoraj (w wyniku ciężkiej choroby nerki) w wieku 44 lat Tadeusz Siejak nigdy nie miał łatwego życia jako pisarz. Ani przed 1959 rokiem, ani później. Kiedy w latach 80. ukazywały się jego kolejne utwory powieściowe (dzięki aprowant wydawnictwa „Iskry” i innym naciskom środowiska pisarskiego), otrzymał na nim odium krytyka PRL-owskiej rzeczywistości. Jako *Officer* (1981), *Prośba* (1984) i *Pierzyna* (1987) nie przyniosły mu sławy człowieku opozycjonisty politycznego, bo te i nie po to były pisane. Jego rzetelne poznaższe, nowatorskie literacko, niekonwencjonalne stylizacje i językowo, wrecz niekiedy szokujące, a więc niezławe w masowym odbiorze powieści nie mogły się w utartych schematach czytelnki i myślenia politycznego ówczesnych kręgów opiniootwórczych. I jest to prozy tego pisarza paradoks pierwszy. Nie zdobyła sobie ona bowiem, mimo fcyloznych recenzji wielu krytyków (szczególnie młodego pokolenia) szerszego uznania i zrozumienia, na jakie zasłużyła.

Ba, po roku 1989 nowe dzieła Tadeusza Siejaka nie mogły przez wiele lat w ogóle znaleźć wydawcy! Dobry, ale mikroskalowy wydawca — mówił teraz ci sam wydawca, który kiedyś zasłaniał się niemożliwościami cenowymi. I też odsyłał autora z kwitkiem. Ani stare podziemie, ani nowe nazimie, ani jeszcze starsze, ale przeorientowane pod gust i ekonomiczne wyznogi nowych czasów wydawnictwa (tak chętnie narzekające na brak tematyki współczesnej w literaturze polskiej) nie zainteresowały się ani powieścią *Detektor* (pisana w latach 1986-89, wydana w kolcu przez BGV w 1992 tylko dlatego, że przeferował to pracujący tam były redaktor „Iskry”), ani ciekawym i starającym rzeczywistości tradzie i dramatycznej pytania, totem egzystencyjnym *Głód sensu* (ukazał się w 1994 roku z powodów już wyżej). Uczniwa odpowiedź na pytanie, dlaczego się tak stało w jego przypadku (i tak się dzieje w przypadku dziesiątków innych pisarzy polskich) mogłaby rzucić wiele światła na obecną sytuację prozy polskiej oraz środowisk pisarskich. I to jest prozy Siejaka paradoks drugi. Jeśli bowiem można od biedy zrozumieć zniechęć skomercjalizowanych wydawców do rzeczywistości dość trudnego w masowym odbiorze meje, to co „Iskry”, ani ciekawym i starającym rzeczywistości tradzie i dramatycznej pytania, totem egzystencyjnym *Głód sensu*, powieści polkarskiej (nie wyjątkowo w Polsce i rozgrywającej się w środowisku inteligencji technicznej w dużym mieście przemysłowym, ukazującej wiele ciekawie rysowanych sylwetek, charakterów i postaw ludzkich tamtego czasu (główny bohater zawiera metafizyczny pakt z władzami stanu wojennego, by kontynuować ważne badania naukowe, mogąc stać się kamieniem milowym rozwoju, co nieuchronnie prowadzi go do konfliktu z otoczeniem i własną rodziną). Powieść to nie tyle polityczna czy nawet psychologiczno-obyczajowa (choć to ważne składniki jej struktury), ile przede wszystkim egzystencjal-

no-filosoficzna. Pomysłami jako próba skoleprowitowania literackiej ontologii, czarno-białych schematów i jednolitej linii podziału na świat bezwzględnie dobra i bezwzględnie zła, przypisywanych rzekomo i raz na zawsze do określonego typu postawy i wyborów życiowych. I w tym, czyż w dziełach tej powieści, w kłopotliwym mierzaniu krytyki, jakie zapadło po jej wydaniu, tutej kolejny paradoks pracy Siejaka. Taki dramat autentyczny i głęboko oszczędny analizy naszego współczesności (nie tylko teraz jama literackiej), która nie doczekała się należytego odzewu. Dramat niemożliwego pomcu a nas do pogodzenia obywatelską racjonalnością z niezłomnością piarskiej. Siejak okmal się piarszem spozak przed i ukłódów. Za ospekalka go przykładna „kara”. Tak! piarsz, laza i za przeproszeniem „klerek hierarchii” (jak nazywano Karola Lrzykowskiego) nikomu, jak się okazuje i dziś, nie jest potrzebny do szczęścia, a tylko z nim kłopotliwi dziś.

To jakby rozumiał sam Siejak, na co zdają się wskazywać jego opowieści zebrane w tomie *Książę czasu*. Uważa, iż bowiem inna strona jego piarszenia. Mniej tu nawiązań do bezpośrednio przedstawionej rzeczywistości, składowanej więcej niż tego, co kiedyś należało być do techniki mierzalności, poetyk symbolicznych, ontologicznych sposobów pisania niesieprzynajmniej sutywnymi rygorami tzw. prawdopodobieństwa życiowego. Dziś wiadomo powszechnie, że realizacja Siejaka nowa ogólna dzieła mierzalna jest od rodzaju uytichych techniki piarskich. Siejaka nie chciał być raz na zawsze zaklasyfikowany jako „realista”, jako odwoławca „za i teraz” swego czasu, jako niewolnik swojej epoki. Jak wyznał w dacie umieszczonych na końcu książki z czeresem zawartych tu opowieści, pisane były od końca lat 70., a więc równolegle z wydanymi wcześniej i znanymi powieściami. Nieprzypadkowo też noszą takie podtytuły jak *Impresja senna (Książę czasu i Ta sama kłoda)*, *Impresja demagogiczna (Wielki spływ) i opowieści tendencyjna (Namiot wodny)*. Wynika stąd, że autor ten — „od zawsze” poszukiwał alternatywnych środków wyrazu.

Mają to opowieści wiele cech wspólnych, tak czyżto literackich, jak i na planie postawczym. Należą do nich: impresyjność i swoboda skojarzeń dotycząca czasu historycznego, przestrzeni, stanów i przeżyć psychicznych stanów z różnych rzeczywistości, co — bliżkie prozie Teodora Paracelskiego, jak też i dominujące nad calością pragnienie — wiskie i ambitne, podjęte równolegle w trybie eszetyczno-publicystycznym w tomie *Głód senu* — dotarcia do mechanizmów funkcjonowania psychologii indywidualnej i zachowań społecznych, odchylenia przyczyny i rzeczywistych sprzecznych napedzających się mechanizmy, a wrzenie postawienia stażych przed każdym pokoleniem zasadniczych pytań o wartość i sens życia, dłałali i życia w ogóle. W *Namiocie wodny*, tekście najbardziej charakterystycznym dla tych tendencji w prozie Siejaka, maledz można takie oto typowe zdanie, pełne paradoksalnych kontrastów i dramatyzmu — obraz i pytanie bez odpowiedzi: *Mój stan ziędziału się w dalaż mązkę bez rytym, wyczerpił ani w dół uwarotwał, ziędział wędze błędnym czerwiem i czerwonym błędnem, ciepłe zimowe jak ledy Anarkidji i zimna pogodnego jak sene Kanga, ziędziałek pachnących pomarańczami, dętych brzoźnowych ręk maledzi, która spade za mną uwarotczym się nicelnic jak pędzi, jak nicelid być może; ziędział wobec mgły, co jest światłem ciemnościem i dno Koismon. Wobec miedzi, gdzie gra stworzera mązka biele, kłódnego nie ma; wobec mnie rozłożonego na atomy, skłódnego się z atomem, biele kłódnego się z atomem, kłóre skłódnę się z atomem i kłóre teraz właśnie i zawsze rozchodzą się powiad atomem, kłóre jedne skłódnę się z atomem, kłóre odłoneżone Ziarnem, Marszem, Plutonem, Jowiszem, Słońcem, Alfa Centauri, Węgl i jeszcze bliższą dala, gdzie dępowic ich wycieczki, co wznoszą się po mnie, byliny mgły tam trawie do kłoda wierzchości, jaki nielid nie nędzidze.*

Czy jest to inny Siejak od tego, jakiego znamy z *Opowiesci o Deszterze*? Czy intencje jakichs zwazek łączący prozę opowiadania dzieł powieści określonego czasu i miejsca (nie ujętkanne społecznym, dydaktycznym czy propagandowym zamysłem dyktanta) „oficern” produkują w czasach pierkowiskich lub faunacyjne pomysły powozego naukowca z okresu stażu wojennego z prozą, która ostentacyjnie i prowokacyjnie zrywa z jakimikolwiek konwencjami i przepisami na literaturę i stawia przede głowne egzystencjalne problemy? Odpowiedzi może być tylko jedna. Tak, Tadeusz Siejak jako autor piarszych przez cala ostatnie dziesięciolecie swego życia opowiadacz i tomu *Książę czasu* to ten sam autor, który jest autorem trzech wydanych wcześniej znakomych powieści realizacyjnych ukazujących młodeżna w literaturze polskiej prawde o czasach i ludziach tamtej epoki. A tak, ba! problematyka ta nie wyczerpała ich

zawrotności. To tylko my, czytelnicy *Opowiesci*, *Przy Deszterze* (zwłaszcza *Deszterka*), uwiadomili czterechspisymy spowiedzi, autorskich na sprony społeczne, wciągając w nie poprzez niekierkę żywe (choć budzące dyskusje obecności tzw. bryldach wyrazów w stylu mówienia i myślenia bohaterów), plastyczne językowo i werze naturalistyczne scene z życia, nie zwrociłyśmy wtedy należącej wyrazu na inną, podkolumną warstwę tych powieści, gdzie problematyka owych „impresji” (sennych, tendencyjnych i demagogicznych) była już obecna, choć w innym języku prozy zawarta.

Kto wie, jak poczołaby się dalsze piarskie lwo autora *Książę czasu*, gdyby nie tragedia choroby i przedwczesna śmierć spiera. Czy mimo zasadniczej istotności mylowej jego dotychczasowego dorobku wzbłądy byłoby tendencja realizacyjna czy też „impresyjna”? W oba tych technicznych uytich Tadeusz Siejak znaczące wiersz w polskiej prozie rezultaty. Wydaje się, że autor znajdował się w istotnej fazie wahań i wybora swego dłałali drogi piarskiej. Niech to zainicjuje słowa narratorka opowieści *Ta sama kłoda*, pisane, jak podaje autor, w szpitalu w Pile 2 kwietnia 1980, o godzinie 21.00. I nie mogę sam sobie uwierzyć, że kiedyś tak się wzrosłem nad ziemią, niedorzecznością zdawały mi się słowa takie jak „teraz”, „miał” lub „jam” albo na przykład — „jest” czy „było”, bo wszystko tam BYŁO naraz i wędziło, a czas nie przesłał dłałali obraca. Miałeż więc wiedzid, że posiadanie w głępkosci wiedzid, nie mogę przyjąć za swoje zdanie z przynależni i wiskolne.

Tadeusz Siejak, czas. Opowiesci. Spółka Wydawnictwa-Księgarska, Warszawa 1981, s. 170.

„ZBIÓR OTWARTY” MAGDALENY JANKOWSKIEJ

Poezja jako rozmowa

Wypowiedzi poetycka tym się różni od wypowiedzi naukowej czy filozoficznej, iż jej rozumienie wymaga zaangażowania nie tylko tego, kto czyta, lecz również (iże) uszu. Innymi słowami, jak niegdys zauważył Octavio Paz, aby zrozumieć wiersz, trzeba go przede wszystkim odczuć, uchwycić niepotworzalnie ton emocjonalny, który w nim dźwięczy. Jeśli wiersz nie porusza mnie emocjonalnie, to nie przynajm ma wysoki rangi poetycki, chociaż to nie znaczy, iż w ogóle kwestionuje jego przynależność do dziedzin poezji. Żeby wspanale odczerz wiersz, trzeba go najpierw uchwycić (nawet jeśli czytym go bezgłęboko); uchwycić mązkę słowa. Przy czym niekoniciecznie musi to być mązka melodyjna, harmonijna, równowadze dobra moła to być mązka konkretna, mązka zmusów, zryzy, dysharmonii. To właśnie nastawienie na mązkalność słowa i aury emocjonalną, którą wiersz z siebie emanuje, odróżnia wypowiedzi poetycka (nawet jeśli jest ona nasycona treściami intelektualnymi) od wypowiedzi dyskursywnej (nawet jeśli zabiega ona — jak np. w eszety filozoficznej — o dogłębny uwodol). Słowo dyskursywne stara się mniej przekonać przy pomocy argumentów intelektualnych; wychodzi od jakichs przesłań i posługuje się na zasadami logicznego myślenia, zmierza do jakichs konkretni. Kłódo mówicie: na konstrukcje linarna. Trafnie ujął to wspomniany wyżej meksykański poeta i krytyk: „W dyskursie jedno zdanie zapowiadanie; jest to leduczek z poczekaniem i kłowem. W wierszu pierwsze zdanie zawiera ostatnie, a ostatnie przywołuje pierwsze. Poezja jest naszym językiem ideowym przeciwko linarnemu czasowi — przeciw podziału ni przadzi”.

Co zatem żywie w wierszach Magdaleny Jankowskiej, jak je przetrzym emocjonalnie i jak je rozumieć? Odnajduję w tych wierszach tak aury emocjonalną, która towarzyszy jejże rozmowie, którą prowadzimy z kłim bliskim, z kłim, kogo rozumiemy w pół słowa. A kłimie: czujajcie i wiersz, przychylajcie się rozmowie, którą autorka prowadzi z sobą sama, a która przez fakt opublikowania tych wierszy, staje się rozmową z innymi, z nami. Sąduj je popłacie rozmowcy najpierw oddaje swesty klimat uszecznych tych wierszy. Zdobnie więc pokłwreze teni nie wdajcie się tutaj wklaczenie: ani „dlałóg” ani „dyktajnia”, ani „apór”, ani „wymazanie” itp. Jest to właśnie rozmowa —

spokojna, wyciszona (nawet jeśli dotyczy kwestii gorzkich), obywatelka się (tak, jak to bywa w zwykłej, bezprezjencyjnej rozmowie) bez fajerwerków retorycznych, bez pomysłowych (i tak medycznych) żartów, bez intertekstualnych, bez chęci zdiwadniaania nieortywnymi metaforami, bez zamiaru nawiązania jej. Chociaż trzeba przyznać, iż stała ma rozwiniętą świadomość języczna, zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że nie tylko mówimy przy pomocy języka, ale też niekiedy „jestemy prezen mówieni” (per. wiar. Rozwija).

Co jej przedmiotem tej rozmowy, wokół jakich „spraw ludzkich” się ona toczy? Są to głównie sprawy z kręgu naszej powszedniości: wygaszenie świeca i daremne próby jego odnowienia, przemianie czasu (i nas samych), monotonia (ale i pewien rodzaj) codzienności, marzenie o harmonizmyj ustroju się za światem (i z innym człowiekiem). Porozwija się w tych wierszach jakiś dom opieki społecznej, jakiś przyrządek komunikat telewizyjny, jakas refleksja, która podpowiada nachodzi autorkę w cytatach itp. Istotnym przedmiotem zainteresowania autorki i zarazem ważnym kryterium inspiracji poetyckiej są też sprawy wykraczające poza banalną codzienność — sprawy sztuki. O sztuce traktują takie wiersze jak *Przytula do Marcjona Cichy. Słuchając wywada z artysty. Przeglądając tomiki. Spokojnie autorka. Pisząc* mabyłże. *Obrazy Śwoczyńskiego*. Nawiasem mówiąc, ten ostatni, niezwykły lapidarny, dżentelmeński tylko awide doskonale koresponduje z azyetyczną, nierytmiczną plastycznością lichekiego artysty. Na szczególga uwagę w tej grupie utworów zasługują wiersze *Współwzrost*, ponieważ świadczy o tym, iż autorka nie ma bynajmniej skłonności do wypływu sztuki na bieg spraw tego świata, nie precencja roli sztuki w kulturze i w życiu społecznym, nie wierzy w to, że sztuka ma jakiś miedzy do spienienia, że jest w stanie kogokolwiek zbawić; dobrze — jeśli wierzy kogosi wzruszy, choć i w to poetka zdaje się wątpić.

Każdejakie rozum, również i to rozum, którą Magdalena Jankowska prowadzi z czytelnikiem, nie zmierza do żadnej z górz maszej kontroli, ma nieco kapryśny, nieuporządkowany, otwarty charakter (tak właśnie tłumacząc sobie tytuł zbioru, choć zdaje sobie sprawę, że mowiąc się tak nie interpretuje, np. wskazanie na otwarty charakter byta laddkiego w niektórych wierszach).

Można wobec tego zapytać, co daje nam taka nieokreślona rozmowa, czy dzięki niej coś zyskujemy (w sensie duchowym), czy też jest to tylko nierobowiązująca forma wymiana zdań, jakiś czarny prowadzący w postać dla zabicia czasu? Otóż przyduchując się temu, co w wierszach Magdaleny Jankowskiej, alawa miedzy sobą, pomagamy nie tylko świat dachowy poetki, ale też pogłębiamy samowiedzę, lepiej rozumiemy samych siebie. Rozmowa z Magdaleną Jankowską jest bowiem — ponad wszelką wątpliwosć — rozmowa poetycka; dzięki formie estetycznej (czasami bardzo skondensowanej) zyskujemy niecierpliwie dystans wobec przykrych dramatów, jakich nie szczędzi nam codzienne życie i możemy nad nimi chociaż częściowo zapanować. Przy poroach pełnej bezpardonowości nie jest to wcalekto pocieszona, chociaż niekiedy pobrzemiewa w niej ten wyznania (bardzo jednak dyskretnego, tak jak dyskretna jest sama autorka w swych kontaktach z innymi). Dlatego też odczytanie zawartego w niej tekstu (cołowo nie używam tutaj wyrazu „perennialnie”, bowiem to głównieśto słowo nie jest tutaj na miejscu) wymaga od czytelników wysiłku, który jednak znakomicie się opłaca.

Tadeusz Sokolot

Ból bycia kobietą

To zdaje się św. Hieronim miał powieścić, by w zakonach żeńskich uczyniono wszystko, by młode miaraki nigdy nie dowiedziały się, że istnieje druga pleć. A już grzechem wielkim było, gdy dziewczyna zoboczyła na własny oczy, to co uchodzi za strzybną modę. Bawem najprzemijniejsi miedzy wpływami dmi w świecie aniołów, które, jak uczyli teologowie, nie mają płci. Najbardziejoby były wiec żyć w świecie ludzi, gdzieś za wysokim murem, w chryście chłostanych wież, w zapachu królowej, w otoczeniu androgynicznych chrystusów, w bezczynie...

Nie wiem, czy o takim życiu myśla kiedyś. Nie wiem, czy wlozył popasane popiołami są pięknie. Nie wiem, czy można podzielić świat na „przezierną zamkniętą otwartą”. Wiem jednak, że żyjemy w świecie kultury — nade wszystko — katolickiej. I to ma oltarzynie znaczenie.

I kiedy poetka Magdalena Jankowska pisze w wierszu „wypowiadają się chęć zmojej ulomności / z rozadku / co nabija wiat / nadzieję” — to wiem, że jest to autorka o promienności katolickiej. I jak tu nie wierzyć św. Tomaszowi z Akwinu, który o ulomności kobiet pisał z rozbudzająco współczesnego kryterium szczerotki i prostoty, która niewątpliwie przystoi każdemu świętemu.

Poezia Jankowskiej, na szczepie, jawi się nam w rozciągłej ludzkiej postaci. Autorka ma prawo do wątpienia, również — co wydaje mi się bezczynie — w własny rozsydek. Bo — żartując — chcąc nie chcąc stała się ofiara „asowizacji” postępi mekliczki świat”, że porzuciła sobie na słownictwo, które przystoi amerykańskim feministkom. Jankowska nie jest feministką. (Gdzież ich u nas szukać? Jankowska nie pozwala sobie na zabawy z Panem Bogiem, jak Edda Ostrowska (padam przed Tobą, Edo, na kolana), Jankowska uważa „nieścis od kobiecej powolności”. Ale dokąd i po co?

Oczywiście, *Autorka to doświ* wystarczająco ma życie, by wiadomości, że każdy wybiorc jest ży. Wie to doskonale, że banal tworzywca kademu twórcy, że wybwo on na kształt wiersza. Unikanie banału jest nieporozumieniem. Ci, którzy usiłują to crynić, godni są modłity. Ale Jankowska nie bardzo potrafi pogodzić się z faktem, że można być człowiekiem „bez tej słynnej drażnej polowy”. I w tym właśnie jest autorką tak bardzo katolicką. Nie chce powieścić, że jest bunt, że bunt jest buntiem gospodyni domowej, lecz chce powieścić, że jej bunt naczynymy ma być, by wiadomości, że każdy wybiorc jest ży. Wie to doskonale, że jeżeli jej codzienne życie jest katastrofą, to jest to katastrofa, której skutki natychmiast są „sprzątnięte”, z inteligencją dokładnością wyszczególnic jak „zefirowymak” w sublokatorskim mieszkaniu. Nie chce bagatelizować tego osobnego doświadczenia. Chce tylko zwrócić uwagę, że ono ma określone miejsce w hierarchii wartości. W wierszu pt. *Jak żyć piszę: Z coraz większymi reparami w podłozie / kiedy od las jut „mamy wibracje zmości” / z dzieją po gwałtownie tak dawno wyjętym / z utrapionym uślokiem cieniem filitanki / co też zmykała najdłuższą obywateli / Czy z wszystkim zrobili / bardziej na ubywa?*

I my zawsze odpowiadamy: istotnie, ubywa nas. Ale ja mam poważnie wątpliwosć, czy to jest konstatacja filozoficzna, czy tylko kobiecy żal.

I na koniec powołam kobiety postać to prowokacyjnie języcznej. Czy współczesne, inteligentne, wykształcone kobiety muszą się zachowywać tak, jakby nie posiadały własnych życiowosć?

Marek Daniłowicz

Magdalena Jankowska, *Zbir swery*. Wydawnictwo Lubelskie Nowe, Lublin 1984, s. 38.

JÓZEF PEST

PRAWDA-LI TO CZY SEN? (nad wierszami S. Noeji)

W bogaty nasz poetycki krajobraz ostatnich latci bardzo wyraźnie wpisują się Poezi-księcia (a może ta etykieta lepiej zabrzmi w wyrażeniu: „księcia-poeci”?); Nie mówię już o ka. Janie Twardowskim, od lat niezmiernie miaromskibymy najczym nad przepływami i odbywanymi lirycznymi wotami zarówno w pobliżu w kapłańskich konsekrowanym, jak i tych powoływanych „poza la nature de nos souffrances et de la verve poetique” — jak to wyrażał przed 140 laty pewien nasz Tudyty Poezia, do nierytmicznego kapłaństwa w słowie.

Czy to jakiś fenomen nasz krajowy? Myślę, że zupełnie normalność, bo od niepamiętnych czasów pióro wyraźnie czerpią się utamny i dopiero wiek dzierwiemy trojęk „niequa” w tej dobrej tradycji (wyobraźmy sobie zresztą natchnionego romantyka w rewerendzie, ale nie księdza Robaka, nie romantyka-czyna, bo takich

było u nas niemożliwe, ap. prawie wszyscy ogólnie-zakładowie zmierzających, lecz poeci w znaczeniu literatym... ah, sp. w życiu Mickiewicza była chwila, w której o mało nie porwało go kapłanstwo i to bodaj w czasie gdy jeszcze miał przed sobą największe swoje dzieło poetyczne...! Dni jednak odwieczny uczył się i w swach mił obfity powiód duchownych do odwiecznej tradycji literackich zatrudniał.

W tym przelicywie współczesnych rymów-duchownych zauważa się stosunkowo słabą obecność habituśwotnych. W przeciwieństwie do świetnej ligi naukowych artystycznie pan (a przeciw światu nich możemy spotkać naszych poetów najszybciej przeżył), zakonie widome są niepoproczalności skromnej, może to obawa druku, może jakieś inne zahamowania przed publicznym objawianiem darów literackich, niewątpliwie obcych w Nochi ze społeczeństwa świątków.

Lecz oto zjawia nam się poeta, siostka Nocha z Zgromadzenia Świątki Najświętszej Księżki z Nazaretu (w skrócie — nazaretka). Jej domowe imię to Monika Wójciszka (rokmi 1946).

Książka poetyczna s. Noeli — światło wylany przez krakowskich pijarów tom — *Tańczący promień* to debiut (czywiście, nie licząc rozproszonych publikacji czasopiśmiennych). I od razu debiut zauważalny, niebłahy artystycznie, obcasujący wiele na przyszłość. Warto śledzić rozwój talentu siostki-poety. W tym przekazaniu ucieca mnie autor polskowi do *Tańczącego promienia* — sam Czesław Zgorzecki — który nie posiadał debiutante (i nam, jej czytelnikom) nie tylko swego wybitnego zaawanta, ale i daru wzmocnić świeżą wrażliwość na poetyckie piękno. W ten nasz refleksyjny chciałbym sam skierować myśl o wierszach s. Noeli, ale mam ochotę zastąpić przedtem fragment wypowiedzi Profera:

Poezja s. Noeli nie wymaga dodatkowych uwag. Zawierają wszystko, co trzeba. Są jasne, przejrzyste i w czytelnicy percepcji rozwijają się klarownie. Skoncentrowane wewnętrznie, ostre w słowach, opiera się na wyważeniu w zdaniach skrótowych, czystym wzniosłym, naturalnie jedynowocznym. Wyrzucane są przez składowanych, obłąkanych lub metafizycznych przelotów. (s. 67).

Rzeczywiście, uderza tu niewyjąkliwość czystości poetyckiego doświadczenia. I nie chodzi o to, że autorka chodzi tylko subtelny świat liryczny przed intensywną obecnością codzienności, przed tym wszystkim, co może zakłócić, zbyć się powidzieć — zakłada czyste światło jej wyzwy. Odnosi to. Wokół owego „tańczącego promienia” obraca się — dąży w pryncypalnym — kądzielogod narzech „historycznych” i „prawytkich” doświadczeń: spokiś badnie, nawiedzone miasta i meśca, perelowe światła i przedświata (to cóż, w poezji nie ma dny nie wświatych albo... nie ma poezji)... Oto dźwięczy obraz *Panien nujących* w wierszu dodatkowym jednastu siostrom zamkniętym przed laty:

*w grób smony
palnoidalnie historia
wzrosty z jasnoci
w oczach
nowogródzkie panny
mądrę
jasienną owce
peraninowych głębi
w Ogródku ogrodach
nad nimi
różki Aniol
zrywający płomieni
za płomieniem*

Czym więc jest poezja? Zapisem pamięci... zapisem wrażeń... projekcją pragnień... utratianiem wyobrażeń... smakowaniem słowa... Wyrzkiem tym i czyni jeszcze. Jak mówić. Tyle ma „definicji”, się wcieli!

*niewybitny i rzeczywisty
w zabliwionym dniu
jak oscylacja
prawdy i smu
tańczący promień*

— definiuje nie do końca definiując młodą poetkę w swym programowym poemacie pt. *Poezja*. Ten listę poetycki pseudonim poezji precyzyjne trzeci i zarazem ją rozprasa, realizujące i zaciemnia, oddaje istotę i oddala od niej — jest dynamicznym, paradoksalnym (poetka lubi te odnośby paradoksalnego rozumowania, jak lubią ją — wszystkie dzieci k. Tuwardowskiego), ewoluującym nadawaniem imienia, a więc — poetycko rzecz mówić — stwarzaniem, kreacją. Owzem, światło poetycki wrażliwość i obrazowy bystactw jej duchowej energii tworzący — ów promień tańczący potęgiśień pamięci, codzienności i projekcji przyszłościowych — to tylko jakby reflektor wykonyjący rzeczy kwiatów w sroku i jakoby oczekujące na dostrzeżenie, ale przecież tak naprawdę to poetyckie spojrzenie wywołuje na jaw i przywołuje w bycie to wszystko, czego śladu przedtem nie było i czego śladu poza tym jednorazowym byciem nie będzie... Cóż, że — przypłydkowe (przypadłościowe), skoro prawdziwe?!

o Nola [Monika Wójciszka], *Tańczący promień*, Wydawnictwo Zakona Piękn. Kraków 99, s. 74.

TADEUSZ SZKOLUT

NOWOCZESNOŚĆ I AMBIWALENCJA

Książka Zygmunta Baumana niewiele czytelników pozostawiają objętymi i wzbudzają różniczne spory. Tak było z *Nowoczesnością i zagładą* (Biblioteka Kwartałnia Masada, Warszawa 1992), w której ztotalizowana postawiana nad kontrowersyjna teza, iż barbarzyństwo byłoby niemożliwe poza kontekstem nowocześnie cywilizacji europejskiej, wywołując się z Ostrowskimi i szczerząc się wosze racjonalizm, swymi osiągnięciami naukowo-technicznymi i postępkami w dziedzinie inżynierii społecznej. Tak było również z *Demou zżiwianiu o moralności nowoczesności* (Instytut Kultury, Warszawa 1994), w której autor (rozwijając pewne wątki obecne już w poprzedniej książce) nadzwyczaj sugestywnie dowodzi, iż upadek kodeksów etycznych, kontrolowanych przez myślicieli nowoczesnych opianowanych ładów prawodawstwa, tj. odrzynania i racjonalnego uwasadniania uniwersalnych reguł postępowania obowiązujących każdego członka społeczeństwa, nie jest bynajmniej końcem moralności. Wzręcz przeciwnie, dopiero moralność wyodrębiona z więzów systemowej kodyfikacji, uwolniona od kasztywnych „przepisów” etycznych może znaleźć pełnym blaskiem, bowiem aktywizuje się wewnętrznie odpowiedzialność moralnej jednostki (stad tytuł jednego ze szkiców: *Moralność bez etyki*). Jak z tego wynika, Z. Bauman zakłada, że można istnieć jakiejś przedpołecznej źródła moralności, co sprawia, iż w pewnych dramatycznych sytuacjach (jakich tak wiele zdarzało się w czasach ludobójstwa hitlerowskiego) zachowanie moralne wymaga od jednostki przeciwstawienia się autorytetom społecznym i zaufania raczej swemu instynktowi moralnemu niż prawom etycznym, mającym rzekomo za sobą sankcję rozumu.

Zadziorności myślenia, zdolność formułowania zaskakujących hipotez i wniosków, umiędliwione ujęcie porażki nie opuszczają Z. Baumana także w najnowszej książce, której angielski tytuł brzmi: *Modernity and Ambivalence* (1991). Jej bohaterem jest obcy — obcy poddany ciśnieniu nowoczesności, wywołany na działanie jej upędnicających się zrazem wydany na pastwę ambiwalencji. Ambivalentny jest bowiem stan psychiczny obcego, który szczególnie pragnie się asymlować, nawet kosztem utraty swej tożsamości etnicznej i kulturalnej. Ambiwalentny jest także sama nowoczesność, która obejmując dąży do zaprowadzenia powszechnego ładu, do racjonalizacji wszystkich dziedzin życia, faktycznie powiększa tuż obzar chaosu, niepewności, nieokreśloności i niesprzewidywalności. To właśnie Z. Bauman nazwa „paradoksem nowoczesności”: aktywne porządkująca na sprząk samą nowoczesnośći pomada jedynie zaobry wieloznaczności (s. 29-30).

Autor nie ukrywa wale, że nie lubi nowoczesności; że szczególnie niechęcią odnosi się przy tym do nowoczesnego państwa narodowego, które określa mianem „państwa ogrodniczego”. Państwo nowoczesne kieruje się poczuciem miły, zmierzając do przekształcenia całego społeczeństwa w ogród, szczegółowo zaprojektowany przez

stały się adresem każdego z jego drapieżnych mieszkańców. Przygodnie i ambivalentnie, które w sposób nowoczesny były iżem obcych, tzn. – w czasach powojennych – stały się nieodłącznym składnikiem egzystencji ludzkiej. Czyżby więc powojennociście zlikwidowała wreszcie problem obcości? poprzez podniesienie obcości do rangi powszechnej krytyki ludzkiej? Czyżby w radykalnie spaliżowanym świecie różnorodność stała się „norma”, a tolerancja zajęła miejsce niedowidnych praktyk nawracania i znieślania wszelkich innych?

Czym jest nowa powojennociść, z którą Z. Bauman odaje się wżegzać tak dalek idącemu? Najbliższą definicją brzmiałoby: *Powojennociść to nowoczesność, która pogodziła się z tym, że jej pierwszym projektem jest niewyokonywanie* (s. 138). Innymi słowy, powojennociść to nowoczesność dojrzała, pozbawiona swych złudzeń, nowoczesność samokrytyczna, sceptyczna i trzeźwa, z dystansem dokonująca bilansu między i strat (por. s. 314). Nie znaczy to wcale, że powojennociść jest antynowoczesność. Wręcz przeciwnie, wiele zjawisk w kulturze i w życiu społecznym charakterystycznych dla epoki modernistycznej ciągle się utrzymuje (por. np. rozdz. 5. *Wolność, nowoczesność i konsumpcja*, pokazujący że typowo nowoczesny problem, jakim jest konieczność indywidualnego badania przez człowieka własnej tożsamości nadal wciąż rozwiązywany przy pomocy nowoczesnych praktyk „eksperymentu”, a „nowoczesna żądza uniformności i pewności” nie przestaje kierować zachowaniami ludzi). Powojennociść – tak jak ją widzi Z. Bauman – stanowi kolejną fazę (etap) rozwoju formacji modernistycznej. Jest to jednak (i na tym m.in. polega jej swoistość) stanowiąca z Łodzi wobec innych analizy (koncepcji) postmodernizmu) stadium odrębne, forma życia zdalna do samodzielnego istnienia. Powojennociść posiada własną infrastrukturę społeczno-ekonomiczną oraz własną – odpowiadającą ewolucji infrastruktury – postać kultury.

Najdotlejsza zmiana w sferze infrastruktury polega na tym, iż czynnikiem organizującym życie społeczne nie jest już produkcja przemysłowa i scentralizowane państwo utrzymujące dyscyplinę wśród obywateli, lecz rynek i napędzana przez konsumpcję wytworzonych dóbr (czy jednak można to sprawy oddzielić? żeby konsumować, trzeba produkować, żeby konsumować więcej, trzeba jeszcze więcej produkować! – T. Sz.). Powojennociść patfawo nie musi już podlegać się nadzorem i przymusom, zamiast sterowania i kontrolowania stosuje „awolucję” przez konsumpcję. Patriotyzm nieświeżo obowiązkowo lojalnego obywatela stał się nieaktualne nabywanie towarów i usług. Oczywiście, Z. Bauman przyznaje, że z owej wspólnoty społecznej, nawet w najbogatszych krajach, wyłączone są liczne grupy ludzi społecznie ekonomicznie, z góry przepierzanych w ogólnym wyroku o udanie życia pod asypicjami postmoderny (leż i oni – twierdzi dalej – pozostają w władzy wybranych o szczęśliu jako nieustannym konsumowaniami).

Gruntowne przeobrażenia dotknęły również dziedzinę kultury duchowej w epoce powojennociści. Kultura uwolniona od obowiązków orientowania wspólnoty narodowej od pełnienia funkcji spójnika życia społecznego, uzyskała niebezpieczną dystalę wolność. Jest to jednak wolność poezka, bowiem towarzyszy jej świadomość bezsilności, utraty dawnej powagi. Stała ten Z. Bauman określa jako „nową nieważkość kultury” (s. 317). Naczelne wartości kultury powojennociści (wolność, różnorodność i tolerancja) zawierają w sobie pokazywały potencjał emancypacyjny, niósł nadzieję na uwolnienie dyskryminowanych dotychczas grup ludzi od stygmatu obcości, na rozważenie kreatywnych alternacji jednostki, niepogiętych swobodnie kształtowaniu swego stylu życia, obywateli owej Z. Bauman przestrzega jednak przed łatwym optymizmem. Wprawdzie kultury powojennociści „uwielbiają” praktykę krajów ideologicznych i przymusowej asymilacji, lecz jednocześnie zawiera w sobie liczne antynomie, brzeszenie nowych zagrożeń.

Na każdej z trzech wymiennych przez Z. Baumana wartości, twórczych etosów kultury powojennociści, wyskika pew piętno wszechobcy. Powojność to, iż wyszukanie one mogą ulec degeneracji. Wolność może przybrać kałękość wolności realizującej się wyłącznie w sferze konsumpcji („wolność spożywczej”). Leż nawet tak okrojona wolność – dodaje Z. Bauman – pozostaje nadal przywilejem, nie dla wszystkich jest dostępna. Różnorodność może zostać sprowadzona jedynie do zróżnicowania w ramach oferowanych przez rynek modeli konsumpcji (paradoks reklamy obiecującej stworzenie jednostki oryginalnej „dośkonalszej” poprzez zakup standardowych produktów). Tolerancja w powojennociści wężej nie może być łądo wziętami solidarności, że prowadzi do ich wzajemnej izolacji, naczekawości obojnost-

cia, lekceważenia, a nawet pogardu. Co najwazniejsze – nie popada taka tolerancja w konflikt z ustalona hierarchia zwierzchnictwa i podporządkowania [...] i teni, którzy się przedkiosom tolerancji, tracą prawo do równości przez sam fakt bycia tolerowanymi; tolerancja uwielbia okrojony drogę odmian tolerowanych. Wyrzucenie się intencji do nawracania idzie w parze z wycofaniem obywateli różności (s. 318).

Staną powojennociści jest, według Z. Baumana, jedynie tolerancja w swej wężej postaci – tolerancja jako solidarność, i taka postawa wobec innych, która organizację łączy się z szacunkiem: *Trzeba uznać, że w innych ich intencjach, a w obcyj jego w obcyj prefer odwołanie się do siebie, jestymu do siebie podobni, i że nie mogą czuć szacunku do własnej odobędności, jeśli wpyrnie nie uznają odobędności jako takiej (...* *Prawo innego człowieka do jego odobędności jest jednym sposobem, w jaki moje własne prawo może się wyrazić; okropność i skłębienie brzoń przed pogwałceniem. To i praw intencji składa się własne moje prawo (s. 266-267).*

Trudno jednoznacznie zakwalifikować książkę Z. Baumana do określonej dyscypliny wiedzy humanistycznej. Jest to studium, które w fascynujący sposób łączy podejście socjologiczne z kulturologicznym, filozoficzno-filozoficznym i etycznym. A wszystko to nosi na sobie znamie znakomitego stylu literackiego. Nie bez znaczenia dla całościowej oceny pracy jest także jej przełomowe miejsce. Z. Bauman jest bowiem nie tylko świetnym analitykiem kultury powojennociści, lecz z dużą jej bioną czynowych wartości – wolności, różnorodności i tolerancji – nie zamykając przy tym oczu na możliwości ich deformacji pod wpływem rynku. Otrzymałmy zatem książkę, która z pewnością dostarczy nowych impulsów wyczerpany, w jakim naszym kraju debacie postmodernistycznej.

Omnawiana publikacja ma również pewne braki. Powodem niedożyty jest np. niedostateczne odwołanie roli religii w powojennociści, a zwłaszcza roli chrześcijaństwa. Reakcja jednostki na powojennociść przygodnie była i ambivalentnie, na kłopoty związane z koniecznością samodzielnego badania tożsamości i w świecie porzucanym centrum aksjologicznym i niepowalczalnym autorytetów (w świecie porzucanym centrum aksjologicznym w spornizacji twórczym i siertwalych wspólnotach symbolicznych (por. fragment traktujący o „żwiaku trze... „nowoplemiennictwie”, s. 287-287). Czy jednak ludzie gotowi wyczerić się trudnej wolności w imię bezpoczucia duchowego nie sięgają znacznie częściej ku bardziej sprawdzonym strategiom przed-nowoczesnymi? Czy niewątpliwie nawrót fundamentalizmu religijnego w różnych krajach świata nie jest świadectwem narastającej tęsknoty za przyrzecznością i zakorzenieniem? Czy zmierzwić nie musimy już bać się odrodzenia szowinizmu, rasizmu i ksenofobii?

Zgłoszono: Bauman, Zdzisław; Nowoczesność, różnorodność i tolerancja. Prof. Janina Borkowa, Przekład z angielskiego: J. Borkowa; Wydawnictwo: Naukowe PWN, Warszawa 1991, s. 333.

HALINA KAROT

LUBELSKA FORMUŁA SPORU O PRAWDE

Pykaje prawdy jest centralnym pojęciem filozoficznym. Jednak polska literatura dotycząca problematyki prawdy nie przedstawiła się imponująco pod względem ilościowym. Do niedawna można było mówić zaledwie o kilku pozycjach monograficznych (książki B. Chwedeckiej, *Społ o natury prawdy*, Warszawa 1984, Z. Cackowego *Prawa i postulatyzm*, Biblioteczka „Rzecz Humana”, Warszawa – Lublin 1994, *Forma spójnika Jura Prawa II*), Wybitny pozostawca prawdy o prawdzie mógł znaleźć pewne ilości artykułów specjalizacyjnych czy informację zawarte w podręcznikach filozoficznych. Jednakże o wyrobieniu sobie własnego poglądu przez myśl wytwórczego czytelnika na historię i stan aktualny sporu o prawdę nie mogło być mowy. Dobrze więc się stało, że lubelscy filozofowie przeprowadzili dwuosobową debatę filozoficzną w grudniu 1992 roku, w Kazimierza nad Wisłą, na temat aktualności sporu o prawdę, a referaty wówczas wygłoszone złożyły się na tom *Prawdy o prawdzie* przygotowany do druku przez Józefa Dobrowolskiego, zaś Oddział Lubelski Politechniki

Towarzystwa Filozoficznego wiodącym zainteresowaniem odbiorcy pion debaty w formie książkowej, chociaż z takim opóźnieniem. W Białym do ręki czwartą już wydrukowaną książkę Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Filozoficznego nie przychodzi nam nawet do miłby pytanie, czy jest to rzecz stworzona według reguł piarstwa naukowego czy to wydobycie esencje na dany temat. Rezonem pomyślowadwy każę nam spodziewać się powalnych rozstrzygnięć aktualnych pytań o prawdę. Dostrzegana w trakcie wykazu obecność esystry prowadzi do wniosku, że prawda uobecnia się nie tylko w hermetycznych rozprawach filozoficznych.

Książka *Prawdy o prawdzie* zawiera krótkie wprowadzenie, dwa bloki tematyczne oraz aneks, w którym znajdują się dwa przekłady tekstan o treści ściśle związanej z zagadnieniem konferencji, a nawet zakreślający obręb refleksji nad prawdą (fidal odwołania). *Oczywistość i prawda* E. Husserla w tłumaczeniu J. Dębowski oraz *Prawda i werydykacja* w prawie E. Landowskiego w tłumaczeniu T. Strzelińskiego. Wprowadzenie do podziału na dwa bloki tematyczne, aby sprościć sobie recepcję zadane, bowiem w samej książce ich nie ma. Poprzedza je wprowadzenie J. Dębowski określające kontekst rozważań o prawdzie (a właściwie wiedzy i różnorodność kontekstów i obszarów występowania oraz doświadczenia prawdy), zapowiedź interdyscyplinarnego jej ujmowania, a także różnego stosunku do niej (od fundamentalistowskiego po sceptyczny i dekonstruktywistyczny).

Formuła interdyscyplinarnego podjęcia do problemu prawdy, odejście od jednego tylko kontekstu, ontologiczno-metatezyjnego sensu prawdy, jak wykazuje i godnym uwagi stanowiskiem lubelskich filozofów. Porwała ona na rehabilitację tych rejonów kultury, które były wyznaczane dotychczas dla zapomnianych aktywności ludzkiej (religijnej, etycznej, politycznej), mającej niewiele wspólnego z prawdą filozofii i nauki. Nie chodzi więc tylko o prawdę w znaczeniu prawnego sądu logicznego, lecz o bardzo szerokie (antyczne) rozumienie prawdy jako jasności. W pierwszym bloku tematycznym, narzucającym tutaj blokiem ontologiczno-metatezyjnym, mamy do czynienia z znakomitą próbą metafizycznej analizy prawdy w metafizyce, przedstawioną przez J. Jankę, przy czym — jak zastrzega autor — nie chodzi tutaj o prawdę określonego systemu metafizycznego. Jeśli czytelnik przystąpi do czytania ze stanowiska sceptycznego i niechętnego metafizyce, przyjmując ją jako „jakieś poznanie” prowadzące do dogmatów, z pewnością poczuje się skłonnością argumentacji autora, który dowodzi, że negacja metafizyki ma irracjonalne źródła (dostrzegane już u Hume'a i neoperystytwizmu). Autor nie poprzestaje na tym określeniu, lecz usiłuje narwać te źródła: jednym z nich jest wstąpiogłowa obrata przed radykalną „innocencją”, przed nieprzystawalnością do dominującego wzorca racjonalności.

J. Jankę z satysfakcją konstatację, że obecnie, od ponad trzydziestu lat, staje się dostrzegany awolacja rozumienia metafizyki, wyrażający się w próbach grewania jej w formie klasycznej (np. ontologia Leibniza łączona ze współczesną logiką, czy też metafizyka naukowa oparta na współczesnych naukach przyrodniczych). Z pewnością może pojawić się u czytelnika przekonanie, że owóstr do metafizyki wynika z irracjonalności i zetaimologii i uporu. Autor rozwiewa je na dwa sposoby: po pierwsze — twierdząc — upór towarzyszący nastawieniu metafizyki ma miejsce racjonalny, jest nim ograniczona potrzeba rozumia, którą może zaspokoić tylko sam rozum; po drugie — fakt twórczości w wprzechności werydykcyjnej i krytycznej przynajmniej innych, o jednoczesnym wydykciu, argumentem przez trykację metafizyki w przesłuch (nawet przez Marksa, który przyjął prawa historyczną gwarantującą stały postęp) dowodzi ciągłej obecności i potrzeby myślenia metafizycznego. Autor ocenia jako blemensetę zarówno próby eliminacji metafizyki, jak i wysiłki mające na celu skonstruowanie jednej, wspólnej werydykcyjnej epoki w kulturze „filozofii pierwszej”. Okazuje się, że nowe myślenie metafizyczne nie musi być całkowicie neutralne od doświadczenia i bezzałożeniowe, może generować metafizyki quasi-empiryczno-empiryczne, o naturze historycznej.

W tej interesującej obronie metafizyki niezbyt wprawiony czytelnik mógł się po trosz, nie wie bowiem, czy ma oczekiwać prawdy od metafizyki, czy była to raczej prawda metafizyczna?

W tym samym bloku tematycznym J. Dębowski podejmuje próby rozważań o krytycyzmu logicznym i aksjologicznym neutralnym sensie prawdy, ponijając wszędzie konteksty

pozapoznawcze, wszakże próby uobóstwienia prawdy czy też agregacji wobec niej. Niebawem trafna i posiadająca najwięcej wartości jest według mnie klasyczna koncepcja prawdy. Jest najmniej swiata, w jakikolwiek zakresie metafizycznym, antropologicznym i epistemologicznym, jest uniwersalna (używał jej i św. Tomasz, i Lenin). Jednakże, jak twierdzi J. Dębowski, jej intencją jako sądy wiedzy polterzy byłoby niemożliwe, gdy nie było poprzedzenie wiedzą bezpodmienną (racjonalnością sprzeżeniową). Wiedza bezpodmienna — jak moc podkrela autor — jest warunkiem jakiegokolwiek teorji poznania, chociaż często nie dostrzegamy i lekceważymy przez filozofów.

Blok aksjologiczny, według narzuconej przez recenzenta terminologii, zajmuje ponad połowę książki. Wydaje się, że owa propozycja jest uzasadniona formułą sporu o prawdę, przegranie rehabilitacji zaniedbanych rejonów kultury. Czytelnik aksjologicznowy kłopotami wiążącymi się z określeniem prawdy w kontekście czysto poznawczym ma nadzieję, że odnajdzie prawdę w etyce. Etyka od samego początku jest powiązana z prawdą, a nie z wartościami moralnymi. XX wiek zadania to wydaje się o wiele łatwiejsze, bowiem dymisjonuje już złożoną wartościową metodologię, porwałając na weryfikację specyficznego języka sądów metafizycznych. Jednakże, jak wykazuje E. Klimowicz, tradycyjnej, klasycznej koncepcji prawdy zakładającej stosunek zgodności między sądem o prawdziwości a samym przedmiotem w etyce nie ma. Umawianie jej obecności wiedzy jest nieuchronnie z przyjęciem stanowiska intaksjologicznego lub naturalistycznego. Autorka szukała namka przed namną wzięw moralnego nihilizmu analizie aksjologicznej rozumienia i artykułację prawdy. Okazuje się, że ani koncepcja prawdy jako zgody powszechnej, ani koncepcja prawdy koherencyjnej, ani koncepcja pragmatyczna, przyjmująca za kryterium użyteczność, nie spełniają pokładanych w nich nadziei i nie są wolne od kontrowersji. Czy mamy więc pogodzić się z wzięw etyki bez prawdy? E. Klimowicz nie poprzestaje na konstatacji kryzysu prawdy w etyce, który jest kryzysem samej etyki. Proponuje „odnaśnienie” etyki i rezygnację z poszukiwań prawdy. Idąc śladem empytywistów ugrębie, jej pojmuje etyką jako wiedzę w dątej mierze praktyczną, rostrawiając nieustraszenie na gruncie etyki teoretycznej spory metody konsensu. Owa metoda jest jedynym ratunkiem społeczeństwu demokratycznym wobec niebezpieczeństwa moralnego nihilizmu i nisiety, bardzo trudnym, bowiem wymaga postawy otwarcia na popęły przeciwnika.

Czytelnikowi ta propozycja może wydać się ciekawa, jednakże jako teoretyczny postulat, bowiem uśledzenie swojego życia i życia grup społecznych od chwipnego konsensu (podanego na manipulację) w sferze wartości nie nastąpi optymistycznie. Nie poddając się zmiechnięciu konsensu wraz z T. Pękalą prawdy w sytuacji. Okazuje się, że można pytać nie tylko o obecność prawdy w sytuacji, ale też o prawdę sytuacji. Według autorki o prawdę w sytuacji decyduje nie pewien sposób odwołania świata rzeczywistego czy odwołanie samego życia lub bytu, bo w ten sposób sytuacja niewiele różni się od innych wytworów kultury, lecz obecność piękna. O wyjątkowej roli sytuacji świadczy także sam akt kreacji artystycznej, zmieniający — wedle koncepcji romantycznej — strukturę bytu, od nowa porządkujący hierarchie wartości. O charakterze wartości rozstrzyga nie poznanie, lecz akt preferencji, wyprzedzając czynność rozpoznania wartości. Za sprawą owych preferencyjnych aktów preferencji sztuka jest czynem innym niż poznanie. Mały wyrywiony cytatek nie znajduje precyzyjnej odpowiedzi na pytanie o prawdę sytuacji. Masi zadziwienie się empytywistom w stwierdzeniu autorki, że prawda, o ile istnieje, mieści się gdzieś między filozoficznym życiem i autentyzmnością sztuki.

J. Mizńska natomiast podnosi problem prawdy o naturze ludzkiej, o wartości człowieka. Konstatację blasku metafizycznych antropologii i humanistycznych utopii zakładających dobrą naturę ludzką, strażd złudzeń o jej rozumności po tragedii Oskajdyma i holocautu. Inspiruje ją „między powieści”, która potrafi włożyć poza szkielet antropologii i polityki w naturalne obszary doświadczenia i doświadczenia, jakich by jednoczesnym wartościowania, ograniczając się do rozumiejącej empatii. Drugim walorem literatury, który autorka mocno akcentuje, jest możliwość przedstawiania prawdy subiektywnej, prawdy o „ludzkim sensie” w sytuacji, gdy prawda obiektywna o człowieku w ogóle jest niewyrażalna. Analizę przykładów literatury dojrzałej, będącej mądrością człowieka dorosłego (m.in. *Do Kłochów Cervantesa*), które są interesujące same w sobie, skłoniła J. Mizńska do wyłączenia trzech indywidualności powieści, składających się na jedną prawdę (opisywanie ludzkiej indywidualności

ności, która zarazem odłania nieprawdę filozofii. Autorka skazuje antyintencjonalizm literatury i filozofii, oscyluje między nimi – a zestawia precyzyjnie jest jej metodą opisywania problemu – decyduje się w końcu na wybór jednego z celów dyktanda, a mianowicie literatury.

Po tej konstruktywnej wiaży prawdy o człowieku, oferowanej przez szczególny rodzaj literatury, czytelnik zechce zapewne poznać prawdę o człowieku w polityce. A. Wierzbicki zwraca uwagę czytelnika na odwieczny konflikt pomiędzy moralnością, rozumianą jako czynienie prawdy oświeconej przez sumienia, a polityką zajmującą się stwarzaniem prawdy. Twierdzi, że zrozumienie sensu tego konfliktu da nam klucza do zrozumienia kultury europejskiej, bowiem oczekiwania, że filozof i polityk pójdą kiedykolwiek w parze jest strasną chybą. Stawia ważne pytanie, czyja prawda powinna być pierwszostwa, czy prawda polityczna, dla której filozof szuka racji, czy odwrotnie? Negatywnie wypowiada się o liberalistycznej koncepcji umowy społecznej, czyli konsensusu, na pomocy której wspólnota nie tylko kompromisuje swój bóg, ale też stanowi prawdę o człowieku. Owa konsensualna prawda o człowieku traktuje więc prawdę w sensie klasycznym, odrzuca podporządkowanie istnienia wartości, staje się wolnością wyboru, z konieczności otwartą na różne wypraczenia (nadał realnej groźby totalitaryzmu). Konsensus wzdłuż niego jest dopuszczalnym tyko widzą, gdy staje się spokojnym w prawdzie rozpoznaniu i odkrytym (a nie w celu stworzenia prawdy) różnym podmiotów osobowych. Autor opowiada się za mądrościowym typem uprawiania polityki, za pierwszostwami prawdy filozofa oświeconego blaskiem prawdy i podporządkowaniem się doświadczeniom historycznym, które traktuje jako lekcję natury ludzkiej (Gandhi, federalizm amerykański). Wartości tradycji jest więc dla A. Wierzbickiego ratunkiem wobec zagrożenia ze strony relatywizmu aksjologicznego. Chyba dobrze się stało, że pojawił się w tej dyskusji tak odmienny głos, pozwalający dotrzeć zalety (lub ich brak) stanowisk przeciwnych, podających za duchem czasu.

Blisk aksjologiczny zamysł autorstwa opisy prawdy w kontekście wartości przedstawił przez T. Sokolata. Autor wychoił od obwegowego przekonania, że prawda i wartość są wartościami wzajemnie się uzupełniającymi i stwierdza, iż jest ono prawomocne jedynie w przypadku prawdy naukowej. Kiedy wiernymi pod uwagę prawdę aksjologiczną (prawda zabsolutyzowana prawde religijną czy narodową) okazuje się, że „wartość autorytarna”, tj. pojemność jako podporządkowanie się prawdzie bożej czy narodowej staje się zaprzeczeniem „wartości zwykłej” (wartości *de courti*). Asseruje i także spojrzmy na prawdę, jeśli dokonamy rozróżnienia na prawdę pospolitą (nos populi) i prawdę rzetelną (filozoficzną) oraz na wartość pospolitą (polityczną) i wartość filozoficzną. T. Sokolata analizuje problem – ale w odmienny sposób – który pojawił się u A. Wierzbickiego, czy głos wiadomości jest tożsamy z mądrością? Konstatuje istnienie licznych faktów zaprzeczających tej tożsamości i przytacza radykalne stanowiska filozofów postmodernistycznych (Lyotarda) sensuistycznych (Foucault) na temat, jak wiadomością się z myśleniem całkowicie, a więc – jak zdaniem – rozgarniętym, jak wobec pojęcia konsensu. Jednak nie twierdzi, że też Lyotarda o spłasku wszelkich „metastandardów” (współczesnych sposobów regulowania współżycia społecznego) bezwzględnie się potwierdzają. Miejsce skompromitowanych utopii totalitarnych bawim nowo fundamenty religijny i nacjonalistyczne. Udukuje zrozumieć fundamentalizm religijny w kontekście prawdy i wartości politycznej i w końcu, odpowiadając na dyskusyjny dzisiaj w Polsce problem, na jakich przesłach (wartościach) na opierać się demokracja. Nie są to na pewno wartości proponowane przez różne rodzaje fundamentalizmów. Czytelnika zainteresowanie tą problematyką odwyłom do tekstu T. Sokolata.

W sumie *Prawdy o prawdziw* są istotnych wzbogaceniem polskiej literatury filozoficznej. Jest to książka zawierająca cenne informacje i oryginalne analizy, zasługujące na uwagę nie tylko profesjonalnych filozofów, ale też i mniej „wprawnych filozoficznie” czytelników.

Na pewno nie rozstrzyga ona wszystkich kontrowersji dotyczących pojęcia prawdy, zwłaszcza prawdy w szerokim aksjologicznym sensie. Prawda stanowi bowiem – jak trafnie zauważył jeden z autorów prezentowanej książki – fundamentalną wartość kultury europejskiej – tej kultury, która zarazem wysoko ceni sceptycyzm i krytycyzm wobec wszelkich uświęconych prawd.

Prawdy o prawdziw, ps. 304 psd. Instytut Dziejowosci, Wyd. UMCS, Lublin 1984, ss. 148, Lechów Długość 190 mm, grubość 19 mm.

LECHOSLAW LAMENSKI

Antoni Michalak jako pejzazysta¹

Tytuł może trochę przeszerzony, skoro artysta, członek Bractwa św. Łukasza, znany jest w polskiej historii sztuki dwudziestolecia międzywojennego przede wszystkim jako autor licznych sensualistycznych portretów i wielu bardzo zróżnicowanych kompozycji o charakterze religijnym, w tym dużych, dramatycznych płócien o tematyce pastylnej, świetnie nadających się na nastawy otwartorucy oraz kolorowych wizerunków i monumentalnych polichromii kościelnych.

Przekleństwem do takiego, a nie innego spojrzenia na dorobek twórcy artysty była wystawa: Antoni Michalak (1902-1975). Z pracowni w Kazimierzu (maj – październik 1985), zorganizowana przez Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Długim² przy wydawnictwie pomysłu artysty: Tadeusza Janusza Michalaka, który udostępnił obrazy, szkice i fotografie rodzinie z własnych zbiorów. Dwadzieścia lat, które upłynęły od śmierci artysty, to dostatecznie długi okres, aby spojrzeć na jego twórczość bez zbytnich emocji, obiektywnie i, co najważniejsze, możliwie wrażliwie. Wystawa kazimierska, nie rozstrzygając sobie pretencji do wyczerpania tematu, była jednak wystawą szczególną. Poza pierwszy zaakwantowany, przybliżony został aspekt malarstwa Antoniego Michalaka zupełnie dotąd pomijany, wręcz nie zauważany: jego zainteresowanie pejzazem.³

¹ Wypowiedzi były z dyktanda i redagowała Antoniego Michalaka podług w niniejszym artykule uwzględniamy fragmenty wypowiedzi Karola Stawowskiego: *Malarstwo Antoniego Michalaka*, praca magisterska, Warszawa, KUL 1972; Tomasz Antoni Michalak jako portrecista, „Kwartalnik Humanistyczny”, T. XXII, 1974, s. 6 i s. 65-76; Tadeusz Janusz Michalak (1902-1975), *Kwartalnik historyczny*, Warszawa, Kazimierz Długoski 1975, s. 8-9; Mieczysław i Zdzisław Tachnowscy: *Bractwo św. Łukasza*, Ełka: Warszawa, Łódź: Włochdalewski, Dąbie: Czarwiec, (Katalog wystawy), Muzeum Narodowe w Warszawie, wiersz – publikacja 1975, s. 28-30; Jerzy Wyszczepniak: *Wzrost* [w:] Antoni Michalak, *Wzrost*, Katalog wystawy, Warszawa: Wydawnictwo Galeria Lenina, wiersz – publikacja 1982, s. 2-4; Magdalena Borewska-Gajda: *Antoni Michalak – życie i twórczość*, praca magisterska, Warszawa, KUL 1980.

² Właśnie ponieważ dla niniejszego katalogu artykuł ukazał się również w formie tomowej z wystawy: Tadeusz Janusz Antoni Michalak, który niniejszym wydziałem dyktando i redakcją (redaktor) [ponieważ w tym czasie nie miałem możliwości archiwalnej].

³ Koniecznym wzbogaceniem była Marianna Odrwocka. Wynosne towarzyszyły skromnej formie z wykazem polichromii, prace, kilkunastu reprodukcji: plakat z sztuk i kilkunastu rysunków wykonanych przez Władysława Odrwocką.

⁴ Z trzech katalogów wystaw, zarówno Bractwa św. Łukasza jak i poprzednich wystaw indywidualnych Antoniego Michalaka wynika, że artysta pokazywał siennicami malując głównie pejzaz. I tak na Troszkiej Wystawie Bractwa w Torunowie Zdzisław Janusz Pająk w Warszawie w 1952 roku, wśród dwunastu katalogów znalazł się jeden biuletyn ze skromnym zapisem śledzą: „Nawet na dużej wystawie malarstwa i bractwa Torunowa Przewodniczącego (MNW, 1973) wśród tysiąca reprodukcji obrazów Antoniego Michalaka żaden nie był pejzazem. Dopiero wystawy indywidualne w Toruniu (Museum Odrwocka, 1971) i w Kazimierzu Długim (Museum Kazimierz Długoski, 1975 i 1982) zostały zaprezentowane ich obywateli w ówczeski sposób.

Co prawda, w słowie wstąpił do niej — znacznie wcześniejszej — wystawy artysty (Muzium Kazimierza Dolnego, 1975), której ówczesny Antoni Michalak już nie doczekał (zmarł bowiem 26 maja 1975 roku), sam malarz uważał, że w rzeczywistości *mojej pejzazie odgrywały zawsze rolę marginesów**, to jednak zrealizacja studiów pejzazowych, pokazanych na ostatniej wystawie w Kamienicy Pejzazowej, zdaje się temu zaprzeczać. Te niewielkie (ich wysokość nie przekracza 35 cm, a długość 37 cm) kompozycje, malowane farbami olejnymi niemal wyłącznie na tekturze, powstały przed 1923 rokiem, prawdopodobnie latem 1919 roku w Plocku oraz latem 1921 i 1922 roku w Kartuzach, podczas plenerów uczniów z prywatnej szkoły Konrada Kryżanowskiego.¹

Przyszły człony lukazowski powrócił dopiero co — późną jesienią 1918 roku — z Ożesza, gdzie się znalazł w 1915 roku, ciężko ranny (w wyniku działań wojennych), na mocy decyzji Rady Głównej Opiekuńczej, która wysłała go tam w grupie chorych i rannych dzieci na leczenie. W Ożeszu zauważono jego talent i predyspozycję do rysowania, skłoniwono go więc do Chładołostowskiego Uczelniska. Rozpoczął tam naukę rysunku uśpelniał przypisanym czerwonoczerwonym kursem w warszawskiej Szkole Rysunku pod kierunkiem Młosa Kotarbińskiego. Znajomość z Kotarbińskim owocuje rozpoczęciem przez Michalaka — po wakacyjnym plenerze w Plocku — jesienią 1919 roku, studiów w Szkole Sztuki Pękynów. Po roku przerywa je jednak wojna polsko-bolszewicka. Artysta na ochotnika wstępuje do wojska, odbywa służbę w 7 Pułku Legionów, najdłużej się oświata kulturalna na terenie W. Armii. Bezpośrednio po powrocie z wojska, latem 1921 roku, jedzie na kolejny plener, tym razem do Kartuz na Pomorzu, prowadzony ponownie przez Konrada Kryżanowskiego i Adama Rycharskiego. Także w roku następnym Antoni Michalak jest w Kartuzach na plenerze. Wówczas to, po raz pierwszy, spotyka ucznia Kryżanowskiego — Tadeusza Pruszkowskiego, co zdecydowało o kierunku rozwoju jego dalszej kariery artystycznej.

Każ wie wiemy, w krótkim czasie (lata 1919—1922) artysta uczestniczył w trzech plenerach, portrał i zaprzyjaźnił się z Konradem Kryżanowskim, wziętym portreczystą i pejzazystą, oraz z Młosem Kotarbińskim, który także uprawiał ze szczególnym upodobaniem malarstwo pejzazowe. Oweżyście spragniony sztuki Antoni Michalak nie pozostał obojętny na kontakt z ich dojrzałym malarstwem. Widąc to w jego studiach pejzazowych z Mazowsia i Pomorza, które nasawiały ponadto szereg innych skojarzeń. Pierwsze wrażenie to związek z malarstwem cennego i lubianego również przez środowiskiem krakowskim Jana Stanisławskiego. Nie tylko to wzmagało na formę i zastosowanie podobnie (tektura), ale raczej głównie na ten sam sposób patrzenia na przyrodę i jej kadrowanie w obrazach. Antoni Michalak podobnie jak Stanisławski wybiera najchętniej popołudniowy obłok na niebie (Cłowy, ol., tektura, wym. 30 cm x 36 cm), niewielki las zrbia (Złote, ol., tektura, wym. 20 cm x 25 cm) czy dąły krzew z drobnymi kwiatkami (Eryw, ol., p., wym. 25 cm x 20 cm) czyż i nieco samodzielnym temat obrata. Kolejki kładące cytystym impantami, mocno i zdecydowanie, tworzą harmonijny układ barw, wśród których pojawiają się wyznakowane zielenie i błękity. Studia pejzazowe te tytuły, mimo niewielkiej skali, sprawiają wrażenie malowanych prima vista, z rozmachem i zacięciem godnym znacznie większych, nastrojonych płócien młodopolskich artystów.

Pejzaz Antoniego Michalaka urezają dekonstrukcyjnie, wywijająca z prostej, czytelnej dla każdego formy, podane odpowiednio malarskim środkiem wyrazu i chociaż z łatwością możemy rozpoznać interesujący artystę fragment przyrody, to jednak trudno uważać te pejzaże za typowo realistyczne, raczej mamy do czynienia ze studiami barw i światła. Studiami, w których poza wspomnianą manierą młodopolską — zwłaszcza w wydaniu Stanisławskiego — możemy znaleźć zupełnie czyste, pełne światłego powietrza echa impresjonizmu. Kompozycje z grupą drzew o zacięzionym



Antoni Michalak, Cłowy, ol. tektura, 1919 (D. Fot. Wojciech Santarek).

pierwszym planie i refleksjami światła słonecznego przenikającego przez koronę z liści, przewidywać wrażliwość Michalaka, jego umiejętność uchwycenia atodnych stanów natury (*W cłowy*, ol., tektura, wym. 35 cm x 29 cm; *Drzewa I*, ol., tektura, wym. 35 cm x 28 cm; *Drzewa III*, ol., tektura, wym. 25 cm x 20 cm; *Świećka*, ol., tektura, wym. 26 cm x 29 cm). Barwy nasycone i soczyste, zdłomowane przez szeroki gamę zieleni i błękitów, choć nie brak ciepłych brązów. Edek palujących zieleni, błękitów i żółci, sztywne jednak artysta w sposób bliższy syntetycznej manierze malarstwa Władysława Ślesiwskiego (rozwiązanie *Atyja*, ol., p., wym. 35 cm x 29 cm i *Drzewa II*, ol., tektura, wym. 28 cm x 32 cm) niż impresjonistycznym płóciom Józefa Pankiewicza, choć w Kartuzach szczególnie wrażeń robił obraz z mrocznym rzeką i porbowianym łąki, skromnym drzewkiem na pierwszym planie, z lewej strony (*Rzeka*, ol., tektura, wym. 29 cm x 35 cm). Utrzymamy w wyznakowanych szerokościach oraz zgarnionych zieleniach i błękitach, o kaligrafii kartuzialńskich błękitów mrocznym zapożyczonym z kolorowych drewnorytów japońskich, naderżniętych przez impresjonizm francuski, umysłową drogę, jaka przeszła malarstwo polskie od trze, sprydu impresjonizmu warszawskiego, po pierwsze wystąpienia ekspresjonistów polskich i zarania niepojawiają się w 1917 roku, że to młody — niepełna dwudziestoletni — Antoni Michalak wolał na początku malować niewielkie pejzaże niż ułdzone portrety lub pompatyczne kompozycje historyczno-religijne, jako po śmierci Jana Matejki doszło do dawno oszkarżanej rewolucji w malarstwie polskim, które w latach 1913-1917 donikło atodnych przewrótów natury formalnej i treściowej, całkowicie zmieniających jego charakter, miejsce i rolę w nowej rzeczywistości.

Być może Antoni Michalak zostaby wziętym pejzazystą, gdyby nie znajomość z Pruszkowkim. Pierwsze spotkanie na plenerze z Kartuzach — w 1922 roku — zważana wówczas nie sympatii i przyjaźni spowodowała, że z początkiem 1923 roku artysta pomógł na przerwaniu wojny studia, zostając od razu studentem III roku, dopiero co zreformowanej Szkoły Sztuki Pękynów, właśnie w pracowni Pruszkowskiego. Nie wie dziwnie, że to Antoniego Michalaka wyzwał profesor sienał natychmiast na zwład do Kazimierza Dolnego, aby zbudził przydatność mastecka pod kątem organizowania w nim letnich plenerów malarskich. Inspekcja wypadła obiecująco, dlatego też już w lipcu i sierpniu 1923 roku, pierwsza grupa pruszkowskiego zjechała do Kazimierza. Byli to: Jan Gotard, Aleksander Jędrzejowski, Edward Kokońko, Antoni Michalak, Jacek Podolski, Marceljorek Szuk, Jan Wydra i Jan Zamojski. *Masteckiemu kształtowi po prostu oczarowani* — wspominał po latach

* Antoni Michalak jedno zgrupowanie w Antoni Michalak 1899-1975. *Katalóg wystawy malarstwa*, 44. cyt., s. 63.

¹ Późno podjęto się w sprawie uwiecznienia studiów, najwcześniej przez organizację artystyczną z Mazowsia, a wyprawy artysty doprowadził jeszcze kilkunastoletniemu uczniowi, malarzowi Janowi Fabianowi na obywatelstwo, niekiedy dwuznacznie. Zgrupowanie swoje pełne rozważań: *Elejpej*, 26.3.2013 s. 163. cyt., *Pejzaz z zbiorów archiwum artysty*, 27. cyt. s. 106. *Stwierdzenie oświadczenia* 7. lipca, 29. lipca 1963. *Ładne i oryginalne*, 27. cyt. s. 463. cyt. *Zadanie i pejzaże* nie został przez artystę dotworzony. Na pewno nie posiadający szkła. Kazimierz Dolny. *Między innymi pierwszy plenerowy temat pleneru w Mazowsiu i Pomorzu*. Nie możemy jednak z całą pewnością stwierdzić, że namalował Michalak latem 1919 roku, a nie latem 1921 i 1922 roku.

Zamysły — *Próbno by zwałab drugiej miejscowości, dostarczającej takiego rodzaju różnorodnych wrażeń, jak wywołany na niewielkiej przestrzeni Kazimierz. Niemal w zasięgu ręki miało się: bagno rozłożony teren ze wzniesieniami przeroszonymi głępkami jarami; szeroko rozlaną rzekę z potrzypniętymi brzegami i łuchami płaski, otwartymi wspaniałą płaszc; stajki parowe i psychówki na wodzie, a sieci rybackie rozpięte na brzegu; genialnie skomponowaną w teren urzekającą architekturę osiedla z górującymi szlachernymi wieżakami kółko-kółko oraz z wyjątkowymi w swej wartości płaszczyzną kamiennymi i drewnianymi domkami; rąbny zamek z basznią na górze i zabrytkowe społeczeństwo na dole; oszczędną cześć sadów i chatek wypielęgnowanych wspanio; samotny wielowiekowy dąb ze śladami wotki; jakę prowadził z atakującymi go burzami i piorunami; barwny folklor tryjczy w symbiozie dwa kultury: chrześcijańskiej i żydowskiej. A wszystko to narzeczono atmosferę historycznych wspomnień i tajemniczych legend.⁴*

Tyle Zamysły. Jak świadczą obrazy przaskowiaków — namalowane podczas tego i dwóch następnych plenerów w Kazimierzu, w latach 1924-1925 — właściciele kadłdy z artystów uległ magii miasteczka. Także Antoni Michalak. Nie wiemy niestety dokładnie, ile wówczas namalował pejzaży. Do dziś zachowały się — w rękach rodziny — załedwie dwa, namalowane z rozmachem, bardzo pogodnie i ciepłe w kolorach: *Pejzaż ze stogiem* (ok. 1923 r., akw., pap., wym. 25 cm x 21,5 cm) i *Dworek w Kazimierzu* (1924 r., ol., pl., wym. 27 cm x 34 cm). Niestety zaginęły: *Pejzaż Kazimierza z rzecą* (ok. 1923-24, ol., pl.) oraz *Budowa zamku w Kazimierzu* (1924 r., ol., pl.), oba znane jedynie ze starych fotografii.



Antoni Michalak. *Pejzaż Kazimierza z rzecą*, ol., pl., ok. 1923-1924. Rep. ze starych fotografii.

Pierwsza ukazuje rozległą panoramę rynku, z widokiem na farę i zamek. Uderza wyraźna geometryzacja przedstawionych fragmentów kamiennej, które zgrupowane po bokach obrazu, tworzą rodzaj kadru teatralnych, kierujących wzrok widza w głąb sceny zamkniętej jakąś symboliczną kolumnadą i czystym horyzontem tarczy powyżej. Po szczególne płaszczyzny ścian pozostają raz w cieniu, a innym razem rozjaśnia je padające z różnych stron światło (bez określenia jego źródła), nadając całemu pejzażowi charakter baśniowy. Z drugiej fotografii wynika, że Michalak nadał obrazowi *Budowa zamku w Kazimierzu* charakter literacko-illustracyjny, z kilkoma grupami postaci usytuowanymi w pagórkowatym pejzażu miasteczka. Obraz sprawiał wrażenie niedojrzałego, uderza pewną sztywnością ruchów pracujących robotników, brak większych proporcji pomiędzy postaciami a wznoszącą przez nie budowlą.

⁴ Jan Zamysły: *Zakazany, malarz i malarstwo Bractwa św. Łukasza*, Warszawa 1989, s. 9.

artysta ma problem z prawidłowym uchwyceniem głębi i zastosowaniem odpowiednich skrótów perspektywicznych.

Na pewno pejzaży było znacznie więcej, co potwierdzają kolejne fotografie (również ze zbiorów rodziny), przedstawiające fragmenty jednej z wystaw poplenerowych w Kazimierzu, prawdopodobnie z 1924 roku. Obiektyw aparatu fotograficznego zarejestrował ścianę z zestawem dziełkiem prac Antoniego Michalaka. Obok dwóch dużych płócien ukazujących kazimierskiego ślepego Józefa Kondronia (ślubionego modela Michalaka) i pozostałych przaskowiaków na tle szeroko rozwiniętej panoramy miasteczka, na ścianie wiszą jeszcze trzy pejzaże: dwa z farą wspaniałą niemal całą powierzchnią obrazu, jeden z fragmentem rynku (widok na kamienicę Przychyłów) i ostatni — czwartym — najbardziej rozbudowany, ukazujący ułeczkę Kazimierza Dolnego z ludźmi przybyłymi na jarmark (⁵).



Antoni Michalak. *Budowa zamku w Kazimierzu*, ol., pl., 1924. Rep. ze starych fotografii.

W 1925 roku Antoni Michalak zostaje członkiem Bractwa św. Łukasza, a jesienią tegoż roku wyjechał na roczne studium w szkołę francuskiego do Paryża. Jest już wówczas pod głębokim wpływem osobowości Tadeusza Pruszkowskiego i jego poglądów na malarstwo. W efekcie ucieczyła niemal całkowicie do Luwru, gdzie prowadzi grunowo studia, przede wszystkim nad Veronesem i Ribera. Był także

⁵ Przeważa pod tą nagminną dwoma pejzażami widocznymi na zdjęciach wiszą kartki: sprzedano był może obraz w ten sposób, choć to nie można dokładnie powiedzieć, gdyż nie znamy przynajmniej.



Antoni Michalak w pracy ok. 1938-1939 r.

w Chartres, a następnie wyjechał na południe Francji do Arles, Avignonu i Saint Reims. Jesienią 1926 roku, w drodze powrotnej do kraju odwiedził — za namową Pruszkowskiego, z którym przez cały czas korespondował — północne Włochy i Wiedź.

Z podróży te zachowały się pojedyncze karty (formatu 31 cm x 23,5 cm) z niekompletnego zbioru szkiców. Zwraca uwagę *Pejzaż z Chartres* (rys. ok.) i przedstawiający niewielki fragment miasta, z gotycką katedrą w tle i domem mieszkalnym o zróżnicowanej bryle na pierwszym planie. Umiejętne wypracowanie form architektonicznych, ich umieszczenie w przestrzeni, geometryzacja poszczególnych fragmentów domu, zwrócenie uwagi na przybudówki nasuwają bardziej skojarzenia z drewnianą zabudową Kazimierza Dolnego zróżnicowaną nieco doświadczone w latach 1939-1944. Nie zabrakło również motywów z Półwyspu Apenińskiego: *Wjehrzyste słońce* (tech. mieszana) i *Widok* (akwarela), w których artysta z dużą łatwością wnal się w klimat, atmosferę nieco sentyjny pejzaży z wyśmienitym cypriem i karłowatymi pinami, prostą i statyczną architekturą domu wiejskiego, a także spójnymi doświadczeniami zobaczania górnictwa i obywatelstwa wód morską perspektywą oceanu.

Artysta, łącząc mocno lawowaną akwarę z rysunkiem oraz czepnością z techniką malarstwa olejnego, zachował tak typową dla siebie świeżość, co w połączeniu z umiejętnym oddaniem urody interesującego go pejzażu, zapowiadało wiele ciekawego na tym polu już w niedługoj przyszłości. Tak się jednak nie stało. Wydało się, że — etap w twórczości Antoniego Michalaka. Etap, w którym studiując pejzażowe, choć malowane progresowo na niewielkich kawałkach kartoni, włączył się do niego samego (7), stanowiły wcale leży i równie ważny dział jak kompozycje figuralne.

* W zbiorach rodzinnych zachowało się kilka szkiców, od bardzo wczesnych do datowanych (niektóre datowane rękopiśmiennie) Antoniego Michalaka. Wykazał on — jak sądzi — ułaskawienie (inne karty z lat 1923-1935. Co najmniej dwa z nich studiów postaci ludzkiej, olśniewia i kinemat. ale nie brak również scenicznych szkiców, serwowane kładki sągił się namalowanych pejzaży, samostanów drzew i widoków. Najbardziej obfity gładki, wyjechał malarstwo, pozostałości artystycznego *manifestu* artysty widłaka godność zwanego Wycieczkami z drągami szkieletowa wlewo-francuskiego, wzm. 11 cm x 15 cm), a także pojedynczych dzieł i fragmentów krytycznych z innych miejscowości na południu Francji (tzw.).

zwłaszcza studia portretowe (m.in.: *Mężczyzna z mosiołem*, *Mężczyzna w okularach*, *Chłopiec z czołkiem*, *Głowa starej kobiety*, *Głowa chłopka*, powstałe zapewne podczas trzech pierwszych pelenów w Kazimierzu, w latach 1923-1925.*

Od 1925 roku, od momentu namalowania *Bajki o szczerzym człowieku*, datowanego (ok. pl. wym. 245 cm x 170 cm), będącego jego pracą dyplomową, mika Antoni Michalak pejzażystą, pojawia się natomiast wyfinanżowany portretda, a zwłaszcza malarz scen religijnych i symbolicznych, autor tak sztandarowych dzieł jak: *Ukrzyżowanie*, z 1928 roku, otwierające całą serię bardzo dużych płócien na ten temat; *Pobieranie ciała wodnego w mieście Błogosławione*, również z 1928 roku, czy *Exodus* z 1933 roku. Ale artystyka nie rezygnuje jednak całkowicie z malowania pejzaży. Pojawiają się one w jego dorobku w dalszym ciągu, niemal we wszystkich rozbudowanych treściami kompozycjach, ale włączenie jako tło dla rozgrywającej się przed oczyma widza akcji i dramatu dookreśla. Najczęściej są to fragmenty skrajnego Kazimierza, w którym Antoni Michalak osiadł na stałe w 1927 roku. Tu, na zboczach góry rambowej wybudował w latach 1928-1930, według projektu Jerzego Sienickiego, obszary dom, z pracownią na parterze, z przepięknym widokiem na przełom Wisły, na wieś Wojszyn i Nasłów leżące na jej przeciwnym brzegu.

Już w *Bajce o szczerzym człowieku* uropleniem dla postaci ludzkich — głównych bohaterów obrazu — są charakterystyczne dla drewnianej zabudowy Kazimierza z lat trzydziestych XX wieku nioce kołowe domki, pełne szubów, podziemi i przybudów, pomiędzy którymi otwiera się niespodziewanie daleka perspektywa na strome, pokryte zielenią zbocze wzgórz z bielą murówowanych domów. Podobnie rzecz się ma z *Ukrzyżowaniem* (z 1928 roku). Rozległe tło za krzyżem, to mocno pofalowane, wierzgi górzysto teren o skróconej perspektywie, z podniesioną linią horyzontu. W centrum, wsparty na kilku półkolnych arkadach most, prowadzi do połobionego na zboczu miasteczka (z lewej strony) oraz do wyznaczonej na oszczy (z prawej strony) samotnej budowli, przypominającej jeden z nawiśliskich spichlerzy, tak pięknie obecnych w krajobrazie Kazimierza Dolnego. Jeszcze bardziej rozbudował artysta pejzaż w tle obrazu: *Pobieranie ciała wodnego w mieście Błogosławione*. Premiankę się plany, różne punkty widzenia, zarysy położnych średniowiecznych kościołów, wież i spiczastych gotyckich kamienic sprowadzają ze spójnością toni wódo w rzecze, barku, śluz i zalesionym wzgorzami gdzieś w głębi, z lewej strony.

W obrazach tych, podobnie jak w wielu innych płótnach o tematyce religijnej, żeby wymienić jeszcze *Sw. Antoniego rozmawiającego z rybami* (1931, ok. pl., własność rodziny) czy bardzo interesujący — niestety zaginiony — obraz *pl. Szymonizacji w. Francuska* (1927, ok. pl., many z fotografii), pejzaż stanowi integralną część kompozycji. Bywa że artysta podprzaskując postacie świętych, ich spoznowanie, gesty rąk i nogi konfiguracji terenu nabożnowanym podczas studiów w planecie, tuż obok, w głębokich jarach i na stromych zboczach polubskich wjeżdża. Byłki światła rozjaśniające ciemną — z reguły — kolorystykę postaci, pojawiają się również, bez podania ich źródła, w tle. Gładka i błyszcząca powierzchnia obrazów religijnych, przez wprowadzenie specyficznej stylizacji postaci i elementów pejzażu (będącej wypadkową osiągnięć artystów skupionych wokół Złotego Języka Alfreda Sachlichiego i art deco) sprzyja kontemplacji i badowaniu nieopowiadającej natomiast artysty prośwonej duchem spirytyzmu.

Zupełnie inaczej namalował to w *Exodusie* (wł. rodzinny, dat. nieznany, symbolicznie płótno, przedstawiającym kobietę prowadzącą chłopca i dziewczynkę. Pragmę polkoidalny dramatyczny sytuacji — ucieczka przed mizocencem i pologą — mierzony tonem z opowieści dla siebie iłtraktacji i namalowanymi nocnymi pociegnięciami pędła grono, granitowe szachy, zajmujące blisko dwie trzecie wysokości obrazu. Pozostała część płótna stanowi utrzymana w ugrach i zgnarzonych kłódkach skłono-pianoczysto sfera ziemi, nieprzychylna stajnącej po niej kobiecie z dziećmi, postawiona naglejdnobniejzej przejawów życia naga pustynia.

Ale i takistoza za pejzażem jako samodzielnym tematem obrazu była w artyście ciagle żywa. W latach trzydziestych, a także do połowy, w radkach chwiałach odczynku, Antoni Michalak chwytal za pędki i malował (w dalszym ciągu malował, choć już prawie

* Sprawa datacja dzieł nie zgarnianych studiów, podobnie jak studiów pejzażowych z Marosowa i Prusowa, są dziełami autora. Wskazuje studia Francuska powstało przed 1924, w Antoni Michalak namalował je nie wcześniej niż w 1923 roku, a więc podczas pierwszego pelenu w Kazimierzu Dolnym.

zawaz na plótnie) widoki, jakie rozciągały się z tarasu jego kamienieckiego domu. W ten sposób powstał *Widok z pracowni* (ol., pl., wym. 26 cm x 30 cm) i *Widok z domu* (ol., dykt., wym. 41 cm x 36 cm) oba po 1930 roku, wł. rodziny. Równie kolorowe jak pierwsze studia pejzażowe z początku lat dwudziestych (zrealizacja przesyłki), są już z wyrazim pięctem indywidualizacji. Przede wszystkim trudno się doszukać w nich formalnych źródeł inspiracji dziełami innych artystów. Bardwo podrywawce wnikliwą obserwacją fragmentu natury, porą roku, są bardziej – niż kiedyś – nasycone, podporządkowane ogólnej tonacji obrazu, kiedyś stał się wyraźne refleksyjny, nastrojowy. Jeszcze nastąpiła urozka *Widok z ogródkiem* (ol., pl., wym. 26 cm x 32 cm), z ok. 1930 roku, własność rodziny, prezentujący niewielki fragment Kazimierza od strony Widy, z czerwonym dachem szklarni wystrajającym się z gęstwiną złamanych zniełz, żółką i beżami liści drzew, rosnących na jednym ze wzgórz otaczających malowniczo miasteczko, tworzących jego niepowtarzalny układ przestrzenny.

W 1933 roku Antoni Michalak rozpoczyna pracę pedagogiczną w Miejskim Instytucie Straci w Lwowie, gdzie prowadzi – do września 1939 roku – zajęcia z rysunku oraz pracownię malarstwa dekoracyjnego. Praca pedagogiczna, zainteresowanie malarstwem ściennym, a następnie witrażami, skutecznie oddziaływa na artystę od pejsażu. Także ta działalność nie sprzyjała malarstwu pogodnym, rozstrzygnięciom zachodzącemu słońca wzgórz kamienieckich. W latach 1939-1944 Antoni Michalak nie namalował prawdopodobnie ani jednego pejzażu.

Ale już z 1945 roku pochodzi obraz pt. *Kazimierz. Pejzaż powojny* (ol., pl., wym. 73 cm x 75,5 cm, wł. rodziny). Choć znacznie wycięty od studiów pejzażowych z lat dwudziestych i trzydziestych, to jednak utworego ma dojrzałość kolorystyczną i wartościowość krytyki malarstwa. Obraz sprawia wrażenie martwego, choć użyte przez artystę barwy są intensywne i nasycone jak przed wojną, to nie ma jednak w nich tak charakterystycznego błysku światła. Postacie ludzi, kości ciagnący wóz, czepiecowa zbiorowa zabytkowa architektura rynku zostały potraktowane wyłącznie jako materiał ikonograficzny, jako bezduszny dokument epoki. Tym razem zabrakło malarzkiej inwencji i fantazji.

Lata następnie, choć sformułowane w dalszym ciągu przez portrety, obrazy religijne, projekty witraży i polichromie, a także przez kolejną pracę pedagogiczną na KUL (wykłady dla studentów historii sztuki, prowadzone z przerywanymi w latach 1949-1969), przyniosło mimo wszystko nowe pejzaże.

Okolo 1964-1965 artysta maluje *Bydce* i *Kazimierz* (ol., pl., wym. 50 cm x 72,5 cm) i *Widok na Klarisów* (ol., pl., wym. 50 x 61 cm). W 1972 roku powstaje *Wiosna* (ol., pl., wym. 59 cm x 73 cm).¹² Te trzy plótna (własność rodziny) cechuje ogromne nasyconie kolorami. Świadoma prymitywizacja i spróchnienie kształtów (zrealizacja w *Bydce*), czytelną dążyłość do białoskiego upięcia powzrocznie zmyślny i zapamiętany widoków, udana próba malarzkiego zapisu – najbliższych artystów – fragmentów miasteczka. To także nastąpiły powrót do przeszłości, tęsknota za Kazimierzem jakiego już nie ma, tęsknota za specyficzną, pełną epokową społeczności żyłową, która odeszła, zmiknęła raz na zawsze wraz ze społeczeństwem bełkami domów i wdępnianymi w ziemię marchewki.

Antoni Michalak sporo podróżował, zwłaszcza jako młody człowiek, w okresie dwudziestolecia międzywojennego, co potwierdzają zarówno zachowane szkicowniki, jak i pozostałycze studia pejzażowe. Z podróży zagranicznych nie wrzygnął także w wieku dojrzałym. Wiosna 1964 roku wyjechał do brata, do Stanów Zjednoczonych, gdzie spędził ponad rok (do jesieni 1965 roku). Był to drugi – po 1945 roku – wyjazd artysty do USA. Po raz pierwszy był tam w okresie jesien 1958 – lipiec 1959. Po powrocie Antoni Michalak przwiwał ze sobą kilka pejzaży, wśród nich *Farmę amerykańską* i *Harstward* (ol., pl., wym. 51 cm x 61 cm) i *Dom Witolda Koneckiego w Kalifornii* (rys.

kredek na papierze, wym. 45,5 cm x 60,5 cm), oba w posiadaniu rodziny. Ze względu na specyficzną tamtejszej architektury drewnianej na prowincji i otaczającej ją bujnaj, niemal egzotycznej roślinności, obrazy różnią się kolorystyką i klimatem od pejzaży przedstawiających tematy rodzinne. Mimo że malarstwo jest posiadaczemśdniejęcioteni, udało mu się zachować świeżość i lekkość miedobnka, radość twórczości.

Na parę lat przed śmiercią Antoni Michalak kilkakrotnie wyjechał na leczenie do Ciechocinka. Plastycznym zapisem spędzonych tam chwil przez starego, chorowaniego człowieka są dwa, bajecznie kolorowe, kredkowe widoki parku w Ciechocinku (rys. na papierze, wym. 48,4 cm x 64 cm, oba wł. rodziny). Ostatnie studia pejzażu, który choć chwycany przez artystę na marginesie oddajnej twórczości, był przecież obecny w jego przynajmniej z sztuką przez cały czas. Naturalnie nie można mitologizować osiągnięć Michalaka na tym polu, podobnie jak nie należy zapominać, co było istotną jego malarstwa. Ale wydaje się, że wbrew temu, co powiedział o pejzażu sam artysta, dotorek plastyczny Antoniego Michalaka, były by nieco znaczące uchozaj.

Lechoslaw Lamelski



Obrazy A. Michalaka na wystawie poprowadzonej, Kamieniec Dobry, 1954 (D. Kępa; za zbior. Fotogram).

¹² *Zachowanie Wiosny* jak i *Bydce* w Kazimierza reprodukcją Waldemara Okrowskiego w swojej książce: *Malarstwo Kazimierza nad Wiską*, Warszawa (1991), s. 55-57, k. 36-39. Autor tak opisał *Wiosnę* jako podjętych przez artystę prób, jakichś odwołanie się do malarstwa oświeceniowego i romantyzmu, wskazując na zamalowanie publicznie znaczącym dwusetkietym obiektem wykonanym nie panownemu Kazimierzowi z zamkami i forte. *Autorka* nadzieję historyi artysty określiła następująco: *Wiosna* wyraża niepowrotność przeszłości. Ale w tym roku w swoim pejzażu krąży się głęboka refleksja nad niespełnionymi marzeniami, że wreszcie nabudowują się. *Wiosna* to nie jest jedynie niezapamiętany, więc twórczości, malarstwa, uczucie, więc tym samym, jak w sobie, jedynemu jednemu, którego się już nie żywym światem. Obraz to bardzo osobisty, układowy i artystyczny. Młody artysta malarstwa ze swym miastem (zaski, s. 34).

MARIAN RAWIŃSKI

Mitoburcząca komediogroteska w teatrze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej

Polonistyką wypracowała w odniesieniu do teatru Pawlikowskiej kanon formalnej proze w każdym egzemplu. O teatr (rapuje badaczy przede wszystkim jako świadectwo ekspansji zwiolu lirki w obręb tradycyjnych struktur dramatu, od strony zatem ujawniających się „sygnałów poetyckości i regu metaforyzacji tekstu”¹). Zasięg wybitnej poetki oraz dramatopisarki bilansują się zapewne z tej perspektywy w sposób bardziej zrównoważony. Tym niemniej jednostronność ujęcia jest symptomatyczna, odzwierciedla bowiem ogólniejsze zjawisko marginalizacji gatunku komedii obyczajowej w powojennych dekadach. A właśnie ten gatunek święci swój triumf w dwudziestolecie. Dla szerszej widowni, zżytej z konwencją realizmu, jest nie tylko nieznanym rodzajem nowy, ale i czyni ponadto, „oknem na życie” (wedle chwilowej metafory Boya) i w tym charakterze ustalił swój prymat „kanonicznej formy teatru”². Godzi się zatem przypomnieć, iż za barwnym teatrze literackiej dramaty Pawlikowskiej uzyskali własny warsztat i rangę liczącego się zjawiska, w tym samym przynajmniej stopniu dzięki śmiałości obyczajowo problematyczne, co oznakom wyrafinowania warsztatu.

Ich treścią — cytując za Czachowskim — jest „przez sprawę miłości widziana sprawa kobiecy”³. Co oznacza, iż w obrębie problematyki miłosnej artykułują się tu w zasadniczo nowe sposoby: poza instytucjonalnymi gwarancjami równości, dążenia emancypacyjne. Adwokat w własnej sprawie jest kobieta niezależna, bez pruderii, której plectiość, podobnie jak w przypadku mężczyzny, „wymusza niedostatek istnienia a zarzekanie pragnienia istnienia”⁴.

Intensywność uwikłania losu kobiety w erotykę czyni na pewno tę twórczość wyrazistą, ale i dość szczególnym przypadkiem w nurcie kobiecej literatury z „jej wielkiej epoki”⁵, za jaką uznaje się tutaj

międzywojenne. Rysuje się tu, dość nieoczekiwanie, pewna analogia z pisarstwem Nalkowskiej, gdzie również erotyczna pasja jest uprawianym, w wielu zaś przypadkach wyłącznym pryzmatem widzenia kwestii kobiecej. Formalnie podobne zabiegi służą jednak odmiennym celom: demitologizacji bądź zarliwej apologii miłości, za czym kryją się bardziej podstawowe a obydwu autorek różnice w rozumieniu tożsamości kobiety.

Erotyczne wątki, w jakie obfituje twórczość Nalkowskiej, z pewnością nie są mitogennymi historiami. Miłość z zasady nie staje się tu „innym stanem” duchowego zespolenia ani szansą samospelnienia, nie buduje trwałej więzi personalnej partnerów — jakby na przekór dążeniom i uporczywym nostalgom większość bohaterek. Kwalifikowana konsekwentnie z ich punktu widzenia (co w swoim czasie przyjmowano jako rewelację) jest niemal bezwyjątkowo „nieobłąrą miłością”, przynosi cierpienie zamiast radości, w gorszych zaś i czysto wypadkach rodzi zła, czyni kobietę ofiarą szgółmu partnera, skazuje ją na życie przegrane, chybione. Przykładem dla swoich postaci autorka wskazuje zarzem, iż za „nieobłąrą miłością” kryje się określony ideał kobiety poddanej supremacji mężczyzny, zniewolonej przedmiernymi cnotami uległości, posłuszeństwa. Znamienne, iż jeszcze w biuletynicznym okresie, w młodzieńczym *„Dzienniku”*, stawia Nalkowska w bezprzykładnie ostro sposób (po raz pierwszy w naszym piśmiennictwie) dyalekt kobiety, której nie jest dane poznać pełni życia, bowiem normy obyczajowe — w tym obyczaj erotyczny, z wpisną weni podwołują moralnością — pozwalają jej „być albo człowiekiem, albo kobietą”, w każdym przypadku za cenę duchowego kalectwa, zatrzymania „w rozwoju połowy swojej istoty”⁶.

Historie romansowe, poczynając od debiutanckich *Kobiet* po główne dzieła dwudziestolecia, na rozmaite sposoby ten alternatywny wybór egzemplifikują.

Inaczej ma się rzecz w teatrze Pawlikowskiej. Patriarchalny ideał „kobiet kobiecych”, istnienia-dla-innego, komediopisarka odiera z osłon wzniosłych fikcji. Odstawia jego wiecznie błądzące źródła w mgłkij mitologii erotycznej (co ilustrują sztuki obyczajowe najmlodsze, takie jak *Ęqipka pzenicza* czy *Zalotnicy niebiescy*), ale również — co może ciekawsz — w kultuńskich uszupiających i okrucieństwie matron, matek rodu. Postać matrony usytuowana jest na poczesnym miejscu w wielu sztukach, w charakterze przeciwnika miłości. Z istoty bowiem swojego typu matrona odręduje instytucji macierzyństwa w patriarchalnym, opresyjnym kształcie, ale w jakiejś też mierze przypisana jest do roli, która modernizm (za Schopenhauerem) rezerwował dla miłości samej, sprowadzając, w ujęciu demaskatorskim, naturalistycznym, na poziom celu gatunkowego, instynktu prokreacji. I Pawlikowskiej, dla odmiany, miłość nie jest „wielkim złudzeniem”, ani też nie zagraza „opiekunicyzmowi” „jednośm”⁷, raczej ostatnia indywidualizm, ustanowienie kręgosłupa, czy azyli więzi personalnej i stał błąd dla niej zrozumieniem ze strony lewych ciotek, matek rodu i bábek, sprawujących — w służbie idei dietności — dokuczliwy nadzór nad kochankami.

Szkicując tu najbardziej ogólny schemat konfliktu postaw i roli, choć co prawda rzadko wypełniamy się on oryginalną treścią. We wcześniejszej fazie scenopisarstwa konflikt ten zaledwie zaznacza się w te akcji i raczej ubarwia ją na konwencjonalny sposób.

W sztukach późniejszego okresu, takich jak *Dwidoid asobisty*, *Miówki* czy *Baba-Dziwo*, postać matrony urasta do rangi protagonisty-

¹ A. Krajewska: *Komedia polska XX-lecia międzywojennego*, Wrocław 1989, s. 86; por. też artykuły M. Jonefaczkiej: *Kryształowe dramaty (Komedia Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej)* [w:] *Recenzja Humanistyka* 1963, s. 1 i *Mankarda Pyski*, „Dialog” 1965 nr 11.

² L. Fryde: *Obława fary*, [w:] *Wybór poem krytyczny*, Warszawa 1966, s. 192.

³ K. Czachowski: *Obraz współczesnej literatury polskiej 1894-1934*, t. III Ekspansja i nowelizacja, Warszawa-Lwów 1936, s. 404.

⁴ L. Betmarr: *Revolucja freudowska*, [w:] *Nawrota, kultura, plek*, Kraków 1969, s. 184.

⁵ M. Czerniak: *Przemiany obyczaj*, Warszawa 1969, s. 11.

⁶ Z. Nalkowska: *Dzienniki 1888-1905*, Warszawa 1975, s. 24.

⁷ M. Pawlikowska: *Obrazistwo matron*, „Wiadomości Literackie” 1932 nr 39.

⁸ por. A. Schopenhauer: *Psychologia miłości*, Warszawa 1903, s. 42, 53.

ty, zyskując przy tym nowe, artystycznie śmielsze, bardziej ekspresyjne artykułacje. Wszystkie one prezentują dość jednolitą, w swej partner genetyzacji: przemieszanie, wódnice jakby zmilogizowany wizerunek macierzyństwa, w postaci miłej Teściowej. Wiekowa tradycja literatury naznaczyła ten wódnic miłośnikowi miłoznawczym piętrem, ma on szyćwować — w myśli wykładni Simone de Beauvoir — szyćwodzić i pełen lekka dystans mężczyzny do macierzyństwa w ogóle, które roztopia jednostkowość kobiety w gątaniku.

Uniwersalność losu kobiecego sztychero zaprzecza odrębności tonu, zależność od przeszłości i od ciała — autonomii ducha. To sztychero mężczyzny jako obiektywizuje w groteskowej postaci teściowej. W śmiechu mężczyzny brmi tak wiele wrogoci, ponieważ wie on, że los tony jest losem każdego ludzkiego istoty: a więc również jego własnym?

Pawlikowska w znacznym stopniu przewartościowuje wysłażony stereotyp. Wyższymi w postaci „Baby-Drzewo” nie „macierzyństwo w ogóle”, lecz jego instytucjonalne formy, opresyjne wobec kobiet i wrogie namiętności erotycznej jako doświadczenia, poprzez które heroína tego teatru utwierdza się w indywidualnym losie, w człowieczeństwie. Konfrontacja matron i kochanków w miarę nieuchronnie konfliktowy charakter.

Dowód osobisty (wyst. 1936) należy do najdopiętniejszych, ale i najgwałtownie demaskatorskich sztuk Pawlikowskiej. Wszelako nie arystokracja stanowi tu obiekt satyry, wbrew przyjętym opiniom krytycznym. Zberzydowcecy, jak ich prezentuje komediogroteska, to nie tyle parantele czy snobizm urodzenia, „arystokratyczny rasizm”¹⁸, le raczej instytucja wielkiej rodziny z jej obyczajowo sphyfikowanym patriarchalizmem wspartym o autorytet matron niczym o potężny filar. Satyra sztuki uderza w ów filar, dyskredytuje uroszczenia swoicie instrumentalizujące małżeństwo i z istoty swojej antyboice, co dobrze uaoacnia przypadek bohatera. Malwa doświadcza losu młodej kobiety podstępnie usidło- nionej w splocie interesów wielkorodziny. Interesów nie tylko prezizowych, skroto Jan Błażej jest dziedziec bez patrymonium i „węzeł małżeński” stanowi dlań całkiem prozaične źródło utrzymania, rodzaj posady czy synekury. *Dowód* nie jest jednak sztuką z tezą (przy silnych feministycznych akcentach), gdyż śmiechu współtwórcy integralny świat poetycko-groteskowy niejako ponad treściami obyczajowymi. Prawa tego świata ujawnia podział postaci wedle reguł fantastyczne: taksonomii: na ludzki-wiaty, szlachetniejsza odmiane istnieć, oraz ludzi-plazy. Wokół jedynych i drugich dramt rozsnawa się asocjacji przyrodniczych. Daje tu o sobie znać przyrodniczość wyobraźni poetki, która zdolnowała wielo- raki jej liryczne w późniejszym okresie, także pod względem osiobli- wej poetyki antropologii. Sugestie komicznej tożsamości w przypadku Malwy tworzą kolejno: imię, szyćwodziące poetycki rodowod „fiolkowo i różnowości”, barwy kostiumu („lilia, fiolkowo, różowitła”) i — nie na ostatnim miejscu — repliki dialogu, subtelnie ironiczne i wielofunkcyjne, harmonizowane z treścią wydarzeń.

ZYTA

Tak ci pięknie w tym kolorze „zauwa”! Rzeczywiście przypominasz małżeństwo [...] poetycznie [...] iów piękny prawy kwiat zacięta większego. Ale twój skomplikowana dusza to raczej jakby niesamowita, powyt- nana ozdoba! (II, 6)

Zachowując atrybuty osoby Malwa zdaje się ponadto istnieć na podobieństwo „dusz rózanych” (z wiersza poetki po tym tytule), z których „jedne kochaniemi, a te co nie zdolaly, Zakwiatyja rózami”.

Dwoistością istnienia na tej samej zasadzie obdarzony zostaje partner heroíny. Ze swą prostotą i tęzną górala doktor ma uosabiać „samo życie”, „siłę przyrody” (o czym mówi filozoficznie, po schopenhauerowsku — „wółę gorąca” (w znaczeniu dyspozycji do namiętnych uczuć); jest w istocie „najgorętszym tonem” i „męczącym słońcem” dla żony Aldy, ceniące nie uczuciowość więć, lecz wymienne profity zawodowej męzkości. Najgorętsza dyspozycja woli spełnia się tedy w momencie krystalizacji miłości i zostaje usankcjonowana poetycko przez kwitny symbol solarny (zgodnie z kodem lirki autorki Słonecznika).

DOKTOR

Inocny patrz na wszystko... Ciekawa to rzecz jak stani! [dlaie i patrzy w sółe kwiaty] Pyszne te słoneczniki! [...] rozmarzany w tej chwili — rozumnie to, że gdzieś wśród Drogi Mlecznej, na małej planecie Ziemi wśród grozy elementów sprzecznych i okrutnych rakietowa słonecznik: patrz, jak! do słońca podobny! (I, 13).

Na użytek ludzki-plazów taksonomia rezerwie estetyki groteski, co uwidacznia jaskrawo w przypadku męża Malwy tytułowy „dowód osobisty”: anatomiczny defekt Zberzydowcecyś dziedzienny w postaci bion na palcach męskich potémków. Ów znak tożsamości ostał się w rodzinie za jedynę dziedzienną i jako atawizm, „pamiątka po ewolucji”, koresponduje z zachowaniem Jana Błażeja, „rasamiągo degenerata, który poza okrucieństwem zmysłów nie zna żywszych uczuć, nie uznaje miłości, a pod mimizem legmatycznym usposobieniem i zabią mimiką („nadyma się, oczym mu nabrzmiwają”) skrywa naturę jakiegoś wodnika czy amfibii, istoty ziemnowodnej.

Dziwacza biologia i zresztą cała poetycko-groteskowa systematyka dynamizuje intrygę, stanowi jej samonapędzający się mechanizm. Małżeńskie wiery ulegają nieuchronnie rozbiciu jako sprzeczne z naturą i w odrzuceniu kochanków porbowanie sankcji zakazu miłości. Toteż urodziwa żona „plazi” nie tylko okupił grech „erotobójstwa”, ale i naprawi bład przemocą życia rodzaje zdrowie, nie obciążone dziedziczne dziecko. Co z kolei babka i teściowa odbierają jako niewybaczalny despekt. I tak macierzyństwo Malwy staje w centrum uwagi jako kwestia sporna moralnie, roztrząsana na forum „rady familijnej” — stosownie do wielkorodzinyń zwyczajów¹⁹ — z obydwoma matronami na wyróżnioną pozycję strażniczek rodu, patriarchalnych autorytetów. Z tą pozycją związku przezaobawnie kontrastuje emplot, „fasada osobista” jak powiadzałby Goffman²⁰; dziwny język prowincuszek, rekwizyty zniezdolnienia, błąca w oczy parafaniaszczyzna i głupota, wszystko to zdradza status niskich kreacji rodem z farsy czy przemieszanej burleski. Takim też przemieszonym trybem konfrontowane są rące stron konfliktu, wedle dobrze sprawdzonych reguły komicznej, która orzeka — przypominaj za Bergsonem — iż „komiczny jest każdy wypadek, który zwraca uwagę na stronę fizyczną osoby, podczas gdy w grę wchodzi jej strona duchowa”²¹.

Znamiona podobnej inkongruencji w sztuce motywy dziecka z nieprawego łoża i odbita w tym pryzmacie postawa matron. Zawęzła ona jakby dwie strony czy dwa aspekty macierzyństwa: pojawnego instytucjonalnie, w oparciu o zasadę legności pot-

¹⁸ Por. uwagi M. Czerwikskiego (*Przemiany obyczajów*, cyt. wyd. s. 32): *Artyście za nitnych dziełachów autorzyteli rodzice, do sztychero krytycznych odwołują się do „rady familijnej”, do patriarchalnego rodu, do dziwności powojni starszych krewnych. Bani pryncy- tradycyjny normom postępowania był przede wszystkim wywołaniem rząconymi opinii wielkiej rodziny, zaimm stawał się skandalem społecznym.*

¹⁹ S. de Beauvoir: *Druga płeć*, Kraków 1972, II, s. 262.

²⁰ K. Irykowski: *Recepty osobiste*, cyt. wyd. s. 463.

²¹ H. Bergson: *Śmiech. Esaj o komicznym*, Kraków 1977, s. 72.

mstwa. Ta zasada jest dla Zyty i pryncypialnej babki Teodory czymś poza dyskusją, argumentem przeciw winowajczyni. W tym charakterze sankcjonuje ją język inkryminacji, retoryka „apostilstwa” żon, trwałości „wzła małżeńskiego” i „świętej misji kobiet”, apelu do prawdy i do cnoty „świętych” antenatek rodziny, kobiet dobrej rasy. I o to cała budująca retoryka zawisa w próżni, traktat moralny grant, a energia rewindykacyjna chybia celu w świetle faktu, iż pogawłona legalność potomstwa przejawia się na sposób groteskowo trywialny, jako „brak [u dziecka] pełnej cechy związanej z narwiszkiem”, zabich lab mianowicie. W podstępny niejako sposób, opierając na styku groteski i hiperboli, komizm pozabawia matrony ich ożrę i zmienia płaszczyznę sporu. Nie jest nią realna krzywda męża z naturą „płaza” — wiarołomstwo Małwy dotyka go w najmniejszym stopniu — lecz tragedia rodzinno-rodowa i płynące z niej dla kobiety nierzje zakazu. Groteskowy znak Zebrydowieckich jest w jakiej mierze jej symbolem, znakiem w literalnym sensie to „jaka legitymacja” (wedle Zyty) i niewylegitymowanie się młodej matki oznacza z jej strony odmowę poszuszeństwa wobec obyczajów rodziny. Ten rodzaj apozycji, „nieobyczajności” nade wszystko bulwersuje i jednoczy członków klanu:

TEODORA (podnosi się z wolna, w całej swej wspaniałości) Uff! *A wiec przestępstwo! Pięknie, pięknie.*

MAŁWA

Przestępstwo? Ale gdzie tam! Właściwy porządek rzeczy, wbrew kłamstwu i przesądowi! (...)

JAN BŁAŻEJ

Ona mówi nieprzytomnie. Nie wierzę jej.

ZYTA

I mnie się tak zdaje, to obłęd (III, 6)

Potencjał satyryczny ujawnia jednak nie w tym stopniu opisana sytuacja co jej finalna replika, przygotowana na zasadzie komediowej antytezy, z Janem Błażem dla odmiany w roli wiarołomego męża i ojca najmłodszego latorośli Zebrydowieckich — z nieprawego łoża. Scena wygrana jest nadzwyczaj kunsztownie jako efekt teatralny, środkami sytuacyjnego humoru, przede wszystkim jednak daje upust — wedle słów Iryzkowskiego — „wścieklej pasji satyrycznej”¹⁴. Jakoż ceną adopcji ostatniego z rodu jest ruina ludu moralnego wielkiej rodziny. Sztuka obnaża jej fasadowość, hipokryzję, cały ów konserwatywny i parafaniński „familiocentryzm”, instrumentalizujący więź małżeńską, wszystko to za sprawą „jadowej” i natchnionej karykatury matron, „dwa pań Dulskich w hrabioskim domu Zebrydowieckich”¹⁵.

Ożrę satyry służy pośrednio i w tej sztuce gloryfikacji wizerunku miłosnych. Miłość wyróżniać niż w tytu innych dramatach godzi raczej człowieczeństwa kobiety z rękami natury. Kochankowie, z uwagi choćby na swą bujną vitalność istot „kosmofizycznych” (ludzi-kwiatów), mogą czuć się jej prawymi dziećmi, co bynajmniej nie jest regułą u Pawlikowskiej. Trzeba tu przypomnieć znany fakt przesunięcia dominant jej poezji w drugą połowę Dwudziestolecia, kiedy to osobliwy, mistyczny naturalizm — „naturalizm przyrodniczy i hinduski”¹⁶ — podsuwa wyobraźni pisarki obraz okrutny, bo obojętnej na potrzeby serca, Matki Natury.

¹⁴ K. Iryzkowski: *Ibid.*, s. 483.

¹⁵ K. Wierzyński: *Dziś i ostatnio*, [w:] „Gazeta Polska” 1936 w. 277.

¹⁶ A. Steadler: *Pawlikowska na tle prądów kulturalnych epoki*, [w:] *Zebrańskie pismo krytyczne*, Warszawa 1981, t. 1, s. 162.

*Urodziła Miłość, jak matka,
piękna matka o pierzi dziewczęcej...
A dziś — tylko śmiertel jej tyczące,
[...]
o zła matka! Zbrodniarko rzadka*

(Wydziwieńka)

Tego rodzaju personifikacja pozostała, co prawda, głównie domena twórczości poetyckiej.¹⁷ Wzniesło zmienne, janusowe oblicze Matki Natury uwidacznia się między lub bardziej w konflikcie matron i kochanków¹⁸ i poniekąd wymusza innowacyjność sztuki, jak to egzemplifikują *Mrówki* i *Baba-Drwo*.

W pierwszym z tych utworów bajkowo-allegoryczny chwyt zakiekawia znacznie bardziej szczerzej realizacji scenicznej aniżeli przed samą myśl — równie stary jak literatura — przebranie ludzkiej postaci w owadzie kostium. Przed plotką autorka, na progu Dwudziestolecia, ów pomysł odziedziczyła, z powodzeniem, dla teatru Karol Józef Capkowie, w quasi-moralizującym fantazji *Z życia owadów*, gdzie zresztą mrówkom przypada w udziale najśliszej inkryminacja na rola nosicieli idei taylorizmu oraz imperialnych podbojów. Z nieco innych powodów i na oryginalny sposób, dramata Pawlikowskiej potwierdził abominację wiekowej tradycji literatury do społeczeńskiej mrówek.¹⁹ Symptomatycznym rysem tej sztuki, nieożybnym z jej wynomy, jest dwuznaczność kompozycji, rozpisująca konflikt matron i kochanków (a w szerszym aspekcie macierzyństwa i miłości) na role owadzie i ludzkie, i na dwa paralelne przebiegi zdarzeń. Nie jest to w ścisłym znaczeniu paralelizm akcji, lecz określonej sytuacji: dla bohaterów żęj, złowieszczą, gdyż miesi się w sobie zacząć destrukcji zacząć miłosnych i stwarza takim sposobem źródło napięcia dla obydwu kreowanych światów — w ducha rygorów jednokrótkowości.

W świecie mrówczym, gdzie „miłość granicy zawsze ze śmiertcią” (wedle słów Maeterlincka przyrodzonoawcy)²⁰, tego rodzaju napięcie stwarza czas zasłubin, sytuacją przygotowaną do lotu weselnego i w jej ramy wpisany wartościujący podział postaci na odrębne jakby gatunki istot. Akiologia znana z większości sztuk stawia tym wyraźny w opozycji posiadaczy skrzydeł, sposobiących się do lotu wybranym, zalotników i pospolity ogół mrówek robotnic, pozbawionych płci. Skrzydłom nie po raz pierwszy u autorki pisana jest funkcja ważkiego rekwizytu i symbolu, podstawy konstrukcji metafizycznych znaczeń. Ich nosnikiem, nie umniejszając wagi scenografii (autorstwa Karola Frycza w przedstawieniu krakowskim), jest tu sam język przede wszystkim: bogaty w tropy rytualny gry już jako znak duchowej dystynkcji miłośników i miłośnic, istny we władzy Erosa, uskrzydłych wyobraźnią, marzeniem, pasją życia, i światu przynależą mniej do społeczeństwa mrówek a bardziej do „świata powietrza i swiała”²¹, w uniwersalnym wymiarze symboliki lotu i skrzydeł. Co nie zmienia faktu, iż cały ten świat ukany z marzenia i poezji ichej głęboki i zamierzona ironia, przez kontrast do rzeczywistości mrówkowej, do mrocznych kondygnacji piwnic, gdzie ascetycznej i po żołniersku surowe życie toczy się pod dyktando wszechwładnych matron Nadzorują one — to jedna z ich ról — „moralność mrówkowa”, która tylko werbalnie, z nazwy, wyraża interes zbiorowicy.

¹⁷ por. J. Kwiatkowski: *Wzręp do Maria Pawlikowska-Jasnorzewska: Wybór poezji*, Wrocław 1980, s. LXIX-LXXV.

¹⁸ *Od bajki Ezoopa* (...) do utworów *Jana de La Fontaine'a*, *mrówka spojrzeć owadów* była multimedialnym przedstawieniem obywateli, cyt. wg M. Maeterlinck: *Z życia mrówek*, Warszawa 1992, s. 30.

¹⁹ *Ibid.*, s. 42.

²⁰ M. Lurker: *Słownik obrazów i symboli biblijnych*, Poznań 1989, s. 190.

Obyczajowy rygoryzm, odraza do spraw erotyki, jej mściwe pominięcie i reprobowanie, wszystko to stanowi aż nadto czytelny symptom moralności z resentymentu, moralności masy, robotnic, chorych z zawiści o dar skrzydeł elitarnej kasty. Resentyment przeraża się też w czynny odwet, jaki po locie weselnym będzie towarzyszył żądaniu „powrotu do moralności”. Jakoś w drugiej, równorzędnej funkcji matrycy wcielają jakby jedno z janiuscowych oblicz Natury, zabójczy miłość, okrutny instyzy, z licznymi wierszy poetki. Sama formuła alegorii sprzyja dyskretnym nawiązaniom do tych szczególnie poetyckich personifikacji „Matki Natury”, w których daje o sobie znać nie skrywana niechęć do macierzyństwa. Okrucieństwo mroźnic władczyni stanowi więc po części obiektywny atrybut rzecznika praw gatunku (jeśli nie ucieleśnionej Natury) i dobrze wpisuje się w ramy sytuacji przed katastrofą.

Wyrazem przeważ „złej matki” jest jej udział w intrydze romansewej, w uwodzicielskiej grze głównej bohaterki, w charakterze deprawatorki języka. W rezultacie osobowa ze swą instyzy tymnością wyznają grzeźnię w zasadkach „słów pospolitych”, clichés, podsuwanych żręcznie niewojuszom, i na tym poziomie ulaga depersonalizacji:

XAX
Znam na pamięć wasz styl odwieczny, powtarzacie się co roku. [...] SYDIS

Jeśli słowa są wspólne, przędźmy do pocałunków. Te są zawsze nowe, nigdy się nie powtarza. Jak i my sami nigdy się nie powtarzamy (l. 11).

Wywłaszczenie kochanków z języka czyni ich w istocie zakładnikami sił libido, poprzez które — jak w znanym scenariuszu metafizyki miłości Schopenhauera — „geniusz gatunku prowadzi ślepią walkę z opiekuńczy mienszami jednostki, wiecznie łamiąc sterczące osobiste”²³. We własnym ponadjednostkowym interesie.

Schopenhauerowski scenariusz nie pozwala żywić wątpliwości, nie on do wyniku konfrontacji. Ale też nie wynik jest ty instyzy, nie on do w każdym razie rzutuje na wymowę alegorii, lecz sam sposób, ironiczny styl spuentowania konfliktu w zaskakującej antytezie „Wielkiego Finału”. Oto brzemienista i pozabawiona skrzydeł miłośnica, „oflata systemu”, przechodzi na stronę przemianę w sytuacji zagrożenia mroźnika; odnajduje w sobie powołanie i tożsamość matki oraz nową władczyni, personifikującej geniusza gatunku. Żart ironiczny, na tym poziomie uogólnienia, dotyka też dramatu, uwieloznaczania satyrę, stępią jej ostrze, odejmując takim sposobem alegorii natręctwo dyktantyzmu.

Srodkiem, drugi akt jest swego rodzaju ilustracją czy uzupełnieniem do przypowieści alegorycznej, włącza się w jej tok na prawach intermedium. Zmiana estetyki na realistyczną oznacza, iż konflikt przemieszcza się w srodkiem tradycyjnej rodziny, na swój macierzysty grunt obyczajowy. Przy tak wyraźnej autonomii istnieje też uchwytany paralelizm w typie sytuacji dramatycznej, która formalnie przypomina tę z alegorii: jest zła w punkcie wyjścia, złe rokujące dwójmę młodym małżonkom, gdyż miłośnik w sobie zaczyna destrukcję miłośnej węgry. Logikę owej sytuacji tym razem uruchamia czysty przypadek, inaczej niż w mroźnym świecie i o tyle mniej fortunnie. Przypadkiem spowiedziane macierzyństwo Giny ujawnia się nie w porę, w przedmiotu naukowej wyprawy Kajetana, co obojgu zagraża rozłąką i stawia ich w położeniu bez godziwej alternatywy. Dylemat: dziecko lub małżeństwo kochanków (za cenę pozbycia się „klopotu”) z pewnością nie jest najczarniejszym postawionym i nie ma za sobą przekonujących uzasadnień. Tym niemniej sztuka osadza go

dobrze w realiach życia wielkiej rodziny, z jej właściwą hierarchią nadzędności interesu grupy nad jednostkową egzystencją kobiety. Scena sądu familijnego, ostróżkowa zaręczona i węgry na kobiecie i w elckiej jej przemiany — u boku matki i teściowej i poniekąd też z ich wyroku — z indywidualnej instyzy w ogniu gatunku. Tak w każdym razie doświadczają działania owych procedur bohaterka, w czym antycypuje odmianę losu mroźniczej heroiny.

Zagroźnica wolności jednostki i wolności kobiecy nad wszystko, jej czlowięczeństwa realizowanego poprzez miłość, to wopólny temat *Mroźnik* oraz komediogrotki *Baba-Dziwa* (wyst. 1938 z przez krakowski Teatr im. Słowackiego). W roku poprzednim recenzenci niebezasadnie akcentowali jej aktualność i „odwagę w doborze tematu”. Istotnie zmianę formy wymusza niejako polityczny, antytalitariarny. Władczyni mroźnika przyciera tym razem postać dyktatorki państwa Prawy, wniesione do władzy dzięki „rewolucji” i „partii”, przez totalitarny przewrót. Totalitaryzm jest tu „własnym *szl* generis politycznym, co uwidacznia się poprzez styl rządzenia: w balwochwalstwie rytuałów czei „matki ludu” i w osobliwościach socjotechniki oraz języka mediów, gazet i radia, zmienionych na propagandowe taby.

Mitowalęcy kult Validy nie tylko walczy w ruch machinę opresji, ale i obezwładnia duchowo, znierpawia sumienia, jest „trucznicza działająca na duszę”, jak to wykazuje sugestywnie przypadek jednej z postaci sztuki. Osobliwy rozpad osobowości Normana, jego metamorfiza eks-liberala a gdydy tyrani w przykładowy konformistę ma tu walor wzorca, gdy idzie o system motywyacji, w jaki totalitaryzm wika wleży przywoitych skądinąd ludzi. Obok strachu i zewnętrznego przymusu ucieś w tym procencie ma również podziw dla siły i uznanie, czciewnie przynajmniej, zwyciężskich rąk, co narzuca wewnętrzny także przymus lojalności, chęć poddania się prawodawczej woli dyktatorki.

Inna zaś rzecz, iż Valida Yrana nie tyle urzeczywistnia zasadę wodzostwa (bystro podpatrzoną w ruchach faszystowskich), co ją ośmiesza, karykaturuje swoim tymem groteskowym hybrydy, odmienna: ca w jednej osobie woda i psychopata, półżołnierz i półbohaterka. Tak pomysłowa postać jest w sztuce śmiałym chwytem literackim, „gestem śmiechu” obarczonym nader ważną funkcją. Włącza on mianowicie w kontekst problematyki totalitaryzmu i faszyzmu motywy matryny i związane z nim u Pawlikowskiej konotaacje. Władczyni Prawy nie przypadkiem jest honorowana tytułami „Jęć Macierzyński Wysockości” i „Matki Narodu”. Mocny punkt oparcia dla jej inwencji reformatorskiej stanowi troska o rozrodczość, o rodzinę jako „komórkę państwa” i zdeklarowany antyemizm przypisujący jednostkowej kobiecie do zadań macierzyństwa.

Pod tym względem państwo Validy nasuwa nieodparte skojarzenia z Trzecią Rzeszą. Tu i tam rewolucja zarżona w „kwestii kobiecej”, jak i w pomysłach na życie rodzinne pozostaje ultrakonserwatywna, choć nie do końca w tym konserwatywnie konsekwentna. Siła aluzyjność satyrę, przetrwała chociażby w metodach pracy „Syndykatu spraw rodzimych” (odpowiednik nazistowskiego Towarzystwa Rodziny Niemieckiej) i w rozlicznym sposobach wymuszania progrenitury na rzecz państwa. Najbardziej drażliwość i zniech kładzie — narzucając pannom Prawy urzędowych kochanków i obowiązek służby prokreacyjnej. Ow „dopusz Validy”, choć zakrawa na czystą fantazję, narusza społeczne taby nie bardziej może drastycznie aniżeli niektóre praktyki nazistów w rodzaju instyutu Lebensborn (z repopulatorami czystej rasy dla niemieckich dziewczyn) i wizo-

²³ A. Schopenhauer: op. cit. s. 53.

nersko antycypuje sławny rozkaz prokreacyjny Himmlera z lat wojny, legalizujący kontakty przyszłych matek z żołnierzami „bez oglądania się na mieszczańskie prawa i obyczaję”²². Całość działań dyktatorki na rzecz „zaludnienia kraju” jest w stocie przemierzczą repliką osławionej Geburtsschlacht, „kampanii rozrodczej”, zakotwiczonej przez ideologów nazizmu — instytucjonalnie i propagandowo — w ramach wielkiej polityki.

Przypadek Validy nie ze wszystkim jednak wpisuje się w niemiecki kontekst. Komediogroteska podsuwa jej i z naciskiem ekspozuje motywację Freudowską, która zło polityki, w tak morderczym nasileniu, tłumaczy resentymentem brzydkiej kobiety, w kategoriach zatem ekonomii libido: jako przetworzoną w nienawiść energię „zdużonych, zdegradowanych instynktów” (III, 9). To przesunięcie akcentów satyry w kierunku psychopatologii dyktatorki i finałowa samolikwidacja reżimu przez ośmieszenie znanioną zdroworozsądkowy punkt widzenia oraz optymizm właściwy liberalnej opinii w latach trzydziestych, ufnę — wbrew porażającym realiom — w prawa człowieka i w postępie, w przewagę rozumu nad obskurantyzmem i głupotą. Świadectwem tych przewag ma być w sztuce Petronika Gondora, żona konformisty Normana, którą Pawlikowska wyposaża w wymowny nadmiar zalet kobiety pięknej i mądrej, wybitnej uczoniej, przy tym niezrażonej duchowo, odważnie odrzucającej feminizmowi w sytuacji zniezwolenia pisarzędzack. Jej właśnie, jako reżenerowi i portre parolce autorki, wpisano jest komediowa rola likwidatora reżimu Prawi.

Marian Rawiński

²² cyt. wg R. Grundberger: *Historia społeczna Trzeciej Rzeszy*, Warszawa 1987, t. II, s. 87.



Antoni Michalski: Ul. 61, Warszawa, ok. 1919–1922.
Fot. Wapich Szwarc

muzyka

KRZYSZTOF KARPIŃSKI

Jazz w Warszawie

Warszawa z pewnością nie jest centrum europejskiego jazzu i trudno ją porównywać z Paryżem, Londynem czy Rzymem, gdzie funkcjonuje po kilkadziesiąt klubów. Kiedy jednak przyjdzie się doświadczyć, to okazuje się, że nie jest wcale tak źle. Jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka, pomimo że istnieje tylko jeden jeden profesjonalny klub jazzowy.

Naszą wdzięczną za jazzową Warszawę trzeba rozpocząć jednak od księgowi obywateli, w których można kupić periodyki popularyzujące tę właśnie muzykę. Obecnie mamy trzy czasopiisma. Najstarsze z nich to „Jazz Forum”, ukazujące się od 1965 r., poświęcone wydawane przez Polskie Stowarzyszenie Jazzowe i Międzynarodową Federację Jazzową, a teraz przez spółkę „For-Jazz”. W 1994 r. przybyły dwa dalsze. Najpierw „Jazz a’go go” jako miesięcznik Jazz Clubu i Agencji Koncertowej „Akwarium”, aktualnie zaś jako magazyn ukazujący się co sześć tygodni. Niema polskojęz. w polowie roku, powstał „Jazz Magazine” — dwumiesięcznik, którego wydawcą jest „Polonia Records”.

Zapomnieni w te czasopiisma z łatwością dotrzemy do miejsc, gdzie można posłuchać jazzu. Zegociny od Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki, miejsca naszego najstarszego festiwalu jazzowego. Organizowany jest od 1958 r., a pod nazwą „Jazz Jamboree” od 1959 roku. Zawsze w październiku. Ma od dawna wieloletnią rangę i wysoką pozycję. Jamboree to znakomity poziom i bogata tradycja. Występowali w nim znakomici jak Duke Ellington, Miles Davis, Benny Goodman, Woody Herman czy Keith Jarrett. Latwiej byłoby wymienić nazwiska wybitnych artystów, którzy nie zdążyli przyjechać. Są to Louis Armstrong, John Coltrane, Bill Evans i Count Basie, chociaż jego orkiestra koncertowała tu dwukrotnie.

Także w Sali Kongresowej odbywa się inny festiwal — Warsaw Summer Jazz Days. W czerwcu '85 roku miała miejsce jego czwarta edycja. Występują głównie gwiazdy światowego jazzu elektrycznego. Wśród nich znalazł się już m.in. John Scofield, Eddie Gomez, John Zorn, Eric Marientale i Yellow-jackets. Od trzech lat mamy w Warszawie jeszcze jeden festiwal. Ten stał odwołany jest kameralny, organizowany we wrześniu w opróżnionym pałacu Hwarowa. Występują wyłącznie polskie zespoły, zarówno akustyczne jak i elektryczne.

Drugą ważną, ekakluzową salą koncertową, gdzie słucha się jazzu i gdzie kiedyś odbywały się festiwale „Jazz Jamboree” jest sala Filharmonii Narodowej. Wygnało to wiele znakomitości takich jak Staff Smith, Cecil Taylor, Thelonious Monk czy nie tak dawno Stephane Grappelli.

Słowo mówią o salach koncertowych, nie można pominąć Teatru Masego, gdzie od 1994 r., co dwa tygodnie, we wtorki, działa scena jazzowa. Organizatorzy gwarantują udział

najwybitniejszych polskich muzyków oraz niepowtarzalną atmosferę. Występowali Jędrzejko, Janusz Muniak, Michał Kalety, Zbigniew Namysłowski, Andrzej Jagodziński i Sławomir Kulowiec.

Ważnym miejscem jest studio radiowe Programu III — M1 przy ulicy Mysłowieckiej, gdzie co pewien czas są organizowane jazzowe lody. Zapobiegają wyjątkowo zainteresowanie wzbudziła promocja płyty Henryka Miśkiewicza — „More Love” — kiedy to przybyli słuchaczy nie mogli pomieścić noweru stojącego za studiom wystębu.

Jazzowe imprezy mają swoje miejsce także w Studiu Koncertowym S1 przy ulicy Weronicy. Ostatnio odbył się tam specjalny koncert według projektu Wojciecha Myrskiego i Andrzeja Jagodzińskiego po nazwę „Spisunek Komedy”. Wyjątkowo słany, zgromadził szeroką rzeszę słuchaczy.

Koncerty jazzowe organizowane są też okazjowo w dwóch założonych dla kultury miejscach, w Sali Operki Warszawskiej (dawna Roma) oraz w sali Studia BMCA (dawna YMCA). Nie tak dawno odbył się tutaj koncert z okazji pięćdziesiątletniej rocznicy jazzu w polskiej YMCA.

Polacy, podobnie jak Francuzi czy Holendrzy, uwielbiają (i mają możliwość) słuchać muzyki amerykańskiej — w przeciwieństwie do Brytyjczyków, którzy w latach trzydziestych uważali „za sprawę” zwłoków zawodowych muzyka słuchać wyłącznie rodzimych artystów. Wprawdzie także zwłoków jest bardziej liberalnych, ale mamy za to nasierzy tylko jeden klub jazzowy w Warszawie. Ten jedyny profesjonalny klub (powstał w 1977 r.) to Alkarmion. Miejsce, gdzie można słuchać polskich muzyków i właśnie gwiazd światowego jazzu. Koncerty odbywają się głównie w piątki i soboty, a czasem także w niedziele. We wtorki i czwartki działa kawiarenka jazzowa, zaś w lody odbywają się jam sesjony z udziałem polskich muzyków przy dużym zainteresowaniu publiczności — głównie młodzieży. Jest to bardzo dobry pomysł kierownictwa klubu. Okazuje się, że jazz wcale nie musi być muzyką elitarną. W Alkarmion wysiadają też chyba wszyscy polscy muzycy, a wśród gości formatu światowego znaleźli się Bob Berg, Benny Golson, Archie Shepp i Tony Williams. Oprócz muzyki są tu dwa miejsca także obojętne jazz na ulice, funkcjonuje też „Radio Jazz”, którego programy docierają do coraz większej rzeszy odbiorców.

Jeszcze wcześniej, bo w 1972 r., rozpoczęła swoją działalność studencki klub Riwera Remont. Wprawdzie jazzowej działalności nie prowadzi codziennie, ale czwartki jazzowe mają już długą tradycję. Podstawowymi jazzowymi punktami tego klubu festiwalowego. Przeważają nie tutaj wiele gwiazd takich jak Art Blakey, Jan Garbarel, Buddy Rich, Woody Herman czy zmarły niedawno Don Cherry. Miejsce to przypominają paryski klub „New Morning”, ponaje światła amatorskie, otwarty jest tak długo jak długo grają muzyki. To bardzo ważna cecha tego klubu. Odbyły się wiele słynnych jam sesjony, które zapadły w pamięci nie tylko fanów, ale i muzyków. Publiczność jest wyrozumiała, tolerancyjna i otwarta na wszelkie eksperymenty. Klub łansuje przedświadczenia różnych gatunków jazzu.

Inne ciekawe miejsce to Pionica Wandy Warszawskiej w Warszawie. Działali już prawie trzydziście lat (od 1967 r.). Dawnie była to pionica jazzowa, później klub muzyki walczycej, a obecnie Pionica Artystyczna Wandy Warszawskiej i jej meta, muzyka i kompozycja Andrzeja Kurylewicz. Wypisnie prezentują muzykę poważną, współczesną, a ostatnio także i jazzową. Pionica jest czynna raz w tygodniu, w poniedziałek.

W ostatnim czasie wykonywał swoją działalność w 12-letniej przerwie „Jazz Club Rynek” sformalizowany, jak sama nazwa wskazuje, na Ryнку Starego Miasta. Organizacyjnie związany jest ze Staromiejczanką Danem Kucharskim. Jako główne zadanie postawił sobie propagowanie muzyki jazzowej w różnych formach (koncerty, spotkania, wystawy). W okresie letnim w każdą sobotę odbywają się koncerty „Jazz na Starówce”, a wystąpiła cała plejada gwiazd rodzimego jazzu. Klub ten powstał w latach sześćdziesiątych jako „Larghetto”, później nazywał się „Mankini”, a obecnie — po przerwaniu w działalności — znowa zmieniło nazwę. Dla jazzu zarezerwowane są poniedziałki i soboty.

A inne miejsca? Wbrew pozorom jest ich sporo. W klubie „Panorama” hotelu Marriott codziennie rozbrzmiewają dźwięki jazzu. Grupa zespołu bardzo zróżnicowane stylistycznie od Gida Wadswortha po Trio Kazimierza Jonkita. Kawiarenka „Literacka” przy Krakowskich Przedmieściach już od dłuższego czasu promuje muzykę jazzową przy świetnych i dobrej kawie. Jest tam wspaniała, wspaniała atmosfera. W piątki i soboty można usłyszeć Władka Pawlika i Piotra Rudowicza. Ciepłe są tam „zapach” starej Warszawy.

Spocznijcie! Traktom Królewskim trafiony bez trudu do pubu Harenda, tego samego, który organizuje wspaniałomy festiwal polskiego jazzu. We wtorki przy kawie EB można przez kilka godzin posłuchać warszawskich jazzmanów, ale nie tylko, ponieważ kiedyś trafiliom na występ angielskiego tenora Billy Sharda. Kierownictwo pubu ma szerokie plany. Niedługo powstanie tam, po odpowiednich adaptacjach, jazzowa piwnica.

Nie opadaj w podziemiach Akademii Sztuk Pięknych mieliście się „Blue Velvet”, sławny „Amsterdams”. Dni jazzowe to poniedziałki i wtorki. Klub łansuje młodych muzyków. Często występują odlegi wybitni jazzu szkoły muzycznej przy ul. Bebarskiej. Jest też ciekawki i angażujący się w regionie Starówki, to konieczne trzeba dotrzeć do restauracji „Ekologicznej” na Ryнку Nowego Miasta. Tutaj zaś do soboty występują dżetowi jazzowcy. W budynku Filharmonii Narodowej (na jej tyłach) znajduje się pub i restauracja „Opus One”. Ładne wnętrza, niema kuchenia i dobrej Pilzner. W soboteny klub, kiedy piątkowe i łobotnie koncerty organizowała Agencja Kalca, dominiwał jazz. Można było usłyszeć Trio Skawlińskiego, Strubla, Kąkolowicz, Kulenego... Działają jazzu jakby seniej, ale nadal w piątki i soboty można go słuchać.

Jeszcze jednym miejscem miłośnikom uszywanym na Słuku Królewskim jest od pewnego czasu „Cafe Blikle”. Nie jest to wprawdzie klub, ale odbywają się tutaj w piątki i soboty wieczory jazzowe. Występują głównie studenci Akademii Muzycznej.

Najnowszym miejscem poniedziałkowych spotkań jazzowych jest klub „Tango”. Pierwsze odbyło się niedawno, a gospodarzem był perkusista i też śpiewak Quintanero — Eryk Kania. Duża sala i miła atmosfera powodują, że jazzu słucha się tutaj z przyjemnością.

Powinno to w Warszawie mieć tylko jeden przedstawiciel klub jazzowy, to musyły jego gatunku możemy słuchać codziennie w różnych punktach. Występują głównie polscy muzycy, ale „Alkarmion”, jako się rzekło, gości także gwiazdy światowego (czytaj amerykańskiego) jazzu. W wielu innych wymienionych miejscach grają muzyki białej, czarnej, żółtej i różnej. Wiele wspaniałych koncertów miało miejsce w Wydziale Sztuki Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina przy ul. Bebarskiej stowarzyszenia dżetki Polkaimu Stowarzyszenia Jazzowców. Dobre zainteresowanie nadejść w tej szkole spotowania się opóźni, że młodej żyły w polskim jazzie nie zabraknie.

Wielką szkółką, że jazzowej działalności już nie przetrzymują dwa najbardziej zażalone kluby — Hybrydy i Słodka, a bywało, że w piwnicy przy Mokotowskiej można było zobaczyć i usłyszeć Krzysztofa Komelę, a w obornej sali Studia Świętego Jergo Maturkiewicza.

Krzysztof Kurpiński



Janusz Muniak, Wiesław Wrona, 1972, ul. pl. Pol. w Warszawie. (Zdjęcie z ostatnich polskiej gazety)

archiwum

ANDRZEJ NIEWIADOMSKI

Zapomniane wiersze Jerzego Zagórskiego

W roku 1994 minęło dziesięć lat od śmierci Jerzego Zagórskiego (1907 Kijów — 1984 Warszawa), poety, prozaka, dramaturga, eseyisty, tłumacza, krytyka literackiego i teatralnego. Ten katalog twórczych zatrudnień autora *Wypraw* można by jeszcze poszerzyć co najmniej o prace redakcyjne i redaktorskie, co w tym miejscu nie zmienia faktu, iż pierwszoplanowym zagadnieniem poruszanym zawsze dla Zagórskiego poezja. Autor siedemnastu tomy wierszy i czterech wydanych w ostatnim dziesięcioleciu wyborów poezji (w tym ostatniego, opracowanego przez Ryszarda Matyszczyka przed niepełną czterema laty¹) nie dokonał się swojej monografii, przede wszystkim więc idzie o to dziedzinie najwęższej, dzięki której powstania na stałe miały miejsce w historii polskiej literatury XX wieku.

Twórczości Zagórskiego poświęcono co prawda mianem *leśń tekstów*, ale w bardzo nielicznych przypadkach były to szkice wychozące poza obszarki recenzentki lub też w sytuacjach jej wyłącznie w kontekście dokonań wierszy „Zagorów”, czy też szerzej, katastrofizm i neosymbolizm jako nurtów przodających ogarniają dużą część dorobku trz. drugiej awangardy. Najbardziej szerszymi i najbardziej rzetelnymi pracami dotyczącymi poezji Zagórskiego pozostają: rozdział z poświęconego zagęstomowi książki Stanisława Heredia Ostrowskiego *piękną obejmujący twórczość tego autora od momenta debiutu książkowego w roku 1913 do gromadzącego wiersze z lat wojny (czy właściwie z lat 1937-1947) tomy Wiersze w Włocławku z roku 1947² oraz szkic Jacek Pasieczniczakowicz *O katastrofizm i „Komputer”*³.*

Nie jest więc tak, by Zagórski był poety zupełnie nieznanym, nie jest też tak, by twórczość ta była dostatecznie spenetrowana przez badaczy przynajmniej na ogół autorowi *Ostrzu* musta etykiety katastrofizm (i „awangardyzm”), gdy idzie o trzy tomy przedwojenne, oraz poety optymistyczne, pogodnego („klasycystycznego”),

gdy idzie o dorobek powojenny. Na ogół również twórczość pojmowaną uznaje się za mniej ciekawą, oscylującą na pograniczu klasycystycznej pryzmaty, ściśle zamkniętą w obrębie przejrzystej z tradycji literackiej chwytów technicznych i miar wierszowych. Taki rozmiar pomiędzy dwoma etapami twórczości Zagórskiego dostrzegali np. Piotr Kuncewicz. Zachodzi tu — jak twierdził — niezgodność do tego stopnia, by można było podejrzewać, iż teksty przed- i powojenne musiały być „inną rzeką”⁴. A przecież jest Zagórski autorem np. próś protetycznych z tomy *Krawiec* (1959), które zupełnie przeczą takim opiniom, czy też — o czym widać krytyk jeszcze nie wiedział — tomy *Komputer i diamenty* (1975), który należałoby czytać raczej w kontekście twórczości Białołęckiego lub „lingwistycznego” nurtu Nowej Fali niż dwadzieścialetnich mutacji klasycyzmu.

Później rzecz się ma w przypadku katastrofizmu. Pięć Anna Nasilowska: *Jedynym miotłem, gdzie przetrwało trzech katastrofizmów Jerzego Zagórskiego* [po wojnie] się; jego przekłady z *Lermontowa*⁵. I mów należałoby przywołać konkretne teksty: *poemat Krawiec* rzb (1965) czy wiersze z tomy *Rykocetem* (1969) i wspomnianych już *Komputer i diamenty*, by stwierdzić, iż study wierszowych Zagórskiego są obecne i w jego późnej twórczości, oczywiście w formie bardzo modyfikowanej, penetracyjnej zagrożenia रुपной innej natury niż te sprzed roku 1939. Nie można przy tym zupełnie zanegować czepnie lat wojennych i przemiany jakiej podlega wówczas poezja Zagórskiego. *Właściwie się do poezji nową*. *W czasie nowy objawiający zaczęciem porażeniem światła* — tak w metaforycznym skrócie określił sam autor istotę owego przemiany⁶.

Jednakże ni perspektywie diachronicznej, ani synchronicznej nie dają samodzielnie pełnego oglądu tej różnorodnej i skomplikowanej w swoim bogactwie twórczości. Oczywiście, iż mimo to warto się przyjąć chętniej rozprętości inspiracji Zagórskiego w różnych okresach czasu: od Słowackiego i romantyków, poprzez młodopolką poezję ekspresjonistyczną, skandynawską — w szczególności Lechonia i Iwaszkiewicza, poetów Awangardy krakowskiej, futurystów do nadrealistycznego *Wierszy* nowożytności poezji lat dwadzieścia, poprzeczając jedynie na roku 1939 i ponajmniej węższe wpływy i widoczne pokoleniowa z przedwojennymi wierszami generacji: Chocimowicz, Gałczyński i Miłosz. Zagórski jest niewątpliwie *społeczny* *człowiek* *poety* *naprawdę* *edukacyjnym* *powojenne wiersze* [„...dowiodły też prawdy z całą oczywistością] i poetycki woli przychodzić ma być *współczesny* *trud*. *Postać ten ma zawsze w zanadrzu kilka przemyśleń i wariantów poezjowania*”]. Dodajmy, iż warianty te rozciągają się pomiędzy bieżącym Porządku i Przyszłości, tak jak w twórczości Apollinaire’a, którego wiersze Zagórski wielokrotnie przekładał i komentował.

Generalnie rzecz biorąc, w tekstach Zagórskiego z lat trzydziestych dominują poszukiwanie *Przyrody*, każdy następny temat jest zaskakująco inny od poprzedniego, a mimo to, czy może właśnie dlatego — paradoksalnie — widnia się to Porządek, tak jak u klasycystycznych wierszach z *Wypraw* (1937), tak jak u *Ostrzu* na *spadek* *fanta* z *Ostrzu* *mostu* (1933), co mocno podkreślił nieśmiało Kazimierz Wyka⁷. O tych paradoksalnych i wolnych nialist *śledzą* *etapy* *twórczego* *rozwoju* Zagórskiego, także dotyczące pominięcia *obok* *wiersza* *nie publikowane* *przez* *nas* *w* *tomach*, *choć* *dobrze* *znając* *odwrotnie* *charakter* *drugi*, *jak* *przebył* *od* *juweniliów* *do* *ostatnich* *wierszy* „okolicznościowych” z roku 1938 i 1939. Nie są to, oczywiście, teksty należące w przedwojennym dorobku Zagórskiego, zamienia się tu decyzja o niewłączeniu ich do żadnej z trzech wydanych wówczas książek i nieregularności w *ładnym* *i* *poimających* *wyborów*. Nie publikowany w książkach dorobku Zagórskiego sprawi wojny obejmują 21 tekstów poetyckich, spośród których 22 utworów pochodzi z lat 1927-1932, a więc sprzecy debiutu książkowego. W latach późniejszych Zagórski zdecydował się na włączenie do swoich powojennych tomy *juwenili* *jednym* *wierszu* z *bloku* *juweniliów*⁸.

¹ Wybory te są to (z przekładu chronologicznego): *Poeci* *wybrane*, Warszawa 1972, *Włóczy wiersze*, Warszawa 1977, *Poeci*, Warszawa 1983, *Poeci* *wybrane*, Kraków 1981.

² S. Bień: *Myślenie* *szkice*, *opisów* *i* *rysów*, [w:] *Idem*: *Ostrzu* *wieloletnia* *piękna*, *Szkice* *i* *przebieg* *kręgu* *Zagorów*, Warszawa 1980, s. 178-221.

³ J. Pasieczniczakowicz: *O katastrofizm i „Komputer”* [w:] *Idem*: *Wspomnienie* *z* *literatury* *XX* *wieku*, Kraków 1994, s. 199-217. Zob. również inne szkice omawiające poszczególne stany twórczości poetyckiej i Zagórskiego R. Matyszczyka: *Poeci* *nowożytności* *opisów* [w:] *Idem*: *Literatura* *prze* *wojny*, Warszawa 1983, s. 212-226; A. Szukli: *O „Ostrzu* *mostu* *do* *„Czas* *Nowy”*, *„Twój* *człowiek”* [w:] *Idem*: *Wspomnienie* *z* *literatury* *XX* *wieku*, Warszawa 1994, s. 347-366; P. Kuncewicz: *Jerzy* *Zagórski*, *„Twój* *człowiek* *Kalendarz*” 1983, nr 18, s. 4; S. Bień: *Myślenie* *szkice*, *opisów* *i* *rysów* [w:] *Idem*: *Ostrzu* *wieloletnia* *piękna*, *Szkice* *i* *przebieg* *kręgu* *Zagorów*” 1980, nr 36, s. 6; S. Bień: *Myślenie* *szkice* *opisów* *i* *rysów* [w:] *Idem*: *Ostrzu* *wieloletnia* *piękna*, *Szkice* *i* *przebieg* *kręgu* *Zagorów*” 1984, nr 48, s. 6.

⁴ P. Kuncewicz: *Jerzy* *Zagórski*, *„Twój* *człowiek* *Kalendarz*” 1983, nr 18, s. 4.

⁵ A. Nasilowska: *Ostrzu*, *akt*, *akt*, „Krytyka” 1990/1991, nr 4, s. 4.

⁶ Właściwie się do poezji nową z *Jerzy* *Zagórski* *nowożytności* *Stanisław* *Heredia*, *„Idem*, 1983, nr 3, s. 46.

⁷ Właściwie się do poezji nową z *Jerzy* *Zagórski*, *„Poeci*, 1981, nr 56, s. 132.

⁸ O *Ostrzu* *spadek* *fanta* [w:] *Idem*, *Wspomnienie* *z* *literatury* *XX* *wieku*, Warszawa 1994, s. 351.

Idem *Wspomnienie* *z* *literatury* *XX* *wieku*, Warszawa 1994, s. 351.

⁹ S. Bień: *Myślenie* *szkice* *opisów* *i* *rysów* [w:] *Idem*: *Ostrzu* *wieloletnia* *piękna*, *Szkice* *i* *przebieg* *kręgu* *Zagorów*” 1984, nr 48, s. 6.

W niewielkim, niestety, stopniu odwołano przez autora przy komponowaniu tomów *Juvenilia* i wiersze późniejsze, za lat 1933-1937, obowiązując zasadnicze zagadnienie poezji Zagórskiego, pytanie postawione już na progu ówczesnej twórczości: o wzajemne relacje pomiędzy poezją i rzeczywistością — zarówno tą zewnętrzną, jak i wewnętrzną. Wokół tego pytania oscylują niemal wszystkie utwory z debiutanckiego *Ostrza* mimo że oszczędzając komuś *Kompozycji* w łamach zawierających poetyckie refleksje nad problemem kreacji „egzotycznej” twórcy, w kiliego później wprowadziliwion na polu „reportażowym” charakterem tekstu pada wiersz: *Jak dotrzeć do krolu dżimów*¹⁰ kryjące w sobie problem niewystarczalności „czystej” relacji — do zamkniętego księgi pomatu *Kat*, w którym z kolei znajdujemy zapowiedź swoisty tryptyk antynowoczesnych elementów.

Siomka poezji do rzeczywistości zawiera się tu w antynomicznych relacji i kreacji (lęka — szczęście w wierszach sprzed wojny — staje się na ogół profekcja), użytkownicy i estetym, „odwrocenieliśn”, „poetyzowanie”, co nie wyklucza prób godzenia tych sprzecznych stanowisk¹¹.

Podlega rzadko miano do czynienia z relacją w postaci „czystej”, niemniej jednak to z tego bieguna wystrata bardzo obzerze w stosunku do całej twórczości. Wokół poezji obokocierowien, jeden z ciekawych we współczesnej literaturze polskiej, koncentrujący się wokół trzech dominant tematycznych: miłość, historia, religia, a reprezentowany także przez takie teksty jak *Wzwanie do Insi*, *Otwó!* — w jakiej mierze — *Ballada o Gdyni*.

Biegun zaś „fantazjotwórcza” reprezentują *Zachód imaginacji* i *Święte żagł*, które równoległy w czasie z wierszami z *Wyprow* (1937), z którymi, poza dominującą rolę kreacji, łączy go motyw podróży, wyprow, peregrynacji, metaforyzowanie pojnowana jako akt wtagmierzania, wejścia w sferę mistu, przemianywaru barier poznania, także swego rodzaju ucieczki od cywilizacyjnych ograniczeń. Bardzo sięgł bliżej np. do *Jednej podróży* z *Wyprow*¹² podejmującej temat wyimaginowanej wyprowy do Bieguna Północnego (mocno zakamertoniu w twórczości i innych zagarywów), a będący echem rzeczywistych wyprow polarnych w latach dwadziestych i trzydziestych, tyle że „egzotyczna” topika obejmuje w *Święte żagł* zarówno „maorejczyki bezęgl” jak i „dżimów nad morzem białym”, zarówno „aromatki kotloroska”, „równik” jak i „began”. Nie sposób pominąć tu również symboliki wodnej obcej i również w wierszach *Wyprow*, zaś tym, co wyróżnia stawia ten wiersz na zewnątrz wspomnianego tomu, jest brak choćby subtelnie zarysowanego klimatu katastrofického („żepnkota” jest tu tylko „prostą drogą do kolorowych uciech”), nie tak wyraźnego jak w *Ostrza* mimo że *Przyjście hrupa* (1934), jednakoż obecnego w przetrzeźn kładzie z utworów *Wyprow*. W *Święte żagł* „płazi doświadczenia” są pozytywne aspektami radowego tworzenia obecnego przeżyciu metafory pedu, podobny im spódkł pomienionemu w pierwszym numerze „Zagaryw” wiersz *Zachód imaginacji*. Określenie słyże w tytule niewiele ma wspólnego z imaginowaniem jako nazwą konkretnego prądu poetyckiego, choć Zagórski na pewno znalazł wiersze imaginistów rosyjskich, połączył nawet jeden z swoich tekstów Jesieninowa¹³. *Imaginacja* dyscyplina obrazu staje się tu swobodną grą imaginacji, tryktykoma zresztą, bo prowadząca za matowce „fantazjotwórczy”, gdzie dominuje postawichowość wspomnianie „egzotycznej” twórcy. Jest to zapewne echo fascynacji egzotyki, fascynacji charakterystycznej dla dużej części poezji dwudziestolecia, a więc również ślad poetyckich kład Zagórskiego. Także wrosta wprawko, óczeknie wyobraźni, w tym wypadku zbyt mocno eksploatującej efekt „adwienienia”. Przy czym ujawniają się tu już specyficzne cechy, np. często pojawiająca się w przedwójnych

wierszach Zagórskiego metafora nieba jako przestrzeni wzdłuż głębi (stawa, jeziora, oceanu) lub nieba — mikrokosmosowego odbicia, co też zbilża ten tekst bardziej do późniejszych *Wyprow* niż do wielokrotnie powtarzanych wierszów z *Ostrza* mimo.

Na zastawieniu „fantazjotwórczość” i „relacja” nie koczera się jednak przeciwiełstawa i sprzeczności poezji. Dwutorowość rzeczywistości „zapisanej” i „wykrowanej” wynika najprawdopodobniej z dwadziestolecia tkwiącej w strukturze wyobraźni poetyckiej. Wyobraźnia „topograficzna” konkuruje tu z wyobraźnią „fantazmatyczną”, deformująca (jakoż Krzyżard Matuzyszcz — i bardzo to cenimy tu interpretacyjnie, iż Zagórski i do rzeczywistości, i do fantazmatyki — wiersz *Wzwanie do Insi* — w bogini *Jednoczność*¹⁴), a korespondencje pomiędzy tymi dwoma sferami umożliwia wyobraźnia „czysta” tam.

Barczo cępyośn, gdzie pojawiają się „elementy” symbolika, katastroficzne prognozy, wewnętrze powikłania podmiotu wiersza, zaraz też wprowadzone zostają elementy żartu, kpiny czy wręca potropki. Najbardziej w właściwości wyobraźni poetyckiej Zagórskiego przejawia się w poemacie-buzi *Przyjście hrupa*, ale już w młodzieńczych *Skrzyżak* można zauważyć „eksplicitną” na dwie części fantastykę, wcieloną w jedną stronę w „świętu twórcy”, z drugiej zaś — w bogini Demeter i, jeszcze bardziej, pelniej, w „pogańskiego boga” ukazane w malowniczym rozumieniu i nie bez zabawnych rydek.

Wiersz ten, jak inne najwcześniejsze *Juvenilia*, zdradza wyraźne fascynacje poezją romantyczną i młodopolską, ale jeszcze bardziej wpływ ten jest widoczny w cyclicz wierszy o tematyce religijnej reprezentowanych przez *Piąką i Wiedzię*¹⁵. Dodajmy, iż dorobek wymienionych epoch Zagórski przejawia sobie częściowo poprzez skamandrytów, a szczególnie Lechonia. Przy tegoż autoru była — jak wspominał — jedną z jego pierwszych przejęd czytelników. *Podczas wiatru Bógdo Narodzenia 1922*, czy też *Wskokła wierzbytko*, są w sobie *Przyjście Karmazynowy poemat* „Lechonia i czysto go imię (...). W jaki czas potem kapłan sobie sam „jedreń i czaru”, w związku do omówienia autorskiego i wreszcie pięknej obłądki¹⁶. Jak daleko idące były to zapożyczenia, wiadomym nam może konfrontacja fragmentów wierszy Zagórskiego z konkretnymi strofami *Srebrnego i czarnego*, z *Madliva*, *Tosionem* czy *Sprężak*. Wśród tekstów publikowanych w gdańskim tygodniku znalazł się również wiersz „bóh *Wierzbytko* napisany — jak głosi nota redakcyjna — pod wpływem nagrodzenia „Lauru Obłąkajki”¹⁷.

Romantyczny i młodopolski klimat poetyckiej, kopionawo się w tu najbardziej twórczości nieudolność, są bardziej widoczne i, oczywiście, nie umiemywarne artystycznie tak jak u Lechonia czy Wierzbytko. Jakże inaczej, w sposób już całkiem dojrzały, spotykają Zagórski dwudziestorokowe wieki XIX jak i przeobrażone, wielką, można przetrzeźn że czytając teksty z *Wyprow* czy napisany w 1938 roku wiersz *Dziękuję*¹⁸. Raz jeszcze należy wzmianka do problemu żywności tej tradycji, odwołując się do porównań skamandrytów, wskazując na jej domowicz prądności (gdyś idzie np. o wiersze Chachowicza) jedynie z najpóźniejszych tryantów *jakieś* *Imaginacja* *Młodej Polski* odnieść w wyobraźni swoich poetów¹⁹.

Zanim to jednak nastąpi, przejdzie poezji Zagórskiego problemokiem rokien 1929-1934 (tępy powstanie pierwsze wiersze z *Wyprow*) najbardziej burzliwy okres rozwoju. Półna jesienią roku 1929 Zagórski przetrzeźn się z Warszawy do Wława. W początkach roku 1931 powstaje grupa „Zagaryw” i pismo „Kłose” w różnych mutacjach przetrwa do roku 1934. W 1933 roku ukazuje się debiutancki tom Zagórskiego, a w kilkanastu miesięcy później napisane w gdańniu tegorok *Przyjście hrupa*.

Z tego okresu pochodzą: *Popręch*, *Krzywe* w złotych promieniach, *Filozofia* i *Ballada o Gdyni* — wiersze obrazujące ewoluowanie przemian światopoglądu poetyckiego

¹⁰ J. Zagórski, *Ostrza* wiersz, Wława 1933, s. 15.

¹¹ por. wiersz na ten temat S. Boreisa [w:] *Mim: Ostatnia wlebitka jępków. Szkice o parzcy hrupa Zagaryw*, Warszawa 1994, s. 176-180.

¹² J. Zagórski, *Wyprow*, Warszawa 1937, s. 15-17.

¹³ J. Zagórski, *Wiersze*, „Świat Literacki” 1936, nr 5.

¹⁴ R. Matuzyszcz, *Linnowe* pod wiatru, Warszawa 1968, s. 254.

¹⁵ Na rzyku ten składają się utworów *Stadpota*, *Gwiazda*, *Z cypla*, *Aeronomii*, *Bógdo Narodzenia*, *Dziękuję* publikowane w latach 1923-1931 w „Złoty Kłose”, pismo *Chachowicz*, wiersz *Zemroczka*, *Witaj* i układy obywatelstwo by Zagórski. W „Złoty Kłose” pomieszczył on 17 wierszy, ponadto przekłady, prozę, układy polskojęzyczne i krytykę.

¹⁶ J. Zagórski, *Zemroczka* wiersz [w:] *Mim: Przyjście hrupa*, Warszawa 1972, s. 9-10.

¹⁷ „Złoty Kłose” 1932, nr 113, s. 6-7.

¹⁸ J. Zagórski, *Wiersze* w Wławie, Warszawa 1967, s. 47-48.

¹⁹ J. Zagórski, *Bógdo Młodej Polski*, „Kocur Piosenki”, 1931, nr 5, s. 8.

mlodego autora. Od metafizycznej jawności religijnych utworów z okresu gimnazjalnego przechodzi Zagórski do społecznego radykalizmu, niebezpieg zresztą i pozostałym poetom „Zagorów”. Mimo bezpodstawnego spiewdzenia w czasie, olbrzymi dystans doświadczeń „klerek” o typach twórcach z *Piękroza* czy „drabniami przemych”¹¹, „nieprzytomnie oświełami” z *Krzyżów*, „od Świąta Wary” z *Miedzieli*. Obtrzymi dystans doświadczeń niebaldziwnie reflektuje na łamach „ideału starszego narozca”, polęczona Romantyzmu i Odrodzenia, „niezłoty i tajemniczy związek” oraz „uderzenia w ton wierność”¹² od radykalnej publicystyki z „Zagorów”. I nie idzie tu przede wszystkim o antyrytmiczne czy antyrytmiczne akcenty „poeci społeczni”, raczej o podkreślenie rozmiarów zbliżającej się katastrofy „starego” świata, którego religia jest tylko jednym z elementów, tak jak pozostałe (filozofia, nauka) składane kultury archaizmowskiej i zachodnioeuropejskiej, które pojawiają się w innych tekstach Zagórskiego — i nie są to stałe sprostą wyzywaniem nadchodzących czasów,owych „śledczych marszów”. Zwraca tu uwagę pokolewiotwo takiej tradycji z katastrofizmami konstrukcjami myślowymi Witkowskiego. Gdy przyjrzymy się dokładniej przywołanym tu trzem wierszom, powinowactwa okazują się oczywiste. Ideał Zagórskiego i zagorystów nie jest bzdura, zadokladkę Zagórski w imieniu grupy i pokolenia podkreślałże pozostający wymiar sztuki.

Dla tych wierszy wspólna jest jeszcze nie dożała, a „komica” perspektywa potręgania gwiznk¹³, wspólna jest również mocno podkreślona opozycja Natura — Kultura, przy czym Natura to świat transjudyjny, jedyne miejsce, nowa nauka, filozofia i religia, czyli chrystonyjny przedziwny, ustrój, którego ideał rzeczywistości po zagładzie, jak w *Filozofii*, gdzie „gryzłoda moralność martwa przykrąwa sięgniem białym”. Uderzająca jest dożnaczenia fasadyca prymitywizmu, pierwotności i autentyczności domania preczawiotwa — podobnie jak Natura — orozumieniom Kultury. Już we wcześniejszej, młodzieńczej *Historii* obcy optymistyczny kreacji „człowieka wietnego” egarniającego przybity obszar drógowa ludzkości pojawiają się „borowce, ładnie mały”, scenaria prymitywnej postchołka obecna jest w *Pogrzebie*, zaś w *Filozofii* wiąże ład, który „razowe będą narz”, dożywa istoty wyślającego się po upadku właśnie na kład kosmicznej.

Takiej uogólniającej perspektywy porbowiana jest natomiast *Balada o Gdnie*, wiersz aż nazbyt przyoczony radykalnymi akcentami społecznymi. Obrazuje on aż to znakomicie technikę poetycką, jaką w tym okresie bardzo często poluguje się Zagórski. Oprócz odwołanego się po Apolliniarza i awangardę krakowicką jostypowycją komponowania „obcy” wiersza, na kartach utworu wypływa — jawnie właśnie załozenia teoretyczne: *Dulce et expeditum* — pisał Zagórski (...) *powitaj się (...)* nie tylko w kierunku mekacji i rytmiki, należy też podbić przez siebie środki stuwane przez plakat, reportaż i fotomontaż (...). Plakat, reportaż i fotomontaż — są stuwane w celach stylizacyjnych. Wybrałoby sobie stuwowanie ich zaobczy w celach artystycznych”¹⁴. *Balada o Gdnie* była właśnie próbą zastosowania języka fotomontażu i reportażu, migawkami ujęcia wydarzeń z lat wielkiego kryzysu ekonomicznego w Polsce zrutowane są tu na poetycką, bardzo ekspresyjną („stendyzującą”) relację z placu budowy portu i miasta w Gdnie. Można też jednak wypłyłości, czy technika ta zastosowana została bardziej w celach artystycznych czy też stylizacyjnych... Elementy społeczne, mocno lewicowe retoryki mniej dożała, gdy przyjrzymy się bliżej pisanemu, na łamach którego opublikowano *Baladę o Gdnie*, „*Białostaw Pracy*” były organem ruchu młodzieżowego, lewicowskiego obywatelskiego, który co prawda białostawianowie odcinali się od zorganizowanego ruchu komunistycznego i wpływów sowieckich, ale — z drugiej strony — padły tu wydukalizowane hasła gospodarki planowej, zmiany utwór kapitalistycznej, potębiła się ogólnie czarna miedziarłowiki, legioizacja proletariatu i proletaryzacja legimów, czy wręcz, nazywano to Józefa Piłsudskiego

Władzem proletariatu polskiego¹⁵. W takim klimacie politycznym rozdził się pomysł poematu-balet *Przyście wroga*, który to temat — jak twierdził sam autor — był swojego rodzaju dokumentem nwrwaną z lewicą, może nie tak wyrazistym jak głose wypowiedzi Lubodowskiego, Bujnickiego i Miłozeta, ale młodzieńczym papieżem *redubowując warimwinozwać*¹⁶ i groteskową. Tu, podziór nadrealistycznym i dadaistycznym chłobytów, wyszytko stawało się możliwe, także *Przyści i wzajemny wpływ Szalona* i *Przyście wroga* to aż identyczny temat *Przyście wroga*¹⁷.

Z biegiem czasu coraz bardziej poezja Zagórskiego będzie zbliżała się właśnie do politycznych i społecznych konkretności, ale raczej w związku z ideami „przemysłowców” czyni¹⁸. Charakterystyczne dla tej epoki jest wiersz *Oto napłynął już po eksperymencie* *Przyście wroga* i po wydaniu *Wypraw* zawierających teksty z lat 1934-1937 i utwornych przez Fryderyka i Czechowicza za jeden z ciekawych przykładów „poeci artystów”, Zagórski jednak rozumiał już wówczas „poeci artystów” inaczej, jako sztukę o wywyższych napiętkach ideowych, nawet polityczno-ideowych¹⁹. Nie ma więc nic dziwnego w fakcie, iż w październiku 1938 roku, podczas mianowania przez wojaka polskiego Żabka, pojawił się w „Apele”, obcy wiersz Jerzego Pietkiewicza *Do Oly* (*Ostrawicy*, jednocześnie afilimowany wobec tego wydania wiersz Zagórskiego). W miesiąc później w podobny sposób wrócił w druk Czechowicz²⁰, ale i inni autorzy młodszego pokolenia nie pozostają w tyle. Niech za przykład posłuży tu nota redakcyjna opublikowana w „Apele” obcy wierszy Zagórskiego i Pietkiewicza: *Poeci poeci bez względu na dane sprawy artystyczne zgodnym głosem przemówi w ważnym historycznie czasie. W środę 22 września przez Polskę Radio został nadany kwadriam poetów: Odczytano utwory: Jerzego Zagórskiego, Czechowa Miłozeta, Józefa Czechowicza, Konstantego I. Gałczyńskiego, Józefa Lubodowskiego i Stanisława Papki, które wyrażają surowe lecz miłe spojrzenie w obłazę przelanej wojny, pochwalenie pacyfistycznej obłazy, pociętnie zdobyliwą i miłość do ojczyzny siem²¹.*

Nota ta pisaną może nieco na wyrost w stosunku do niektórych wierszy, ale trudno zaprzeczyć, by pogłosy prężności zdobywczej nie porbowiały w *Oly* czy w *Świętym Anazyzycy*, wiersze inspirowanym uroczyściami związanymi z kanonizacją św. Andrzeja Boboli (17 IV 1938) i przewróceniem do kraju setek tysięcy mecznika. Pojawiają się tam nawiązania do bezręcznego Babliona, nawiązania do „kallmachowskich plandry”, „kraju wspaniałokrajczy”, otrzymują też jasne ideologiczne idee, ku którym skłaniał się Piłsudski w swoich konkretnych feleracyjnych i myśli o podniewiercie dziejomym Polski bilabim w tym czasie zarówno Czechowiczowi, jak i Zagórskiemu. W przedziwny sposób idzie te splątają się z symptomami narodowego Zagórskiego, który na horyzontach pojawia się prężność zdobywcza, kiedy we współbadawianym przez niego „Apele” przywołano nota głosi, iż z *z pium literackich w Polsce sprawa zadobycia tytułu się parwazę „Przeto z Mianem”*. Podkreślony to z zauszczkiem.

W swojej poezji okoliczowości Zagórski reagował bardzo szybko na klimat czasu, dając najczęściej myślnie diagnozy, akceptując sprzeczne idee. Swoje pomysły zastanawiał „przy okazji” wspomnieniowego szkicu o Gałczyńskim. Pisał o autorze *Konstante* jednocześnie uogólniającie, kiedy mógłby dotrzeć i jego, i całego pokolenia. *W istocie Gałczyński, jak wielu poezimów, niecie gardził, iż troche nie mógł dać sobie rady z podziwkami polityczno-parajudyjnymi. To nie znaczy bynajmniej, iż poeci tacy*

¹¹ Zob. np. „*Biuletyn Awangardy*”, 1928, nr 7-8 (31-32), s. 14.

¹² Zob. str. 64. *Zakładano* się o ten temat filozofii (cyfryk) kontrowersyjnego wiersza Zagórskiego opisanego szczegółowo w rozprawce: J. Miłozet, *Przedziwny świat*, Wrocław 1964, s. 136-137.

¹³ J. Zagórski, *Wiersze*, seria *Wiersze*, edycja, Kraków 1958, s. 22-23.

¹⁴ Zob. np. „*Biuletyn Pracy*”, 1934, nr 16 (29), s. 1. *Balada o Gdnie* była drukowana również w „*Sztandardzie*” 1933, nr 49 — zgodnie z obywatelskim preferencją „obywatelskiej grupy proletariatu”. W roku 1933 powstał do jej tekstu „Zapamiętanie” i wspaniałego opracowania ostatnich pięciu numerów tego pisma.

¹⁵ Władysław de. *Pracy*, nr 6, s. 40.

¹⁶ J. Zagórski, *Przedziwny świat*, Warszawa, 1964, s. 24.

¹⁷ Już w *Pracy* zostało umieszczone Zagórskiego przedpublikowane utwory Marie podlegający tematu znanemu i wyrażającym w 1931 roku i napisano z komentarzem na temat wyrażenia „wzajemny wpływ”.

¹⁸ J. Zagórski, *Przedziwny świat*, „*Nie*”, 1939, nr 3, 5 (p. 1). *Król*, *Złota* do *Wierszy Awangardy*, Wrocław 1961, s. 308-320.

¹⁹ Zob. J. Czechowicz, *Co opiewa ten „Apele”*, nr 31, dodatek do „*Kuriera Porannego*” z 13 X 1930, s. 9. Porównanie hebrejskiego i łacińskiego „Apele” — Kłaka na temat języka Czechowicza i obywatelskiego jego wypowiedzi związanej także z owym i podobnie, J. Zagórskiego i „*Przedziwny świat*”, Warszawa, 1964, s. 136-137.

²⁰ *Kurier*, 1939, nr 5, s. 45-46.

²¹ *Przedziwny świat*, „*Nie*”, nr 41, dodatek do „*Kuriera Porannego*” z 23 X 1930, s. 9.

²² J. Zagórski, *Święta*, „*Apele*”, nr 40, dodatek do „*Kuriera Porannego*” z 4 IX 1938.

... beśdzie. Przeklecie, murają ich idee, czyli myśli społeczne, ale ustalone schematy polityczne bywają dla nich Prokuratorowym łosem. Tragofarzą bywają dla nich sprężynki się z jakimiś furgonem publicystycznym. A bywa komeciolecia!¹¹

Ale wreszcie, w latach 1937-1939 pozwalając się kilkakrotnie na dziadziostwo Słowackiego, odwołując się inspirowaną rolę autora Zborowskiego w stosunku do własnej twórczości, pisał Zagórski — również na łamach „Przodu z motta” — iż Słowacki potrafił tak pięknie skłócić w sobie północny romantyzm Bałtyku i Mór, Północnych romantyzm Anglików, Niemców, a w Polsce widział z jasnością słoneczną cywilizacji klasycznej, kwintesję wreszcie tam, gdzie człowiek genetycznie związany z północnym trzęsieniem Earopy dotrą do mór polubawionych i wpry w nich odbić oblicze Bogu Pięknemu, nieinteraktywne jak cała kultura humanistyczna: grecko-lacinijsko-polska¹². W sposób dostrzegany bura wojenna znowocześnie sładzenia Zagórskiego do co dziej jagiellońskich i kwilącego Międzyrzecza, nie podobało jego wreszci Polonię, Italia, do której tuż przed wreszciową kłęką kierował nie porbowany natwórci i dyskretnych akcentów mocarstwowych apeli o zdrowy rozsądek i sojusz oparty na kulturowej jedności obu krajów. Wojna nie podwylała jednak w sposób zasadniczy jego wiary w trwałość fundamentów cywilizacji europejskiej. Dal temu wyraz w roku 1947 pisząc *Capella del Medici* i *Zawołanie nad wzięciem Mawerjydok* — credo XX-wiecznego klasyka wywołanego na stracy normicznych wartości przeciw barbarzyńskim Północy i Wschodowi. Dal temu wyraz również i w twórczości okupacyjnej (jest Zagórski, jeśli wierzyć dacie położonej pod tekstem, m.in. autorem jednego z pierwszych wierszy o Katyniu — *Bullady o Kaszji Górze*), co w niczym nie zmienił fakta, iż na przejściu od zaoczności rewolucji, katastrofy, barbarzyńskiej Natury do spokojnej, wyważonej refleksji kulturowej nie kończy się proces artystycznej ewolucji Zagórskiego. Ale byłoby to temat na zupełnie inny, odrębny komentarz dotyczący późniejszej twórczości jego — by pozostał przy paradoksalnym — tak anachronicznego i jednocześnie tak bardzo nam współczesnego poety.

Andrzej Niewiadomski

JERZY ZAGÓRSKI

Piątek

Ciechy morza wzburzone i detwały ochłanie,
Otwieralo się niebo na światła spazmy,
I smęły się znaki, i z drżącymi sty
Sza ziemia Wiciej Radona o Wielkiej Przemianie.

Góry znowi, doliny napędza Zbawiciel,
Ścieżki ludzkie prostuje grzmią ręką Boża —
— Ciąko i krowa na bierząci — Te rzezy tak trwoda...
Zali ty Elize, Mojżesz, czyś Mejasz, czyś miociele!

A dziś wiemy, po wiekach, że mógł chleb romońcój,
Mógł wkreszać, mógł udzwania Zbawca Tajemniczy,
Tylko nie mógł odsunąć Kielicha gorocy,
Tylko nie mógł Bonkości o Ludzkość zabużyć

„Zycie Słoby”, nr 12-13 (16-17), marzec-kwiecień 1929

¹¹ J. Zagórski, *Z Głębokości* [w:] *Identy. Słoby. Kraków 1958*, s. 403.

¹² J. Zagórski, *Znowo trądyjmy paręty upokorzone*, *Słoby*, „Przodu z motta”, 1938, nr 18, s. 3.

Niedziela

Gdy słodce odde pokon dostojnym obłokom
I świętacza niedziela popłynie homażem,
Trzeba brać będzie każdą godzinę poranną
I jak świętą rzecz wiać z pokorą głęboką.

Bo sprawa najważniejsza z cudownych spraw wustycznych,
Kiedy biegnie przez ziemę radość wielobieżna
Jest to, że się kantazny przodołali w listki
I że czas, co przemija, tak wosycio pamięta.

I kiedy w nicosi dają systemy słoneczne
Nie zmienić się nie może w najgłębszych ochłaniach,
A kiedy świat się krzyzy i zanika — wieczne
Jest Zycie, Święto Wiatry i Dzień Zmartwychwstania.

„Zycie Słoby”, nr 12-13 (16-17), marzec-kwiecień 1929

Historia

Smagani wiatrem chłodnym, przy niemiej gwiazd pochodni,
Berwelno, ludzkie mały, zmekani, nędzy, głodni,
U wrot zamierzających czasów, gdzie mroki straż trzymają,
Z gór, jezior, jaskiń, lasów wysuili myśli zgrają.
Ogniska w borach póny, siekiery w dżunglach warczą,
Wyroby młode pędy nad kłódą ziemi starczą.
Powsiedziacie łądy, morza, czy kłose z was pamięta,
Jak pierwszy rudy proszocur nakładal ziemi pęta.
Ciosane ronną dotny w Norwegiach, Alpach, Tairach,
Nad brzegiem mór bengalskich, w Australacji i Sumatrach.
Wojenne rąbią ścieżki nad surtem Amazozi,
Przez wszystkie dżungle przędą, rozewą lian potroczki.

Na górach Babilonów, na drógach praetaztre
Natejami słuch i dżucham, wysuili wrok i patrzę.
Hakami dal roznajgam mój symbol jednowieczny,
I jestem zwykły człowiek, i jestem człowiek wieczny.

„Zycie Słoby”, nr 12 (16), wyrost 1929

Skrzydła

Dwie strony jednej rzezy, dwa skrzydła i ramiona:
Jednym, zwiniętym czarno, uderzam o wieko trumny,
Pod drugim ptaki rzoniewa Doneter zapłoniona
I locą w powietrzu czarno jak ukryzione kulony:

Albo w sielankie pole tonąży w Alilejach,
Gdzie pastuszkowie chodzą z futarką w obępcy,
Albo po łąkach, gajach, pwinocach, uszach, trzajach,
W zieleni gęstych krzaków popatki bóg się męczy.

Ten smagły pierś ukazuje, rozwarzy włos nad głową,
I magi na kwadrzydze z kokczaszem słotyżny zminka,
Albo komnaty, mroczozy i z czaszą kwadrzydową
Na szron ogromny lasu wystawi rogi byka.

I może ciało włożyć przez paproć, cieni i wrony,
Aż oko krwi nabiegnie o miotąg rudy spąg,
A może także gwiazdy, jak spęc wąż z włoy,
I na niej jak na smoku cwałował do Walhalli.

„Alma Mater Vilnensis” 1930, z. 9

Zachód imaginistyczny

Grążyło się w boryzoni, jak ziarno kaliste
I rodo z horyzontu, krzakami z karmim,
Usta twoje, jak melon rozcięty soczyste
Przypomniały mi wyraz zapobiony, wyląd.

Po Nilu, jak dalekim, stada krokodylat
W chłopcie fal milustych kawalkąd płyną.

W nieokodzewie korali, w pobudniowym morzu
Zagłę, pletwy i myśli miłotko poloyim.
Rozgwiazdy, kłosek meduz i grzyby gąbczaste
Przywijają spokojem, jak umarłe miasto.

Kto nam ujęł kolorów, a modlitwy dodał?

Fantastycznie migocze wysoka utoda
Piękniejsza niż posagi niż brwi twejzy zarys.
W niebie — stawie, salanym fioletową wodą
Spłecione dwukolorem buchają Antares.

„Zapory” 1931, nr 1

Filozofia

Wśród ławo czarunolotnych pod urobiecie zastęglą rosą
Tak samo z Bogiem niezmiernym, jak z chwastem najładnym mówię:
Rozpici na kryształ smutku skrzydłach celnursnego pastosa
Miłocią świat chemy objąć, jak ziemię epina równik.

Leż świat zanadto nas przeszedł. Więże się nasze drzewczą
Sercu pokryte sukmem z drzewion dębogą półton.
Przy stalowe wirny szarpacie w bezpłdnej rozpaczy
Jesienią jako wieśwótki po klacie skaczące w kółko.

Tu, gdzie my dzisiaj gnijemy, kiedy wyroną kłoy
I ludzie od nas mocniejsi będą razowce żarli.
Pod pędem orangutanów przyną barierę Arioń
Z nap zetrą most do Walhalli, niwano, tuż i niebiosą

Takich nas wieści ucą odgłosy ślądych marow
równie nam wrogich i obcych, jak dnia wczorajszego doyt.
Dlatego wierze piżemy, choć wierze nam nie wystarczy,
Chłodna jest nasza mowa. Kwitniemy przydrożne osy.

Uczmy się lotu jaskółek, mądrości klonów i brzoń.
Myśli błękitnych jak chabry, snów zielonkawych, jak trawy.
Czas idzie cicho nad nami, krew w żyłach ścina jak meż.
Przyroda moralność martwą przykrywa śniegiem białawym.

„Zapory” 1931, nr 4

Pogrzeb

Wieczorem zasnęło cichutko.
Kapłan na czarna salanę komię z czarnych koronek włożył.
ryczą gardłowo rogiuszał klarki o tpeych wzniarach.
wyuczono was wyuczono, jak się modlitwy odszają
modlitwa siebą przysporzy

chwaly znakome i krótkiej.

Anioły i świętych postacie w różnych porach na ścianach kaplicy
słowem piśni o produkcji trąbki wietrował będą.
pala się knoty świec z woska w długich blaszanych gronnicach,
odhaszczyły się ornamenty czerwonej, zielonej barwy —
Po co ci trumno dębowa ten cały blaszany splendor.

Na katafalku
dalu świętocytny, której ktoś dobry narwał.
targa chorągwie wiatr, na katafalku
spoczywa trumna podłożna.

Trumna dębowa jest żółta, od piasku kolorem sie różna,
trumnę ponypie się psuikiem, będzie po całej paradiże.

Ślady głębokie na blicie zostawił osakłony karawan
ślady zdepciane zamknięta,
ostatnia wyprawa
śląd kładzie.

Drzewy ponylany w niebiosą
do nich uczepione tasienki pocierny nitych

W ogniu na stosach
żegnaliśmy popioły tragicznym krzykiem
lub starców opatysłonych w liście palm
żywcom zakopanych w mułe depulimy z taciuc
czarne talusie wplódyły w drapieżny kłocach
stopami nóg roboczących wybijal psalmy klan.

Pod ostroki kościolów sianieny zmierzwiotnym tłumem
prośbę o sęd ostaterczy warg rochylany bładość.

Zasnęła cichutko wieczorem.
w trumnie
dwarz się już musi zapadać.

Cześć oddajemy umarłym, jak wiele jest nekrofilii
w kłrem pokrytych słowach.
Lepiej lepiej żeby nad dółem w którym się bliżkich chwaja
nie krył leż jawor lub jesion ranie szerokie pochylil

„Alma Mater Vilnensis” 1932, z. 10

Krzyże ze złotych promieniach

Kłhly
promienie
krzyż miał promienie ze złota
czubem
promienie w czterech pękach stosach

piechotę

— przez twarde brukowe kamienie
biegłem zmęczony i bosy.

Jak nam chociaż w jedwabnych się podartych i zachlapanych błotem koszulach
spod których bezo świeżą lekko obrotlinię i rzedniejącąwaną nogi
przebiegać widać wieńc i drapaczków, które w milczeniu się tulą
o jaki test, bojować, o jaki kocieli i bogi?

Place okrągłe i prostokątne
placem się kończy ulica lub kończy zaskłmionym ślepy
perspektywę zawsze zamknięte budowa

z frontonem,
krok wzmagam podpierając patnik
płocę

frontony frontony z krzyżami

krzyż koł rozgrzesza
i kłazi

kto krzyże w złote promienie kłujące i wrogie oświat?
kto nieprzystępe świątynie zawiązał w drażniący przepęty.

A przecież bym jak Rosjanin był prostakiemsiemu Bogu
pokłony czołem w podłogę pod czarnym surowym krzyżem

Wiórami, wiórami, wiórami na pola lecinny do stopów
suchoła w nas jest i samotność i ogni jęzory rzye.

Dym czy poranek przez szybę przepływał siłą zastoną
za oknem czerwono.

„Sęp” 1933, nr 2

Ballada o Gdyni

Karabiny na karkach okrągłych —
pólsaie dziewczęta
w kostiumach na plaży
chwyciły maszyny półtona.
Witła Gdynia okryty
okrzykiem syren przeciagłych
i Bałtyk wodę z oliwku
poddawał pod cios marynarzy.

Nadajemy najnowsze depesze, ostatnie wiadomości z frontu;
Woda na chwałę fauryson zalała czarny Klimentów.

Przyjeżdżał w pociągach do Gdyni
ładnie krzykowi i Bł,
z mota dźwięgli port, dokami zdobili Ojczyznę,
Gęby do krzyku skure buchały patriotyzmem;
figurwerki z kamiennej góry!
do siebie wrzuciła pięć!
ty nam Panie Boże uszczęśli
swojo grzmij!

Dymy z kominów Łodzi, jak dymy z fajki...
10 000 ludzi w Białymstoku ogłosiło strajk...

Na chwałę wykickom żelaza, na chwałę wykickom pracy,
na wielkim tarasie nad kinem urządzono wytworną kawiarnię.
Tam przy oknieznie wieczorem Francuzi, Żydzi, Polacy
pił maszaram i wermoszek w państwie pożytnym i karowym.

W świecie brudnym, krzywym, otoczonym przez święcki,
głód przynaglił do krzyka ślicznych handlarzy.

Na bruk, na bruk rozspala cukierki
dzwierzyzna konkurentka krzyżaczemu sprzedawcy.
Patrzyła w zdumieniu ulica, jak ją dopędził przy ławce:
plakał z powodu straty, kopał, był pięścią po twarzy.

Czowali, czowali nad nami, budują z betonu gmachy,
ludziom bogatym i pewnym, buski, hangary, stocznie.

Miliony dolarów idą na jedną wytworną pocztę.
Kola armatnie wirują po strosach, idących na zachód,
zwie rozmazają na brudzi, ślaczem chrupoczą o kamieni.
Premier odłożył gazetę. Niespokojnie mruga oczami.

„Polonia Pracy” 1933, nr 42

Śpiew żagli

My, żagle rozwiane, my kochamy każdy wiatr
i bryzę wiewająca od brzegów

i mocnych elbrzymów północy.

Każdy wicher dla nas niesie jakiś królewski dar
w każdej burzy słyszemy nawoływanie

Najlepszy podmuch sam kaze polegnąć pełne uśmiechów przystanie
najlepszy podmuch nas porwać i prowadzić jest w mocy
na zwrotnik kontrołowca, na równik, na biegun.

W naszych napiętych płacach drżą jak oddech przeciecznia
i maoryckich brzegów i tundry nad morzem białym,
tęsknota jest prostą drogą do kolorowych wcięci
fal — oceanid ramiona będą nas dosięgają.

Wyciągną się, sięgną po rękę, do belki i omarzowani
i będą nas napinaly jak trójwymiarowy hak
a my zapłacemy do maszta (a maszt, rusztowanie to Bóg)
trzymaj nas w swych ramionach, a ty o świecie nas oświ.

Lece pierwej nam bębnie dane drżące uśmiechy gwiazd
porząd, a są uśmiechy co odbijają od statki,
ale nie bójcie się bracia żadnego rozprzerzenia.
Na kapitańskim pokładzie szczerono nas tajemnicy.
że pieśni doświadczenia

bywają czystsze niż pieśni niewiannoci

A pierwszy na świecie pościę
sworzyłi boskie wichry — natchnieni murzy.

„Nowa Kwadręga” 1937, nr 2

Olza

Pięćci uderza historii marsz.
Na ciemną rzekę wyrusza prom.
Krwawo jest niebo i płonie dom.
Trzymać w bram ojczyzny straż!

Prosty jest rozkaz. Nie wolno paść.
Praca i wojna — to — jeden front.
Każdy twój czyn podpuła łont
i broń żołnierzem podaje w garść.

Surowy drzynie wykuwa los.
W siumienia brmi okraty głos:
Jeśli się polska poleje krew,
W imię tej krwi twój będzie śpiew.

Nie my wolamy z niebiosów krwi,
Lecz siebie z obcych wywołamy paszce.
Dla ziem za Ołta, gdzie lud jest nasz,
Musiał otworzyć Ojczyzna drzwi.

„April”, nr 43 (dodatek do „Kartek Porannej” z 2 X 1939)

Wezwanie do Italii

Italio najpiękniejsza!
Matko kultury łacińskiej,
Do Ciebie z dalszej Polski leci braterski głos!
Niechże ten krzyk miłości
Z rąk broni nam nie wytrąca
I męstwa w nas nie umniejsza,
Jeśli historia każe w boju porównać los.

Alb Italio piękna,
Nim Rzymkie i Polskie miecz
Kate utopię w krwi nieustępliwych czas,
Który narodom mężnym drogę do dziejów zmości,
Usłysz — pragniesz przecież
W ogniu takiej rozprawy
Mieć twych żołnierzy nie przycy, lecz obok nas.

Wdziąłem w Wenecji okrycy
Grające w błękitnym morzu,
W Florencji Botticellogo Venus wśród konch i trąb,
Eterne męstwo nasienie!
Historia jest pięknie wierna,
Piękna jestro i ozmaragd
Pod San Gaudolfo zamkiem jest fal poruszane grą.

Italio! Pod Colosseum
Chodźłem pod dziejów dzwonen.
Do Twoego wielkiego dziedzictwa hardo się

przymać imię,

Bo moi ryocy przodkowie
Nieśli z wojennym śpiewem
Przez tryzję lat najpiękniejszy
Błask Twojej Wiary i Setki w Północy i Wschodu
sen.

A gdzie nasz panurec docierał,
Tam szedł Zakoma Jenerał,
To tweje granice, o Rzymie, zmaczył nasz miecz i pług.
Artyści włoscy z polskimi
Stawili w krakowskiej Ziemi
Wawel, Pałace w Warszawie,
I Wilno z kościołem Anny, szczytem gotyckich sztuk.

Wjść Twoje miotacze ognia
I bomb i torped powietrznych
Niechże tuaj poleć na dachów miedzianych śniegów.

Italio, o ziemio Paławy,
Naszycielko Zamoykich,
Nasichnienie Kochanowickich,
Lepiej ci ranić przyjaźnią naszą przy sobie mieć!

Ody sprzeciżę nas wciążą siły
Los nas podnieł na krótko.
Ami akkcentu na sero z obecných układów wróit
Z Habsburgiem walczące legiony,
Nie Cymbry, czy Testony
Od naszych pól przychodźły
Z bronią do twych miast starożytnych i
szafitowych wzgórz.

Legną się ludy łupieżców,
Osłoma i szal je popępla.
Słuszność potanie skryjda narodom chciwym i złym.
Lecz są i tacy zdobywcy,
Którzy gźniekołwiek dotrą
Tam milknie ciemność i nędza.
Takim Narodem jest Polska, Italia i taki był Rzym.

„Kronika Polski i Świata” 1939, nr 13

W poprzednim numerze:

Bolesław Taborski: *wiersze* • Michał Głowiński: *opowiadania*
• Władysław Panas: *Bruno kabalista. O kosmogonii kabalistycznej*
Brunona Schulza • Tadeusz Chabrowski: *wiersze* • Danuta
Mostwa: *Na tamtą stronę* • Maria Józefacka: *Na tamtą stronę*
• Zofia Grzesiak: *Pajka* • Zbigniew Miłczarek: *„Wyalienowanie*
z samotności” — Schulzowska praca dialogu • Waldemar Zys-
kiewicz: *wiersze* • Agata Skowron-Nalborczyk: *Wzycyśmy byliśmy*
kiedyś drzewami... • Katarzyna Nalepa: *wiersze* • Lidia Dziedzic:
„Konieczny bytu cień” — Ironia romantyczna w poezji Władysław
Szyborskiej • Fuad Rifka: *Zbieracz chrustu* • Anonim (T):
Pomocnik geometry • Jerzy Kutnik: *Cage [kontekst] [pre]tekst.*

Ponadto:

Antoni Maślński: *Barokowe wieże Wilna* • Lechosław Lameński:
Poznań i zrozumienie fenomen malarstwa Marka Tarleckiego • Irena
Sławińska: *Okrutna nadzieja w teatrze współczesnym* • Marek
Kusiba, Roman Sabo: *Zatrącić poczucie ojczyzny* • Urszula M.
Benka: *Delphi* • Dorota Janowska: *Merce Cunningham: Taniec jest*
życiem • Merce Cunningham: *O tańcu, muzyce i sztukach plastycz-
nych* • Zbigniew Józwick: *Zapiski z wyprawy na Spitsbergen* • Recen-
zje • Noty.

◆ podróże ◆

RYSZARD MATUSZEWSKI

NAD ŚWITEZIĄ I NIEMNEM*

I. „Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie...”

15 VI

Granica, mińska czas o godzinie (...) Dojazd do Grodna, most na Niemnie. Ostatni raz byłem tu 29 sierpnia 1939 roku. Stąd ruszyłem z moją dywizją na wojnę. Dworzec — oczywiście nowy, powojenny. Ale i plac przed dworcem naszym nie przypomina miasta, które kiedyś miałem buszować, nieco powojniarskie „wielkomojskie”, chyba już z czasów postwojennych.

Na peronie spotyka nas nasza przewodniczka, Natasa R. Prowadzi nas wprost do autokaru, którym pojedziemy do Nowogródka. Grodno objeżdżamy dopiero w drodze powrotnej. Na siedzeniach autokaru znajdujemy foliery z muzeum Mickiewicza w Nowogródku i program wycołki. Jedyną osobą na Lidę, za Muzaczymem w Nowogródku, to przewodniczka. Po drodze p. Natasa przedstawia się. Wyjaśnia, że nie jest przewodniczką zawodową i przepiera za amatorki charakter swoich informacji, co brzmi miło i ujmująco. Otwierają, że most Białoruński-katolicki i od razu określa swój stosunek do dawnych władz sowieckich jako krytyczny.

W Szacarynie zarządza krótki postój koło miejscowego kościoła i zabiega o to, by nam pokazać owe świątynie, niedawno przywróconą do religijnej funkcji po latach, kiedy była jakimś magazynem. Świątynia proboszcza — mikołaj, w roboczej bluzie, bez sakramentu, wkrótce przekonywany, że większość czynnych tu w tej chwili katolickich świątyni. Wkrótce przekonany się, że większość czynnych tu w tej chwili katolickich świątyni to typowi „kucza-robotnicy”, rodzaj misjonarzy, którzy starają się dochwytać dla Kościoła to wszystko, co stracił w latach sowieckiej przemocy. Wieród dziesięć milionów Białorusinów są dwa miliony rzymskich katolików. Chyba rezultat carniej jeszcze kasty Kościoła unickiego. Tylko nicale pół miliona tujejszych katolików to ludność polska, reszta — Białorusini. Toż są kępa, których wielu przyjeżdża tu z Polski, muszą mieć Białoruski i mieć świadomość, że najbardziej straszną i pracę duszpasterską możliwość zarzuci, że usiłują Białorusinów polonizować.

Nowogródek — pierwsze wrażenia

Miła niespodzianka: pozostał mały, krowymin miasteczkiem, prawie niekierującym rozbudową w czasach sowieckich, bez pompy, szarych bloków. Hotel „Nowag-

rudak”, w którym będziemy mieszkać, jest trzypiętrowy. Jako „nestorow” udaje mi się dostać pokój przy ścianie, misy — na najpiękniejszym piętrze, bez windy. Ale try piętra to nie dziecinia, jakoś się przetrzyma. Obowiązkowo to schody: wykładane płytkami z jakiegoś marmuru czy jego imitacji, przy czym każdy kawałek jest innej wielkości. Mało tego: każdy stopień ma inną wysokość i inną szerokość — przewidziano oczywiście socjalistycznego budownictwa. Pokój bez przysianka, ale z umywalką i klozetem (...)

Po kolacji (jest ośma i całkiem jeszcze jasno) idziemy pod przewodem prof. Makłowicza, który już w Nowogródka był w minionym roku, na spacer po miasteczku. Mijamy półwiekszo rabadowany rynek z dalszym zalewaniem i idziemy w stronę dworców mickiewiczowskiego, a potem ruin zamku Mendoga.

Nie zdawszem sobie sprawy, że uroda Nowogródka polega nie na przystojności terenu, na którym został zabudowany. Ta cała Nowogródzka, którą zapamiętałem z przedwojennej wyprawy z matką w r. 1926 (okolice Nieświeża) jest w porównaniu z Nowogródkiem płaską. Tu nie widać, na którym stoi ruiny zamku, a jeszcze bardziej z niewielkiego kopsa, jaki w pobliżu ruin wystąpił wzniesienie, roztacza się rozległy widok na całą okolicę, na wielkie płaskizny pól i łąk. W przedświatach po Nowogródka i Nowogródzkiem znajduję informacje, że miasteczko leży 120 m n.p.m., 160 metrów wyżej niż najbliższa stacja kolejowa Nowożeńka, odległa odń o 23 kilometry. Ta odległość od koki to chyba główny powód, że miasto omięga nowoczesna rozbudowa, a to, że w Polsce międzywojennej umieszczono tu siedzibę województwa, jest właściwie chyba jeszcze jednym przejawem wpływu idei romantycznych na administratorów odkrywanego państwa: dwudzie 10 tys. mieszkańców Nowogródka (w tym 30% Żydów) to skądinąd powiatowe miasteczko. I w dodatku brak koki. Więc chyba jednak ten Mickiewicz powiastował nie wojewódzka. I w dodatku brak koki. Więc chyba jednak ten Mickiewicz powiastował... Mickiewicz i moi chwytająca za serce umiada tego meczka?

Dworek „Mickiewiczowski” z frontonem na słupkach, który drobnym gonitkiem jak stare wiejskie domki na Sawałaczynie, to oczywiście całkiem nowa próba rekonstrukcji dawno nie istniejącego rodzinnego domu państwa Mikołajewiczów Mickiewiczów. Pomnik Mickiewicza koło ruin zamku też całkiem nowy, odsłonięty w r. 1982, dłuta Walego Januszewicza, Polaka z Mittau. Ładny i chyba lepszy od wszystkich innych mi znanych i sławniejszych. Składa się z lekkin, naturalnym gestem uniesionej ręki, fałdy płaszcza — klasyczne, głowa według tradycyjnych wzorów, zgrabność swasty — wół je postać od sławnych pomników — Godebskiego w Warszawie i Bourdelle'a w Paryżu, nie mówiąc już o krakowskim kolumni Rygiera.

Kopiec... Oczywiście naturalna refleksja o tym naszym narodowym obyczaju czczenia heroów, tak by najędźmiś małej tradycji z realizacją postępowość misjonarzy: kopiec rozpaczać tradycję niż zwalczać pomnik i nie ma takich przykłada, choć niewątpliwie baldocy dążyć rad... Jeden z pierwszych wbiegami kręć betonową ścieżką na wzierchołek: widok nieporównany, choć wysokie drzewa skryły ruiny zamku Mendoga.

„Zamek na barkach nowogródzkiej góry”

Ruiny — bardzo malownicze. Od razu wyskakuje w pamięci Mickiewiczowski „Zamek na barkach nowogródzkiej góry...” Dopiero tu, na tym miejscu, da się odczuć bliskość realnego tego określenia. Raina składa się z resztek dwu potężnych baszt kilkastometrowej wysokości oraz oszczątków murów otaczających zamkowy dziedzińiec. Wzryskło to otoczono głęboką fosą.

Po walach z darni i po stromym boku

Ollryczym okropem łamał się ciół bary

Spadając w fosę, gdzie wlecz wieżycyż cieżni

Dzyszał woda spod zielonych pleśni

(Owajna, w. 10-13)

I dni niestrudno sobie wyobrazić ze fosy wypiękosa woda. Przez otwór jednej z baszt można oglądać położony niżej, z drugiej strony opadającego tu stromo wzgłęza — kościół fary. Tu kama z postarpanego muru baszty z obrzeżem białego kocioła w środku musi kusić każdego fotografa.

Wchodząc na teren ruin możemy stwierdzić, że ten zielony wbieg to nie tylko miękkie spacerów, ale i harców zamieszkałych w pobliżu dziedzińca. Kilku chłopaków w wieku 10-12 lat towarzyszy naszej grupie i pilnie się nam przygląda. Nasze

* W dniach 15-19 sierpnia 1985 roku odwiedziłem w wyprawie z rodziną Mickiewiczowski, zorganizowanej przez Tworzystwo im. Adama Mickiewicza, którego członkami są przewodnik nasza-rodzimej-polskiej i historyk artystyczny kinologowie ze szkoły kenińskiej (zobacz poprzedni artykuł w niniejszym numerze) i wydział przy prof. Stanisławie Makłowiczu z Uniwersytetu Warszawskiego. Po powrocie napisalem w dzienniku „Zabawki, wiersze, opowiadania. Wiersze na prośbę moją przekazała, wyjechała dopiero — organizacja, organizacja, organizacja, organizacja. A przede wszystkim uśmiech się kręcił miś Białym serce, nie — mimo wszystko niezapomniany. Jakżeż się być dla miłośnika i dla miłośnika — piękny i cenny!”

1. Inna wersja



Nowogródka — widok spod ruin zamku Mendoga na kościół Trójcy. Fot. Román Nowonowski.

panie poleniści wdają się w nimi z rozmową i naturalnie, jako jedno z pierwszych pytań, kiedy jeden z obłąków odpowiadał Ilkaczowi Łęcoszowi polonczyzmą, pada pytanie o narodowość: — Ty Polak czy Białorusin? Dwaj obłąpcy naraz, wskazując na trzeciego wołają: — da, on Polak! Ja natomiast jakoby wewnętrznie odczuwam obecność tych ptań jako coś niewłaściwego. Bo myślę sobie tak: między tymi dwojgiem nie wyczuwa się żadnych antagonizmów; bawia się razem, chyba się przyjaźnią. Czy należy od razu podkreślać to, co je dzieli? Przecież są tu zdane na wspólne życie. I przypominam sobie to, co już w autokarze powiedział Natasa: Mickiewicz — wiadomo — polski poeta, ale tu wrok, na naszej ziemi, nie go tak kochamy i uwalano za naszego poe. Byłoby to ze skądą i dla nich, i dla nas, gdybyśmy nie rozumieli i nie uznawali tej ich miłości.

Kiedy podchodzimy do postarzanego muru wysokiej baszty, na której szczyście rozrósł się już jakiś zielony krzaczek, widzimy, że tam właśnie, u jej szczytu, wspina się dziesięcioleci przyzwykła alpinista. Panie podnosi piśk, mechczyłsi starają się je upokosić. Może to jakiś przyzwykły Wawryzynie Żalawski czy Janusz Onyszkiewicz? I rzeczywiście, po chwili — ku uldze wystraszonych pań — zachwyla malec jest już na dół, biegnie po łące.

Dzień w połowie czerwca są długie, a czas tutaj, zrównany z moskiewskim, sprawia, że kiedy wracamy o wpół do jedenastej, jest jeszcze niemal jasno. Nowogródka już ogarnął nas owym czaem. Jutro zwiedzimy miasteczko dokładniej, pod przewodnictwem Natasy.

Nowogródzkie kościoły i muzea

16. VI

Po śniadaniu, od rana — zwiedzanie. W Nowogródzku są cztery świątynie, dwa muzea. Z tych czterech kościołów, dwa rzymskokatolickie i dwa prawosławnych — trzy są w remoncie, a wszystkie mają długą historię, odzwierciedlającą masandry dziejów. Pierwszy zwiedzamy sobór prawosławny św. Mikołaja, który kiedyś był kościołem Franciszkanów, sprowadzonych jeszcze przez Giedymina w r. 1321. Obecny barokowy kościół powstał w XVIII wieku. Po 1831 roku klasztor Franciszkanów skasowano, a kościół zamieszono na cerkiew. Jednak, mimo prób nadania mu cech orientalnych, zasadniczy kształt XVIII-wiecznego baroku pozostał. Jeszcze wyraźniej wpływ architektury zachodniej daje o sobie znać w cerkwi św. Borysa i Gliba, w



Nowogródka — gotycka cerkiew św. Borysa i Gliba. Fot. R. Matosowski.

najstarszym architektonicznie zabytku sakralnym Nowogródka. Zachowane mury pochodzą z początku XVI wieku, a są centym pomnikiem tutajcej architektury północnogoetyckiej. Była to świątynia ufundowana przez księcia Konstantego Ostrogskiego dla zakonu Bazylianów po zwycięstwie nad Tatarami pod Orszą (1514). Wnętrze kościoła jest w remoncie i nie możemy wejść do środka, ale w reprimis prawosławna po Nowogródzku z lat międzywojennych, który kupiłem w Warszawie po powrocie z wykładu, że wstruszeniem czytam, że zasadniczy remont tej cerkwi w latach trzydziestych robiono „pod nadzorem konserwatora wojewódzkiego dr. S. Lorentza”. Wnętrze drogi Stał pozostał w śladu tej działalności. Kiedy porównuję swoje zdjęcia świątyni z fotografiami z przedwojennego przewodnika, upamiętniająca jej kształt po rusyfikacyjnych przeróbkach z XIX wieku, konstatuję, że dziś, po półwieczu bolszewickich rządów, które cerkiew zamknęły, jej rekonstrukcja z lat międzywojennych w pierwotnym kształcie gotyckim pozostała. Zabija, że nie możemy obejrzeć gwałdnictw sklepienia gotyckiego wewnątrz świątyni, która przez dwa wieki służyła uniom i dopiero w 1839 r., po kasacji Unii i wypędzeniu sióstr bazylianków została przejęta przez duchownych prawosławnych. Według legendy w świątyni, która stała pierwotnie na tym miejscu, chował się w 1252 r. Mendog, ale — jakby powiedział Antoni Słomkowski — „chrzest stał się nie przyjaź”. Książę litewski kilkakrotnie, jeszcze przed Jagellą, uniwalał odebrać rzycom chrześcijańskim pretęsk do napuski,

przyjmując chrzest, ale zabieg nie udawał się, a pogański lud nie pałł się do zmiany wiary.

Dwa kościoły służące dziś nowogródzkim katolikom — to fara pod wezwaniem Przemiana Pańskiego, to właśnie, która na zdjęciach malowniczo komponuje się z ruinami zamku Mendoga, i podomniastki kościoł św. Michała. Fara, zwana „Wiosłowa” stoi prawdopodobnie na miejscu dawnej pogańskiej świątyni Perkuna, w jej kołcu XIV wieku zastąpionej przez pierwotny, gotycki kościół, w którym w 1422 Jagiełło brał ślub z Sotką Holszańską, czwartą jego żoną i matką Jagiełłową, Władysława i Kazimierza. Obecny gmach powstał w XVIII wieku, ale już za czasów carskich uległ takiemu zniszczeniu, że groził zawaleniem i w latach 1857-1922 był zamknięty. W okresie międzywojennym odnowiono go i konsekrowano jako katedrę. W czasie II wojny światowej ludność zamordowała 11 obłąkanych księży sióstr nazaretanek. Po wojnie kościół przez 10 lat nie miał duszpasterza, ostatniego bolszewicy wywieźli na Syberię. W latach 1985-1991 dokonano kolejnego remontu świątyni. Tu, w farze, w lutym 1799 chrzczony był Adam Mickiewicz.

Nie mniej czołym zniszczeniem i dewastacją uległ barokowy kościół św. Michała, przy którym dominikanin prowadził szkołę sławną tym, że do niej uczęszczał Mickiewicz. Kościół znaczący polary w latach 1751 i 1831. W r. 1838 przeniesiono dot — jak już wspomnieliśmy — parafię z fary. Po r. 1948 został zamieniony na magazyn zbrojowy. Obecnie trwa od 10 lat jego remont. W bocznych kapliczkach już odbywają się nabożeństwa.

Muzeum Mickiewiczowskie w zrekonstruowanym dworcu rodniovcy poety zawiera ekspozycję pamiątek związanych z życiem poety i jego epoką o charakterze edukacyjnym. Skompletowana została ona przy wydatnym udziale warszawskiego Muzeum Literatury, a dyrektorem tego muzeum, Janusz Odrowąż-Pieniążek, był głównym konsultantem tego przedsięwzięcia. Na urządzeniu sal muzealnych, otwartych w r. 1990, złożyły się m.in. ekspozycje i ich repliki z muzeów warszawskich i krakowskich.

Ciekawsz dać mi nie osobicie było białoruskie historyczno-etnograficzne muzeum w Nowogródku, obrazujące obecny stan historycznej świadomości gospodarzy tego kraju. Gdyby rzeź osadziła na podstawie pokazanych tu ekspozycji, obdłona się zdecydowanie od typu świadomości kulturalowej na modłę sowicka, akcentując tradycje lokalne, całą przeszłość ruską, litewską i polską tej ziemi, traktując jako własne zaplecze historyczne i kulturowe. Mendog, Giedymin, Witold, Jagiełło, podobnie jak później związane z tą ziemią rodki magnackie np. Radziwiłłowie, jak zażaleni działacze np. Antoni Tyzenhauz, poeci i bardowie tej ziemi — Mickiewicz czy Syrokomla, rysownik upamiętniający zabytki — Napoleon Onda, fotografiki Jan Bahak utrwalający tutajż przedród i architekturę — wszystko to jest pokazane z dumą jako cząstka miejscowej kultury. Ofotografowuje kilka ekspozycji: modeli miasta i zamku w czasach jego średnowiecznego świetności, wizerki z Poponia, starym herbem tej ziemi, dziś „wycofanym” przez nowego rusyfikatora Łukaszewski i pocięgi urzędowych niepodległej Białorusi, wreszcie batalistyczny fresk upamiętniający przemarsz wojsk napoleońskich przez Nowogródczyznę w r. 1812 z wmontowanymi kontekstami wysołobrowanych generałów.

— Czy to generalnie fascynacy czy rozrywki? — system ogropdzający nas po muzeum przewodniczący. I usłyszę odpowiedź: — I ci, i ci. Rzeczywiście, jest tu nasz ksiądz Józef, a opodal gen. Bagration.

Nasza przewodniczka po muzeum mówi doskonale po polsku, jest z domu Karpowiczówna. Ktoś z uczestników wycieczki pyta ją, czy nie jest krewną narucną młodą historystką sżatki prof. Mariusza Karpowicza. Wzruszając po powrocie z wycieczki opracowana przez Bartłomieja Karcznowskiego brzoźszą Nowogródek i jego zabytki (1992), zdobykowaną prof. Mariusza Karpowicza, myślę o tym, jak wiele polskich rodzin ma tutaj swe korzenie, jak wiele się łączy nas z tą ziemią.

Utrwalam na zdjęciu parę starych, drewnianych domów z rynku, którego zabudowa wydaje się nieco przetrzona, gdyż rynek w czasie ostatniej wojny był oczywiście spalony. Ocaliły stary bazylik, odnowione i brydyko pomalowane niebieską farbą oraz stary budynek, w którym — jak mówi nasz Nataśka — był przed wojną farykka oraz stary budynek, w którym w XVIII-wieczny, jednopiętrowy pałacyk Radziwiłłów, w którym w latach międzywojennych mieściło się starostwo grodzkie. Miałno to był przed wojną centrum gwarmlerze i rachłowie niż dziś, kiedy sobie uświadomiłem, że polowę ludności tego, liczącego wówczas tylko 10 tysięcy mieszkańców miasta



Nowogródek — muzeum historyczno-etnograficzne. Herb Białorusi z Poponia.
Fot. R. Matuszewski.

stanowili Żydzi, koncentrujący z pewnością w swych rękach całą miejską handel. Dzień ludnie mógł się tu wzmnie i lenowia, ludność — ponad 30-tysięcowa — mieszkała raczej na obrzeżach miejskiego centrum, w pobliskich ucieczkach, przy których stary drewniane zamki z ogrodnkami, polnymi krewów i kwiatów. Zdalnego większego białowiska, które by opocilo ten nieco archaiczny pejzaż. Później, w jednej z bocznych ulic, pokaze nam Nataśka skromny i elegancki gmach dawnego zarządu wojewódzkiego wystawiony w latach dwudziestych w stylu nawiązującym do polskiego renesansu.

Ciągniemy na wzgórze zamkowe, obejrzań już popołudniowy wieczorem. Robię zdjęcia ruin zamku i fary, pomnika Mickiewicza i drewnianych rezb ludowych, zdobiących pokłony w stół wzgórze zamkowe park, zwany „gajem Mendoga”. Przemówił tu z rekono gen Perkuna... Fotografuję też przysiadnię bazykę „małego zamku” oraz staronickie piuszące knaż, która zagaduje mnie po polsku. Ma 94 lata, ale jeszcze w zeszytm ruka jęzółka do Polski, do Plocka, gdzie ma rodzinę.

Ruta

Po obiedzie (cienki chłodnik i mielone kotletki) raszamy autokarem — „szlakiem Mickiewiczowskim”. Według programu mamy zobaczyć Szczorce, Woronów, Tahańcowice i jezioro Święż, ale Natasa chce nam pokazać wiosę, program jest tylko „ramowy”. Pierwszą miejscowością, w której się zatrzymujemy — to Ruta. Nie jest tam mickiewiczologiem i oczywiście nie pamiętam, z czym ta Ruta w rzeczywistości Mickiewicza się wiąże. Ale kiedy prof. Makowski mi przypomina, że to w Rusie umiejscawia Mickiewicza akcję ballady *To było*, a po powrocie do Nowogródka sięgam po zabrane na ten wiersz noty, wpadam w zachwyt, odzwierciedla, że przez to balladzie tak dokładnie zgadza się z topografią terenu, który oglądamy.

*Spojrzy, Maryjo, gdzie się kończą gaje,
W prawo się gębie żurawiec,
W lewo się pępka dolina podaje,
Przedem rzeczulka i mostek.*

— pisał Mickiewicz. A dalej:

*Tut stawa cerkiew, w niej pasterki i owcy,
Obok dzwonnicy żubr ogrody,
A za dzwonnicy chłoinki malowaly,
A w tym chłoinkami mogły.*

Wszystko się zgadza poza tym, że obecnie cerkiewia już nowa, XIX-wieczna, nie ma „żgnitego żruba dzwonnicy”, a na cmentarzku, który i dziś rozcina się na stoku zakłosem wzgórza, mogiły są już północnym, sześciokątne oprowadzone metalową balustradą, a na jednej medalion z fotografią młodego żołnierza nosi podpis informujący, że żołnierz ów zginął przed dzieściami laty w Afganistanie.

Mostek, który starannie obfotografował prof. Makowski, też z pewnością nie jest już tym, przy którym „straszno” w czasach młodej Mickiewicza. Ale można sobie wyobrazić, że kiedyś, kiedy zamiast szosy biegła tu stromo w dół rozjeżdżona wiejska droga, która w nocy mogł się spłoszyć i dywalać mógł się złamać. Teraz jest jednak piękne, słoneczne popołudnie, pejzaż wydaje się pogodny i miły, a tekst ballady czytany po jej obiedzie sprzyja uwabdomianiu sobie, że to w rzeczywistości stracha, duchy i spory wesoły uczeń wileńskich klaszów, jeszcze nie wierzący w żadne „przeczajcie światło-omniscie”, wymyślał dla żartu i na przekór, podkreślając to wyraźnie w przesłaniu *Do przyjaciół*.

*Za to wóje w Rusie, pod północną chwałę,
Kiedy się wozaczy spał kład,
Ja na dobranoc żępnąję Maryję
Taką straszylem balladę.*

Pikantęję powieksza fakt, że pierwszą adresatką ballady nie była nie znana jeszcze prawdopodobnie Mickiewiczowi w czasie jej pisania (rok 1819) Maryja, ale jeden z wczesniejszych obiektów młodzieńczej fascynacji erotycznej dwudziestoletniego Adama — Johania, a ostatnia zwrotka wiersza *Do przyjaciół* brzmiała:

*Za to wóje w Rusie, o północnym czasie,
Kiedy się wozaczy spał kład,
Ja na dobranoc żępnąję Johanię
Taką straszylem balladę.*

Przy okazji trzeba przypomnieć, że w Rusie stał dwór sędziego Medarda Rostockiego, w którym czteremstoletni Mickiewicz po raz pierwszy przebywał kilka miesięcy już w r. 1813, po śmierci ojca, podróżując jako niejednokrotnie tu bywał z przyjaciółmi filozofami. Zę sędzia Rostocki to — być może — prototyp sędziego Soplicy, natomiast waga się dworaczka cerkiewna — tak sugeruje Tadeusz Lopałowski w opowieści krajoznawczej *Między Niemnem a Dnieprą* — mogła mieć pierwszorzęd w niedalekiej stał wóje Wołkowickie.

Szczorce i Cyryn

Z Ruty jedziemy przez wyodrębniając się nowa, blokową zabudowa Korelicze (dawniej słynne z radziwiłłowskiej manufakturą porcelany artystycznej, zw. farfurów oraz pracowni rzeźbiarzy — „szepelan”) — do Szczorc. Korelicze wspomina Mickiewicz w *Pam. Tadeusza*, natomiast Szczorce był majątkiem księcia Chreptowiczów. W latach 1770-1776 Jochim Chreptowicz, kanclerz w. ks. litewskiego był dwornym króla Stanisława Augusta, wystawił tu okazały, półrozbudowany pałac, projektowany przez włoskich architektów, który spalił się w r. 1914. On też założył tu wspaniałą bibliotekę, w której zgromadził ok. 15 000 tomów, w tym m.in. dzieła klasyków greckich i rzymskich, prace z historii Polski i Litwy, księgi heraldyczne, życiorysy polskich królów, korespondencje Chmielnickiego z polskimi hetmanami i czasów wojen kozackich itp. Z biblioteki tej korzystał i tu pracował młody Mickiewicz oraz inni filolodzy — Malowski, Czeczot, a także Lelwek i Syrokomla. Mickiewicza tu, w Szczorcach, napisał sonet *Do Niemna*, bajkę *Pies i wólk*, tu zrobił się też zapewne projekt *Grupy i Awantura Wawelwoski*. Syn Chreptowicza, Adam Chreptowicz tu zatrudnił Jana Czeczotę jako bibliotekarza po jego powrocie z zesłania. Zbiory biblioteczne zostały stał wywiezione częściowo już przed I wojną światową do biblioteki Uniwersytetu Kijowskiego. W latach międzywojennych części księgi wróciła, ale w czasie II wojny światowej znów wywieziono je do Kijowa. Do roku 1982 w gmachu dawnej biblioteki mieściła się szkoła, potem budynek stał pustą, planowano urządzenie w nim filii muzeum Mickiewiczowskiego w Nowogródku. Tomasz Krywicki w swej książce *Szlakiem Mickiewiczowskiego w Nowogródku* klasycystyczny budynek biblioteki w postaci nie zniszczonej. Nam przysłał już oglądać ów gmach całkowicie od wewnątrz wyrobiony. Pierzeniąmi były rozległy teren wspaniałego widoku niegdyś parka, przelazł gołąb między stawami, dotarliśmy do spryskiwanego stróżu dębu, zwanego dębem Mickiewicza. Jednak widok tej ruiny wprowadził mnie w nastroj przygnębienia. Zmógł mnie też popołudniowy raj. Gdy więc autokar zatrzymał się znów w jakiejś dużej wieś o ładnej, drewnianej zabudowie i Natasa wykończyła, by porzucić w sprawie zwiedzenia tamtejszej cerkwi, spylem nie miało:

— Czy nie za dużo na dzień? Co to za wieś?

— To Cyryn.

— No co w tym Cyrynie? — Przecież, że w owej chwili z mozym mi się ta nazwa nie kojarzyła.

— Jak to — ażwisiła się natasa przewodniczka. — Przecież „ksiądz przejechał z Cyryna”!

Kiedy po powrocie do hotelu stwierdziłem, że to cytat z ballady *Święż* — zastawdziłem się i wzruszyłem żarliwą wdzięcznością Natasa. Cyryn bowiem — jak przyszło mi w biografii siebie uwidomić — związany jest z wójscą Mickiewicza niejedną nocy. Tu w r. 1821 spotkał się poeta z młodziem księdzem Horbaczewiczem, który go uoył w parafialnej szkółce we wsi Szolowice, kiedy miał lat siedem. Był wtedy do spotkanie i rozmowa z księdzem przemienione zostały do IV części *Diadales*: rzeź miała miejsce już po ślubie Maryli z hr. Patkiewiczem i stał domem przedstawienia siebie jako Gustawa-śpióra, który odwiedził księżną w jej pomyli.

Jest też imię, realny fakt pobytu Mickiewicza w Cyrynie i to z Marylą, już Patkiewiczową zaps w księdze metryk chrzestnych w cyrykielkiej cerkwi, z którego wiersza. W r. 1821 spotkał się poeta z młodziem księdzem Horbaczewiczem, który go uoył w parafialnej szkółce we wsi Szolowice, kiedy miał lat siedem. Był wtedy do spotkanie i rozmowa z księdzem przemienione zostały do IV części *Diadales*: rzeź miała miejsce już po ślubie Maryli z hr. Patkiewiczem i stał domem przedstawienia siebie jako Gustawa-śpióra, który odwiedził księżną w jej pomyli.

Tuhanowice, Święż, Czombrow

Z Cyryna niedaleko do Woronicy i Tuhanowicy. Przez Woronicy, choć jest w planie naszej wycieczki, przejeżdżamy bez zatrzymywania. Był tu niegdyś wspaniały pałac owego wojewody Niesiołowskiego (wspominanego też w *Pam. Tadeusza*), ale spalony

¹ Tomasz Krywicki *Szlakiem Mickiewicza. Przewodnik po Nowogródzkiem, Wilnie i Kownie. Włno 1996.*

został przez radziecką partyzantkę w 1943 roku. W remoncie jest barokowy kościół, a na cmentarzu są pozostałości grobów Wereszczyków.

W Tuhanowiczach też nie zostało z dawnego dworu poza rozmołnionym i zapuszczonym starym parkiem. By tu dotrzeć, autor nasz musiał zjechać z drogi i telepać się dość wybitną wiejską drogą. W tuhanowickim parku-leśie malowniczo funkcjonuje stary las zachowany w pamięci jako „sąłama Maryli”. Na parkowo-lesnych polanach passa się lasce, dobrze strzymane koniczki.

Pałac Tuhanowicki opisał jeszcze w czasie I wojny światowej, kiedy tędy przebiegała linia rosyjsko-niemieckiego frontu i badaczowi realności Mickiewiczowskich niewiele da „wzja lokalna”. Jarosław Marek Rymkiewicz, który w swoim urzędowym Związku, po obejrzeniu doświadczeń XIX-wiecznych rycin zastanawia się, czy był tu dwór czy pałac i jak się miała do całosci oficyna, w której mieszkała Maryla, nie był nie zdania dla rozstrzygnięcia tych wątpliwości. Przypominamy ją się natomiast, kiedy tak krótko po tuhanowickim parku-leśie, pięknie strofny wierzba Antoniego Słonimskiego:

*Cóż by się z wami stało niemiernie drzewa?
Tariatki by was pochłonił i poszył na deski,
i tyle by z was było. Lecz w ziemi liwskiej
Razem z wami był człowiek, który o was śpiewał.*

*Po całobokach na Litwie rżnił Mickiewicz
Żyłoby zwykłą pracą przykładnych Polaków.
Cóż by nas obchodziły te Tuhanowiczki?
Któż by pamiętał ośm cwiłki Wereszczyków!*

Z Tuhanowicz jedziemy nad Świątę. Szosa przebiega obok jeziora lasem, który okala je dziś, podobnie jak za czasów Mickiewicza. Pamięć podsuwa mi utracone strofy, dla których przypomnienia nie muszę nawet sięgać do książki.

*Kokolwiek będziecie w nowogródzkiej stronie,
Do Płazyn ciemnego bora
Wschodząc, powojny zatrzymajcie się konie,
By się przypatrzyli jeziora.*

Kiedy nasze „konie mechaniczne” do niego podejdzają, jest już wieczór: ciepły, przebrunznowy. Stożce słońca są za chmurą. Jezero duże, okrągłe, w pierwszej chwili nie ma „romantycznego wrażenia”, bo w miejscu, w którym osoba nie dotrąbiła, jest polana, na której stoją trzy domki campingowe. Od brzegu w głąb jeziora wybiega niewielki pomost z altanką. Gromada drzew jeszcze teraz się kapie, ale brzegu też kilkunastu amatorów wiosnowej kąpieli. „Romantyczne” odjeżdża udaje mi się zrobić z pomostu, zachodząc na siły — oprócz tafl wody i ciemnej kreski przeczłonego brzegu — tylko jeden, samotna, oddalony kłódka.

Ślad do Nowogródka już tylko ok. 20 kilometrów, ale po drodze skręcamy jeszcze do Czombrowa. Nie istniejący już od dawna dwór Czombrowiczów za czasów Mickiewicza władność rodnym Ułdowickim, znany był Mickiewiczowi od dzieciństwa. Tu, u spłdny Ułdowickiej, wychowała się jego matka, Barbara z Majewskich. Piętnastoletni wyjazd dworu Ułdowickich dźwignął mickiewiczologów do przypuszczeń, że to także mógł być prototyp Soplicowa. W przypisie do IX księgi *Pana Tadeusza* Mickiewicz pisze: *Okolo r. 1817 obywatel U. w województwie nowogródzkim pobud na zaplecie cały garnizon nowogródzki (i dowodów zabud w niewolę T. Krzywicki w swym przewodniku tak przypis do dopienia i wyjechał: Obywatel U. do Ipancy Ułdowki z Czombrowa. Zajądł (...)) był wybitnym prozą spłownego z niejakim Siemradzian, który wyprał w sądzie sprawy z siłowanki i miał przepad od niego Czombrow. Siemradzian wyjechał od władz: prawo do egzekucyjnego wyrobu spłownego przy pomocy sądu. Wyjechał do Czombrowa zbrojni oddział (...). Ułdowki arcydzieł suwalskie, arcydzieła wieżowej wieści hadzi w kamienie, opsy i widły. Połtych i powiatowych zabieraczy uwielbil do Nowogródka. Skłamy został za to na zarządze na Sybir, lecz dzięki przetrwałemu zwolnieniu. Tak więc zajądł spłowniki, opisywa w „Pana Tadeusza”, miał swój pierwowzór w tej autentycznej historii?*

¹ Tomasz Krzywicki: *Szlakiem Mickiewicza. Przewodnik po Nowogródzkiem, Wileń i Kownie*, s. 48.

Diśi grundy Czombrowa należą do kółkożwa w Radostochce. Przy drodze leżą bełardnie rozmurowane betonowe płyty i przepła, świadczące o jakiejś rozporządzonej i porzuczonej budowie i sprzęcie stielki karkołaz. Zapada już zmrok, jest po dziesiątej, kiedy wracamy do Nowogródka. (...)

II. Szlakiem Mickiewicza, Radziwiłłów i Orzeszkowej

17 VI

Trasa trzeciego dnia naszej wycieczki biegnie na północ, pod samą granicę białorusko-liwską między Lidą a Wilnem. Ramki się ciępiły i pokazują się słotce, ale zaraz po naszym wyjeździe niebo nagle się zamulca i zaczyna lać. Ulewa wozaryzany nam dał mosta na Niemnie. Niccościana Natassa, która już wczoraj uślowiła nam amiki, jeszcze amokierem, poszczególnie kasety z białoruskimi melodiami ludowymi i polszkami Opalskiego (rozważany też za „Jutującego”), teraz chce się z nami podzielić wrażeniami, jakie wywołał w niej piękny wizerunek Stanisława Balutkiego *O znowi nowogródzkiej* z wydawnego z nas wybiora, który przysłała jej znajoma Pola. Czyta ten dość długi utwór z takim przejęciem, że korzystam z najbliższej okazji, by zapytać prof. Makowskiego, czy orientuje się w genezie sentymentu naszej przewodniczki do Polski i polskiej poezji, czy liczą ją z Polską więcej pochodzennie. Okazuje się, że nie. Jej opies był Ukrainiec, a nieokreślona z nią matka — Rosjanka z Syberii. Ktoś nam wyjaśnia, że mają ma kilkunastoletnią córcejkę (zwaną ją najmiejz, bo ją Natassa wyjechała do Wilna i Nieświeża), był Ormianin. Natassa nie chciała z nim jednak pojechać do Armenii, jemu zaś nie udało się dostać pracy na Białorusi. Malerzostwo rozczło się. Jako katolicka i osoba nastawiona wyraźnie antywojewódzko Natassa ma dziś trudności ze znalezieniem pracy. Ma skromny rytm w wychodzącym w Mińsku religijnym piśmie „Ave Maria”. Flonowazę wycieczki z Polski to jej dodatkowe zajęcie.

Mijamy Lidę — miasto, które oglądane z okien autostokaru miał wrażeń administracyjnego całkowicie przez nową zabudowę z lat siedemdziesiątych. Różniac się też w oczy znakem, siurowa budowa z nowotkijskiej opisy, owoc rekonstruacji z ostatnich lat: istniejący tu od czasów Giedyminy miasto z XIV wieku uległ zmierzczeniu już w czasie najazdu Szwedów w r. 1710.

Za Lidą nasz autostok zatrzymuje dwie otęle damy: tu nieumundurowana policja drogową. Sprawdzają dokumenty kierowcy i poruszają jednak dalej. Ale ich wyjazd wywołuje obok nas reminiscencje: zdecydowanie kontrastuje z wyglądem osób, z którymi się tu dotychczas stykaliśmy. Mają na twarzach wypisaną „wiedzę”. Rzecz nawet nie tym, że są w tym blednym kraju spójnym do niemożliwości. Także sposób, w jaki patrzą, wskazuje na to, że to damy z prawdziwej leninowsko-stalinowskiej szkoły, dla których dotychczas było powściągnięciem, a władza i jej siła jedytnym, niezrównym bóstwem. Więcej od nich niedawna, mroczną prasowidką, która — niestety — tu zwalacza nie jest tylko prasowidką...

Bieniakonie i Bołecianiki

Zmierzamy do miasteczka Bieniakonie, położonego między Lidą a Wilnem, przy samej liwskiej granicy. Na cmentarzu przy sąpisnym kościele jest grób Maryli Putnakamierowej — obok grobu żony innego z Putnakamierów. Putnakamierowie, wywodzący się z kurlandzkich baronów, byli protestantami i chowano ich na ewangelickim cmentarzu w Wilnie, natomiast ich przy katolicki znalazły miejsce wiecznego spoczynku tu.

Cztery kilometry od Bieniaków leżą Bołecianiki, dawny majątek Putnakamierów. Zachowany tu neogotycki pałac, dziś siedziba biura miejscowego kościoła (dawnej był to kołkoż im. Mickiewicza, potem przemianowano go na kołkoż im. Giedygina), został zbudowany w r. 1896 w projekcie T. Restorowskiego. W dętym salonie z ładną sztukaterią z epoki budowy pałacu dokonano przerobek związanych z adaptacją tej sali do potrzeb kulturalnych kościoła. Odbywają się tu zapewne przedstawienia amatorskie, gdyż dobudowano niewielką scenę, oddzieloną od sali kurtyną. Są tu też pewnie projekcje filmowe, o czym świadczy otwory widny w ścianie przeciwnielegi. Pałacyk stoi w ośmiokątowym parku, założonym w drugiej połowie

się sanatorium. Można natomiast wejść na dziedzińce i obejść zamek dookoła, walami, które go otaczają i oddzielać od wielkich stawów i parku. Po drodze udaje mi się w kiosku kupić ładnie wydany album Nieświeża, na stołmoku doberman pozostaje graficzny. Tekst jest biało-czarny, na końcu straszenie po angielsku i po polsku. Układ albumu świadczy o zdecydowanej woli autorów przedstawiania się sowieckiej stamperze tego rodzaju publikacji. Fotografowane są wyłącznie zabijki i obłoty cenne ze względu artystycznie oraz treści. Wyeksploatowane są artystyczne walory barokowego kościoła pężejarskiego, obecnie farnego, co rekompensuje mi — jak się krótko przekonam — niemożność jego dokładniejszego obejrzenia. Nie brak też reprodukcji wnętrza rzdziwłowskiego zamku i renowanych portyków Rzdziwłowa, które wywieszono do Małska. Jest zdjęcie tablicy nagrobkowej Władysława Syromonki z polskich czworaków z polskim napisem. Z polskiego rysunku na końcu albumu wynika wyraźnie, że naturalni kierownicy Białołaki patriotyzm, rozumiany tak, że wysoko to co powstało na tej ziemi, wzbogaca Białołacką kulturę i Rzdziwłowski szemat struktury, odróżnia w r. 1842 przez dobrego przywódcę arcybiskupa, Symona Budnego, pierwszą księżkę w białołackim języku (katechizm), to, że Nieświeża nazywał ktoś swego czasu — mając na uwadze awangardę dworu rzdziwłowskiego — „anym Paryżem”, i waler architektury pężejarskiego kościoła, który tworzył był wspaniały architekt Bernardini, i barok zachowany Świątyni Branny oraz wieży klasztoru Benedyktynów. Nie brak w albumie fotografii starych archiwów, dających wyobrażenie o Nieświeżu historycznym. Jest zdjęcie pomnika Symona Budnego, wystawionego tu w r. 1982, który oglądamy przemierzając autokarem miasteczko. W tekście polskiego résumé zwraca też uwagę zdanie o tym, że za straty kulturalne miasta i jego zabytków odpowiedzialni są „ogólnie nierzadko panujące, bezdusznej ideologii” i drugie, że „muloch barbarzyńskiego zmieszania nie był powstrzymywany i w latach siedemdziesiątych”.



Zamek Rzdziwłowski w Nieświeżu. Fot. Roman Nowoszyński.

Czy aura, która wyrażają obrazy i teksty tego albumiku, przetrwa polityczną sytuację, w której znalazła się w tej chwili Białołaka? Podczas całej wyieczki staliśmy się wyłącznie z nastroszonymi przyszymkami — nam, Polakom, wspólnym tradycjom. Ale każdy z nas i każdy z naszych przewodników zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakimimi dziś grozi temu krajowi obecny układ sił politycznych. Nasz niepokój i racjonalny po troszę też groźny obrat Białołak widać się — po pierwsze — z tym, że jesteśmy na terenie Nowoszydełczyzny, a więc księżki Białołaki śluzicy związanej z Polską i kulturą zachodnią niż o wiele większe tereny na wschodzie kraju, które po r. 1918 do Polski nie należały i na które — im dalej na wschód tym bardziej — ludność białołacka przemieszana jest dziś z rosyjską. Po drugie — jako zorganizowana grupa wyieczniczkowa mniej staliśmy się z naturalnym zyciem i z instytucjami tego kraju. Redując osobę podlegających tu indywidualnie świadczą, że wstąpił się one bliżej z brutalną oddziałością. (...)

W Snowiu i Zaosiu

Okazały klasycystyczny pałac Rzdziwłowskich w Snowiu z drugiej połowy XVIII wieku (przebudowany w r. 1827) już dobrze zachowany. Wokół dół park angielski ze stawami. Rzdziwłowy były krewnymi Rzdziwłówek, a ich nazwisko pojawia się w *Pam. Tadeusza*. W latach międzywojennych pałac oddano placówce Korpusu Ochrony Pogranicza. Dni mieli się tu sprzątać wołów sru. Tutaj w r. 1829 zatrzymał się Ludwik Spiczka. Dni mieli się tu sprzątać wołów sru. Tutaj w r. 1829 zatrzymał się Ludwik Spiczka. Dni mieli się tu sprzątać wołów sru. Tutaj w r. 1829 zatrzymał się Ludwik Spiczka.

Rozwazania czy Mickiewicz urodził się w Zaosiu czy Opolem nowoszydełczanym? Mickiewiczowski i zajmują wiele miejsca w ich pracach. Wiadomo, że w czasie kiedy poeta się urodził, jego ojciec zajmował się sprawami folwarku swego zmarłego stryja, Burełki, rzekomo zabitego przez „kozacych i kryminalistę” Jana Sopolę. Według relacji Aleksandra Mickiewicza, młodszego brata poety, arcydzieło się w Zaosiu, gdzie jego rodzice, Mikołaj i Barbara, przez krótki czas wróży zamieszkała. Metryka nowoszydełczanina chrzta Adama z 12 lutego 1798 miejsca urodzin poety nie podaje. Prasa do folwarka w Zaosiu Mikołaj Mickiewicz prętał na metę swej siostry, Wspaniałego Sypułkowskiego. Skromny, drewniany dworek Mickiewiczów, a później Sypułkowskich w Zaosiu spalił się w r. 1915, gdy ta przebiegał front rosyjsko-świecki. W 1927 roku, starmem garnizonu wojskowego w Baranowcach, na miejscu podługą do Mickiewiczowskiego folwarka postawiono kamienią obelisk. Dziś widnieje na nim napis w białołackim języku: „Tu w Zaosiu 24 grudnia 1798 roku urodził się wielki poeta Adam Mickiewicz”. Obelisk stoi w zaczernym polu, na wzgórzu, obok nożnie kilka połącznych grząz. Krótki postój w słoneczne popołudnie sprzyja medytacji, zwłaszcza gdy się wygnać na trawie i śledzić płynące obłoki, tak pięknie opisane w *Pam. Tadeusza*. Wskazując do kłębowca i domostwa i włączony się w rozmowę z gospodarzami stwierdza, że dniejsi mieszkańcy wymyślają sobie wsi jako „Zaosię”. Droga powrotu do Nowoszydełczyzny biegnie znowu nad Świerż i mamy okazję połączyć się z najbardziej zadomowionym w porze jeziorom dawnej Polski. Tym razem jest trochę wesołniej, nad jeziorem świeci słońce, a ponieważ to niedziela, więc i weekendowiczów z Nowoszydełczyzny i kąpiących się więcej niż przedwcześniej.

Bohatrowicze, Grodno i powrót

19 11

Nieświeża Mickiewiczowski, się „złoty Orzeszkowej”. Wyjeżdżając wczynie, o wódnie. Przez Grodno skierujemy w boczną stronę widać na most na Niemce, co opowoli nam dotrzeć do upamiętnionych w *Nad Niemcem* Bohatrowicze. Wsi ta ciągnie się wzdłuż rzeki, płynącej malowniczym jarem, którego brzegi porasta las. Tu, w pesnej oddolności od siebie znajdują się miejsca występujące w utworze pani Elżbiety grób Jana i Cecylii, w ostatnich zapewne latach pięćdziesiątych, z jednym drewnianym łwiątkiem i krzyżem oraz klombem polnych kwiatów, chronionym przed opadnięciem z drewnianych łątkach. W innym miejscu mogła powstać (1863 roku, też zapewne niedawno odrestaurowana, czarna metalowa kłosa i granitowa płyta z napisem „Pamięć powstańców 1863 roku” oraz stylizowanym krzyżem i orłem w środku, o kartach przypominającym kształt krzyża Virtuti Militari.

Treście miejsca, do którego dojeżdżamy na terenie Bohatrowiczy, to tzw. laweczka Orzeszkowej — waga dosłownie pomiędzy paniami dwu zrozniętymi u nasady drzew. Podobno autorka i tu się wzięła. W innym miejscu mogła powstać (1863 roku, też zapewne niedawno odrestaurowana, czarna metalowa kłosa i granitowa płyta z napisem „Pamięć powstańców 1863 roku” oraz stylizowanym krzyżem i orłem w środku, o kartach przypominającym kształt krzyża Virtuti Militari.

Treście miejsca, do którego dojeżdżamy na terenie Bohatrowiczy, to tzw. laweczka Orzeszkowej — waga dosłownie pomiędzy paniami dwu zrozniętymi u nasady drzew. Podobno autorka i tu się wzięła. W innym miejscu mogła powstać (1863 roku, też zapewne niedawno odrestaurowana, czarna metalowa kłosa i granitowa płyta z napisem „Pamięć powstańców 1863 roku” oraz stylizowanym krzyżem i orłem w środku, o kartach przypominającym kształt krzyża Virtuti Militari.

Treście miejsca, do którego dojeżdżamy na terenie Bohatrowiczy, to tzw. laweczka Orzeszkowej — waga dosłownie pomiędzy paniami dwu zrozniętymi u nasady drzew. Podobno autorka i tu się wzięła. W innym miejscu mogła powstać (1863 roku, też zapewne niedawno odrestaurowana, czarna metalowa kłosa i granitowa płyta z napisem „Pamięć powstańców 1863 roku” oraz stylizowanym krzyżem i orłem w środku, o kartach przypominającym kształt krzyża Virtuti Militari.

rodziny, miałem okazję właśnie w Bohayowiczach opowiedzieć kolegom współuczestnikom wycości.

Do Grodna jedliśmy zacił siosa, biegając polami na lewym brzegu Niema. Wtem, że miasto leży na brzegu prawym i że musimy przepaść przez most. Toteż zaskakując mnie, kiedy nagle, nie minawoży zacił wydziałany w dziedzinie wysokich wiołocow. Przed wojną byłem w Grodnie trzykrotnie: po raz pierwszy zasiedziony tam przez ojca, który postanowił mi pokazać swe rodzinne miasto w latach, kiedy byłem jeszcze w gimnazjum. Potem, kiedy odbywałem służbę wojskową, po ukończeniu podchorążych. Latem 1937 roku dostaliśmy właśnie do Grodna przydział na praktykę do kompanii łączności 29 dywizji piechoty. Stajęnowaliśmy na lewym brzegu Niema, w lecie, w którym stały wojskowe baraki. Do miasta słoń się stanął przez most i potem mała, przedmiejska uliczka, zabudowana niskimi domkami. To miasteczko — las i wojskowy obóz — nazywało się Rumilówka. Nie pamiętam, abym na lewym brzegu było coś więcej. Ponownie zmiarłem się w barakach na Rumilówce w momencie powszechnej mobilizacji, w końcu sierpnia 1939 roku. Stał ruszyłem na wojnę. Patrzyłem teraz na te dziedzińce wielkich, brzydkich bloków, przypominających bardziej nowo dziańskie Moskwy czy Mińsk niż — dajmy na to — warszawskiego Urzynowa przy Natuszku. A gdzie Rumilówka i słychać odpowiadają: — To jest właśnie Rumilówka. Przez chwilę wydaje mi się, że gdzieś w ogóle zniknęła piękna dolina Niema. Wreszcie przemierzamy rzekę nowym, wielkimięskim mostem. Rozpocząca się gładk na nowe śródmieście, zdominowane przez obelzmy, pokrywały siębią gęstą tępą do kształcie przypominającym jakiej gigantyczne organy.

Na powołanie Grodna zostało nam tylko kilka godzin. Natusza zapewnia nas, że w tych nowych dziedzińcach nie ma niczego ciekawego do oglądania, o czym zresztą i bez tych już i zapewnił byłbym przekonany. Oto jednak wyłonił się przed nami to, że ona nazywa starym miastem, a co w czasach II Rzeczypospolitej było po prostu śródmieście Grodna. Wąskie uliczki z jedno- lub dwupiętrowymi domami, dąty płac, dawnej Batorego, osobno okazały, dwuizwietny maszyne kościoła farnego. Zatrzymujemy się w pobliżu wizerła zamkowego, którego obok wygląd nie służy chyba zmianie od czasu, kiedy mi je po raz pierwszy pokazywał ojciec. Ciepły murów starego zamku podbudują za fundamenty późniejszych budynków, w których i wtedy, i dziś mieszczą się jakiej urzędy, reszta, dobrane widoczna od strony Niema, porwała dał sobie sprawę z rozmiarów zruka i zamkowego wizerła. Rzucają się też stał malowniczy widok na dolinę rzeki i na położone nie opodal inne wzgórze z cerkwią „na Kofoty”, najstarszym zabytkiem Grodna. Pamiętam, jak pokazywał mi ojciec wmurowane w jej ścianę gliniane garnki, odgrój wajejko roku rekonstruacji, oraz rzeźbę z płytek majolikowych, służące ściany od nowotaru. Niedaleko starego zamku, nazywanego niekiedy zamkiem Batorego, choć początki jego się wczesniejsze (koniec XIV wieku), kolonnowa fasada filarchyjszczyego pałacu Augusta III Sasa, w którym przebywał potem Stanisław August i tu podjął w r. 1795 abdykację. Z płaca, na którym zatrzymaliśmy się nasz autokar, widać kopuły i barokowe wiele dawnego kościoła. Barokowo, „budowany w latach 1720—1735 na podstawie projektu Józefa Fontany. Po kasacji Unii oddany został mniszkom prowadzonym, a w czasach sowieńskich zamieniony na muzeum „religi i sztuki”, ostatnio stał zwrócony prawosławniom. Zachował się tu też okazały gmach dawnej synagogi.

Przejeżdżamy autokarem uliczkami starego miasta. Stoł tu gdzieś dawny dom Orzeszkowej, dziś siedziba biblioteki. Widzieli w pobliżu znajdował się też dom, w którym mieszkał mój dziadkowie wraz z moim ojcem, dwoma siostrami i córką. Nikt z nich nie żyje i nikt nie mógłby mi na pewno w zastępstwie, kiedy to dom, przy której się znajduje.

A więc podórł sentymentalna... Wracamy na dawny plac Batorego, przed kościołem farnym, pojeździaki. Podobnie jak w Niewierze udaje bogactwo wnętrza tej — o drzewo — niekiedy przez wojnę i sowieńskie rządy uwalniają. Obrzyjni obłazg z trzema rzedami apostołów i świętych, liczne polskie nagrobki, pomnik Antoniego Tyzenhauza, a nawet niedaleko i całkiem nowe popiersie Stefana Batorego. Kiedy byłem tym ostatnie pierwszy raz z ojcem, pokazał mi wmurowaną w podzięk przetrwał nasy płytkę starego nagrobka z zabawnym, barokowym epitafium i powiedział: „W moich latach szkolnych, kiedy ja i moi koledzy przychodziliśmy na zabotkowania, a bywały dłużej i trochę nam się czasem nadziło, tośmy sobie dał rozweselenia ten nagrobek odczytywali”. W przewodniku Józefa Jodkowskiego do Grodna, którego

reprint parę lat temu wydany w Warszawie udało mi się niedawno kupić, cały tekst tego barokowego epitafium jest przytoczony.

DOM WIECZNOŚCI

*Półnym wiekiem grób otworzy,
Ze grodzienki Połkanowicz,
Kuchmierz na Włokanowie,
Mława tu zmarły głosi,
Tu zasnuł płac polski
Zawoła w radach, męczy w boju
Świadczył dzieła, dawał, grał,
Jakiś w wyzku mał ochoty,
Za dełok królów cny wojownik.
Dziękły żołnierz i pułkownik.
Zbawczych hufców oraz z ogłem,
Wraz przy wierce słownym mędrzem,
Na sym poliem z wołnym głosem
W trybunach prawdy łosem
Sędzio, zamknął wiek łreńca,
Z Kółkajny tył kowicz,
Ilny nauce Eufrozyna,
Słowa, cnota herosa,
Wraz w parze: kto le mijs
Przemł a Zdrowci Maryja.*

Katędy pokazuje nam kościelny. Pytam go o zapamiętany nagrobek. Mówi, że napis jest naturalnie i trudno go dziś odczytać. Kiedy szał rzeźbny fragmenty z pamięci, prosy, żeby nam ten tekst przedał, co oczywiście robił zająz po powrocie do Warszawy.

Również po powrocie, w uroczynę p. Lucji Grabowskiej, sekretarki Towarzystwa Przyjaciół Grodna, udaje mi się zaopatrzyć w cenną mapkę niemo wileńsko-nowogródzką, w cytowaniu ją kilkakrotnie przewodnik T. Krzywickiego *Słabim Mickiewicza*, przewodnik po Nowogródku i okolicach oraz ładna kolekcja pocztówek z Grodna. Ciekaw jest jej zestawienie z serią pocztówek w samym Grodnie pięknymi, polskie głęszą polonimem artystycznym i widery ich są natomiast wyraźnie na rzeźbionych obiektach zabytkowych oraz polonimie, w pocztówkach grodzienkich „dawne”, tzn. sowieckie, mienią się z „nowym”, fotografowane są zabytki, ale ostrożnie, żeby nie było za dużo obiektów sakralnych, fotografie się też monumentalnie brzydki architekturę nową, choć już nieco wydrżyli mi za sowieckich czasów.

Po pobytowym zwiedzaniu Grodna spieszymy na pociek. Natusza do ostatniej chwili się nami opiekuje, zabrawszy nasze paszporty objadnia — jak się zdaje — strażę graniczną i celnikom, jaki charakter miała nasza wycościana, chęta na utrzenie przed trybem kontroli granicznej wymuszonym przez sytuację, jaka tu stworzyła gospodarstwa rzeczywistości. I nie bez powodu to czyni. Kiedy nasza koleżanka, która musiała wrócić znowic, przekraczając granicę, nikt nie chciał jej wierzyć, że nie przemija alkoholu, zaś papierosów. Na uszach celników witalo podziwliwz pytanie: to po co nas jechała? Nasz też sytuacja na dawnowa w Grodnie, kiedy Natusza już się z nami pocięła, brutalnie białe z naszych mickiewiczońskich naroczeń. W sals, gdzie czekamy, aż koleżanka wpuszcza nas do podzięgu, odbywa się jakiś menasuralny gorączkowy ruch. Różni ładnie, młodzi, straż, przepięcni, wytworzeni i kłozardowi, gorączkowo przepukują swoje torby i walizki. (...)

Moje oczy też pełne Białorusi...

Po powrocie wygłaniam z teatru, w której przechowywz ciekawsz wyzniki prasowe, ogłoszony w „Gazecie Wychowcz” przed dwoma laty wywiad Terezy Zanawickiej z Tadeuszem Konwickim pt. *Moje oczy pełne Białorusi!* Tytuł zaczerpnięty z *Kalen-*

¹ „Gazeta Wychowcz” nr 173, 27 VII 1993.

durca i kłopoty, gdzie już była strefa lwaokwa do Białorusi. Ale tu jest coś więcej. Ten tekst, czytany dziś, wydaje się niemal proroczy. *Białoruś w tej chwili* — pisał Konwicki — przypomina człowieka, który jeszcze nie jest rannym, jeszcze nie uderzyło mu pełnym rytmem serce.

Próbę — ze strony młodych historyków białoruskich — spojrzania na jakby autonomiczny własny interes Białorusi w ciągu ostatnich 70–50 lat spotykają się z natychmiastowym upomieniem naopini i zowieletyzowanych historyków, którzy znaną już cały czas mych kłopotów historycznym, historycznym i Bóg wie czym jeszcze (...) Na Białorusi wciąż była haraportowa patriotyzm radzieckiej wojny czyniła. Odtąd ja, przezpram bardzo, nie jestem powiem, czy to wojna była o Białorusi (...) Patriotyzm radziecki na Białorusi został wymazany przez ogromną partyzantkę radziecką. Wieli białoruski była pacyfikowana przez hitlerowców, ale była i eksplozowna, stymulując tego delikantego słowa, przez partyzantkę radziecką. (...)

Umówion z biał, jak czyniam, że w Miłku 1,8% ludności mieni po białorusku, a nie chce mieć tego języka 40%. Chcę przez to powiedzieć, że powinna nastąpić radykalizacja pierwszarka białoruskiego. Białorusini polscy, Białorusini z Anglii, Białorusini z Kanady, Białorusini, gdzie by nie byli, powinni ranga na Białorusi, żeby więcej udział w jej reanimacji (...)

Jeżeliś robił „Lawę”. W Grodzie młody pogranicznik, Białorusin, jak się od razu domyśliłem, wziął mój paszport, obejrzał i mówi: „Jedzie pan robić film o naszym największym poecie”. Tak — odpowiedział. — Tak. O naszym największym poecie będą się starać zrobić film. Jest to piękny fenomen. Lutowi też zaskakują Mickiewicz i lawoam im za to. W „Lawie” najwięcej emocji włożym w to białoruskie, które wczelnie się nie narzuca, ale silnie działa na przywołanie miżow. Myślę tu o pianinach białoruskich, które stanowią właściwie cały podkład do tej najpiękniejszej moim zdaniem części „Dziadów” — tego wyznacznika miłowego w domu księcia wsielkiego.

Ten wywiad z Konwickim mógłbym cytować bez końca. Podobny ton ma wczelniejsza wypowiedź Józefem „Lawę” opublikowana w „Akcentie” nr 2–3 z 1992 r. Myślę, że opinie Konwickiego o Białorusi nie było to prestaty być aktualne, ale zyskały nową aktualność, jeszcze bardziej tragiczną.

Tadzia drogi, ja też mam dość oczy pełne Białorusi. To też kawałek i mojej ojczyzny — ojczyzna mojej matki, urodzonej i wychowanej w Miłku, i mego ojca, który był grodzianinem. To już moja matka, gdy w młodości uczyła w Mińsku i w białoruskie dzieci czytać i pisać, ponosił jej stary kolega, też polski Mińskacz, że powinna je uczyć nie po polsku, ale po białorusku. Powinnimy uczynić wszystko, by pomóc naszym braciom znan Niemca i Szwajcji w procesie reanimacji ich narodowej tożsamości.

Ryszard Matasewski

noty

IZABELA DOMINKO-AUGUSTOWSKA

JEDEN WSPÓLCZESNY ROMANTYZM

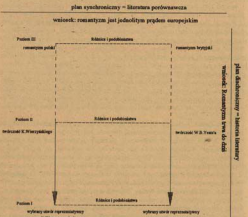
W 1993 roku w serii „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” ukazała się praca Jolanty Dudek nosząca tytuł: *The Poetics of W.B. Yeats and K. Wierzyński: A Parallel*. Książka ta należy do literatury porównawczej. Wydaje się, iż autorka doskonale zdaje sobie sprawę z zakamarków i ciemnych uliczek, w jakie zabrakł ten typ badań, stara się nie powtarzać cudzych błędów i realizować zadania jakie René Wellek stawiał komparatystyce i jej teoretykom: *Próba ograniczenia literatury porównawczej do badania „Jednego zagranicznego” literatury jest z pewnością chybną. Literatura porównawcza stała się w swoim przeobrażeniu niezapomnianym zbiorem rozpraszających fragmentów: sztukę zwłoków nieustannie przerywanych i nie złączonych w znaczącą całość. Komparatystyka jako komparatystyka w tym wątpliwie znaczeniu mogłaby badać tylko źródła i wpływy, przyczyny i skutki, nie wolno by mu było nawet rozpatrywać porównanego dzieła jako całości, gdyż zgodnie utworu nie da się sprostać wyłączone do obcych wpływów ani traktować jako odrębnie promieniujący wpływy tylko na inne kraję.*

Jolanta Dudek, nakładając od samego początku, że nie jest jej zamiarem szukać esencjalnych zależności i bezpośrednich wpływów dzieł jednego autora na drugiego, odcina się tym samym od traktowania literatury porównawczej jako „Jednego zagranicznego” literatury. Autorka nie zamiera też wyliczać, co polski twórca zawdzięcza angielskiemu lub też, co ten drugi ma do zawdzięczenia polskiemu. Takie poszukiwania uniemożliwiła mroźna fakt, że Wierzyński i Yeats funkcjonują w dwóch odległych i niezależnych od siebie tradycjach kulturowych. Ta odległość tradycji zapewnia swobodę badawczą i sprawia, że nie można książkę postawić zarzutów, o jakich pisał René Wellek. Natomiast można postawić inne. Książka nie jest łatwa w lekturze. Jest to praca typowo europejska, naszpikowana niezliczoną ilością przypisów, odwołująca się nie tylko do wiedzy czytelnika o twórczości obydwu poetów, ale i wymagająca znajomości filozofii platońskiej i neoplatonickiej oraz lektur z zakresu polskiej i angielskiej literatury romantycznej. Jest to praca naukowa, więc ma prawo być trudna. Ma prawo, ale sama trudność nie jest argumentem na jej korzyść. W jakim razie co decyduje o wartości tego studium? Autorka prezentuje głęboką znajomość nie tylko twórczości obydwu poetów, ale również literatury romantycznej, która według J. Dudek miała znaczący wpływ zarówno na skulturalowanie polskiego, jak i Wierzyńskiego. Zakres badawczy pracy jest obszerny, a sam pomysł zyskiwania sformułowanej już wczelniej przez innych uczonych hipotezy o jedności romantyzmu europejskiego — na pewno interesujący.

¹ René Wellek: *Krytyka literatury porównawczej* [w:] *Prace i problemy nauki o literaturze*, Warszawa 1976, s. 201.

Nieco upraszczając, tok rozumowania autorki można przedstawić następująco. Obaj twórcy odbicie czerpią z rodzinnych tradycji romantycznych. Skoro ich dzieła, przepchone elementami literackimi pochodzącymi z narodowej spuścizny romantycznej, są pełne podobieństw, to znaczy, że te spikujemy same w sobie też są podobne. A skoro tak, to za prawdziwą należy uznać tezę, iż romantyzm jest jednolitym prądem europejskim. Tezy tej, wchodzącej niegdyś w zakres zainteresowań literaturoznawstwa, natężenie bronił m.in. Renat Wielki. Do takiego wniosku można dojść tylko po zbadaniu i analizie wielu narodowych tradycji romantycznych. W omawianej tu pracy mamy do czynienia z tradycją polską i brytyjską. Jednakże są to one głównym przedmiotem zainteresowań, a jedynie tworzą temat również w rozdziale poświęconym analizie poddawane są utwory interesujące autorkę. Są nimi: *The Tower* W. B. Yeatsa oraz *Pięć porz ruku* K. Wierzyńskiego.

Każdemu z tych utworów Jolanta Dudek poświęca osobny rozdział, nie stosując techniki bezpośrednich odwołań, tzn. pisząc na przykład o sminimie idyl platońskich w *The Tower* Yeatsa nie sypnializuje, że podjęcie tematu również w rozdziale poświęconym *Pięciu porz ruku*. Czytelnik dopiero po uzwnym przeczytaniu całej pracy może zrekonstruować zamyśl Jolanty Dudek. Chciałaby przedstawić graficznie tę strukturę, aby ułatwić przedstawienie dwóch głównych linii wywodu, prowadzących do sformułowania dwu podstawowych dla tej pracy wniosków (porównawczego i historycznego).



O ile plan diachroniczny jest opisywany wprost przez autorkę, o tyle plan synchroniczny — podobieństw i różnic pomiędzy dwoma utworami — oddania się dopiero w rezultacie hermeneutycznego uchwycenia całościowego sensu pracy. Autorka dokonuje bezpośredniego zestawienia wierszy obydwu poetów dopiero w zakończeniu zarytowanym *Conclusions* (Wnioski). Jest to zestawienie ogólnie i bardzo krótkie ze względu na jego miejsce w generalnym planie książki. Właściwie

depero tutaj, w tym kilkastrotkowym zakończeniu dokonuje się bezpośrednie porównanie twórczości Yeatsa i Wierzyńskiego i wyodrębnienie sminimów synchronicznych. Sądzę że dużo łatwiej jest dostrzec obecność *isotopologii* romantycznego w literaturze współczesnej. Ten wniosek należyce do planu diachronicznego pracy jest szeroko omawiany i poparty wieloma przykładami w dwóch obszernych rozdziałach w przeciwieństwie do planu synchronicznego.

Jolanta Dudek wybrała do analizy jeden z późniejszych tekstów Kazimierza Wierzyńskiego. Utwór ten został wydany w 1960 roku w tomie noszącym tytuł *Traska cieni*. Wiele jest także późnych dzieł Yeatsa, powstałym w 1928 roku i zamieszczonym w tomie poprzedni pod tym samym tytułem.

Pierwszym krokiem ka analizie tych tekstów jest próba odpowiedzi na pytanie, jaka problematyka przelika wytwor obu poetów. Autorka podjęła wysiłek sporządzenia listy tematów obecnych w twórczości angielskiego poety. Przedstawiła się ona następująco: wyobraźnia i jej związek z naturą, naród a duchowe wartości, poeta a struktura, miłość, śmierć, historia, wieczność, wolność, konieczność, jedność istnienia (bytu). Rodowody takich zainteresowań artysty należy bezspornie szukać w romantyzmie. Podobnie jest z tematyką zajmującą Wierzyńskiego. Problem związku poety z jego struktura i zmianą okrytą jest widziany przez pryzmat takich romantycznych kategorii jak wieczność czy pamięć. Już samo występowanie wydrębnień i nazywanie tematów, które miałyby wyraz w tekstach poetycznych poddawanych analizie, prowadzi do stwierdzenia, że idee romantyczne istnieją bardzo silnie w analizach obu twórców.

J. Dudek już w wstępie rozdziału poświęconego Wierzyńskiemu stwierdza, iż biorąc pod uwagę weryfikację, styl, strukturę i gatunek *Pięć porz ruku*, jest on silnie zakorzeniony w polskiej tradycji poetyckiej, która z kolei ma swe źródło w poezji wielkich romantyków (szczególnie w twórczości Mickiewicza i Słowackiego) i która nadała jest tradycję *isną*. Dostrzega również, iż tekst ten stanowi system przeświadczeń artystycznej Kazimierza Wierzyńskiego, system głównych poetyckich tendencji obecnych w twórczości artystów należących do „Skamandra”. Owe tendencje są, według autorki książki, następujące: językowa wirtuozeria Juliana Tuwima, niewielkie napięcie emocjonalne wierszy patriotycznych Antoniego Słonimskiego, poezja kultury Jana Leźbiana i Jarosława Iwaszkiewicza oraz upodobanie do małych przedmiotów codziennego użytku i subtelny humor Marii Przewłockiej-Januszewskiej. Dudek podkreśla związek istniejący pomiędzy późnym okresem twórczości a wszechstronnymi fazami rozwoju artystycznego Wierzyńskiego. Podobnie jest z Yeatsem.

Wiele to wierszy silnie osadzony zarówno w wcześniejszej twórczości jej autora, jak i wświeckiej tradycji romantycznej poezji angielskiej. Koncepcja „szczęśliwego wieszania”, będąca dominantą twórcy należała do kanonu motywów romantycznych. W wykorzystaniu symboli — wiedzy — można upatrywać silny wpływ Shelleya. Już pierwsze słowa utworu wprowadzają typowo romantyczny temat.

What shall I do with this absurdity —
O heart, O troubled heart — this caricature,
Deceit ago that has been tried to me
As to a dog's tail?
Never had I more
Existed, passionate, fantastical
Imagination, nor in cut and eye
That more expected the impossible —

Co z tym absurdem teraz poczęć mam —
Mój ty bledze serce — z tą karykaturą,
Z moją starością! Tak, jest przypięciem
Do mnie jak ogon do psiego ogona.
A nigdy bardziej namiętej i głębszy
Nie żyłem wyobraźnią, nigdy wzrokiem i słuchem
Na niemożliwość bardziej nie czekały —

(Jan. Czekaj Miłost)

Ten monolog wewnętrzny wprowadza główny temat utworu (notabene — na wkrótce romantyzacja) — wyobraźnię. Fikcyjną przestrzeń utworu jest determinowana przez romantyczną epopeję „centrum (wielu) — otoczenie (wielu na zewnątrz wiary)”. Protagonista, silny wyobraźni choć zawieszony w sobie to, co jest zewnętrzne w stosunku do jego osoby: natura, silny pojęć abstrakcyjnych, życie i śmierć. Dachowy czas wyobraźni zostaje przeniesiony cyklicznie (biologiczny czas natury). J. Dudek zauważa również, iż wiedza symbolizuje wyznaczenie i upiók protagonisty. Podążając w procesie starzenia się. Te elementy mocno zbliżają centralny symbol utworu do „wielu placu” z *Epizykuladom* Shelleya.

Autorka analizuje interesującą ją utwór w wielu kontekstach. Skrupulatnie szuka źródeł koncepcji artystycznych, jak również genalogii tematów i motywów poetyckich. Dokonuje wątkowych interpretacji, natrącając się na każdy elementem, do którego mógłby wzbogacić wywód lub uściślić naturę i rolę. Wytyka to, co poparte jest obfitym erudycją. Pokazuje różnicę i podobieństwa między utworami. J. Dudek opisuje je w szerokim kontekście kulturowym i w ten sposób udaje jej się pokazać związek śmiejący nie tylko pomiędzy dwoma tekstami poetyckimi czy dorobkami dwóch artystów, ale pomiędzy kulturą polską a brytyjską — dwiema kulturami postępującymi pod silnym wpływem romantyzmu pojmowanego jako jednolity prad europejski.

Jolanta Dąbko: *The Poetics of W.F. Twiss and K. Wierzbicki: A Parallel Study* Naukowe Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego MKCXXI, Pasa Historiograficzne, Warszawa 85, Kraków 1991, s. 155.

ZYGMUNT MIKULSKI

RÓWNOŚĆ I ASYMPTOTA

Arthur Schopenhauer w swej *„Lecturę i logice”* zauważa, że urbanizm międzyludzkiemu postaw w znacznym stopniu tłumaczy się ich wielkim pochodzeniem. W tym technicyzmem nadkulturalnym brali rewanż za materialność i słabą społeczny normy. Zgadza się, że podobną twierdzenie mogą być zjawiska słowne i społeczne, nie łącząc, że są sobie. Także w poezji Przybosa, która „Równanie serca” odkryła mił swoje zjawiska wszelkich elementów oryginalności (jakich — na końcu), nie zauważyłem kłama między dla jego stał i kłama, ale wrogie dla długiego skłopiła budźkiego ten wyśwatnia katalożycy i brytyczny zjawiska jednostki. *„Lecturę lamp* wyznaczone z omentu tak kłama, jak wiar z faldów natur” wcale nie dają się odróżnić jako afirmacja miasta i jego bezczarowego automatyzmu. Przechwianie — to prawie erotyk, tyle tylko, że rozciągnięty w scenarii rozstrzygniętej alicy. Tak też przyjmujemy wszelkie urbanistyczne elementy w tych wierszach: jak alchem, jak plakat poetycki propagandy mającej przetransmitować niebezpieczeństwa urbanistyczne mobilizujące i w nie dyspozycje indywidualną. Jeśli nie, dla trwałości nadejmu podjęta postawiana razwa się na miły wierszanki plus zwęglonych na popiół, nie oznacza to, że się glosyfikuje postać wiotką. Ale sam Przybóś i interpretacje udaremnia. Czyż? Tym, co w walcówce nie powinno wchodzić w grę, ten, był przyjęte przez czytelnika, odosobnion komentarzem. Komentarz ten zabudza brak „perspektywy metafizycznej”. Odrośnięcia tego nie używam w znaczeniu filozoficznym, ten, nie ze stanowiska preferencji dla poetyk awanturniczych. Wierze — ze względu na intencje i relatywizm intencji poetyckiej — to metafizyczny status do dotarcia, które ma poszczególny w reżyserii wyznaczonej postać zjawiska postawianych znaczeń. Dla Przybosa — na odwrót — świat poetyki jest słodczy. Ba, wymienny. I to nie przypisujemy kategorii intelektualnego czy uczuciowego porównania, ale przez użycie pojętej odskłonności metafory.

Równanie serca ze stanowiska poetyki Przybosa wygląda tak: dotarcie odrodzenia np. zapamiętanie wiersza porównawczy (I to jestwie Przybóś uznaje, bo „br” i „kijęty” to zapamiętanie wiersza porównawczy), więc, może, nie pewną skłonność wiodłemu (nie jakakolwiek, ale silnie znaki najniższej jakości), więc, może, nie pewną skłonność wiodłemu (nie jakakolwiek, ale silnie znaki w występują); bliździe brzez znak równania, a po stronie przeciwnej zżakung, słów spełniających rachunek. Są? Wpływa można je uznać za definitywne wyżej wymienionego dotarcia. I w ten sposób mamy poetycką fizykę na zapiekę rdł.

Sądzi, że także postępowanie hamuje ruch słowa. Słowa, które w pierwszym momencie podziwiał się swego semantycznego członka tym czytelnie powiada zamarł do. Tu pomógł Czechowicz. Jego słowo nie widać się w zakłóceniu oformyłów struktury językowych. Ma coś z wydowania, z zakłęcia. To metafizyk niejąko spontanicznie się symulacyjnie wzbudziło rezonans, przy czym przedmiot „mięta” wcale nie oznacza wyjścia poza obszar komunikacji, ale jakimi strzępami trafem osiągnięte porównawcze w obrębie swego kanonu. Oni Czechowicz w „znaczącym przynajmniej „Istotności” (jego słowa) przeprowadzają proces formowania wóły swojej języczki przed czynnością nawiązania sobie sobie powołało na skrót w znaczeniu tylko sygnał, tylko hało wywoławce.

Zauważa, że pewne obszary dotarcia w lekturze Czechowicza czytelnik przybiosa sam, nie podawany z ręki do ręki przez metafizyk metafizyka. Ale skrót ten bynajmniej nie zatrzymuje ani nie dezorientuje dotarcia. Wyzwala je w kierunku zamierzonym przez autora, arkiobliwie nie pokazujemy przed wyjętymy jako wykazujący. Tak asymptota zmierza do... W walnie, do czego zmierza asymptota? Do samowypełnienia się. I postępując na granice terminologii matematycznej można wymieniać dwa rodzaje słów: słowo — równanie i słowo — asymptota. Pierwsze nie spełnia zapowiedzi, drugie jej nie daje. Tylko nieomyślnie wiodło do poetyckiego dotarcia.

Niezależnie jednak od faktu, że praktyka twórcza Przybosa nie przewidywała utworów wyślanych z swego świata poetyckiego, który jedynemu czytelnikowi podkłada cały słowny materiał wiersza, że jest on bardziej miazgą niż obrazem, że wiersze to poezje to raczej reżyfikaty przed (czekolki) reżyfikaty wysoki jak! Słowa, z tego iśmaku metafizyk wyjął wiele dających czytelnikowi satysfakcję. „Szybył mi wiewiórki zadziżyły się domyślić”, „spokój łecy potoczna przesłonię”. W pierwszym określeniu czytelnik jak nazywanie przekazywano z jednej diwidny w drugi. Jest w trakcie kreowania tych słów zżykłał wiewiórki okazała się niewystarczająca i miarę znowelizacji niewystarczającej ruchu fizycznego kończy metafizyk ruchem myśli. To, co w ten sposób powstało, rzeczywiście gra spójnie ośmiem, iżki wyobraźniową energią na podobieństwo przeciwnych ładunków, które nie mogą się połączyć wyrażeniową elektryczność. Poza tym ruch wiewiórki ma w sobie białostki jakże podobną do radionowego ruchu atomu, kiedy z nagłą udało się nam uchwycić sprężyno obręty ten.

Przygotowany się teraz „postokoni”. Mówi się „postokoni słów”, „język potoczny”. Ale to wszystko zamęgie się w „grzeszności”, czyli coś bardzo wyszukane i postokoniowe. Mamy na wtyły mowy, której przemiana jest zasadniczym, a nawet jedyńszym elementem. To określenie jest jakąż bójką o języku powoławców, którego każdy zwrot pobrzmiewa terycją Damygo czy sonetem Petrarci. Przy czym należy tu ze stwierdzić, że naturalność takiego użyciowania mowy została zaprzeczona „postokoni”, jako elementem natury ztyłowym codziennymi (przemysłowy „potoczny”), iżstajej poetyki więc „przecież, czyli przemian”. Słwa to „grzeszności” jako wyznacznik przemiany również funkcji samej przyrody. Przemianę jest danyłony postok. Be perspektywy w czterech słowach będących — zadowalają się — naułogia.

Tak. Tylko Przybóśowi trzeba z góry dać się przekonać.

Zygmunt Mikulski

Informujemy Czytelników, że sprzedajemy białych i danych numerów AKCENTU prowadzą m.in. następujące księgarnie:

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa tel. 26-18-35, 26-64-49

Księgarnia Akademicka
ul. Św. Anny 6
31-008 Kraków tel. 22-10-33 w. 167

Księgarnia Wydawnictw Naukowych „Elfant”
ul. Podwale 6
31-118 Kraków tel. 22-37-17

Księgarnia ORPAN
ul. Międzyzdrojów 27/29
61-722 Poznań tel. 52-45-16

Księgarnia „Arytka”
Al. Marczkowskiego 21
61-745 Poznań tel. 52-53-05

Księgarnia Naukowa „Book service”
ul. Podgórna 8
61-829 Poznań tel. 52-04-77

Księgarnia Ośrodka Rozwoju i Współpracy
Wydawnictw Naukowych PAN
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin tel. 37-54-13

Księgarnia „Etop”
ul. Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin tel. 256-15

Księgarnia Medyczna
ul. Krakowskie Przedmieście 29
20-003 Lublin tel. 261-53

Księgarnia Marka Gacki
ul. Fosałków 2
20-007 Lublin tel. 238-14

Księgarnia „AKCENT”
Rynek Kościuszki 17
15-421 Białystok tel. 219-33

Księgarnia WSP
ul. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra
tel. 26-35-20 w. 220

Księgarnia „Odew”
ul. Heła 19
00-521 Warszawa tel. 621-80-69

Księgarnia „Czytelnik”
ul. Wietzka 14
00-490 Warszawa tel. 621-36-55

Księgarnia „Bibliopola”
ul. Narutowicza 27
20-004 Lublin tel. 220-32

Księgarnia Danuta Uszyńskiego-Gacka
Krolewska 11
20-109 Lublin tel. 260-48

Ta do nabycia m.in. numer 1/1992 z nieznanymi tekstami Witolda Gombrowicza oraz *Geografiami Stanisława Barańczaka*, numer 2-3/1992 pod hasłem „Na pograniczu narodów i kultur” (Białoruś, Litwin, Łucylianin, Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, Węgry, Żydzi), numer 4/1992 z nowymi wierszami Ryszarda Kapuścińskiego, motywami amerykańskimi, tekstem I. B. Singera o Brunonie Schulzu i polemiką; S. Błajusi – Cz. Miłoz, numer 1-2/1993 (m.in. sen w literaturze i sztuce, nieznanie opowiedziana A. Laczczeryka i autobiografia Andrzeja Warhola), numer 3/1993 z pierwodrukami eseju M. Kuczyńskiego o J. Lechonia, nową prozą J. Abramsowa-Nowieckiego, wspomnieniami Irena J. B. Singera; numer 4/1993 z nieznanymi wierszami Czechowicza, triadą ośmiu o Danucie Mostwie i prezentacją kultury Kotozosa, numer 1/1994 z nowymi piosenkami W. Młynarskiego i koanami mistrzów zen, numer 2/1994 z nieznaną prozą Czechowicza oraz listami do Czesława Jankowskiego (Witno), numer 3-4/1994 z pierwodrukami Andrzeja Barty, wspomnieniami o Związku Kulturowym Łwowa, esejem o twórczości W. Ouzajry oraz prezentacją malarstwa Eugenia Zaka, numer 1/1995 z esejem Annsa Oza, krytycznym notowaniem „Harlequinów” i dokonaniami węgierskiej Późniznki ‘86, numer 2/1995 z wspomnieniami o Marku Hlauce oraz numer 3-4/1995 poświęcony literaturze niemieckiej.

Księgarnia ORPAN w Lublinie realizuje wysyłkę zamówionych numerów AKCENTU za pobraniem pocztowym. Zamówienia mogą się zwracać także do redakcji „Akcentu”.

Redakcja „Akcentu” serdecznie dziękuje czytelnikom, którzy w latach 1992–1995 dokonali wpłat na Fundusz Wydawniczy **Przyjaćiel „Akcentu”** (100 USD, 2 mln st. zł lub wielokrotnie tych sum): Wacław Iwanicki, Toronto; Zbigniew Kaczorowski, Wiedeń; Marek Gacka, Lublin; właściciele Klubu Towarzystwa „Hades”, Lublin; Szecepan Sadurski, Lublin; Danuta Hacıski, Baltimore; F. H., Chicago; Kazimierz Zacharski, USA; Stanisław Bask-Mostwin, USA; Jacek Lech Mostwin, USA; Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin; Maria du Souich, Paryż; Piotr Michałowski, Szczecin; Maryla Krajewska, Toronto; Mira Puaez, Chicago; Polska Księgarnia Golden Bookstore, Chicago; Adam Szyper, New Jersey.

Ponadto w latach 1992–1995 udzielili redakcji wsparcia: Fundacja Kultury, Fundacja Wl. I. N. Turzańskich z Toronto, Fundacja im. Stefana Batorego, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Rada Miejska Lublina, Rada Miejska Lubartowa, Rada Miasta i Gminy Zwierzyniec, Ratozczański Park Narodowy oraz Attaché Prasowy Ambasady Węgierskiej. Dziękujemy!

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” składa gorące podziękowania wszystkim, którzy dokonali wpłat na jej działalność: Stanisław Bask-Mostwin, Mira Puaez, Joanna Romaszewska, Fundacja Wl. I. N. Turzańskich, Tadeusz Chabrowski, Jacek Lech Mostwin, Krystyna Rudzka-Przychođa, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Krystyna Frelik, Alina Nowicka, Małgorzata Kaczorowska, Wojciech Młynarski, Kancelaria Prawnicza KONSULT R.O.K. Bank Depozytowy-Kredytowy w Lublinie.

Ponadto Fundacji udzielił pomocy: Teatr Dramatyczny im. J. Osterwy, Wydawnictwo „Norbertinum”, Klub Towarzystwa „Hades” i Hurtownia „Gloria”.

Dziękujemy poetom i krytykom, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swe honorary za udział w „wersjach” literackich „Akcentu”: Marian J. Kawalko, Stanisław Popek, Elżbieta Cichła-Czarniawska, Eda Ostrowska, Monika Adamczyk-Garbowska, Józef Fert, Waldemar Michalski, Bogusław Wróblewski, Ewa Mazur, Bogdan Żadura, Tadeusz Chabrowski, Danuta Mostwin, Alina Kochańczyk, István Kovács, Regine Möbius, Tadeusz Szkołat, Ryszard Kapuściński.

Fundatorzy proszą o deklarowanie współdziałania i wsparcia ekonomicznego. Można to uczynić za pośrednictwem redakcji „Akcentu” lub dokonać wpłaty na konto: Bank PKO S.A. Oddział Lublin, Nr 543015-26934158-2701-3.

Kwartalnik „Akcent” jest od początku swego istnienia drukowany przez Lubelskie Zakłady Graficzne. Ta firma istnieje ponad 50 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej, zawdzięczamy fachowości, doświadczeniu i solidności pracowników tych Zakładów. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu”

**LUBELSKIE
ZAKŁADY
GRAFICZNE
W LUBLINIE**

UL. UNICKA 4,
TEL. 77-14-37, 77-35-00,
FAX:71-15-21

**OFERUJĄ USŁUGI
POLIGRAFICZNE
w zakresie druku**

- **KSIĄŻEK**
- **KALENDARZY**
- **FOLDERÓW**
- **PLAKATÓW**
- **ETYKIET**

(w tym na materiałach samo-
przyklepnych) oraz **inne** według
życzeń zamawiającego